

W DOLINIE NARWI



ZAKOCHANA HRABIŃA



Urszula Gajdowska

U r s z u l a G a j d o w s k a

W D O L I N I E N A R W I

ZAKOCHANA
HRABINA

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych
Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcia na okładce
© VJ Dunraven | stock.adobe.com
© yanikap | stock.adobe.com

Redakcja
Marta Jakubowska (Słowa na warsztat)

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek

Korekta
Elwira Zapałowska (Słowa na warsztat)
Wioleta Żyłowska (Słowa na warsztat)
Wydanie I, Katowice 2022

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.
biuro@szaragodzina.pl
www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER SA
ul. Zorzy 4, 05-080 Kludyn
tel. 22 663 98 13, fax 22 663 98 12
dystrybucja@liber.pl
www.dystrybucja.liber.pl

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina s.c., 2021
ISBN 978-83-67102-35-3

1.

Obrzeża Warszawy, kwiecień 1817

Edmund Breza – były żołnierz Pierwszego Pułku Szwoleżerów-Lansjerów ze Starej Gwardii walczącej u boku Napoleona, nieprzyzwoicie przystojny uwodziciel, szlachetnie urodzony i świetnie wykształcony, przy tym hulaka, doskonale zapowiadający się w towarzystwie utracjusz i hazardzista – zeskoczył na miękką trawę z grzbietu swojego najlepszego rumaka, którego przywiązał do muru okalającego rezydencję markiza.

Strój wieczorowy uszyty według najnowszej mody i lakierowane buty do tańca zamienił na wygodny kubrak i skórzane botforty. Jedynie koszula pozostała ta sama – śnieżnobiała, sztywno wykrochmalona, tym razem niezapięta pod samą szyję i pozbawiona ozdobnego fularu; eleganckie spodnie wymienił na przylegające do ciała wojskowe bryczesy. Odzienie to, podpatrzone u dawnych francuskich kompanów, idealnie nadawało się do przeprowadzenia planu, jaki układał sobie od wczorajszego wieczoru, kiedy to potajemnie wysłał młodej markizie wiadomość o nocnej wizycie.

Pochylił się, aby przebiec cicho wzdłuż szpaleru drzewek owocowych, i dotarł do brukowanych alejek wyznaczających przydomowy ogród zaprojektowany w angielskim stylu. Starał się unikać odkrytych ścieżek, wybierał te okolone z obu stron wysokim żywopłotem, aż zbliżył się do niewielkiej fontanny. Wyostrzył wszystkie zmysły, aby rozejrzeć się po rozległej, zielonej przestrzeni, i zatrzymał wzrok na zachodnim skrzydle słabo oświetlonego kamiennego dworu położonego malowniczo na lewym brzegu Wisły. Zaszło mu w gardle, gdy próbował odszukać dwa małe płomyki wystawione w jednym z trzech rzędów okien. Zwilżył usta wodą i przyjrzał się uważniej.

Czyżby markiza się rozmyśliła i nie zapaliła świec, które stanowiły umówiony znak, o jaki poprosił w liście? Może zadanie nie było wcale tak banalne, jak mu się wydawało, gdy zawierał zakład?

Znał teren posiadłości markiza, bo miał okazję niejednokrotnie zwiedzić to miejsce kilka lat wcześniej, gdy wędrował do pokojów jego świętej pamięci pierwszej małżonki. Tym razem nie kierował nim zamiar przyprawienia Wąsaczowi rogów. Naprawdę! Chodziło jedynie o zakład i próbę ocalenia swojej miejskiej rezydencji.

Akt własności nieruchomości umieszczony został pod materacem łóżka w pokoju młodej żony, nawiasem mówiąc, zajmowanym dawniej przez

starszą córkę markiza, który też było dane Edmundowi pewnej letniej nocy odwiedzić. Skrzywił się z przekąsem na myśl o tym, co mógłby zrobić z nim szanowny ojciec pannicy, gdyby się dowiedział o jego niechlubnych poczynaniach.

– Gdzie te cholerne płomyki?! – warknął cicho. Otaczała go wprawdzie typowo wiosenna aura, ale robiło się coraz później i miał wrażenie, że trawę zaczynał pokrywać delikatny szron.

Na cóż mu to było?! Czy nie mógł raz na zawsze odżegnać się od tego kamuflażu przybranego na potrzeby prowadzenia delikatnych spraw na zlecenie ludzi z wyższych sfer? Czy może ten kamuflaż tak bardzo złał się z jego osobowością, że stał się nieodzowną częścią Edmunda, sprawił, iż mężczyzna nie potrafił się od niego uwolnić? A może wcale nie chciał się go pozbywać? Skąd nagle te wyrzuty sumienia? Chyba się starzeję – pomyślał. Mógłbym w końcu się ustatkować i zacząć prowadzić uczciwe życie zamiast sterczeć po ciemku pod oknami niewiernych małżonek. A może wszystkiemu winna jest informacja o tym, że ona została wdową?

Pamiętał tamten wieczór, gdy z furią napadła na niego podczas jednej z redut karnawałowych. Te chabrowe oczy ciskające gromami, błyszczące spod koronkowej czarnej maski, i krwistoczerwone usta przygryzane z nerwów niemal do krwi... Boże, jak ona wówczas wyglądała! Niczym wcielenie antycznej bogini ruszającej, by zmieść z powierzchni Ziemi swych wrogów. Została narzeczona jego najlepszego przyjaciela i tylko ta myśl przywoływała go do porządku. Nienawidziła Edmunda, ale od nienawiści do miłości... Mógł przezwyciężyć tę niedogodność, gdyby tylko wszystko potoczyło się inaczej. Okazał się zbyt lojalny wobec swego druha, a potem ona wyszła za mąż... Lecz za żadnego z nich. Teraz znów była wolna... Tylko co go to w ogóle obchodzi?! Nie powinien zajmować nią myśli, jeśli chce nadal mieć w posiadaniu cokolwiek więcej niż to, co nosi akurat na sobie.

– Gdzie te światła? – Denerwował się. – Czyżby markiza nie była już tak rozochocona, jak to wyrażała w liście? Niemożliwe. – Zaczął przestępować z nogi na nogę.

Kobiety zawsze lgnęły do niego tabunami, bo wierzyły rozpowszechnianym w towarzystwie plotkom, jakoby nigdy nie zawodził w sztuce umilania czasu. W zasadzie sam był sobie winien, bo wielokrotnie te komeraże podsycił i nie robił absolutnie nic, by położyć im kres, nawet jeśli okazywały się dalece przesadzone.

– Są – szepnął do siebie z ulgą.

Dostrzegł wreszcie liche światelka w oknie na pierwszym piętrze i podbiegł, nadal pochylony, do ściany budynku. Niestety markiza nie ułatwiła mu w żaden sposób zadania, bo ani nie odnalazł żadnej liny, ani nawet drabinki podtrzymującej bluszcz, że o samym pnączu nie wspomni. Trudno. Musiał wykorzystać to, co miał przy sobie.

Z kieszonki ukrytej w cholewce buta wy dobył niewielki sztylet i wbił go w spoinę między kamiennymi bloczkami muru. Kruszyła się! Doskonale – pomyślał, uśmiechnął się pod nosem i rozpoczął mozolną wspinaczkę. Ściana, porośnięta tu i ówdzie mchem, nie była najłatwiejszą, jaką przyszło mu do tej pory pokonywać, zwłaszcza że zaczęło się ślizgać i buty ślizgały mu się na wilgotnej powierzchni, a zziębnięte mięśnie, odwykłe od długotrwałego wysiłku i – co tu ukrywać – zmęczone wiedzionym ostatnio trybem życia, odmawiały posłuszeństwa.

– Szlag by to! – zaklął pod nosem, gdy wolna dłoń się obsunęła i musiał wypuścić sztylet, by drugą złapać się ściany. Na szczęście nie zostało wiele drogi do przebycia. Wystarczyło podciągnąć się odrobinę wyżej, by móc stanąć na gzymsie, z którego za moment sięgnie parapetu.

Nagle okno w sypialni markizy otworzyło się z hukiem i ujrzał wyciągnięte w jego stronę ostro zakończone paznokcie. Przed oczami stanął mu obraz, w którym ich właścicielka wypycha go na zewnątrz, a on spada oderwany od muru i ląduje z rozbitą głową na jakimś kamieniu albo jeszcze gorzej – na własnym sztylcie, który jakimś trafem sterczy ostrzem do góry.

Przełknął głośno ślinę, gdy kobiece palce dosięgły jego gęstych, jasnych włosów, ale zorientował się, że próbują go wciągnąć, a nie strącić, dlatego odetchnął z ulgą i skwapliwie skorzystał z nadarzającej się okazji, by wdrapać się do środka.

– Och, kwiatuszku – zwracał się w ten sposób do większości kobiet, aby przypadkiem nie pomylić ich imion – dzięki Bogu, że wyjrzałaś w ostatnim momencie, w przeciwnym razie rano trzeba by było zbierać moje szczątki z bruku.

– O ile się orientuję, na dole mamy trawę i nie jest tu tak znowu wysoko – zaszczebiotała.

– Wolalbym jednak nie sprawdzać tego na własnej skórze. – Zeskoczył z parapetu i z galanterią ujął jej dłoń, po czym zbliżył do swoich ust.

– Och, nie bawmy się w te ceregiele – pisnęła i zaczęła niemal wyrywać guziki z jego kubraka, by dobrać się do koszuli.

W normalnych okolicznościach zapewne nie stawiałby większego oporu. Towarzystwo widziało w nim kobieciarza nieomijającego nawet zamężnych dam i było w tym sporo prawdy. Kryjący się jednak gdzieś w pobliżu męża markizy, z pewnością uzbrojony po zęby, nie stanowił odpowiednio nastrojowego tła do tego typu poczynań. Wąsacz to doskonały strzelec, o czym Edmund miał już okazję się wielokrotnie przekonać.

– Chyba źle zrozumiała pani moje intencje co do swojej osoby – zaczął niepewnie. Starał się przy tym odsunąć ją od własnego rozporzeka.

– Udajemy niedostępnego?

– Ależ nie! – zaprzeczył gorąco.

Mimo swojego nonszalanckiego podejścia do konwenansów zawsze trzymał się z góry ustalonych reguł zakładów. Nie mógł wspomnieć kobiecie o obecności jej męża, o ukrytych pod materacem jej łóżka dokumentach, o tym, że w żadnym wypadku nie wolno mu jej tknąć ani też – rzecz jasna – o samym zakładzie.

Odsunął się krok w tył, by dać sobie czas na wymyślenie dobrej wymówki. Zanim tu wszedł, miał ich co najmniej tuzin, lecz wtedy nie brał pod uwagę jednego – że roznegliżowana i nieco wstawiona młoda mężatka nabierze na niego tak wielkiej ochoty.

Kobieta kusząco rozchyliła peniuar – ukazała jedynie częściowo zakryty gorsetem biust imponującej wielkości i z kocim spojrzeniem ruszyła w kierunku przybysza. Potem wszystko potoczyło się jakby poza jego świadomością: przepychanki, kłótnia, kapitulacja, przyzwolenie i wreszcie podstęp.

Mógł przewidzieć, że była do tego zdolna, ale uświadomił to sobie dopiero wówczas, kiedy leżał pod nią z rękoma uwięzionymi pod materacem. Zdołał wyrwać się w ostatniej chwili, gdy do pokoju wpadł markiz z pistoletem w dłoni po tym, jak nie doczekał się od niego umówionego sygnału, a odgłosy zza drzwi zaczęły go niepokoić.

Nawet po upływie godziny od dramatycznych zdarzeń Edmund nie potrafił w pełni zorientować się we własnym położeniu. Wiedział, że cudem uszedł z życiem, ale dokumenty własności jego domu przepadły raz na zawsze. Na domiar złego deszcz rozpadał się na dobre, a koń albo sam się uwolnił, albo ktoś mu w tym pomógł. Ludzie markiza? Złodziej? Mógł się jedynie domyślać.

Pozbawiony broni i sakiewki musiał pieszo dotrzeć do Warszawy i – jakby mało mu było upokorzeń – powiadomić służbę swojej miejskiej

rezydencji o rychłej wyprowadzce.

2.

Magnoliowy Dworek, majątek rodziny Strzeleckich pod Łomżą, tydzień wcześniej

– Ach! – Aurelia przycisnęła dłonie do piersi i odetchnęła głęboko. – Ależ mnie stryj wystraszył.

– Mógłbym powiedzieć to samo – odparł zupełnie spokojnie wysoki mężczyzna, podnosząc się zza masywnego biurka. – Sądziłem, że jesteś we Francji.

– Dzięki przyjaznym wiatrom i umiejętnościom kapitana przybyliśmy do portu kilka dni wcześniej. Od razu wyruszyłam na wschód. Drogi okazały się nie najgorsze jak na tę porę roku. Trzymaliśmy się z dala od rozlewisk i... – odstawiła trzymany w ręku świecznik – ...oto jestem.

– Troszkę mnie zaskoczyłaś, przyznaję, ale bardzo jestem rad z twojej obecności.

– A dlaczego stryj siedzi po nocy w gabinecie mego ojca?

– Chciałem jeszcze raz przejrzeć dokumenty.

– Rozumiem. – Rozejrzała się po jedynym pomieszczeniu, którego meble nie były pozakrywane białymi tkaninami. – Jest tu ktokolwiek poza stryjem?

– Niestety. Dom pozostaje pusty. W trojaskach mieszka kilkoro czeladników doglądających obejścia, do reszty prac przysyłam swoich ludzi.

– Podeszedł do niej bliżej. – Tylko nie mów o tym matce. Stanowczo odmówiła pomocy finansowej po tym, jak twój brat przegrał niemal cały majątek łącznie z posagami twoim i twojej siostry.

– Tak, wiem. – Aurelia pokręciła głową. – Henryk nigdy nie należał do zbyt bystrych, jeśli chodziło o interesy. – Westchnęła. – Na szczęście szybko zaczął się uczyć, odkąd stracił widoki na dziedziczenie Wiśniowego Dworu i tytułu hrabiego.

– A i ty, i twoja siostra poradziłyście sobie nawet bez majątku.

– Jak widać.

Podeszła i ucałowała hrabiego w szorstki policzek.

– W zasadzie – spojrzał na leżące na biurku księgi – na dzisiaj skończyłem. Nie ma sensu robić tu zamieszania. Możemy podjechać do mnie. Każę przygotować ci najlepszy pokój gościnny. Chyba że masz inne plany?

– Myślałam, że zatrzymam się tutaj, ale nie będę robić problemu. Pójdę po moją pokojówkę, bo pewnie błądzi na górze, a stryj niech powiadomi

stajennego, by ponownie zaprzągnął konie.

– Dobrze. Spotkamy się za kwadrans przed domem.

Po niespełna półgodzinie hrabina Aurelia Plater (wcześniej panna Aurelia Strzelecka) siedziała w przestronnym salonie Wiśniowego Dworu u hrabiego Jerzego Strzeleckiego, swojego stryja, i popijała gorącą herbatę w towarzystwie jego uroczej małżonki.

– Żałuję, że nie mogłam uczestniczyć w waszym ślubie. Z pewnością była to wspaniała uroczystość. – Uśmiechnęła się do nowej pani domu.

– Równie wspaniała jak wesele twojej siostry – odpowiedziała jej tamta podobnym uśmiechem.

– Małgorzata mogła poczekać te kilka tygodni na moje przybycie... – Aurelia szepnęła bardziej do siebie niż do rozmówczyni.

– Niezupełnie mogła. – Hrabina zerknęła na swego męża i groźnie zmarszczyła brwi.

Hrabia zrobił dziwną minę i nabrał głęboko powietrza.

– Może i troszeczkę ją przymusiłem. – Skapitulował. – Nie mogłem jednak pozwolić na przedślubne schadzki, a młody Wigura, jak sama musisz przyznać, miał naprawdę wiele pomysłów, jak ją wydostać spod mojej kurateli.

– Doprawdy trudno mi uwierzyć, że Małgorzata, zagorzała przeciwniczka małżeństwa, pozwoliła narzucić sobie czyjaś wolę.

– Bo nie widziałaś ich razem, kochana – zaszczebotała hrabina. – Przepiękna para.

– Zapewne – odparła uprzejmie Aurelia. – Mam nadzieję – zmieniła temat – że nie będzie wam przeszkadzać moja obecność.

– Ależ skąd! – odparła kobieta. – Możesz tu zostać, jak długo potrzebujesz.

– Nie zabawię długo. Chciałabym udać się za kilka dni do Warszawy i przypilnować spraw spadkowych. Wyjechałam krótko po pogrzebie męża i zostawiłam je mecenasowi polecanemu przez stryja.

– Pan Zajączek z pewnością o wszystko zadbał – powiedział hrabia. – A do stolicy możemy pojechać razem. Wybieramy się tam w przyszłym tygodniu. Oczywiście możesz zatrzymać się w naszej rezydencji przy Miodowej.

– Dziękuję, ale poleciłam już przygotować dom przy Senatorskiej. To niedaleko, więc będziemy mogli się odwiedzać.

– Jak wolisz.

– Jutro natomiast chciałabym wybrać się na spacer po okolicy. Indie to wspaniały, egzotyczny kraj, ale stęskniłam się za rozlewiskami Bugonarwi¹.

¹ Do 1962 roku rzeka Narew była uważana za prawostronny dopływ Bugu.

– Hm – odchrząknął mężczyzna. – Rozległe doliny, bagna i torfowiska niezaprzeczalnie mają swój urok. Poproszę jednak kogoś, by najpierw sprawdził ścieżki. A ty – zwrócił się do bratanicy władcym tonem – obiecaj, że nie wybierzesz się tam sama. Nie chciałbym kompletować ekipy poszukiwawczej, gdybyś, nie daj Bóg, utknęła gdzieś w trzciniowisku.

Aurelia co dzień z rana wyruszała na długi spacer, by podziwiać przyrodę budzącą się do życia po długiej zimie. Po wiosennych roztopach rzeka występująca z brzegów zalała starorzecze, aż podtopiła okoliczne łąki, ale ten właśnie widok hrabina Plater pokochała już we wczesnym dzieciństwie i nie zamierzała przejmować się zniszczonymi butami. Czasem towarzyszyła jej żona stryja lub któraś z jej niezamężnych córek. Raz nawet sam hrabia zdecydował się wziąć udział w tym przydługim spacerze. Tydzień minął przyjemnie, ale bardzo szybko i rychło też upłynęła im wspólna podróż do Warszawy. Stan dróg pozostawiał wiele do życzenia, ale wprawny woźnica poradził sobie z błotem i wyrwami po spływającej wodzie.

Hrabiostwo Strzeleccy pożegnali Aurelię. Zostawili ją w dwupiętrowym budynku przy ulicy Senatorskiej, wzniesionym przed prawie stu laty w stylu palladiańskim, i udali się do swojej rezydencji przy Miodowej.

Służba, poinformowana o przyjeździe pani domu, szybko przygotowała wszystko, czego potrzebowała młoda hrabina, i zajęła się własnymi obowiązkami. Ona sama zaczęła natomiast szykować się do wieczornego wyjścia, bo w ostatnich dniach zdążyła zadbać o to, by przynajmniej część znajomych dowiedziała się o jej powrocie do stolicy. Czekał na nią cały stosik zaproszeń, a jedno dotyczyło wieczornego balu.

W kilka godzin później przeglądała się w lustrze. Granatowa suknia i nieco jaśniejszy szal przetykany złotą nicią, który przywiozła razem z mnóstwem innych cudownych drobiazgów z podróży, wydawały się leżeć idealnie na jej figurze, nieco wyszczuplonej po trudach długiego rejsu.

Wcześniej nie zwracała uwagi na symbolikę barw, dopiero pobyt w Indiach uzmysłowił jej, że nie tylko żałobna czerń i ślubna biel mają znaczenie. Zresztą tam oznaczały coś zupełnie innego. Doskonale pamięta spojrzenia ludzi, kiedy wysiadała ze statku. Czarny, dość skromny wdowi strój wzbudził dziwne zainteresowanie miejscowych. Dopiero od brata, do którego przyplłynęła wraz z rodzicami, dowiedziała się, że tam symbolizuje on myśliwych i demony, żałobnice natomiast przywdziewają biel, która jej

zupełnie nie kojarzyła się ze smutkiem. Nie miała zamiaru wymieniać całej garderoby, zwłaszcza że od śmierci jej małżonka minęło już wiele miesięcy, a kraj, do którego wówczas przybyła, jego kultura, zabytki, egzotyka, zapachy, jedzenie, barwne stroje i błyszczące dodatki pochłonęły ją bez reszty. Oczywiście dostrzegła też i tę ciemną, przerażającą stronę Indii (wdowy palone żywcem na łodziach odpływających z ciałami ich zmarłych mężów czy przedstawicieli najniższej kasty, których innym nie wolno było nawet dotykać), choć Henryk i bracia Garenwill, jego nowi przyjaciele, a jej przewodnicy, starali się pokazać tylko te miejsca, które nie narażają wrażliwości damy jej pokroju.

Hrabina Aurelia Plater, przed kilkoma laty okrzyknięta przez większość pism plotkarskich „najpiękniejszą z dam”, miała oto powrócić na warszawskie salony w zupełnie nowej odsłonie. Zrezygnowała z czerni, choć wiele wdów nosiło ją nawet przez cztery lata. Błyszczące, zwykle falujące brązowe włosy teraz za pomocą specjalnych olejków były gładko uczesane w kunsztownie upięty kok z dwoma gęstymi pasmami wypuszczonymi po bokach, pomiędzy którymi połyskiwał złoty łańcuszek umocowany przy skórze na przedziałku. Nie zamierzała udawać Hinduski, ale niezmiernie przypadły jej do gustu tamtejsze ozdoby i uznała, że nie będzie niczym złym, jeśli zaadaptuje niektóre z nich. Kusilo ją, by pomiędzy ostro wygiętymi, eleganckimi brwiami namalować małą *bindi*², ale powstrzymała się, bo uznała, że jej oczy i tak dzięki swemu ciemnoniebieskiemu, niemal chabrowemu odcieniowi wyglądają wystarczająco dobrze.

² Znak na czole noszony przez hinduski, tak zwana święta kropka.

Wyjechała nieledwie przed rokiem wcale nie z ciekawości czy chęci towarzyszenia rodzicom w odwiedzinach ich marnotrawnego syna, a z przymusu, o którym nawet nie chciała teraz myśleć. Podróż od początku zapowiadała się koszmarne, lecz okazała się zupełnie inna, niż Aurelia oczekiwała, a dystans, jakiego młoda hrabina nabrała wówczas wobec swojego dotychczasowego życia, pozwalał jej zupełnie inaczej spojrzeć nie tylko na świat, ale i na siebie.

Po powrocie była ciekawa, jak wygląda życie towarzyskie stolicy od czasu utworzenia Kongresówki³. W końcu nadzieje pokładane w kampanii napoleońskiej upadły, ale większość głosów, które do niej docierały, wyrażała afirmację polityki cara Aleksandra I.

³ Królestwo Kongresowe (Królestwo Polskie) – państwo utworzone decyzją kongresu wiedeńskiego w 1815 roku. Przez pierwsze lata jego istnienia postrzegane jako najbardziej

autonomiczny i odrębny polski obszar na ziemiach, które w latach 1772–1795 zostały odebrane Rzeczypospolitej. Dopiero później uzyskane swobody zaczęły być stopniowo ograniczane.

Teraz czekał ją pierwszy od dawna występ publiczny. Czuła lekki dreszczyk podniecenia, ale jednocześnie obawę. Zawsze uchodziła za jedną z najpopularniejszych dam warszawskiej socjety. Przez trzy kolejne sezony, zanim wyszła za mąż, niepodzielnie dzierżyła tytuł najpiękniejszej. Jej popularność, zwłaszcza wśród młodych dżentelmenów niemal padających do jej stóp, nie spadła nawet po zmianie stanu cywilnego, a tym bardziej po śmierci męża. Czy będzie potrafiła się na nowo odnaleźć w gąszczu salonowych zasad? Czy w tak krótkim czasie mogły zmienić się one na tyle, że nie zdoła się do nich dostosować z sobie tylko właściwym urokiem? A może raczej należałoby zadać pytanie: czy to ona nie zmieniła się na tyle, by chciała się na nowo do nich dopasować?

Naciągnęła rękawiczki, założyła zdobny kapelusik, obsyty futerkiem płaszcz i po chwili siedziała już w jednym z wytwornych powozów męża, mknąc ulicami miasta na przyjęcie zaręczynowe panny Winnickiej.

Na miejsce dotarła jako jeden z pierwszych gości, by umyślnie unikać późniejszego wejścia i zwracania na siebie uwagi. Nie było to do niej podobne, ale w końcu uwolniona spod skrzydeł nadopiekuńczej matki jako posażna wdowa decydowała sama o sobie i mogła oddawać się do woli obserwowaniu innych zamiast nieustannie zabiegać o uwagę towarzystwa (przynajmniej cyklicznie, bo to na wsi zamierzała osiąść na stałe).

– A kogóż to moje oczy widzą? – zagadnęła ją wysoka blondynka w koafiurze przesadnie obwieszanej klejnotami. – Hrabina Plater we własnej osobie. Jak widać, wdowieństwo w niczym pani nie zaszkodziło.

– Doprawdy wygląda pani doskonale, jak zawsze zresztą... – odezwał się nieco zmieszany zachowaniem żony Borys Morawski, czwarty markiz Moore o rosyjskich i angielskich korzeniach, jeden z licznych dawnych wielbicieli Aurelii.

– To prawda. Zdążyliśmy się stęsknić za blaskiem, który pani wokół siebie rozacza. – Dołączył do niego hrabia Olechowski w towarzystwie Berty, uśmiechniętej pulchnej małżonki.

– O tak, kochana, brakowało nam ciebie ostatnio – poparła męża hrabina Olechowska i ucałowała powietrze tuż przy jej policzku. – Wyglądasz zachwycająco, jak jakaś egzotyczna księżniczka, i co za cudowny szal – zaszczebotała. – Musisz mi zdradzić szybciotko, skąd wzięłaś takie cudeńko.

– Kobiety... Zawsze znajdują pretekst do rozmowy o strojach.

Aurelia posłała hrabiemu ciepły uśmiech i odwróciła się w stronę jego małżonki.

– Nie tylko zdradzę, ale i chętnie podaruję ci bardzo podobny.

– Cudownie. – Przyklasnęła. – Złożę ci jutro wizytę. Może dołączysz do mnie, Eleonoro? – Zwróciła się do blondynki.

– Zdaje się, że nie mam niczego ważnego w planach – odparła po namyśle markiza Morawska.

– A oto i gwiazda dzisiejszego wieczoru. – Berta wskazała dłonią na nadchodzącą w ich kierunku pannę Winnicką. – Gratuluję, złociutka. Zagarnęłaś sobie chyba najlepszego kawalera i to jeszcze zanim się na dobre zaczęło polowanie. – Puściła oko do pozostałych osób.

Panna Winnicka, jak przystało na dobrze wychowaną panienkę, zalała się pąsem, począwszy od różowego dekoltu przez porcelanową twarzyczkę po nasadę złotych loczków.

– Nie przejmuj się, moja droga, to tylko taki żarcik. Nie miałam nic złego na myśli.

– Ale pozycja markizy to całkiem interesujące trofeum. – Aurelia spojrzała na nią przyjaźnie.

– Tak pani myśli? – zapytała przechodząca obok matka dziewczyny, przymrużając oczy.

– Nie sposób temu zaprzeczyć. Zresztą sama pani o tym wie najlepiej – odgryzła się starszej damie.

– Też mogłabyś o tym co nieco wiedzieć, gdybyś tak lekkomyślnie nie zrezygnowała z młodego Ostrowskiego przed dwoma laty na rzecz świętej pamięci hrabiego.

Całe towarzystwo doskonale wiedziało, że Aurelia była zaręczona z Robertem Ostrowskim, bratem synowej hrabiego Strzeleckiego. Po ich rozstaniu wybuchł niemały skandal.

– Mamo! – Uspokoiła ją córka.

– Jeszcze nie jest za późno. Siedział biedak przez wiele miesięcy w tej swojej pustelni, ale podobno zaczął wracać do życia – powiedziała wysokim głosem Eleonora Morawska, po czym zakryła usta rękawiczką, jakby słowa wymknęły jej się wbrew własnej woli.

W powietrzu dało się wyczuć konsternację. Na szczęście wokół kręciło się mnóstwo innych gości, z którymi należało zamienić kilka zdań, zanim rozpocznie się uroczysta kolacja, a to pozwoliło hrabinie Plater bez skrępowania opuścić uciążliwe towarzystwo.

Aurelii nie dziwiły docinki ani zawiść ze strony innych kobiet, przywykła do tego. Od dzieciństwa wyróżniała się na tle rówieśnic i miała świadomość tego, że trudno jest im się zaprzyjaźnić z kimś, kogo uważają za konkurencję i zagrożenie. Nawet rodzona siostra wielokrotnie wykrzyczała jej w twarz, co myśli o jej urodzie. Czasem wolałaby być mniej zgrabna, nieco brzydsza. Ale niespecjalnie buntowała się przeciwko dziełu stworzenia. Nie miała zamiaru kaleczyć swojej nieskazitelnej cery, wyrywać gęstych, podkreślonych rzęs, miażdżyć gorsetem piersi czy obcinać lśniących włosów tylko dlatego, że ktoś uważał je za przesadnie ładne i jedynie na nich skupiał swoją uwagę, a zapominał, iż pod tą piękną skorupką posiada jeszcze jakieś wnętrze. Czasem wydawało jej się, że ludzi nie obchodziło nawet to, czy była dobra, zła, głupia, oczytana, nerwowa czy zupełnie spokojna. Nikt nie trudził się, by poznać ją głębiej. Wystarczyło im, że odnajdywali w niej doskonałą powierzchowność.

Jak zwykle kiedy tylko oddaliła się o parę kroków od pań, napotkała kilka tuzinów dżentelmenów, z których co najmniej połowa niegdyś starała się o jej względy. Męczyło ją to chwilami, lecz dzielnie znosiła otaczające ją wszędzie tłumy. Zdziwiłaby się, gdyby teraz, kiedy znów była wolną kobietą, sytuacja miała się diametralnie zmienić.

– Dziękuję, Harris – zwróciła się następnego popołudnia do kamerdynera (sprowadzonego przez jej zmarłego męża przed wieloma laty z Anglii), który anonsował przybycie gości. – Zapytaj Mariannę, czy wszystko w kuchni już gotowe. Jeśli nie, to niech przyniesie to, co zostało zrobione, i zaparzy świeżej herbaty.

– Oczywiście, jaśnie pani.

Kamerdyner zniknął szybciotko za drzwiami, w których po kilku minutach pojawiły się obie zaproszone wczorajszego wieczoru damy elegancko ubrane w spacerowe suknie.

– A cóż to za dziwne wypieki, hrabino Plater? – zapytała Berta Olechowska, gdy rozsiadła się na zdobionej sofie.

– Aurelio – poprawiła ją gospodyni. – Znamy się od tak dawna, że chyba możemy mówić sobie po imieniu.

– Wybacz. Zapomniałam się. – Wybuchła śmiechem. – Jak widzę takie pyszności...

– Nie krępuj się, te białe kulki to *rasgulla*, są formowane z serka zanurzonego w słodkim syropie aromatyzowanym szafranem, ciemne –

gulab jamun, takie małe pączki nasączone esencją z obłędnie pachnącą wodą różaną.

– Brzmi fascynująco.

– Smakuje równie dobrze.

– Nie powinnam sobie pozwalać na zbyt wiele, ale ty, Eleonoro, możesz częstować się do woli. Masz figurę bogini. – Spojrzała na przyjaciółkę z wyrzutem. – Obie macie. A ja po kilku takich pysznościach musiałabym przerobić wszystkie suknie.

– Myślę, że hrabia Olechowski z chęcią zapłaci za nowe stroje dla swojej żony, a to byłby doskonały pretekst dla odświeżenia garderoby, nawet jeśli jest całkiem nowa. Uważam, że kobieta nigdy nie ma dość ubrań w swojej szafie – zachęciła ją tamta.

– Myślę dokładnie tak samo.

– Przepraszam najmocniej. – W uchylonych drzwiach pojawił się kamerdyner. – Przywieziono jakieś ogromne pudło z prezentem dla jaśnie pani.

– Wiadomo, co to takiego?

– Niestety nie jesteśmy tego w stanie sprawdzić bez otwierania, ale jest naprawdę bardzo ciężkie.

– Czy to coś od stryja lub kogoś z mojej rodziny?

– Nie, proszę pani.

– W takim razie każ je odesłać z powrotem. Nie przyjmuję wielkich, ciężkich prezentów.

Panie popatrzyły na siebie ze źle skrywanym zaciekawieniem.

– Niestety nie wiadomo, kto jest nadawcą niespodzianki. Mężczyźni, którzy ją przynieśli, mówią, że nie mają pojęcia, kto im to zlecił.

– Cóż, w takim razie nie mam chyba innego wyboru jak sprawdzić, co to takiego.

– Przepyszny pomysł, umieram z ciekawości. – Przyklasnęła Berta i podniosła się z fotela.

Za nią wstała Eleonora i wszystkie panie weszły do holu, gdzie postawiono wielki podarunek.

– Czyżbyś miała jakiegoś wyjątkowo oddanego wielbiciela? – zapytała szczuplejsza z pań.

– Nie żartuj, kochana, ona ma ich tylu, że gdyby nawet chciała, to nie zliczyłaby wszystkich. Może po zawartości rozpoznamy, od którego to dżentelmena.

Aurelia wzięła nożyk do otwierania listów i zabrała się do przecinania kolejnych warstw papieru, aż dotarła do drewnianej skrzyni z pokrywą. Ostrożnie ją otworzyła i zajrzała do środka. Wnętrze wypełniało pachnące siano, a zaraz pod nim dało się zauważyć kamienny przedmiot.

– Harris – zwróciła się do kamerdynera. – Zawołaj Jakuba i spróbujcie wyjąć to ze środka.

– Oczywiście.

Po kilku minutach, kiedy lokaj z pokojówką posprzątało siano i kawałki papieru, oczom wszystkich ukazał się kamienny posąg przedstawiający nagiego amorka grającego na harfie.

– Piękny – zachwyciła się Berta.

– Bo ja wiem. Posąg jak posąg. Zdaje się, że widziałam podobne. – Spojrzała krytycznie Eleonora. – Mówi ci to coś?

– Absolutnie nic. – Aurelia zmarszczyła brwi.

– Tu jest coś jeszcze. – Marianna podała hrabinie zapieczętowaną woskiem kartkę bez odbitego znaku.

Aurelia złamała pieczęć i przebiegła wzrokiem po dedykacji.

Miłość zasiewa w tobie ziarno wszelkich cnót i wszelkich występków.

– Romantyczne – skwitowała Berta.

– To cytat z Dantego Alighieri, moja droga. Najwyraźniej ktoś się z tobą droczy – powiedziała Eleonora, słabo maskując oburzenie.

– Nie mam ochoty na zabawy, ale to zapewne nic niewłaściwego.

– Może i nie, ale chyba nie zamierzasz wystawić tego w swoim salonie?

– Raczej nie, ale tobie się bardzo podobał, Berto. – Aurelia zwróciła się do drugiej z kobiet.

Po dłuższej przepychance słownej hrabina Olechowska zgodziła się przyjąć prezent i nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło aż do poranka kilka dni później, kiedy Aurelia wróciła roztrzęsiona po pożegnaniu na progu domu dwóch towarzyszących jej dżentelmenów.

Jak to możliwe, że spadła z konia? Przecież była doskonałą amazonką. Trenowała od najmłodszych lat. Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej tak zwyczajnie wypaść z siodła. Nagle jedna ze stóp wyslizgnęła się ze strzemienia, tak jakby w jednej chwili wydłużyło się puślisko. Czyżby ktoś majstrował coś przy nim albo nie dopatrywał, że było źle związane lub rozprute? W dodatku klacz spłoszyła się i popędziła na złamanie karku. Oby tylko nic sobie nie zrobiła!

Co za szczęście, że to była bardzo wczesna przejażdżka – gdyby trafiła na poranną defiladę kostiumów zmierzającą do Ogrodu Saskiego, to dopiero wszystkie plotkarki wzięłyby ją na języki. Już i tak brukowce rozpisywały się o jej barwnych, zbyt frywolnych strojach i coraz to nowych partnerach do tańca. Tytułowały jej pojawienie się w stolicy jako powrót dawnej królowej piękności i chyba z czystej złośliwości podkreślały słowo „dawnej”. Przez prawie rok małżeństwa i rok wdowieństwa nie mogła aż tak się zestarzeć i zbrzydnąć.

Nie zależało jej na tytułach ani uwadze, której zaczynała mieć powoli dosyć. Kiedy była panną i uganiał się za nią tabun kawalerów, mogła przynajmniej liczyć na powściągliwość z ich strony. Owszem, czasem zdarzały się zbyt mocne uściski w walcu, próby wyciągnięcia na spacer po ciemnym ogrodzie, kilka krótkich pocałunków, prośby o pukiel włosów. O miłosnych wierszach, poematach, pieśniach i podarunkach, często zbyt kosztownych, nawet nie wspominała. Nikt jednak nie próbował wówczas zaciągnąć jej do łóżka ani wpraszać się do jej alkowy. Niektórzy mężczyźni potrafili teraz w bardzo niedwuznaczny sposób zaproponować, by została ich kochanką. To nie było miłe. Nigdy nie chciała, by traktowano ją przedmiotowo, a dla większości stała się właśnie przedmiotem pożądania.

Na szczęście w chwili wypadku w pobliżu znajdowali się (niegroźni przynajmniej pod tym względem) dwaj dżentelmeni: Alojzy Rudecki – rudowłosy baron, wysoki niczym tyczka miłośnik sztuki, i Pankracy Pucki, niziutki, mający lekkie problemy z nadwagą, ale bardzo miły człowiek. Obaj natychmiast przybyli jej z pomocą, przepychali się, by podnieść ją z chodnika. Szybko wezwali dorożkę i jechali za nią do samego domu, by się upewnić, czy nic jej się nie stało. Szkoda tylko, że żaden nie pomyślał o zbiegłej klaczy. To był zupełnie nowy koń w jej niewielkiej stajni. Swoją drogą upadek musiał wyglądać niezwykle komicznie, aż dziw, że obaj panowie zachowali wzorową postawę i nie parsknęli śmiechem, gdy patrzyli, jak zsuwa się z wierzchowca poruszającego się powoli wyciągniętym stępem, i to prosto w kałużę.

Dotknęła niepewnie tylnej części ciała poniżej pleców. Oj, chyba będzie trzeba czymś się nasmarować. Pośladki bolały ją niemiłosiernie, o czym nie chciała wspominać żadnemu z panów, którzy ratowali ją z opresji. I tak wyglądali na bardzo przejętych całą sytuacją. Alojzy Rudecki sam omal nie upadł, kiedy musiał objąć ją w talii, aby pomóc jej się podnieść z chodnika.

Gdyby napomknęła o tym, gdzie się najmocniej poobijała, to gotów był jeszcze zemdleć na środku alejki.

Zamierzała odpocząć przed wspięciem się na piętro do swojej sypialni, dlatego przejrzała stos czekających już prezentów, wśród których znalazła się nawet para kanarków. Na szczęście nadawca się podpisał, mogła zatem zwrócić mu ptaki z sugestią, że źle reaguje na ich obecność, bo niemal bez przerwy kicha. Może było to maleńkie kłamstwo, ale powiedziane w bardzo dobrej wierze, więc usprawiedliwione. W zasadzie zrobiło jej się nawet miło, że nikt nie napisał nic niewłaściwego, tylko czyste wyrazy sympatii. Do czasu.

Pośród stosu liścików i zaproszeń znalazła kartkę, która przywołała uczucie dyskomfortu i przypomniała jej, dlaczego przed rokiem wyjechała z kraju. Złamała nieoznaczoną pieczęć i rozszyfrowała znane już sobie pismo:

Życie jest rumakiem, który nie znosi tchórzliwego jeźdźca.

Przeczytała wiadomość kilkakrotnie. Czyżby poczucie zagrożenia, które towarzyszyło jej przed podróżą do Indii, wcale nie było wytworem jej imaginacji? Może to nie rojenia osamotnionej wdowy, ale realne niebezpieczeństwo? Może to zwykły przypadek. Nie należało popadać w paranoję.

Następnego wieczoru czekał ją wielki bankiet wydawany przez Eleonorę z okazji czterdziestych piątych urodzin jej męża i musiała się na nim pojawić, choćby ze względu na to, że Borys Morawski, którego spotkała w księgarni po południu w dniu wizyty jego żony, zaprosił ją jeszcze raz osobiście. Markiz w roku debiutu Aurelii był wdowcem poszukującym kandydatki na kolejną żonę i nie ukrywał, że chętnie widziałby ją u swego boku. Nie ganiał jednak razem ze stadem amatorów, a dyskretnie sugerował, jak wielkie korzyści oboje odnieśliby w wyniku takiegoż mariażu. Może gdyby nie poznała Roberta Ostrowskiego...

Och, zresztą nie on jeden stanowił świetną partię w tym mieście. Za Mateusza wyszła z własnej chęci, nawet jeśli to był od początku jego pomysł. W czasie krótkiego małżeństwa zrozumiała, że zgoda na nie okazała się jedną z najlepszych decyzji, jakie mogła podjąć. Co prawda nie było mowy o wielkiej miłości, romantycznych uniesieniach ani temu podobnych bzdurach, ale także nie narzekała na zimne czy przedmiotowe traktowanie. Po prostu zawarli układ w atmosferze przyjaźni.

Większość małżonek stanowiła ozdobę tudzież zapewniała organizację życia towarzyskiego i ciepło rodzinnego domu lub przynajmniej dobre naoliwienie mechanizmu, który nim sterował. Mateusz dowiódł jej, że można wszystko poukładać inaczej. Wyciągnął ją spod skrzydeł nadopiekuńczej matki nie po to, by przejąć nad nią kontrolę. Pokazał jej, jak kobieta może zadbać o własne interesy, jak smakuje wolność w możliwości kierowania własnymi zasobami finansowymi i rozporządzaniu majątkiem, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku i po wysłuchaniu opinii księgowego lub prawnika. Nauczył ją żyć bez mężczyzny, jeszcze zanim na dobre zachorował. Odegrał rolę nauczyciela, przewodnika, ale to ona sama miała wybierać ścieżki, którymi podąży. Musiał ją kochać, skoro tak wiele jej zaoferował, nigdy jednak nie oczekiwał, by zapałała do niego takim uczuciem ani nie narzucała się ze swoim, o ile nie było ono jedynie przyjaźnią, bo takie najczęściej odnosiła wrażenie. Nauczył ją, jak zaakceptować jego śmierć, i zapewnił opiekuna w osobie Błękitnego Majora – swego kuzyna.

Pośladki bolały po upadku, ale miała nadzieję, że nikt nie zauważy, że unika siadania i zbyt gwałtownych ruchów podczas bankietu. Mogła wymówić się od tańca bólem głowy, a przy stole spędzić jak najmniej czasu. Kolacja dłużyła się jej jednak niemiłosiernie i mimo wyśmienitych specjałów, jakie serwował francuski kucharz Morawskich, z ulgą przyjęła wiadomość o jej zakończeniu.

Na sali balowej natknęła się na kilka dawnych znajomych, dzięki czemu mogła spokojnie plotkować ze wszystkimi na przemian, kiedy pozostałe damy porywano do tańca. Sama oszczędnie dokonywała wyboru tańców i kandydatów do partnerowania. Nie odmówiła oczywiście obu dżentelmenom, którzy ją uratowali przywiezieniem do domu po upadku z konia, bo obaj byli nieco flegmatyczni i nie groziło jej przy nich to, że będzie musiała wykonywać coś więcej czy szybciej poza podstawowymi figurami najwolniejszych tańców. Panowie wiedzieli również o jej stanie zdrowia, dlatego z wyrozumiałością podchodzili do każdego najmniejszego sygnału.

W pewnym momencie, gdy stała i przysłuchiwała się rozprawie o nalewkach pomagających zwalczyć reumatyczne bóle stawów, w oddali mignęła jej dobrze znana sylwetka. Nie wiedzieć czemu, po plecach przebiegł jej dziwny dreszcz, a w ustach nagle całkowicie zaschło. Nie myślała o nim od kilku dni, bo zwykle nieproszony pojawiał się, nie

wiadomo dlaczego, w snach, a niekiedy w marzeniach, gdy wieczorem długo nie mogła zmrużyć oczu. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że może się na niego natknąć akurat tutaj, choć powinna to raczej przewidzieć.

Lew salonowy, stały bywalec wszystkich większych przyjęć, na których mógłby upolować ofiarę i zaciągnąć ją do łóżka z pomocą swoich wyuczonych sztuczek. Edmund Breza, najlepszy przyjaciel jej niedosłego męża, Roberta Ostrowskiego. Człowiek, który pociągnął go na samo dno i uczynił równie wyzutym z uczuć i aroganckim co on sam. Mężczyzna, przy którym nie potrafiła zachować się do końca tak, jak na damę przystało, i wybuchła niczym rozkapryszona nastolatka. Ktoś, kogo sama obecność sprawiała, iż zaczynała tracić zmysły.

Ogarnęła ją fala złości, którą natychmiast opanowała. Starła się nie zwracać na niego uwagi.

Może jej nie zauważy, a jeśli nawet, to z pewnością nie będzie wracał do tego, co wydarzyło się w przeszłości. O ile sobie przypominała, to on również niezbyt dobrze czuł się w jej towarzystwie i zapewne będzie starał się jej unikać, dlatego wyprostowała się, przywołałwszy na twarz najśłodszy ze swoich uśmiechów. Grzecznie przytakiwała rozmawiającym paniom, co jak zwykle pozwoliło pozyskać ich sympatię. Jeśli już się na niego natknie, to zwyczajnie go zignoruje. A może to wcale nie on? Tylko kto inny miałby tak smukłą, sprężystą sylwetkę i jasne włosy, miękko falujące niczym dojrzewające zboże? Któż mógłby poruszać się jak drapieżnik czyhający na niewinną zwierzynę, z gracją dzikiego kocura?

Nigdy nie rozumiała, co kierowało Stwórcą, że tego przebiegłego, pozbawionego skrupułów drania obdarzył tak wspaniałą powierzchownością. Nawet ona, mimo wieloletniej niechęci, musiała przyznać, że Edmund Breza był szalenie, wprost nieprzyzwoicie przystojny.

3.

Czy to mogła być ona? Czyżby najpiękniejsza z dam powróciła na łono warszawskiej socjety? Edmund od przeszło dwóch lat nie myślał o żadnej innej kobiecie. W zasadzie to od ponad siedmiu lat myślał tylko o niej... Chociaż nie... bądźmy szczerzy. Jego uwagę zaprzętało wiele piękności, a tak naprawdę ciągle pakował się w kolejne przygody z nowymi kochankami, przeżywał w ich ramionach krótkie, acz bardzo namiętne i intensywne chwile. Zawsze jednak w każdej z kobiet próbował odnaleźć jakąś część jej – Aurelii Strzeleckiej. Ponoć wyszła za mąż i owdowiała, ale jakoś nie miał głowy do tego, by śledzić te zdarzenia, był zajęty czymś zupełnie innym. Poza tym starał się unikać nie tylko jej samej, ale i nawet rozmów o niej, bo odbierał je jak rozdrapywanie ran.

Mięśnie napięły mu się do granic możliwości na krótkie wspomnienie pokazu jej charakterności. Ta kobieta miała w sobie ogień, mogła iskry krzesać. Diablica w skórze niewiniątka. Sekutnica obdarzona przez niebo niezemską urodą i wdziękiem. Słodycz miodu ze szczyptą, ba, z łyżką najostrzejszego dziegciu. Nie powinien w ogóle o niej wspominać. Już raz przyczyniła się do tego, że jego najlepszy przyjaciel... eh, to stare czasy.

Edmund Breza, jeden z największych kobieciarzy polskich salonów, wyprostował się i szybkim krokiem udał w stronę pokoju dla panów. Tam choć przez chwilę mógł czuć się bezpieczny... Kiedy dotarł na miejsce, musiał wypić trzy lampki burgunda, zanim z cygarem w dłoni dołączył do stolika.

On – ogier i zawadiaka – bał się delikatnej kobiety. Co za hańba! Choć jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, przecież wcale się przed nią nie chował. Lubił pograć sobie w karty w męskim towarzystwie zamiast wysłuchiwać paplaniny o koronkach i kwiatkach. Na tańce też jakoś nie miał specjalnej ochoty. Przyszedł tu, bo tego chciał! I było to jedyne pewne miejsce, w którym nie spodziewał się go zastać markiz wściekły za poprzedni wieczór.

Edmund dopił alkohol jednym haustem, kiedy przypomniał sobie na wpeł roznegliżowaną markizę ciągnącą go w stronę swego łóżka. Świadomość obecności w pobliżu jej męża nierozstającego się na co dzień z pistoletem dodawała sytuacji nie tyle pikanterii, co dramatyzmu podszytego grozą. Dodatkowo miał na uwadze fakt, iż obiecał nie wspominać słowem, że jego romantyczna wspinaczka do uchylonego okna zamężnej kobiety to wynik jedynie zakładu, bo wówczas zyskałby sobie dwóch wrogów: zazdrosnego

męża i ośmieszoną kochankę. Sam nie wiedział, które okazałoby się bardziej niebezpieczne i pozbawione skrupułów w obliczu tej zniewagi.

Odgonił od siebie wizję pościgu, przecesał palcami burzę gęstych, elegancko przystrzyżonych loków w odcieniu dojrzałego zboża, wygładził nieistniejące fałdy dobrze dopasowanej białej kamizelki i ruszył wolnym krokiem ku grającym. Zatrzymał się jednak, mimochodem zerknął w głąb holu, z którego częściowo widać było salę balową.

Aurelia wyglądała nieziemsko. W zasadzie nie mógł spodziewać się niczego innego, ale miał cichą nadzieję, że może czas choć odrobinę odcisnął na niej swe piętno i łatwiej będzie mu wybić ją sobie wreszcie z głowy. Mylił się. Nie dość, że nie utraciła niczego ze swych wdzięków, to jeszcze w jakiś czarodziejski sposób uwydatniła swoją i tak ponadprzeciętną urodę. Ujarzmiła burzę ciemnych loków, a nieskazitelną, jasną cerę podkreśliła wyrazistą suknią i dobrała egzotyczne, połyskliwe dodatki. Stała bokiem i mógł bezceremonialnie prześlizgnąć wzrokiem od czubka jej głowy po aksamitne czarne pantofelki. Rzecz jasna zatrzymał się – jak każdy prawdziwy mężczyzna, w jego mniemaniu – w miejscu, gdzie kończyła się szyja, by dokładnie zlustrować jej wydatny biust, zapewne przyjemny nie tylko dla oka. Nie podejrzewał, że po tylu latach nadal nie będzie potrafił opanować własnych reakcji w jej obecności. Nie rozumiał, skąd się brała ta obsesja niedająca się nijak wyplenić.

Rozejrzał się, by zająć myśli czymś innym, nim zasiądzie do stolika karcianego. Najwyraźniej nie tylko on miał ten problem. Naliczył prawie tuzin dżentelmenów wpatrujących się w młodą hrabinę mniej lub bardziej dyskretnie. A może powinien wreszcie przestać się kryć i spróbować zacząć tę znajomość na nowo?

Aurelia jest wdową, nic ją już nie łączy z jego przyjacielem, co niestety po części jest też jego zasługą (ale skoro wyszła za innego, to chyba przestała mieć o to pretensje). Może wcale go nie nienawidzi aż tak, jak mu to wykrzyczała przed dwoma laty prosto w twarz? Teraz wyglądała na całkiem opanowaną, można rzec – spokojną. Tylko czy ma prawo burzyć ten jej spokojny świat i przypominać o swoim istnieniu? A co, jeśli ona wcale o nim nie myślała przez te długie miesiące? Co, jeśli w ogóle jest i zawsze był jej obojętny? Wówczas pozostanie mu żyć nie tylko ze świadomością, że nigdy nie pisano im związku, ale również z ciężarem obojętności. Sam nie wiedział, co okazałoby się gorsze: odepchnięcie czy myśl, że zmarnował szansę (lub ktoś nie dopuścił do tego, by w ogóle podjął wyzwanie).

Nigdy nie należał do tchórzy. Walczył w szeregach pod Wagram, nad Berezyną i pod Hanau. Tylko czy starcie z takim przeciwnikiem nie przerosłoby jego możliwości? Kuszące, a jednocześnie zupełnie bezsensowne – pomyślał.

Miał teraz wiele innych problemów na głowie: wiszącą nad nim groźbę bankructwa i wściekłe zazdrosnego męża markizy. Aurelię Strzelecką, czy jak się teraz ona nazywa, powinien omijać szerokim łukiem. Czy to nie przez nią zdradził przyjaciela? Czy to nie z jej powodu stał się taki wiecznie niezadowolony, mimo nieschodzącego z twarzy uśmiechu? Czy to nie ona była przyczyną jego ciągłego zaniedbywania obowiązków?

4.

– Co jaśnie pani życzy sobie zrobić z tymi podarunkami? – Pokojówka weszła cichutko, bo pamiętała, że hrabina nie czuje się tego dnia najlepiej.

– Postaw je gdziekolwiek, proszę, według własnego uznania. – Uśmiechnęła się Aurelia. Starła się nie ruszać zbytnio z powodu nasilającego się bólu głowy.

– To dopiero miesiąc, a nam już brakuje wazonów na kwiaty, mimo że nie trzymamy ich długo. Ostatnie wstawiłam do kubłów w pokojach gościnnych.

– Może je pošlijcie komuś, komu się przydadzą. Nie wiem... do kościoła, by ozdobiły ołtarz podczas jutrzejszego nabożeństwa. Oddaję wszystko do waszej dyspozycji. Właściwie to te mieszające się zapachy kwiatów wcale nie pomagają mi w wyzdrowieniu – zażartowała.

– Jak pani sobie życzy. A co mam zrobić z czekoladkami? Odłożyć je tak jak poprzednie?

– Tak, a właściwie to nie. Podzielcie się między sobą, a jeśli zabraknie, to doберите z tych wczorajszych. To będzie mały prezent za zamieszanie z tymi wszystkimi przesyłkami.

– Och, dziękuję. To bardzo wspaniałomyślne z pani strony.

– Nie ma za co. Zanim pójdziesz się tym zająć, zaparz mi, proszę, tych swoich ziółek.

– Naparzyłam wcześniej cały kociołek i dosypałam węgla. To powinno pomóc pani szybciej dojść do siebie.

– Dziękuję.

Po wypiciu naparu i wynudzeniu się z powodu braku odpowiednich lektur Aurelia postanowiła położyć się z powrotem do łóżka. Zrezygnowała z drugiego śniadania, gdyż miała obawy, że wszystko zwróci, i zasnęła wsłuchana w odgłosy ulicy.

Obudziło ją bieganie po schodach sąsiadujących z jej sypialnią. Zaciekawiona narzuciła na ramiona szlafrok i wyjrzała na korytarz. Jeden z lokajów miotał się tam i z powrotem, jakby postradał wszystkie zmysły.

– Co robisz, Jakubie?

– O matko! To jaśnie pani. – Chwycił się za serce.

– Nigdy nikt tak nie reagował na mój widok. Muszę się chyba baczniej przyjrzeć swojemu odbiciu.

– Nie! Przepraszam, ja tylko... – Zmieszał się chłopak.

– Żartowałam. – Uśmiechnęła się uprzejmie i spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

– Bo ja nie wiedziałem, czy powinienem jaśnie pani przerywać odpoczynek, ale Marianna, Alba i Edna pochorowały się strasznie, wszystkie naraz, i nie wiemy, co mamy począć. Porobiły się czerwone jak buraki, wyłupiają oczy i plotą coś bez sensu, a Marianna wygląda, jakby miała zacząć wymiotować.

– Poślij szybko kogoś po doktora, a sam pędź do kuchni i podaj im napar z kociołka. Ja zaraz do was dołączę.

Ubrała się pospiesznie i popędziła na dół do pokoiów dla służby, gdzie wyczerpane trzy pracownice ślaniały się w gorączce, mając coś i skręcając się z bólu. Ochmistrzyni wraz z dwoma lokajami poła je ziółkami niemal na siłę.

Boże – pomyślała – musiały się biedaczki zarazić ode mnie tym paskudztwem, lecz one miały o wiele poważniejsze objawy.

Alba zaczęła przysypiać w ramionach jednego z lokajów. Nie wyglądało to jednak na spokojny sen zmęczonej chorobą osoby. Niewiele myśląc, Aurelia podeszła do dziewczyny, zanurzyła ściereczkę leżącą obok stolika w miednicy z wodą i zaczęła delikatnie obmywać jej twarz, żeby ją ocucić. Poskutkowało, zwłaszcza że Jakub, który obserwował subtelne poczynania chlebobawczyni, dołączył do niej i zwyczajnie wylał zimną wodę na głowę pokojówki.

W tym momencie do domu wkroczył doktor z wielką czarną torbą i omal nie złapał się za głowę na widok całego towarzystwa zebranego w ciasnej izbie.

– Dzień dobry, hrabino. Przybyłem najszybciej, jak mogłem, gdy dowiedziałem się, o jaki adres chodzi. – Wykonał niezwykle szarmanckie dygnięcie i delikatny pąs wychynął mu na policzki, kiedy jego wzrok zatrzymał się na wilgotnym staniku jej sukni ściśle opinającym piersi.

Dopiero wówczas zorientowała się, że krople wody spływające po głowie Alby zmoczyły też jej dekolt.

– Dzień dobry, doktorze. Doceniam pański pośpiech, może odsunę się, by mógł pan obejrzeć pacjentki. Jakubie, Jacku, chodźcie za mną. Myślę, że obecność pani Harris wystarczy. – Wstała i zakryła dłonią piersi. – Proszę poinformować mnie, kiedy już pan zbada dziewczyny.

– Oczywiście, droga pani. – Ze źle skrywanym żalem zamykał za nią drzwi pokoju.

Chwilę później wyszedł na korytarz w asyście dziwnych odgłosów.

– Zatrucie. Ewidentnie – powiedział do zdziwionej Aurelii.

– Och.

– Najlepiej, gdyby pacjentki zwróciły to, co mają w żołądkach.

– Rozumiem, że przystąpiły niezwłocznie do działania – odpowiedziała ze współczuciem w oczach.

– Tak, zaleciłem również kurację węglem, a następnie białka kurze i mąkę kartoflaną z wodą. Jeśli odpoczną dzień czy dwa, to powinny wrócić szybko do zdrowia. Dobrze, że od początku popijały ziółka.

– Ale czym mogły się tak zatruć? – Nagle przypomniała sobie o czekoladkach. – Niech pan poczeka, doktorze – zwróciła się do niego i przeszła do pokoju służby.

Po minucie wróciła z napoczętym pudełkiem pralinek.

– Proszę to obejrzeć, doktorze.

Mężczyzna wziął ostrożnie słodczyce, wyjął jedną z brązowych kulek i rozłamał w palcach, by zajrzeć do środka.

– Nie jestem pewien, ale to chyba *Atropa belladonna*.

– Belladonna? Wilcza jagoda?

– Dokładnie, pokrzyk wilcza jagoda.

– Jest pan pewien?

– Ciężko mi powiedzieć. Czekoladki pachną alkoholem, ale może... musiałbym to zbadać. Na szczęście dawka nie była śmiertelna.

– O Boże! – Przeraziła się. – To był prezent przeznaczony dla mnie.

– Radzę uważać na wielbicieli, hrabino – szepnął poufale. – Gdybym mógł coś jeszcze dla pani zrobić, to...

– Będę to miała na uwadze, doktorze. Proszę jednak nikomu o tym nie wspominać. – Wyprostowała się dumnie i skrzyżowała dłonie na wilgotnym dekolcie.

– Ależ naturalnie. Nigdy nie zdradzam sekretów swoich pacjentów. –

Doktor przywołany do porządku natychmiast przyjął profesjonalny ton. – Jeśli jednak mógłbym coś zasugerować, to proszę zachować ostrożność.

Następnego popołudnia, kiedy Aurelia jechała do hrabiostwa Olechowskich na proszony obiad w ich młocińskiej letniej rezydencji, nadal zastanawiała się nad słowami doktora. Wypadek z koniem, nieuzasadnione poczucie zagrożenia, niezbyt przyjemne liściki, które zdarzały się przecież jeszcze przed jej podróżą do Indii, to wszystko mogła sobie jakoś wytłumaczyć. Nie chciała popadać w paranoję ani histeryzować bez

wyraźnej przyczyny, ale wilcze jagody w czekoladkach to już nie mógł być przypadek. Wątpiła, by którykolwiek cukiernik nadziewał słodczyce trucizną. Jeśli to rzeczywiście belladonna, to ktoś ewidentnie próbował ją zabić.

Do rezydencji Olechowskich, wkomponowanej w nadwiślański krajobraz niemal pośrodku willowego osiedla magnaterii, dotarła zgodnie z planem o szóstej. Ciepły wiosenny wieczór sprzyjał planom pani domu, które przewidywały koncert smyczkowy mający się odbyć w ogrodzie zaraz po wystawnym posiłku. Berta lubiła sobie dobrze zjeść, choć wiecznie temu zaprzeczała. Nie zawiodła i tym razem, stoły uginały się bowiem od kolejnych wykwintnych dań, może nieco zbyt tłustych i ciężkostrawnych, ale naprawdę smacznych. Trudno było oprzeć się aromatycznie przyrządzonej dziczyźnie, świeżym rybom, wybornym plackom i ciastom suto zakrapianym piwem, winem i miodami najlepszego gatunku.

Aurelia po tak obfitym posiłku musiała się choć na chwilę przejść, ale żeby nie ciągnąć za sobą stadka wielbicieli, wymówiła się lekką niedyspozycją i chybcikiem uciekła do drugiej części ogrodu, podczas gdy w centralnej trwały przygotowania do występów wirtuozów. Podeszła wolnym krokiem do jednego z poidełek dla ptaków przy brukowanej ścieżce i przysiadła na ławeczce obok niego.

– Widzę, że i pani postanowiła uciec na chwilę od tych tłumów. – Odezwał się głos w głębi alejki.

Wyprostowała się odruchowo i wyteżyła wzrok. Na szczęście był to mąż organizatorki wieczoru, hrabia Brunon Olechowski, mężczyzna postawny, korzystający z usług tego samego kucharza co żona, więc nieco przysadzisty. Próbował ten fakt tuszować brązowym strojem w pasiasty deseń, co nadawało mu nieco komiczny wygląd.

– Och, to pan, hrabio. – Uśmiechnęła się. – Musiałam na chwilę odsapnąć po tych rarytasach.

– Nie będzie miała pani nic przeciwko, jeśli dotrzymam jej towarzystwa?

– Ależ skąd, proszę. – Odsunęła się na skraj ławeczki, by zrobić miejsce.

– Zauważyłem, że ciągnie się za panią korowód wielbicieli – zaczął i usiadł tuż obok niej.

– Jak za wieloma innymi paniami – odparła spokojnie.

– Nie sędzę. O ile dobrze pamiętam, zawsze miała pani wielkie powodzenie wśród mężczyzn.

– Nie zabiegałam o nie, jeśli pan to sugeruje.

– Nie powiedziałem tego. Piękne kobiety nie muszą o nic zabiegać. Dostają wszystko, nawet jeśli o to nie proszą. Ale tłum chuderlawych młokosów musi panią mierzyć. Taka kobieta jak pani potrzebuje kogoś starszego, doświadczonego. – Dotknął poufale jej przedramienia.

– Nie wydaje mi się.

– Za to mnie się wydaje, a raczej jestem pewien, że przydałby się pani mężczyzna pewny siebie, potrafiący sprostać wymaganiom i niebawiący się w głupie podchody.

Poczuła, że serce zaczyna jej bić coraz mocniej. Przyjrzała się zarumienionym policzkom hrabiego. Najwyraźniej pofolgował sobie z alkoholem, bo w innym wypadku nie nachylałby się tak poufale w jej stronę.

– Myli się pan. Moja obecna sytuacja całkowicie mi odpowiada, a niewinne podchody wolę zdecydowanie bardziej od...

– Od brutalnych i szybkich przyjemności? – Zaśmiał się tubalnym głosem. – Może jeszcze pani zwyczajnie tego nie wie, ale gdyby pozwoliła sobie zademonstrować...

Coś trzasnęło w pobliżu. Hrabia się wyprostował, a Aurelia rozejrzała w poszukiwaniu możliwości ucieczki. Wydawałoby się, że całkiem spokojny dotąd Olechowski zaczyna zachowywać się niczym zwierzę gnane chucią, a w miarę jak się przysuwał, coraz wyraźniej czuć od niego było przetrawiony alkohol, który musiał dodawać mu animuszu. Mogła zwyczajnie wstać i uciec. Niestety zacisnął dłoń na materiale jej sukni i nie miała innej możliwości jak słowna perswazja.

Hrabia nasłuchiwał i rozglądał się jeszcze przez kilka chwil, ale nie dostrzegłszy niczego niepokojącego, powrócił do przerwanej rozmowy z Aurelią, nachylał się i miętosił w dłoni materiał jej spódnicy. Naprawdę zaczynała się bać. Choć nic nie wskazywało na to, że Brunon Olechowski należał do niebezpiecznych pogromców niewieściej czci, to nawet pocałunek wydawał się jej wielkim obrzydlistwem, nie tylko ze względu na stosunek, jaki miała do niego jako do mężczyzny, ale przede wszystkim dlatego, że działo się to w jego ogrodzie tuż pod nosem małżonki – bardzo miłej i porządnej kobiety.

– Wydaje mi się, że powinniśmy już wracać, zaraz ktoś może zacząć nas szukać, a nie byłoby dobrze, gdyby nas tu razem zastano, prawda? – Chciała go tym samym zmusić do uświadomienia sobie, gdzie się znajduje i jaki skandal może wywołać.

– Nie sędzę, by ktoś zawracał sobie nami głowę. Mną na pewno nikt się nie przejmuje. Niedługo zacznie się pokaz tego całego rżępolenia, więc moja małżonka jest zajęta przygotowaniami, a większość przyjaciół duma już, jak wymknąć się na partyjkę do pokoju gier.

– Ale mnie z pewnością ktoś zacznie zaraz szukać.

– Rzeczywiście, jednak po drodze zgasilem kilka lampionów, więc w tę stronę nie powinni zawędrować. Mamy trochę czasu dla siebie, może warto byłoby go wykorzystać? – Przesunął dłonią po jej udzie.

Odskoczyła, chcąc wymierzyć mu policzek, ale złapał ją za przegub i pogroził palcem jak niegrzeczному dziecku.

– Och, proszę nie udawać świętej, Aurelio. – Wymówił jej imię z pietyzmem, niczym zakochany sztubak. – Oboje wiemy, że potrzebuje pani pieśzczot, a ja zachowam dyskrecję... Nie będę jednak o nie walczył.

Uff, uspokoiła się. Zachował zatem jeszcze resztkę przyzwoitości.

– Kręci się pani cały wieczór i wije niczym kotka w rui. Chyba ktoś tu potrzebuje, by go podrapać za uszkiem.

– Nie potrzebuję. Musiał pan, hrabio – specjalnie podkreśliła ten tytuł – błędnie odczytać moje zachowanie.

– Czyżby? – Ujął jej dłoń w rękawiczce i zaczął przyciskać do ust w dość odrażający dla niej sposób, tak że materiał całkowicie przemókł.

Nigdy nie lubiła zwyczaju obcałowywania jej po rękach. Często przygryzała paznokcie i wołała, by nikt inny poza nią nie dotykał jej dłoni, nawet jeśli były ukryte za warstwą tkaniny. Jedynie dwóch mężczyzn (poza jej zmarłym mężem) potrafiło wykonać ten gest w sposób miły. Robert Ostrowski, słynący z uwodzenia kobiet, oraz jego przyjaciel Edmund Breza, podjudzający go do zdrady i niecznych postępków diabła w skórze złotowłosego Adonisa. Podczas gdy tego pierwszego lubiła i naturalnie przyjmowała od niego tę delikatną pieśzczotę, ten drugi wywoływał w niej uczucia jak najbardziej niegodne damy. Miała ochotę udusić go i zrównać z ziemią, co niestety nie zmieniało faktu, że gdy ujmował jej dłoń i unosił do swoich ust obcałowywanych przez pół Warszawy, drżała niczym osika. Ale to przeszłość. Do tego wracać nie powinna.

– Proszę przestać – zwróciła się do hrabiego łagodnie, kiedy spostrzegła, że surowy ton tylko go nakręca.

– Przestać? Ależ, droga pani, ja nawet nie zacząłem. – Przesunął językiem tuż nad krawędzią obszycia rękawiczki.

– Proszę! – Spróbowała dobitniej.

– Droczyliśmy się, tak? – Nie ustawał w wysiłkach.

Chciała wyswobodzić się z jego uścisku, ale okazał się zbyt mocny. Do licha! Jeśli ktoś jej zaraz nie pomoże albo sama czegoś nie wymyśli, to Olechowski gotów przystąpić do mniej subtelnych poczynań.

– Bardzo pana proszę – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– Gołąbeczko – wymruczał.

Na Boga!

– A tu się pan ukrywa! – Usłyszała za sobą głos Eleonory Morawskiej.

Chwała Panu! Ciekawe tylko, co ta kobieta zdołała usłyszeć i jak to zinterpretuje – przeleciało przez myśl Aurelii.

Olechowski zdążył puścić jej dłoń i przybrać niewinną minę.

– Postanowiłem się przejść i zobaczy pani, na kogo tutaj trafiłem. –

Wskazał dłonią w kierunku swojej towarzyszki. – Właśnie pomagałem hrabinie Plater wstać z tej pięknej ławeczki. Muszę koniecznie kazać przerobić siedziska, bo są tak głębokie, że paniom w obszernych toaletach jest bardzo trudno podnieść się, zachowując nienaganną pozę. Prawda? –

Spojrzał porozumiewawczo na Aurelię.

Nie odpowiedziała, wdzięczna Eleonorze za ratunek.

– Dziękuję – zwróciła się do niej po tym, jak hrabia w milczeniu odprowadził je do centralnej części ogrodu.

– To raczej Berta powinna mi podziękować, nie uważasz?

– Och. – Nie pomyślała o tym w ten sposób. Rzeczywiście, dzięki Eleonorze hrabina Olechowska nie została kobietą zdradzoną.

– Mam nadzieję, że na przyszłość będziesz unikać takich sytuacji?

– Na pewno. – Odetchnęła. – Powinam być bardziej ostrożna.

– Ostrożna? Ja na twoim miejscu, złociutka, raczej zrezygnowałabym z takich zapędów.

– Jakich zapędów?

– Kuszenia cudzych mężów. Jako wdowa masz pewne przywileje i nie zostaniesz skreślona z towarzystwa za dyskretne romanse. My mężatki nie możemy sobie na to pozwolić. Możesz jednak wybierać dowolnie w kawalerach różnej maści. Weź sobie jednego czy kilku i daj upust potrzebom. Niejedna kobieta tak robi. Sama wiesz, że nawet zameżne damy miewają młodych kochanków. – Uniosła cieniutkie brwi. – Oczywiście ja nie, ale są takie, którym umiejętności małżonka nie wystarczają.

– Ale ja...

– Nie powiem niczego Bercie. Serce by jej pękło. Mam nadzieję, że to się nie powtórzy.

– Przecież to on...

– Może i on, ale sama przyznasz, nikogo innego do romansów nie namawiał. Musiałaś go czymś sprowokować. – Spojrzała na jej strojną suknię. – Może mniejsze dekolty i skromniejsze fryzury?

– Słucham? Przecież jeszcze niedawno chwaliłaś moje stroje.

– Przyznaję. Sama potrafię ubrać się wyzywająco...

Wyzywająco? Mało powiedziane. Choć może to specyficzna uroda dodaje przesadnej lubieżności jej toaletom. Wysoka blondynka o bardzo wydatnych ustach, niezwykle szczupłej talii i ogromnym biuście – nawet owinięta prześcieradłami pewnie wydawałaby się pociągająco kształna.

– ...zważywszy na moją urodę, ale ja jestem mężatką. To zupełnie inna kategoria. Za mną stoi mężczyzna i to gwarantuje mi bezpieczeństwo. Mówię tak jedynie dla twego dobra, kochana, pamiętaj o tym. A teraz wybacz, pójdę sprawdzić, co z biedną Bertą. – Odwróciła się w stronę gromadzących się gości. – Mam nadzieję, że niczego nie zauważyła – rzuciła na odchodne.

Aurelia wolnym krokiem ruszyła za nią i przysiadła na najbliższym wolnym krzeselku zupełnie zbita z tropu. Machinalnie odpowiedziała na uprzejmości kilku dżentelmenów i udała, że skupia się na muzyce. Nieprzyzwoicie ubrana? Ja? Przecież miała na sobie prostą ciemnoniebieską suknię z jedwabiu i granatową jupkę podszytą kitajką⁴ z guzikami z masy perłowej. Może materiał i dodatki kosztowały krocie, ale krój stroju był niewątpliwie skromny.

⁴ Jedwabna tkanina.

Wciśnięta w siedzenie powozu wjeżdżającego na Senatorską od strony Ogrodu Saskiego, zastanawiała się, czy nie wyjechać z miasta. Zaczynała mieć dość Warszawy i tego uczucia przygnębienia pomieszanego ze strachem. Nagle usłyszała trzask i zdążyła w ostatniej chwili schylić głowę, kiedy coś ciężkiego wpadło do powozu i stłukło szybkę okienka.

– Nic się jaśnie pani nie stało? – Woźnica niemal natychmiast zatrzymał konie i wraz z forysem weszli do środka, by ocenić szkody.

– Na szczęście nie.

– Nie wiem, jak to się mogło stać. Jechałem bardzo ostrożnie, niemożliwe, żeby to był odłamek spod końskiego kopyta.

– Też tak sędzę. – Pokazała mu wielki kamień, od którego wcześniej oderwała przywiązaną doń kartkę.

– Pewnie jakiś chuligan. Niby to bezpieczna okolica, ale sama pani hrabina wie, co się teraz na mieście wyprawia.

– Skoro tak mówisz.

Foryś ostrożnie uprzątnął szkło i odprowadził Aurelię pod drzwi, gdzie przekazał ją w ręce kamerdynera.

– Pani jest nieco roztrzęsiona. Ktoś rzucił kamieniem w szybę karocy – wyjaśnił zdziwionemu Harrisowi.

– Zaraz każę zaparzyć herbaty. A może kieliszek czegoś mocniejszego? Sherry powinna ukoić skołatane nerwy madame. – Odebrał od niej kaftan, kapelusz i rękawiczki.

Po chwili siedziała już przebrana w swojej sypialni, mocząc nogi w misie z ciepłą wodą i popijając herbatę z odrobiną ziół przygotowaną przez Mariannę, która czesała jej długie brązowe pukle.

Odczekała, aż służąca będzie usatysfakcjonowana miną swojej pani, i dopiero po jej wyjściu wyciągnęła kartkę schowaną wcześniej wraz z naszyjnikiem do szkatułki znajdującej się na toalecie. Przysunęła ją bliżej świecy, bo litery były nieco rozmazane, i zaczęła odszyfrowywać wiadomość. Pismo okazało się bardzo nieczytelne, jakby ktoś albo nie umiał pisać, albo stawiał znaki drugą ręką, aby specjalnie je zniekształcić. W końcu udało się jej mniej więcej poskładać wszystko w całość, a brzmiało to tak:

Uważaj, żebyś nie wlaża komuś w paradę, ślicznotko.

Życzliwy

Charakter pisma był nieco podobny do tego z liścików, jakie otrzymywała przed rokiem. Tamte jednak zawierały cytaty z wybranych utworów, między innymi z *Hamleta*. Kilka z nich utkwilo jej w pamięci:

*Wypowiadaj się niebu, żałuj tego,
Co przeszło, chroń się tego, co przyjsć może⁵.*

⁵ William Szekspir, *Hamlet. Królewicz duński*, przeł. Józef Paszkowski, akt III scena 4, w. 2382–2383.

Albo:

*Nie dość ostrożnie wspięła się na drzewo.
Złośliwa gałąź złamała się pod nią.
I z kwiecistymi trofeami swymi*

*Wpadło w toń biedne dziewczę. Przez czas jakiś [...]*⁶.

⁶ Tamże, akt IV, scena 4, w. 3112–3115.

Zaraz po ich otrzymaniu zdarzył się jej nieprzyjemny wypadek. Kiedy pochyliła się na pomoście, oparta o zmurszałą balustradę, wpadła do stawu na oczach kilku zebranych osób, które na całe szczęście pospieszyły jej z pomocą. Przeraziła się wówczas na tyle, że dla własnego bezpieczeństwa czy też spokoju sumienia zgodziła się na wyjazd wraz z rodzicami.

Ostatnio jednak przychodziły do niej zupełnie inne w treści anonimy dołączone do czekoladek lub kwiatów. Te wykaligrafowano w taki sposób, że ich autorem mógł być niemal każdy, i zawierały aforyzmy oraz pouczenia moralne:

Żadne posiadanie, żadna ilość złota i srebra nie jest więcej warta od uczciwości.

Cyceron

Człowiek szlachetny nie szafuje obietnicami, lecz czyni więcej, niż przyrzekł.

Konfucjusz

Ważne jest, czy dobrze żyjesz, nie jak długo, czasem zaś to jest dobre, że niedługo.

Seneka Młodszy

Największą karą czyśćca jest niepewność wyroku.

Blaise Pascal

Aurelia nie była w stanie spokojnie zasnąć. Jakieś tam cytaty wyjęte z ust ludzi, o których kiedyś ją uczono z mniejszym czy większym skutkiem, to jedno, ale ta kartka przytwierdzona do kamienia to coś zupełnie innego. Nie chciała narażać służby, wtajemniczać jej w swoją korespondencję. Jeszcze któreś z nich rozpoczęłoby zadawanie pytań i samo popadło w niepotrzebne kłopoty. Już i tak czuła ogromne wyrzuty sumienia przez to, że dziewczęta przez dwa kolejne dni dochodziły do siebie po zatruciu wilczymi jagodami z czekoladek, które od niej dostały. Kazała później pozbywać się wszystkiego, co otrzymywała, i to tak, by ktoś tego nie zjadał – najlepiej albo zakopać, albo spalić.

Tego było już za wiele. Tylko co miała zrobić? Stryj wyjechał niedawno w interesach, rodzice i brat pozostawali w Indiach, siostra spędzała miodowy miesiąc, ciągnąc swego świeżo upieczonego małżonka po jakichś ruinach w północnych krańcach Królestwa. Byłego narzeczonego, Roberta

Ostrowskiego, który – co było tajemnicą poliszynela – wraz z ojcem zajmował się dziwnymi sprawami w kręgach arystokracji, raczej nie powinna odwiedzać z wiadomych przyczyn. Do żadnego ze swoich obecnych znajomych również nie mogła pójść z tą rewelacją, bo po pierwsze nie chciała narobić niepotrzebnego zamieszania i plotek, po drugie nie miała zamiaru narażać nikogo na niebezpieczeństwo i wreszcie po trzecie – nie ufała nikomu na tyle, by mieć pewność, że to nie jego sprawka. Liczne grono jej wielbicieli, na czele z baronem Rudeckim i panem Puckim, wydawało się niezbyt kompetentne do tego typu zadań.

Pokrążyła jeszcze po miękkim dywanie, przygryzała przy tym swoim zwyczajem paznokcie kciuka prawej dłoni i zastanawiała się, czy powinna pójść po pomoc do osoby, którą przed śmiercią polecił jej mąż. Nie wiedziała tylko, czy Błękitny Major nie uzna jej za wariatkę. Nie miała przecież dowodu na to, że kamień był przeznaczony dla niej. Ani pismo się nie zgadzało, ani styl wypowiedzi. Poprzednie liściki również mogły okazać się zwykłym żartem. Zdesperowani mężczyźni niemogący usidlić kobiety nieraz próbowali ją nastraszyć, by potem nieść pomoc i ukojenie i tym samym wkraść się w jej łaski niczym bohaterowie.

Być może błędnie interpretowała wiadomości, a przypadkowa zbieżność ich treści niewiele miała wspólnego z wypadkami, jakie się jej przytrafiały. Żałowała, że nie jest obdarzona talentem do analizowania szczegółów i łączenia faktów jak jej młodsza siostra. Wprawdzie ich wzajemne relacje nie miały się najlepiej, ale Aurelia zawsze skrycie ceniła to, że Małgorzata w szybkim tempie pochłaniała wielkie tomiścza o przeróżnej treści, znała się na historii, polityce, fizyce i wielu innych sprawach, o których ona miała jedynie blade pojęcie. Takie, które w zupełności powinno wystarczyć kobiecie o jej pozycji. Oczywiście nie była ignorantką, ale nie wykazywała tyle cierpliwości co siostra, by zgłębiać te wszystkie nudnawe dziedziny.

Postanowiła poczekać na rozwój wydarzeń.

5.

Czuła wielką gulę strachu, narastającą w dole brzucha, która zaczynała jej coraz bardziej dokuczać mimo ciągłego odsuwania od siebie myśli o zagrożeniu. Po nieprzespanej nocy Aurelia udała się do swego prawnika Bronisława Zajączka. Młody mężczyzna, który przejął praktykę po ojcu, sprawiał wrażenie bardzo miłego i inteligentnego człowieka. Skłonił się nisko, ujął szarmancko jej dłoń i poprowadził kobietę do miękkiego fotela, proponując filiżankę herbaty. Zgodziła się natychmiast. Poczowała podświadomie, że może mu ufać.

– Przepraszam, że to powiem, ale jest pani zupełnie niepodobna do siostry.

– Słucham?

– Nie chciałem, by to zabrzmiało dwuznacznie. Miałem zaszczyt poznać baronową Wigurę w zeszłym roku, kiedy jeszcze nie była mężatką. To niezwykle czarująca i błyskotliwa młoda kobieta. A te miedzianozłote włosy... Nie sposób ich nie zapamiętać.

– To prawda. Mam nadzieję, że nie chciał pan przez to powiedzieć, że moje są nijakie, a ja nie należę do inteligentnych kobiet.

– Nie śmiałybym. Zresztą, nie byłoby to zgodne z prawdą. Cała Warszawa chwali pani urodę, a gdyby nie inteligencja, popadłaby pani pewnie w obłęd lub samouwielbienie.

Nie zawsze tak to wyglądało, chciała rzec, ale powstrzymała się na widok zachwyty w jego oczach.

– Nie przyszedłem tu jednak rozmawiać o mnie ani o mojej siostrze.

– Tak, naturalnie. – Zmieszał się. – Najmocniej przepraszam.

– Nie ma za co. – Posłała mu jeden ze swoich przemiłych uśmiechów, wyćwiczony i dopracowany do perfekcji przed lustrem, zanim jeszcze zadebiutowała. Doskonale wiedziała, że ten niepozorny na pierwszy rzut oka mężczyzna je jej prosto z ręki i zrobi wszystko, żeby służyć pomocą, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Co zatem panią do mnie sprowadza, hrabino?

– Chciałabym sprawdzić, jak posuwają się sprawy w wiejskiej rezydencji mojego zmarłego męża. Podobno ktoś podważył testament, a ja od jakiegoś czasu myślę o tym, by sprzedać lub wynająć dom przy Senatorskiej i przenieść się do tej przepięknej posiadłości. Pałacyk w dolinie Dolnego Bugu nad rzeką Brok jest naprawdę uroczy i dodatkowo położony

w połowie drogi między moim rodzinnym domem pod Łomżą a Warszawą. A ja już zaczynam mieć dość miejskiego życia.

– Rozumiem – odparł. – Ale czy jest pani pewna, że chce opuścić stolicę?

– Szczerze powiedziawszy, to sama siebie nie podejrzewałam o taki sentyment. Wychowałam się jednak w dolinie Narwi, wśród bujnej roślinności, bagien porośniętych trzcinami i turzycami, śpiewu ptaków i rechotu żab. Był pan przecież niedawno w tamtych okolicach. Czyż nie zachwyił pana ten malowniczy i zarazem dziki krajobraz rozdzielających i łączących się rzek?

– Owszem. Przyznam, że byłem pod wrażeniem. Muszę panią jednak zmartwić.

– Czyżbym straciła prawa do tego majątku?

– Ależ skąd! Wprost przeciwnie. Zawsze była i będzie pani jego właścicielką. Niestety jak długo nie skończymy postępowania sądowego, nie może się pani tam wprowadzić ani zarządzić remontu czy renowacji. Sprawa jest wprawdzie wygrana, ale sama pani wie... – westchnął – ...procedury.

– Cóż. Trzeba mi będzie uzbroić się w cierpliwość. Ale cieszę się, że wszystko idzie po mojej myśli. Mam nadzieję, że osoba, która podważyła testament, nie ucierpi bardzo na stracie takiej posiadłości.

– Proszę się zupełnie tym nie przejmować. Hrabia Plater umieścił w swoim testamencie wszystkich krewnych i nikogo nie pominął ani nie obdarował za mało szczerze w stosunku do pozostałych. To podważenie było bardzo niestosowną zagrywką jego dalekiego kuzyna, który zrobił to tylko dlatego, że popadł w poważne tarapaty finansowe. Przedstawił jednak fałszywe dokumenty, co szybko zweryfikowaliśmy.

– Nie uważa pan, że mógłby on mieć do mnie pretensje albo życzyć mi... życzyć mi źle? – Starła się zachować obojętny ton, choć zaiskrzyła w niej nadzieja, iż może właśnie wpadła na trop człowieka wysyłającego jej listy z pogrózkami.

– Nie sądzę. Po pierwsze, karta mu się niedawno odwróciła i zaczął regulować długi. Po drugie, jeśli pani by nie daj Bóg zmarła, to prawo dziedziczenia przechodzi w równej części na trzech kolejnych spadkobierców hrabiego oraz na pani rodziców i rodzeństwo, pod warunkiem że nie urodzi pani wcześniej potomka. – Zaczerwienił się, gdy spojrzał na jej brzuch.

– Ach tak.

Plan wyjazdu na wieś spalił na panewce. Wyszła niepokieszona z biura mecenasa i w asyście Jakuba, najbardziej rośłego ze swoich lokajów, wsiadła do niewielkiego miejskiego powozu, by udać się do otwartego od 1805 roku muzeum w pałacu w Wilanowie – przed laty ulubionego miejsca swojej siostry. W drodze rewanżu za pomoc po upadku z konia umówiła się z dwoma dżentelmenami, którzy wówczas pospieszyli jej na ratunek. Mieli wspólnie oglądać udostępnione zwiedzającym prywatne zbiory malarstwa, sztuki starożytnej i orientalnej oraz rzemiosła artystycznego Stanisława Kostki Potockiego. Przynajmniej tyle zdołała zapamiętać z długiej prezentacji, jaką ją wczoraj zanudził niemal na śmierć młody baron Rudecki. Pewnie gdyby to Małgorzata znalazła się na jej miejscu, nie dość, że znałaby już dawno na pamięć tę historię, to jeszcze zagadałaby młodzieńca takimi szczegółikami, iż nie mógłby dojść do siebie przez kolejny tydzień.

Aurelia nie miała głowy do tych wszystkich faktów i dat. Wiedziała tyle, ile było potrzeba, zaśmiecanie umysłu nieistotnymi wiadomościami uważała za całkowicie zbędne. To samo dotyczyło się plotek, stąd zawsze uważano ją za dyskretną i miłą osobę. Potrafiła z niezwykłą uprzejmością odpowiedzieć na każdy przytyk i uspokoić niemal każdą napiętą sytuację. Dzięki temu nie tylko błyszczała w towarzystwie, ale roztaczała wokół siebie bardzo pozytywną aurę, czym zyskała uznanie wszystkich, zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Jeden czy dwa wybuchy w całym jej publicznym życiu mogły jedynie potwierdzić tę regułę. Tak przynajmniej chciała uważać.

Nadal nie mogła wprost uwierzyć, że ktoś pałał wobec niej niechęcią do tego stopnia, by zagrażać jej bezpieczeństwu. Przecież była urodzoną dyplomatką, nigdy nie wyciągała informacji na siłę, nikogo nie obrażała ani nie wyśmiewała, nie miała w zwyczaju uchybiać żadnej z zasad *savoir-vivre*'u. Raz tylko, kiedyś... Och, to nieistotne. Akurat tamten idiota zasłużył sobie i to na wiele więcej! Zupełnie nie powinna o nim myśleć. Ani używać takich słów. Edmund Breza – bo jedynie jego mogła w taki sposób osądzać – zapewne był przyzwyczajony do podobnego traktowania, jeśli wnosić po skandalach i barwnych historiach, w jakie się wplątywał. A może jednak? Co jeśli to on?

Zwiedzanie, jeśli nie słuchało się zbyt uważnie komentarzy, okazało się całkiem przyjemną rozrywką. Baron Rudecki w żaden sposób nie ujawniał wobec niej podejrzanych intencji poza czystym uwielbieniem, a na widok choćby skrawka nagiej skóry przedramienia robił się czerwony niczym dojrziała wisienka, co wyglądało komicznie w połączeniu z jego rudą

czupryną. Pan Pucki natomiast oblewał się potem i właściwie nie był w stanie nic wykrztusić, zajęty wycieraniem twarzy.

Za nimi dzielnie kroczył Jakub, pozostawał jednak w odpowiedniej odległości, by nie przeszkadzać w rozmowie i interweniować, gdyby okazało się to konieczne. Nic nadzwyczajnego jednak nie zaszło.

Po powrocie do domu czekał na nią spory stosik korespondencji, wśród której znalazła kolejną wykaligrafowaną wiadomość, tym razem bez czekoladek, a z dołączonym kwiatem doniczkowym.

Chętnie drugich upominamy, a sami upomnień niechętnie słuchamy.

Eurypides

Marianna na widok podarku – ozdobnej doniczki z cyklamenem perskim – wyjaśniła szybko, co symbolizowała ta roślina. Jeśli obdarowywał nią ukochany, oznaczała całkowite zerwanie bez szans na pogodzenie. Prezent jednak pochodził od anonimowej osoby, więc równie dobrze jego wybór mógł być kwestią przypadku – pokojówka próbowała uspokoić swoją panią. Kolejne ziarenko niepokoju zostało wszakże dorzucone do tych, które i tak już kiełkowały w jej wnętrzu i powodowały coraz bardziej mieszane uczucia. Ktoś najwyraźniej sugerował, by wyjechała z miasta, a teraz oskarżał o to, że nie chce słuchać jego napomnień.

Tę kartkę, podobnie jak poprzednie, złożyła i wsunęła do rzeźbionej szkatułki na gzymsie kominka. Nie wiedziała dlaczego, ale wołała ich nie palić, jak robiła to z niepotrzebną korespondencją.

6.

Kolejny tydzień upłynął na tyle spokojnie, że Aurelia zaczęła podejrzewać, iż jej prześladowca w końcu dał za wygraną. Przyszło wprawdzie kilka dziwnych kartek, ale ich treść nie budziła przerażenia. Poczła się swobodnie do tego stopnia, że niemal cały czas poświęciła na zmianę strojów adekwatnych do kolejnych przyjęć, rautów, kolacji, wieczorków muzycznych, wizyt w teatrze i spotkań w większym gronie z dawnymi znajomymi. Znow znalazła się w centrum zainteresowania, a gazety rozpisywały się na temat roztaczanego przez nią blasku i przypuszczeń, czy któryś z liczego grona adoratorów zdobędzie jej serce jeszcze w tym sezonie. Nie brała tych plotek ani artykułów poważnie. Od kiedy zadebiutowała, jej nazwisko stale przewijało się w kronikach towarzyskich i nie było w tym nic nadzwyczajnego, zważywszy na sensacje, jakie wywoływała wszędzie, gdzie się pojawiała.

Pod koniec tygodnia zupełnie straciła czujność. Postanowiła pojechać na nabożeństwo do modrzewiowego kościoła Świętego Michała Archanioła, położonego we wsi Grodzisk⁷, do którego przeniesiono cztery ołtarze oraz figury świętych po likwidacji bernardyńskiej świątyni na Pradze. Po mszy, niepomna niedawnych wydarzeń, wybrała się jedynie w towarzystwie pokojówki na spacer po okolicy. Pogoda była piękna, a ona zaczynała tęsknić do otwartych przestrzeni i widoku kielkującego zboża na rozległych polach. Wybrały jedną z mniej uczęszczanych drózek w oddaleniu od wsi i ruszyły niespiesznie, by delektować się zapachem kwitnących roślin. Woźnica miał na nie czekać nieopodal dzwonnicy z dwoma spizowymi dzwonami.

⁷ W obecnej dzielnicy Białoleka na prawym brzegu Wisły.

Przeszły może pół kilometra, gdy zdziwione usłyszały głos hrabiego Olechowskiego. Aurelia nie chciała z nim długo rozmawiać, dlatego skłoniła się i wyjaśniła, że jest już spóźniona na proszony obiad u jednej z przyjaciółek. Mężczyzna nie dawał za wygraną, twierdził, że musi ją koniecznie za coś przeprosić. Poprosiła Mariannę, by odeszła na kilka kroków, ale upewniła się, że są w odsłoniętym miejscu, a służąca może w każdej chwili zareagować, nawet jeśli jest jedynie słabą kobietą.

Hrabia wyglądał na wyraźnie zmieszanego i Aurelia widziała, że nie jest mu łatwo zachować spokój, dlatego ulitowała się i zachęciła go do rozmowy.

– Naprawdę nie wiem, co mnie wówczas napadło. Wypiłem wtedy zbyt wiele i zupełnie straciłem rozum. Mam nadzieję, że pani będzie na tyle

łaskawa, że nigdy nie wspomni mojej małżonce o tym incydencie w ogrodzie. Biedna Berta bardzo by to przeżyła, że nie wspomnę już o tym, jakie piekło zgotowałyby wszystkim domownikom – powiedział na jednym wydechu.

– Rozumiem – skłamała. Sądziła, że chciał ją szczerze przeprosić, jemu jednak zależało jedynie na tym, by nie doniosła o wszystkim żonie. Mężczyźni. – Oczywiście, że nie wydam pana przed Bertą. Mam nadzieję, że to jednorazowy wybryk. Każdemu może się zdarzyć chwila zamroczenia.

– Rozejrzała się wokół i zobaczyła wpatrzonych w nich miny ciekawskich spacerowiczów. Nie ona jedna uciekła od tłoku miejskich świątyń poprzez schronienie się w tym przytulnym kościółku.

– Świetnie to pani ujęła, hrabino. – Nie omieszkał zlustrować jej dekoltu, kiedy świadkowie oddalili się na bezpieczną odległość. – Jednak gdyby pani chciała, to...

– Hrabio Olechowski! – upomniała go.

– Oczywiście, oczywiście. – Ponownie zaczął się plątać i kłaniać na pożegnanie.

Oślizgły typ – pomyślała z niesmakiem, ale oddała mu ukłon i odwróciła się czym prędzej w stronę czekającej Marianny.

Nie uszły kilku kroków, gdy za plecami dobiegły jej głośne krzyki. Nie dostrzegły niczego, lecz ruszyły szybciej, aby bez zwłoki znaleźć się w powozie.

Następnego wieczoru do jej rezydencji zapukało dwóch przedstawicieli władz z prośbą o rozmowę. Podobno ktoś napadł hrabiego Olechowskiego we wsi Grodzisk nieopodal tamtejszego kościoła, ugodził krótkim ostrzem w pierś i pozostawił krwawiącego na ziemi, gdzie znalazła go para spacerujących starszych dam, a kwadrans wcześniej widziano, jak rozmawiał z hrabiną Plater.

– To straszne! – Zatrwożyła się Aurelia. – Czy nic mu się nie stało? Żyje?

– Żyje, jednak upadł tak niefortunnie, że uderzył głową w kamień. Jeszcze się nie wybudził, a lekarz obawia się najgorszego. Przyszliśmy zapytać, czy nie widziała pani wówczas nikogo podejrzanego.

– Nie, nie wydaje mi się. Kiedy odchodziłam, nikogo nie było w pobliżu. Marianna, moja służąca, może to potwierdzić.

– Moglibyśmy z nią porozmawiać?

– Ależ oczywiście. – Odwróciła się do stojącego w drzwiach lokaja. – Jakubie, poproś tu zaraz Mariannę.

– Tak jest, jaśnie pani.

– W takim razie to by było na tyle, wielmożna pani. Jeśli mogłaby pani zostawić nas samych z drugim świadkiem.

– Naturalnie. – Wstała i wolnym krokiem odeszła w stronę drzwi. – Gdyby mieli panowie jeszcze jakieś pytania do mnie, to proszę się nie krępować.

– Dziękujemy.

Marianna potwierdziła zeznania swojej pani, dodała od siebie, że wprawdzie nikogo nie widziała, ale czuła w powietrzu coś złego.

Tego samego wieczoru Aurelia otrzymała kolejny liścik skreślony niedbałym pismem, podobny do tego przytwierdzonego do kamienia, który wybił okienko jej powozu kilka dni wcześniej.

Nie zareagowałaś na proste ostrzeżenia, to zagramy inaczej.

Zgaduj, co by było, gdyby jakieś dowody się nagle znalazły? Myślisz, że ktoś by wtedy wierzył w twoją niewinność?

Jakie dowody? Na co? Poczwała, jak wielka gula rosnąca w żołądku zaczyna podchodzić jej teraz do gardła. Zemdlilo ją.

Następnego dnia z samego rana poszła sprawdzić pocztę. Wolała mieć to już za sobą. Lokaj doskonale wiedział, że powinien odnotowywać anonimowe listy i pokazywać je w pierwszej kolejności, dlatego bez trudu odnalazła pudełeczko z przytwierdzoną kartą zawoskowaną podobnie jak poprzednie pustą pieczęcią. W środku znajdowała się jej rękawiczka z inicjałami ubrudzona czymś ciemnoczerwonym. Czyżby krwią?

Wzdrygnęła się i wszystko poza listem wrzuciła czym prędzej do kominka, po czym podsunęła pogrzebaczem tak, by spaliło się doszczętnie. Z anonimem zamierzała zrobić to samo, ale akurat nadszedł Jakub, zmięła więc kartkę i udała się do swojej sypialni.

Pilnuj się! Jak Olechowski zejdzie z tego świata, to złączą się prawdziwe poszukiwania sprawcy. Jeśli nie chcesz, by wina spadła na ciebie, wyjedź z Warszawy natychmiast!

Wyprostowała pognieciony papier listowy, jeszcze raz przebiegła wzrokiem krótki tekst i dołożyła do innych leżących w szkatułce. Usiadła na brzegu łóżka i podparła twarz dłońmi. Osoba, która chciała jej wyjazdu, mogła posunąć się do czegoś więcej niż rozbicie szyby czy podtrucie jej czekoladkami. Czy powinna ulec szantażyście? Przecież jest niewinna i każdy może to potwierdzić. Kiedy hrabia odzyska pamięć, to z pewnością

powie, kto go zaatakował. Bzdurą byłoby ją o to oskarżać. Lecz czy na pewno?

Bała się przeglądać popołudniową korespondencję, ale ciekawość wzięła w niej górę.

Mam takich rękawiczek co najmniej tuzin, spalenie jednej niczego nie zmieni.

Nie myśl sobie, że jeśli jesteś niewinna, to nic ci nie grozi. Nie takie aniołki spadały na ziemię!

Sprawa wyglądała coraz poważniej. Z listu od Berty dowiedziała się, że jej małżonek nadal nie odzyskał przytomności, ale lekarz jest dobrej myśli. Odpisała szczerze życzenia powrotu do zdrowia dla hrabiego i pocieszyła jego żonę, jak mogła, choć sama potrzebowała otuchy. Jeśli nie daj Bóg Olechowski nie przeżyje napadu, a szantażysta podeśle władzom dowód w postaci jej rękawiczki, to stanie się główną podejrzaną.

Boże, ile by dała, by być tak rezolutną sawantką jak jej młodsza siostra. Aurelia może nie zaliczała się do głupich, ale nie miała skłonności do rozwiązywania zagadek, a to, co ją spotkało, właśnie zanosilo się na jakiś tajemniczy spisek. Spisek wymierzony przeciwko niej. Ktoś zwyczajnie chciał się jej pozbyć, nie wiadomo dlaczego, za to nie ulegało wątpliwości, że zamierzał użyć wszelkich środków. Dobrze, że dawał jej szansę na reakcję. Chociaż to marne pocieszenie.

Prześladowca nie wiedział, że hrabina Plater nie może tak po prostu wyjechać. Choć właściwie... mogła. Należało odwiedzić siostrę. Przypomniała sobie o urodzinach Małgorzaty i o tym, że niczego na tę okazję nie kupiła. Poprosiła Mariannę, by przejrzała jej rzeczy i skompletowała jakiś zgrabny zestaw biżuterii, który zamierzała wysłać karetką pocztową. Jak zwykle było zbyt późno, ale miała w domu sporo rzeczy, które mogła podarować.

Musiła udać się jeszcze do prawnika, sekretarza i księgowego. Należało pozamykać sprawy w Warszawie, zabezpieczyć dom, poinformować znajomych o wyjeździe. Rozboliła ją głowa. Jutro w końcu też był dzień.

Kiedy rano wysyłała informacje o swoim wyjeździe, niemal natychmiast przyszły zapytania o powód. Prawie co kwadrans usiłował złożyć jej wizytę któryś z adoratorów, by się upewnić, czy nie zrobił niczego niestosownego i czy dane będzie mu jeszcze ją w tym sezonie ujrzeć. Nie potrafiła udzielić konkretnych odpowiedzi, wymawiała się sprawami rodzinnymi.

Nawet Rudecki i Pucki wyrazili ubolewanie, że nie będzie jej dzisiaj na balu organizowanym przez jedną z ich wspólnych znajomych. Mimo skrępowania obaj zgodnie starali się ją przekonać, by wstrzymała się jeszcze kilka dni. Aurelia nie miała ochoty brać udziału w kolejnej imprezie. Ostatnie chwile wolała spędzić spokojnie w domu, zwłaszcza że tego dnia zaraz po śniadaniu otrzymała dwie kolejne wiadomości:

Jeśli jeszcze dzisiaj nie wyniesiesz się z miasta, to gorzko tego pożałujesz. Poskarż się, to zacznę od wyrznięcia twojej służby, potem przyjdzie kolej na ciebie i nie będzie to śmierć szybka ani łatwa, bo najpierw przeżyjesz wielkie upokorzenia.

I po powrocie od Berty, której złożyła wizytę, martwiąc się o zdrowie jej męża:

Zdenerwuj mnie wizytami w domu kochanka, to nawet wyjazd niczego nie zmieni. Dopadnę cię, zanim opuścisz Warszawę.

Wpatrywała się w tę ostatnią wiadomość przez godzinę i zastanawiała, dlaczego ktoś posądza ją o to, iż jest kochanką hrabiego Olechowskiego. Wprawdzie Eleonora Morawska widziała ich spotkanie w ogrodzie, ale wyjaśniły sobie wszystko i sama potwierdziła, że zachowa dyskrecję. Nie mogła nikomu o tym opowiedzieć, a nawet gdyby tak się stało, to przecież nie powód, by wikłać ją w napaść na tego nieszczęśnika. Kto mógłby jej tak nienawidzić?

Ktoś ewidentnie groził jej śmiercią, a wcześniej wielkim dyshonorem. Obawiała się, że może to sam hrabia wszystko zaaranżował. A jeśli nie on osobiście – bo w końcu po co miałyby narażać własne życie – to prześladowało ją jakieś złe przeczucie, że mógłby z zemsty za to, że go odtrąciła, potwierdzić te oburzające zarzuty. To było ponad jej siły. Sama nie dawała rady przeciwdziałać kłopotom.

Od dłuższego czasu zastanawiała się, czy nie posłuchać rad zmarłego męża i nie poprosić o pomoc sławnego Błękitnego Majora, jego kuzyna. Nie był to teraz taki głupi pomysł. Jej życiu naprawdę groziło niebezpieczeństwo, a sama nie umiała sobie już z tym wszystkim poradzić. W zasadzie cóż innego mogła w tej sytuacji zrobić?

Chwyciła dwie karteczki z ostatnimi wiadomościami i już miała zamknąć je w szkatułce z pozostałymi, kiedy zawahała się i wsadziła je do największej torebki, jaką znalazła, i do której dorzuciła kilka drobiazgów, tak na wszelki wypadek. Nie chciała zabierać ze sobą wszystkich liścików,

te dwa powinny w zupełności wystarczyć, reszta niech bezpiecznie spoczywa na dnie skrzyneczki.

Upięła włosy, tak by nie opadały na twarz, założyła praktyczną, ciepłą bieliznę, a na nią granatowy strój podróżny zapinany z przodu na rząd złotych guziczków niczym w żołnierskiej kurtce. Odszukała wygodne, skórzane buciki z wyższą cholewką, gustowny płaszczyk i niewielki kapelusik ozdobiony piórkami. Przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu i zadowolona z efektu zadzwoniła po Mariannę, pełna nadziei, że ta jeszcze nie zdążyła zasnąć. Poinformowała dziewczynę i na wpół ubranego kamerdynera o tym, że zamierza odwiedzić kuzyna i nie wie, kiedy powróci, żeby nie martwili się o nią ani nie podnosili alarmu, gdyby nie pojawiła się następnego dnia. Być może wyjedzie z Warszawy troszkę szybciej, niż zamierzała, wówczas przyśle kogoś po swoje rzeczy. Poprosiła pokojówkę, by na wszelki wypadek przygotowała jej jakiś zestaw podróżny.

Woźnicaomal się z nią nie pokłócił, kiedy kazała mu zatrzymać się przy postoju dorożek, by zająć jedną z nich w bardzo dyskretny sposób. Wymyśliła bajeczkę o nachalnym adoratorze, by w końcu przemówić do rozumu zmartwionemu słudze. O dziwo zgodził się przeprowadzić manewr w taki sposób, że gdyby ktoś obserwował ich powóz z herbem na bocznych drzwiczkach, to nie zauważyłby momentu opuszczenia go przez hrabinę.

7.

Aurelia nie lubiła okłamywać ludzi, a zwłaszcza wiernych służących, ale nie miała innego wyjścia. W tej sytuacji musiała zwrócić się o pomoc do kuzyna zmarłego męża, niejakiego Błękitnego Majora, a nie chciała, by ktoś o tym wiedział.

– Stary, poczciwy Mateusz – westchnęła. Nie mogła sobie wyobrazić bardziej oddanego męża. Nie byli w sobie szaleńczo zakochani, nie porywały ich wichry namiętności ani nie fascynowała wzajemna powierzchowność, co nie znaczy, że unikali kontaktów. Zawarli bardzo wygodny i uczciwy układ. On potrzebował uroczej towarzyski, a ona bezpiecznego oparcia i odbudowania chwiejącej się pozycji towarzyskiej.

Mateusz wspominał jej o sławnym kuzynie, który dzielnie walczył przeciwko wrogim armiom u boku Napoleona. Ufał mu bezgranicznie i to jemu powierzył listownie opiekę nad małżonką w przypadku swojej śmierci. Oczywiście zabezpieczył ją finansowo na tyle dobrze, że nie musiała się obawiać o to, iż do końca życia czegokolwiek jej zabraknie, jeśli będzie tym mądrze dysponować. Wiedział doskonale, że samotna kobieta, nawet niezależna finansowo wdowa (a może zwłaszcza niezależna finansowo wdowa), stanowi łakomy kąsek dla wszelkiego rodzaju szumowin.

Aurelia nie traktowała jego obaw poważnie, ale kiedy w zeszłym roku zorientowała się, że ktoś ją obserwuje, przysyła do domu pogrzebowe kwiaty i dziwne liściki, wyjechała z rodzicami do Indii, by odwiedzić brata. Był to swoisty rodzaj ucieczki przed problemami, ale sądziła, że żartowniś – jeśli w ogóle takowy istniał – da sobie spokój. Na wszelki wypadek odbyła wówczas kilka dość krępujących rozmów z różnymi osobami, które w jakikolwiek sposób mogły czuć się przez nią skrzywdzone, by się upewnić, że należycie przeprosiła za swoje postęпки. Schowała swą dumę do kieszeni i odwiedziła nawet byłego narzeczonego, Roberta Ostrowskiego, z którym zerwała po tym, jak został ranny tuż przed bitwą pod Waterloo. Szeptano wówczas, że interesowała ją jedynie jego uroda, a kiedy wrócił oszpecony, zwróciła mu wolność. Oczywiście sprawa wyglądała zupełnie inaczej i dużą rolę odegrała tu jej matka, ale wyjaśnili sobie później wszystko i Robert wydawał się pogodzony z tym, że się rozstali. Zresztą pomimo jego wielu przywar z pewnością nie mogła zarzucić mu braku szczerości. To najlepszy przyjaciel Roberta, Edmund Breza – zacisnęła odruchowo pięści – wymyślał w jego imieniu różnego rodzaju wymówki, kiedy chciał usprawiedliwić ich wspólne kawalerskie wyprawy.

Rozmawiała także z innymi odrzuconymi absztyfikantami, a było ich naprawdę wielu. Żaden nie miał do niej pretensji, wręcz przeciwnie – nie zważali na niedawny pogrzeb małżonka, zaczynali jej schlebiać i odnawiać konkury. Zawsze uchodziła za piękność i wiele jej przez ten fakt wybaczano, choć w istocie nigdy nie należała do egoistycznych, wiecznie niezadowolonych, oziębłych pannic. Starła się być miła i uprzejma dla wszystkich. Poza własnym domem straciła nad sobą panowanie tylko przy jednym człowieku (Edmundzie), ale o nim wolałaby zapomnieć. Nie było to łatwe, bo co jakiś czas nawiedzał ją we śnie, mimo że nigdy nic jej z nim nie łączyło. Nie należał do grona jej stałych wielbicieli. Był jedynie przyjacielem Roberta i... wielkim utrapieniem. Hulaka, nicpoń, babiarcz, rozpustnik, pijak i dandys o anielskiej urodzie, która Aurelii jednak nie zwiodła. Sprowadzał jej narzeczonego na złą drogę i kusił do odwiedzania najgorszych spelun w stolicy. Doszły ją nawet słuchy, że zabrał go do przybytku, gdzie palono opium. Nie zdziwiłaby się zresztą, gdyby okazał się stałym bywalcem takich miejsc, podobnie jak najgorszego rodzaju lupanarów i domów gry.

Jeszcze teraz krew wrzała jej w żyłach na samą myśl, że nie zabroniła Robertowi spotkania się z nim na długo przed tym, jak wpakował go w kłopoty w Belgii, gdzie ten nieszczęśnik wziął udział w pijackim pojedynku na kilka dni przed ostateczną klęską Bonapartego. Pojedynek ten przypłacił zdrowiem, urodą i honorem. Może gdyby nie to... Nieważne. Tak naprawdę to Roberta również nigdy nie kochała i prędzej czy później pewnie ich małżeństwo zamieniłoby się w układ dwojga zupełnie obcych sobie ludzi, podobnie jak związek jej rodziców, tyle tylko że tam każda ze stron miała troszkę inny charakter.

Edmund Breza, zmora z przeszłości. Dlaczego, do licha ciężkiego, akurat teraz jej się przypomniał? Do dziś czuła wstyd na samą myśl, że ktoś mógł widzieć jej wybuch sprzed niemal dwóch lat w Pałacu Radziwiłłów na Krakowskim Przedmieściu podczas reduty karnawałowej, kiedy naskoczyła na niego – wykorzystała fakt, że był pijany w trupa, i za pomocą najbrzydszych cech własnego charakteru wyciągnęła z niego podstępnie informacje na temat wypadku Roberta. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie zaatakowała mężczyzny; nikogo nie zaatakowała, nie licząc potyczek z rodzeństwem w dzieciństwie, ale te raczej nie groziły publicznym ośmieszeniem. Nigdy nie doszła do tego, co w nią wówczas wstąpiło. Dobrze, że jej młodsza siostra czuwała na posterunku, obserwowała, czy

nikt się nie zbliża, bo ona była tak pochłonięta sprzeczką z tym obłudnikiem, że nie widziała nic poza tym.

Całe szczęście, że Edmund Breza niczego nie zapamiętał z tego wieczoru. Spotkała go później kilkakrotnie i jego stosunek do niej nie uległ żadnej zmianie (poza dniem jej ślubu, co mogło dostarczyć tematu do plotek na wiele, wiele sezonów). Pozostawał elegancko oschły, nieco uszczypliwy i absolutnie obojętny na jej wdzięki, chyba jako jedyny mężczyzna spoza jej rodziny. Och, czemu ją to nadal złościło?

Nie natknęła się na niego oficjalnie od przyjazdu, choć doskonale wiedziała, że bywał w tych samych miejscach co ona. Miała nadzieję na utrzymanie takiego stanu rzeczy. Stryj wspominał, że spotkał się z nim jakiś czas temu. W przeciwieństwie do niej lubił tego niegodziwca, bo kiedyś wspólnie z grupą przyjaciół wybawił jego syna i synową z opresji poprzez walkę z bandytami. Opowiadał nawet w pełnym usprawiedliwieniu tonie, iż Edmund w tym sezonie rzadziej pojawiał się na salonach. Jej zdaniem zaszył się pewnie u którejś z bogatych kochanek pod miastem, nie bacząc na reputację i honor. Na wszelki wypadek poprosi Błękitnego Majora, by sprawdził tego gagatka.

Wyjrzała przez okno dorożki. Bywała tu nieraz za dnia podczas zakupów, kiedy urządziła swój dom przy Senatorskiej. Kupowała tuziny srebrnych nakryć, chippendalowskie meble, porcelanę, luksusowe przedmioty i wytworne drobiazgi. Nigdy jednak nie podróżowała po zmroku.

Odległość od jej rezydencji nie była zbyt wielka, ale nie chciała, by ktoś ją dostrzegł, dlatego najpierw pojechała dorożką w kierunku Starego Miasta i poprosiła, by woźnica przesadził ją bezpiecznie do innego powozu, i dopiero wówczas kolejnemu dorożkarzowi zdradziła adres, pod który się udała.

Ulicę Piękną położoną w pobliżu Zamku Ujazdowskiego bardzo dobrze oświetlono, co jako pierwsze przykuło jej uwagę. Budynki w neoklasycznym stylu, lekkie konstrukcyjnie, złożone z drewna i kamienia, pięknie się prezentowały przy blasku jasnego księżyca. Rezydencja majora – dwupiętrowa, jeśli nie liczyć poddasza – została pomalowana na biały kolor. Na tym tle wyraźnie odcinał się rząd okazałych okien z niebieskimi ramami. Dach, jak się mogła jedynie domyślić, zapewne utrzymano w podobnym odcieniu. Barwy domu odpowiadały całkowicie przydomkowi jego właściciela.

Niebieski to dobry znak – pomyślała. Hinduscy bogowie Rama i Kriszna, którzy bronili ludzi przed złem, mieli właśnie taki kolor. Oby i Błękitny Major potrafił ją obronić przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

Zapłaciła woźnicy podwójnie, aby czekał na nią do skutku; obiecała jeszcze kilka monet za tę przysługę. Wolała się zabezpieczyć na wszelki wypadek. Błękitny Major, były dowódca wojskowy, który swego czasu odniósł wiele zwycięstw, gdy prowadził swych ludzi do boju, teraz przeszedł w stan spoczynku, ale jak zapewniał jej mążonek, z całą pewnością pozostawał jeszcze sprawny i silny. Potrzebowała wsparcia właśnie od kogoś takiego. Oddany i uczciwy człowiek z pewnością okazałby się teraz pomocny, ale nigdy nic nie wiadomo. Mogła go przecież nie zastać albo zamiast niego spotkać kogoś zupełnie innego.

Nie wiedziała, czego ma oczekiwać. Błękitnego Majora wyobrażała sobie jako siwowłosego bądź szpakowatego (ze względu na przydomek) oraz postawnego mężczyznę. Mateusz zawsze chwalił się, że męscy przedstawiciele jego rodziny charakteryzowali się słusznym wzrostem i nienaganną postawą nawet w zaawansowanym wieku. Miała jednak nadzieję, że jej przysły powiernik nie jest starcem, ale w końcu nawet gdyby tak było, to zapewne otaczałby się hordą pomocników gotowych przybiec na każde jego wezwanie.

Spojrzała raz jeszcze w stronę czekającej dorożki, by się upewnić, że woźnica na nią zaczeka. Wyglądał na pocziwego człowieka, chętnego, by zarobić kilka dodatkowych monet. Wspięła się po szlifowanych kamiennych schodach i – oddychając głęboko – podeszła do niebieskich, rzeźbionych drzwi ze złotą kołatką w kształcie głowy byka. Zastukała dwukrotnie i wyprostowała się, aby dodać sobie odwagi. Nigdy nie należała do płochliwych kobiet, ale ostatnie dni pokazały jej, że zbyt duża pewność siebie w niektórych sytuacjach bywa bardzo zwodnicza.

Po minucie w drzwiach pojawił się kamerdyner i zniecierpliwionym, aczkolwiek grzecznym tonem zapytał, w czym może jej pomóc. Po krótkiej wymianie zdań i wręczeniu swojej wizytowej karty z pięknie wygrawerowanym nazwiskiem (które zawsze robiło wrażenie na służbie) mogła poczekać na pana domu w obszernym, choć nieco pustawym holu.

Skupiona na własnym oddechu nie zwracała uwagi na atmosferę panującą w domu, dopóki nie potrąciła jej pokojówka dźwigająca wielką walizkę i bełkocząca coś o końcu świata. Za nią szła prawdopodobnie kucharka i dwóch lokajów obciążonych ciężkimi kuframi, szepczących do siebie

konspiracyjnie. Wyglądało to tak, jakby wszyscy mieli się przeprowadzać lub zbierać do długiej podróży, na którą niekoniecznie mieli akurat ochotę. Żywiła nadzieję, że nie trafiła na wyjazd pana domu, bo wówczas nie mogłaby obarczyć go swoimi problemami, chociaż z drugiej strony stanowiłoby to doskonałe rozwiązanie jej położenia. Mogła przecież wyjechać razem z nim.

8.

Błękitny Major dopijał właśnie ostatni łyk wina z karafki, kiedy kamerdyner ze zniecierpliwioną miną poinformował go, że przyszła wdowa po jego kuzynie, hrabim Platerze. Zdawał sobie sprawę z tego, że obiecał kiedyś jej mężowi, iż pomoże jej w razie problemów, i nie miał zamiaru się wycofać z tego przyrzeczenia. Zawsze starał się postępować honorowo, przynajmniej jeśli chodziło o sprawy kraju czy rodziny. Hrabina Plater, chociaż to jedynie żona zmarłego dalekiego kuzyna, niewątpliwie należała do jego rodziny.

Wybrała sobie niezbyt dogodny moment. Prawdę powiedziawszy – najgorszy z możliwych. Major właśnie się wyprowadzał. Był zmuszony część służby zwolnić, a resztę przenieść do jednej z wiejskich posiadłości rodzinnych. Gospodyni, kucharka, a nawet podkuchenna nie przebiegały w słowach od rana. Jeszcze teraz szumiały mu w uszach jazgoty kobiet, co do których posłuszeństwa i dobrego wychowania nie miał nigdy najmniejszych zastrzeżeń.

Lokaje i kamerdyner wprawdzie też coś burczeli pod nosem, ale żaden nie nazwał go opijusem, utracjuszem, zdrajcą czy lekkoduchem. Nie pamiętał reszty obelg, bo kobiety przekrzykiwały się wzajemnie, suszyły mu głowę i lamentowały nad własnym losem tak, że musiał im obiecać spore zadośćuczynienie, żeby dały mu wreszcie spokój i zostawiły na chwilę samego. Nie mógł wyjść ze zdumienia, jak doszło do takiego rozbastwienia się służby, że odważyła się zwracać do niego w ten sposób. Nie był przyzwyczajony, żeby jakieś baby tak się na niego wydzierały. Wprawdzie w dzieciństwie nierzadko oberwało mu się – i słusznie – od matki, ale poza dzisiejszym dniem jedynie raz w życiu został tak potraktowany przez kobiety. Choć tamto wydarzenie było zdecydowanie bardziej pokrętne i miało większe znaczenie niż kilka rzuconych w powietrze obelg.

Aurelia nie mogła siedzieć tak i czekać, aż kamerdyner wróci wreszcie z odpowiedzią. Wstała, poprawiła pelisę i wyrównała kapelusik, którego nie oddała przy wejściu. Niepewnym krokiem ruszyła w głąb domu, gdzie zwykle sytuowano gabinety. Nie pomyliła się. Nacisnęła klamkę i ujrzała w zacienionym pomieszczeniu postać nachyloną nad dokumentami, ubraną w bardzo kosztowny, elegancki strój, co oceniła wprawnym okiem nawet przy tak słabym oświetleniu. Mężczyzna zdawał się na tyle pochłonięty papierami, że nie zauważył jej wejścia. Odchrząknęła znacząco, by dać mu do zrozumienia, że nie jest sam w gabinecie.

– Dałem wam chyba znaczną odprawę, cóż jeszcze ode mnie chcecie? – zachrypiął.

Wyczuła, że musiał wypić dziś nieco więcej, niż powinien, co potwierdziły puste kieliszki przewrócone na tacy obok biurka.

– Mówiłem, że nic więcej teraz nie mogę zrobić. Powiedzcie, że zaraz przyjmę gościa, muszę tylko trochę ochłonać.

– Obawiam się, że zaszła pomyłka – odezwała się spokojnie, zaciekawiona pochylonym mężczyzną. Jego głos wydał się jej dziwnie znajomy.

– To pani?!

– To pan?!

Powiedzieli to niemal jednocześnie, a mężczyzna wyprostował się i odwrócił w jej stronę.

– Ale jak? Do licha ciężkiego! – wykrzyknął.

– Chciałabym spytać o to samo, ale w bardziej wyszukany sposób.

Błękitny Major usiłował zebrać myśli. Jego starszy kuzyn ożenił się przecież z tą pulchną blondynką, którą widział tamtego dnia w kościele. Czyżby zdołał się rozwieść lub owdowieć i ponownie ożenić z panną Strzelecką? Niemożliwe! Chyba że on, głupek, źle zinterpretował wydarzenia z tamtego dnia. Sprężył się i w mgnieniu oka doprowadził umysł do jako takiej używalności.

Po powrocie z Brukseli i klęsce wojsk francuskich pod Waterloo w 1815 roku Aurelia rozstała się z Robertem Ostrowskim, w czym niestety miał udział. Do tej pory wstydził się wyznać przyjacielowi, że to on zdradził, jak doszło do jego wypadku, i wszystko wyśpiewał narzeczonej, czym dał powody sądzić, że kandydat na męża nie traktuje jej poważnie.

Po cóż on wówczas tam poszedł?! Co to za pytanie? Brał udział w każdym cotygodniowych redutach maskowych, które odbywały się jednocześnie w salach za teatrem oraz w Pałacu Radziwiłłów na Krakowskim Przedmieściu, na pierwszym piętrze. Zwykle chadzał na tę do sali teatralnej. Słynęła ze swej wytworności, przebrania gości były staranniej dobrane, mniej się tam tańczyło, a szukało bardziej wyrafinowanych rozrywek pośród ławicy zamaskowanych, wysoko urodzonych dam i kawalerów. Bal w Radziwiłłowskiej rezydencji był znacznie skromniejszy i mniej ceremonialny. Nikt nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na dobór kostiumu, maniery i konwenanse. Panie przychodzące bez obstawy mężczyzn przebierały się od stóp do głów, bo liczyły na szybki romans bez

zobowiązań. Otóż to – chyba tego właśnie i on poszukiwał! Ale co robiła tam ona? Chyba szukała jego. Ba, na pewno szukała jego. Szkoda tylko, że w zupełnie innym celu...

Nie upił się wówczas aż tak bardzo, by tego nie pamiętać, choć nigdy się nikomu do tego nie przyznał. Aurelia podobała mu się dużo wcześniej, zanim poznał ją Robert. To również pozostawało jego sekretem. Podziwiał ją z daleka i miał ochotę wprowadzić do swego długiego orszaku kochanek. Była jednak prawdziwą damą, w dodatku panną i z całą pewnością dziewicą, poza tym nie tylko on jeden miał na nią chrapkę. Pół Warszawy wdychało na jej widok i niemal ugięło się do jej buczków, kiedy przechodziła obok. Słabość do kobiety uważał za coś niestosownego, a tymczasem kiedy przyparła go do muru w asyście tej swojej malutkiej miedzianowłosej siostrzyczki, której nie sposób oszukać, zupełnie postradał rozum i jak ostatni łajdak zdradził przyjaciela, ponieważ wyjawiał, że do wypadku doszło w wyniku zakładu, który poprzedziło smalenie cholewek do jednej z belgijskich karczmarek.

Nigdy nie czuł się z tym dobrze. Starał się unikać Aurelii i całego tego towarzystwa. Pojechał do Kamiennego Dworu, by pocieszyć Roberta, a potem udał się do majątku swego ojca tylko po to, by po raz kolejny pokłócić się ze wszystkimi i wyjechać nocą z powrotem do Warszawy. To wówczas wymusił przepisanie na niego tego domu i wtedy po raz ostatni widział swoich starszych braci...

Powrócił akurat w dzień ślubu kuzyna, o czym dowiedział się od sekretarza zajmującego się pocztą pod nieobecność jego rodziny. Nie miał czasu wypytać o szczegóły. Nikt nie wiedział, że przybył do miasta. Wziął jeden z rodzinnych powozów i udał się do kościoła Świętego Ducha przy ulicy Długiej. Nie wszedł jednak, jak przystało na porządnego gościa, do głównej nawy, by zająć miejsce w pierwszych ławkach zarezerwowanych dla rodziny i czekać spokojnie na początek uroczystości. Postanowił wbiec do klasztoru zajętego niegdyś na koszary francuskie. Domyślał się, że tam pan młody przygotowywał się do ceremonii. Chciał zamienić z nim słówko, przeprosić, że nie zjawił się wcześniej, choć zawsze byli sobie bliscy.

Już miał wejść do jednego z pomieszczeń, kiedy w drzwiach obok pojawiła się ona, Aurelia Strzelecka, niosąca w ręku welon. Domyślił się wówczas, że jest jedną z orszaku druhen panny młodej, choć urodą z pewnością przebijała nawet najpiękniej ubraną i wyczesaną kobietę w dzień własnego ślubu. Miała na sobie jedwabną, bladorożową suknię

z rozciętymi, dekoracyjnie zwisającymi rękawami i diamentowy wisiołek, który rozkosznie przeskakiwał na jej bujnym dekolcie w kształcie karo.

Dla pewności spytał, dla kogo niesie tę zgubę, ale uzyskał jedynie niezbyt grzeczną odpowiedź, że nie powinno go tu być i z pewnością właścicielka tego białego kawałka tiulu nie byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że on tu grasuje, zapewne z zamiarem podejrzenia, jak ona się ubiera.

Nie mógł się opanować, przekonany, że Aurelia jest już kobietą wolną i nikomu nie obiecała swojej ręki, a przynajmniej nie żadnemu z jego przyjaciół, bo o tym by przecież wiedział. Przysunął się najbliżej, jak potrafił, przycisnął ją do ściany i zmusił do krótkiej rozmowy, którą zakończył gorącym całusem w policzek, a przy okazji zbadaniem jej wąskiej talii i jędrnych pośladków. Niby przypadkiem, rzecz jasna! Boże! Gdyby wówczas wiedział, że to ona była panną młodą, nie odważyłby się na podobne zachowanie. Ale skąd niby miał to wiedzieć?!

Nie ułatwiła mu sprawy, a stan, jaki w nim wywołała ta pozornie niewinna pieśczoła, okazał się tak obezwładniający, że mężczyzna musiał ewakuować się stamtąd natychmiast, nim ktoś spostrzegłby, jak bardzo jest rozpalony. Wyszedł jeszcze szybciej, niż przyszedł, a następne miesiące spędzał w rozjazdach, wędrował po kraju i poza jego granicami. Z kuzynem spotkał się wprawdzie dwukrotnie, nigdy jednak w obecności małżonki, którą wyobrażał sobie zupełnie inaczej. Widział wówczas przecież, jak Aurelia, która udaje, że nic ją ich spotkanie nie obeszło, przekazuje welon blondynce za drzwiami.

– Nieważne. – Wytrzeźwiał w mgnieniu oka i przybrał nienaganną postawę zdobywcy niewieścich serc, opierając się niedbale o biurko. – Skoro już pani przyszła, to mogę się domyślać, że zaistniały jakieś problemy.

– Być może, niestety pan nie będzie mi w stanie pomóc – odcięła się i zrobiła krok w tył.

Dlaczego akurat on? Ze wszystkich mężczyzn świata! Miała ochotę się rozplakać albo rozbić jakiś wazon, jeśli nie czyjaś głowę...

Pamiętała, jak wpadł w dzień jej ślubu, pewnie poszukiwał którejś z nowo poderwanych dziewcząt wśród licznego grona druhen. Ślub był wprawdzie szybki, ale zdołała zebrać całą gromadkę koleżanek, które chciały towarzyszyć jej w ceremonii. Jak na złość rozerwała welon i niosła go właśnie do jednej z dziewcząt, kiedy na korytarzu trafiła na niego... Nawet nie chciała sobie przypominać owych doznań, jakie wówczas w niej

wywołał, ani tego, jak grzała się w ich blasku przez następne miesiące u boku męża, który w jakiejś części jej go przypominał...

Teraz już знаła odpowiedź! To kuzyni. Charaktery mieli wprawdzie zupełnie inne, ale powierzchowność zbliżoną, z tym że Breza był młodszy, szczuplejszy i – nie mogła tego nie przyznać – przystojniejszy. Tak jak ona nie cieszył się ze spotkania. Jego ostre jak stal, srebrzyste spojrzenie niemal przeszywało ją na wskroś, choć zdradzało też wesołe chochliki tańczące naprzemiennie, tworzące ciekawe połączenie iskier i chłodu jednocześnie. Miał wyraźne, proste brwi, pomiędzy których wyrastał wąski nos ze śladami złamania, a pod nim idealnie skrojone męskie usta i wydatną szczękę. Blond czupryna była lekko zmierzwiona, ale nadal ułożona w sposób najmodniejszy w tym sezonie; wzrost średni, choć sprawiał wrażenie znacznie wyższego niż w rzeczywistości przez wojskową posturę i lekkość ruchów. Połączenie, któremu trudno byłoby się oprzeć... gdyby nie należało właśnie do niego!

– Proszę zaczekać!

Zatrzymała się i spojrzała hardo.

– Nie powinnam była tu przychodzić.

– Czyżby? – przerwał jej rozważania i popatrzył głęboko w oczy. – Wydaje mi się, że miała pani odszukać mnie w przypadku zagrożenia, problemów lub nadchodzącej katastrofy.

– Pan sam jest jak jedna wielka nadchodząca katastrofa. – Nie wytrzymała.

– Spodziewałem się cieplejszego powitania, kuzynko.

– Kuzynko?

– Jest pani żoną mojego zmarłego kuzyna.

– Właśnie. – Westchnęła. – Zmarłego! Kuzynostwo uważam więc za ustale.

– Niech i tak będzie. Ale nie zmienia to faktu, że po coś pani tu przysłała... – uniósł kształną brew – ...nocą.

– Ktoś chce mnie zabić – rzuciła, jakby informowała go o nadchodzącej burzy albo pokazie fajerwerków. – Czy to przypadkiem nie pan? – Cofnęła się pod same drzwi.

– Zabić? Chyba się coś pani musiało przyśnić – zakpił. – Może ponosi panią wyobraźnia – dodał łagodniej.

– Nie sądzę. Długo zastanawiałam się nad wszystkim, zanim do pana przysłałam. – Zaczęła bezwiednie miętosić własne palce, zachodziła

w głowę, jakich użyć słów, by dobrze zrelacjonować ostatnie wydarzenia. – Gdybym jednak wiedziała, że to pan, zapewne przemyślałabym to co najmniej raz jeszcze.

– Ja też się cieszę, że mogę panią widzieć, madame – warknął. – To miłe, że podejrzewa mnie pani o najgorsze.

– Przepraszam. – Zawahała się. – Nie chciałam pana urazić – skłamała.

– W porządku, nie musimy udawać, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Oboje dobrze pamiętamy, jaki miała pani do mnie stosunek. Jak mniemam, nie uległ on szczególnej metamorfozie.

– Możemy pominąć tę kwestię? – Zagryzła dolną wargę niemal do krwi. Co ją podkusiło do tej wyprawy?! Jeśli się na niego nie rzuci z pięściami, to będzie sobie gratulować najmniej przez tydzień. – Nie chciałabym się z panem kłócić, zwłaszcza że nie to było celem mojej wizyty – powiedziała chłodnym i jak się jej zdawało, wyważonym tonem, choć w rzeczywistości cedziła słowa przez zęby i przymrużała oczy, jakby powstrzymywała się przed wybuchem.

– Oczywiście. – Oparł dłoń o blat mebla i przysiadł na jego skraju. Nie chciał zwracać uwagi na doskonałą linię jej podbródka, książkową postawę, wąskie ramiona, wciętą talię, kuszące biodra, ale mimo słabego oświetlenia i kilku warstw stroju zwyczajnie nie był w stanie nie myśleć o tym wszystkim. Stała przed nim kobieta, której wyobrażenia nękały go przez ostatnie lata, i nie mógł zwyczajnie tego zignorować. – Powie mi pani, dlaczego wysunęła takie straszne wnioski?

– Owszem. – Wyciągnęła z torebki dwa złożone listy i podała mu, zrobiwszy krok naprzód.

Major podszedł do niej z nieukrywanym zaciekawieniem, odebrał kartki i przysunął je bliżej oliwnej lampki stojącej na biurku. Przejrzał je ze starannością i zamyślił się.

– Rzeczywiście nie wyglądają na wyznania miłości.

– Niech pan nie kpi.

– Może to jedynie jakiś głupi dowcip. Nie zdenerwowała pani kogoś ostatnio? – Spojrzał na nią oskarżającym wzrokiem. – Nie obrzuciła stekiem wyzwisk?

– Słucham?! – zapytała nieco zażenowana. Czyżby pamiętał? – przemknęło jej przez myśl i przełknęła głośno ślinę.

– Pytam, bo kobiety mają w zwyczaju tak postępować. Może pani do takich nie należy, ale muszę się upewnić – wyjaśnił.

– Nie. Do niczego takiego nie doszło. – Odetchnęła z ulgą.

– Czy to pierwsze tego typu wiadomości?

– Niestety nie. Dostaję je niemal od chwili przybycia do Warszawy, zaraz po Wielkanocy. Przed wyjazdem też otrzymywałam podobne.

– Czy poza listami zdarzyło się coś jeszcze? – Przybrał rzeczowy ton osoby, która zna się na rzeczy.

Oddał jej złożone kartki. Oboje poczuli się nieco zmieszani, gdy ich dłonie zetknęły się na chwilę, ale starali się udawać, że tego nie zauważają. Sytuacja stała się niezwykle krępująca.

– Owszem.

– Przepraszam za moją niegościnność. – Zauważył, że oblizła wargi. – Może się pani czegoś napije?

– Jeśli mogłabym prosić. – Przyjrzała się opróżnionym karafkom na biurku.

– Mam jeszcze coś w zapasie, proszę się nie przejmować. – Uświadomił sobie, że pewnie uznała go za pijaka. – To tylko bałagan, służba ma inne obowiązki. Nie wypilem wszystkiego dzisiaj.

Podszedł do szafki, z której wyciągnął kieliszek, i nalał do niego czerwonego wina. Podał jej i wrócił do poprzedniej pozy z dłonią opartą o blat biurka.

Dostrzegła, jak skupia się na jej rozchylnych ustach i przygryza język, by opanować narastające w nim pożądanie. Nie był w stanie nad tym zapanować, choć jego rozum aż krzyczał, że powinien zachować spokój. Kilka sekund później coś świsnęło mu koło ucha, a szyba w oknie gabinetu rozpadła się na tysiące elementów, aż wyścieliła odłamkami drewniany parkiet i dotarła niemal do biurka.

– Na ziemię! – krzyknął tuż po pierwszym strzale.

Za nim padło jeszcze kilka kolejnych, tłukąc rząd okazałych okien. Aurelia zakryła dłońmi głowę, wypuściła kieliszek, który potoczył się po dywanie i rozbił, uderzywszy o kant biurka. Przykucnęła nisko i starała się zachować spokój. Podsunął się do niej tak, by nie wychylić się powyżej linii parapetów, i wskazał dłonią regał z książkami.

– Niech pani spróbuje przejść w tamtą stronę.

– Ale tam nic nie ma.

– Proszę mnie posłuchać!

– A nie lepiej kierować się w głąb domu?

– Chce pani skończyć podziurawiona w kałuży krwi na korytarzu?! Pewnie właśnie ktoś wdziera się do środka.

– A służba?

– Służba wyszła, jak pani zdążyła zauważyć, w momencie gdy się pani tu zjawiała. Nikt nam nie pomoże.

Posłuchała go i idąc na czworakach, zmierzała w stronę szafki. Na szczęście nie zdjęła rękawiczek, bo ostre kawałki szyby najpewniej poraniłyby jej dłonie, a tak pocięły jedynie skórzany materiał i podeszwę jednego z trzewików. Jej ulubionych, włoskich.

Przysunął się w jej kierunku i wymacał na ścianie jakąś zapadnię, która odblokowała zamknięte przejście ukryte za regałem z książkami. Otworzył je szerzej, wepchnął ją do środka, a sam wycofał się, zostawiwszy ślady krwi z rozciętej dłoni na ścianie korytarza na zewnątrz gabinetu, by zmylić ludzi otaczających dom.

Na szczęście ukryte przejście, choć wąskie i rzadko używane, a więc pokryte kurzem i zamieszkałe przez pająki tkające misterne sieci, okazało się na tyle wygodne, że mogli przedostać się nim do stajni sąsiada. Ktoś tak zaplanował maleńki tunel, by kończył się na podwórku przylegającym do posiadłości majora i w przypadku konieczności ucieczki pozwolił zmylić wroga przeszukującego teren. Edmund wiedział doskonale, że większość rezydencji w tej części ulicy jest teraz opuszczona, bo domownicy korzystają z uroków nowo rozpoczętego sezonu, a służba albo śpi i nie ma zamiaru wtrącać się w porachunki, bo znała jego reputację, albo została odpowiednio opłacona, by siedzieć cicho lub udać się na noc w inne rejony.

Jeśli miał do czynienia z ludźmi Wąsacza, to mógł być pewien, że wszystko zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach. Zdawał sobie sprawę, że tym razem przesadził, kiedy wszedł w spółkę z tym człowiekiem. Dobrze sytuowany, nieprzyzwoicie bogaty markiz, którego drugą żoną Edmund uwiódł niemal na jego oczach, miał powody, by pałać do niego niechęcią... Oczywiście nie był to jedyny tego typu występek Błękitnego Majora. Wąsacz chytrze zwabił go do jaskini hazardu dwa miesiące wcześniej, gdzie regularnie go ogrywał, czym wpędził w coraz to większe długi, aż w końcu zmusił do zastawienia nieruchomości. Edmund nie miał pojęcia, że chodzi mu o odwet, o powolną, wyrefinowaną zemstę. Gdyby domyślił się, że markiz podejrzewa go o romans z kobietą jego życia, i dotarł do listów poprzedniej żony, w których ta opisywała ze szczegółami odwiedziny młodego wojskowego...

Aurelia, skulona, drżała w ciemnym przejściu za szafą. Bała się ruszyć naprzód, bo wyczuwała przed sobą nierówne podłóżę, a z twarzy zdjęła właśnie tłustego pająka i odkleiła garść lepkih pajęcżyn. Wzdrygnęła się na samą myśl, co jeszcze może się kryć w tym wąskim korytarzu. Za sobą miała jednak większe niebezpieczeństwo. Mogła się jedynie domyślać, że osoba, która słała jej subtelne pogrózki i próbowała wypłoszyć w bardziej wyrafinowany sposób, na przykład przez upozorowanie wypadku, posunęła się w końcu do ostateczności.

Nie miała pojęcia, kto ani dlaczego chciałby się jej pozbyć w tak widowiskowy sposób. Owszem, wiele osób okazywało jej jawną zazdrość albo zawód z powodu odrzucenia, ale zawsze były do niej nastawione raczej pokojowo. Nie mogła jednak wykluczyć, że nie chodziło bezpośrednio o jej cechy lub to, co zrobiła bądź czego zaniechała, ale o pokaźny majątek męża, który przed rokiem otrzymała w spadku. Tylko kto chciałby się do niego dobrać kosztem jej życia? Czyżby istniały jakieś zapiski w testamencie, o których nie wiedziała, lub klauzule pozwalające dziedziczyć komuś jeszcze spoza kręgu jego pozostałych spadkobierców? Nie znała męża zbyt długo, a tym bardziej nie zdążyła się zaznajomić ze wszystkimi jego krewnymi i całą rodziną. Nie wiedziała też prawie nic o jego przeszłości. Był od niej o wiele starszy. Mógł zostawić po sobie jakieś nieślubne dzieci... Nie podejrzewała go o to, ale ręki by sobie za to uciąć nie dała. W końcu to mężczyzna.

Ktoś chciał jej śmierci. Musiał ją śledzić, a kiedy zrozumiał, że udała się po pomoc do dalekiego kuzyna męża, nie wytrzymał i postanowił załatwić sprawę raz na zawsze. Naprawdę groziło jej niebezpieczeństwo.

Poczuła na ramieniu silną dłoń majora. Nie miała innego wyjścia, jak oddać się w jego ręce.

Ciemny, brudny, pachnący stęchlizną tunel, choć z początku całkiem wygodny, później zaczął się znacznie zwężać i aby go pokonać, trzeba było prawie kucnąć. Korytarz nie okazał się też ani fascynujący, ani tajemniczy, ani w żaden inny sposób ciekawy, a jego wilgotne podłóżę, które czuła na gołej stopie przez rozdarty bucik, nie obiecywało, że wyjdzie z niego bez szwanku. Jej garderoba nada się w najlepszym wypadku na podpałkę.

Edmund przesuwiał się za nią powoli, unikał pajęcżyn, które ona zbierała swoim zdobnym kapelusikiem z kolorowymi piórkami. Poinformował ją, że dobrze zabezpieczył przejście. Zasunął za sobą szafę, a zapadnię w ścianie zasłonił krzesłem, uprzednio złamawszy ją tak, by nie mogła już nikomu

posłużyć. Nie zdążył zabrać ze sobą w zasadzie niczego poza tym, co miał przy sobie. Nie było tego zbyt wiele, ale wyraził nadzieję, że na razie wystarczy.

Kwadrans później oboje wydostali się przez kłapę w podłodze wozowni sąsiadów. Edmund polecił Aurelii, a raczej wdowie Plater – bo tak powinien był teraz o niej myśleć – by poczekała bezpiecznie ukryta w niewielkim powozie, a sam ostrożnie wyszedł, żeby sprawdzić, z iloma napastnikami ma do czynienia, i upewnić się, że są to ludzie Wąsacza.

Trudno było dokładnie się zorientować w sytuacji, zważywszy na to, że napastnicy przestrelili lampy palące się przed jego domem, a raczej teraz już przed domem markiza. Właśnie mijała północ i nieruchomość przechodziła w ręce nowego właściciela. Markiz okazał się niezwykle skrupulatny, jeśli chodziło o honorowanie długów i przejęcia kolejnych łupów. Obiecał wczoraj, a w zasadzie przedwczoraj, że da mu spokój do czwartku, i dotrzymał słowa. Wysłał swoich ludzi, by wyegzekwowali opuszczenie lokalu, jeśli to nie nastąpi zgodnie z umową. Edmund sądził, że wstrzyma się do rana, a użyje do tego zastępu prawników, a nie wynajętych zbirów, ale *summa summarum* wyszło na to samo. Zmusił go do opuszczenia domu bardzo efektownie i nie złamał przy tym obietnicy. Ubodło go przyprawienie rogów. Podwójne przyprawienie, jeśli już być uczciwym. I jeszcze flirtowanie z córkami...

Edmund wiedział, że tym razem przesadził. W końcu zdał sobie z tego sprawę. Niestety troszeczkę po czasie. Ale cóż mógł na to poradzić, że kobiety tak do niego lgnęły? Przecież nie prosił się o romans z żadną z nich. Każda niemal siłą i podstępem zwabiła go do swojej sypialni, bo wierzyła rozpowszechnianym w towarzystwie plotkom dotyczącym jego kunsztu w sztuce miłości. Nie chwając się, był w tym całkiem niezły, ale to jeszcze nie powód, by traktować go tak... przedmiotowo. Przyprawić jednak komuś rogi niemal dwukrotnie, uwieść pierwszą i drugą małżonkę, to rzeczywiście zwykłe świństwo.

Nic o tym nie wspomni Aurelii, bo dopiero miałyby używanie. Skoro przyszła do niego w obawie, że grozi jej niebezpieczeństwo, i rzeczywiście ono nad nią wisi, to upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu: pomoże jej i uratuje jednocześnie własną skórę.

Aurelia rozłożyła chusteczkę na siedzisku powozu, by nie zabrudzić go przykurzoną suknią, i wpatrywała się w okienko, by dostrzec, co wyprawia Edmund Breza. Powinna wycofać się ze wszystkiego, ale sama nie była

w stanie poradzić sobie z uzbrojonymi napastnikami. Miała obawy, że i on temu nie podoła, zwłaszcza że raczej nie wyglądał na uzbrojonego, a ich przysłano tu co najmniej kilku, jeśli wziąć pod uwagę podziurawione okna gabinetu. Wspólnie jednak mogliby ich przechytryć.

– Może wykorzystamy dorożkę, którą przyjechałam? – zapytała kilka chwil po tym, jak wrócił z rekonesansu.

– Jaką dorożkę?

– Tę, która miała na mnie czekać przed pana rezydencją. Bandyci ostrzelali jej tyły, może nie zauważyli...

– Żartuje sobie pani, prawda?

– Nie, mówię całkiem poważnie.

– Proszę o niej zapomnieć. Dorożkarz uciekł stąd pewnie zaraz po pani przyjeździe. Nie możemy też pożyczyć niczego od sąsiadów, bo mogą nas oskarżyć o kradzież, a za to grozi nawet stryzyk. Zresztą tamci zaczynają przeczesywać dom, zaraz pewnie przejdą do kolejnych posesji. Najlepiej, jak wymkniemy się cichutko i oddalimy, a potem pomyślimy, co dalej.

– Taki ma pan plan? A ponoć wielki był z pana niegdyś strateg – prychnęła.

– A ma pani lepszy?

– Może zapukajmy do Zamku Ujazdowskich. To kilka minut drogi stąd i mają tam szpital wojskowy.

– A my jesteśmy rannymi żołnierzami?

– No nie – odparła zrezygnowana i wyszła cichutko z bezpiecznego powozu, by podążyć za nim w ciemność nocy.

9.

Jakieś pół godziny później – trudno stwierdzić, bo unikali oświetlonych miejsc, a z tarczy zegarka kieszonkowego nie dało się niczego odczytać w ciemnościach – dotarli w okolice Pałacu Kossakowskich przy ulicy Nowy Świat, gdzie mieli nadzieję natknąć się na kogoś wychodzącego wcześniej z sali balowej. Wejść, jak wiadomo, nie mogli nie tylko ze względu na zupełnie nieodpowiedni strój, ale również dlatego, że minęły wyznaczone do tego godziny. Szli tutaj tak długo mimo niewielkiej odległości, bo woleli trzymać się z dala od głównych traktów i zamiast wybrać najkrótszą drogę przez Aleje Ujazdowskie, krążyli po mniej uczęszczanych uliczkach i potykali się o nierówności w chodnikach.

Dla ukojenia nerwów Aurelia starała się opowiedzieć ze szczegółami wszystko, co zapamiętała z liścików i wydarzeń ostatnich tygodni. Edmund słuchał jej uważnie i mimo wcześniejszego sceptycyzmu zrozumiał, że dziewczyna rzeczywiście znalazła się w tarapatkach i to raczej nie z własnej winy, albo przynajmniej nieświadomie, bo uważał ją za kogoś o wybitnych predyspozycjach do tego, by wywoływać konflikty. Co prawda mówiła, jego zdaniem, zbyt wiele, ponieważ swą opowieść mogła zawrzeć w zaledwie kilku procentach wypowiedzianych słów, ale powstrzymał się od krytyki, gdy zauważył jej zdenerwowanie.

Pomny obietnicy złożonej kuzynowi, zapewnił, że pomoże jej w wyplątaniu się z zarzutów, które prawdopodobnie wkrótce się pojawią, a do tej pory zadba o bezpieczną ucieczkę z Warszawy. Nie wspomniał słówkiem o tym, że sam również musi na pewien czas zniknąć. Tej informacji nie uznał za potrzebną jej do czegokolwiek. W dodatku zupełnie mu nie przeszkadzało to, że mogła czuć się winna z powodu narażania go na niebezpieczeństwo. W zasadzie to jej się należało – za te wszystkie lata, w ciągu których o niej myślał.

Ukryci w odpowiedniej odległości od wyjścia i powozów czekających na środowych, a w zasadzie już czwartkowych balowiczów, starali się ułożyć dalszy plan działania.

– Powinniśmy jak najszybciej wyjechać z miasta.

– Owszem, ale jak pani widzi, nie mamy ani powozu, ani pieniędzy, żeby sobie wynająć któryś na tak daleką podróż.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Szkoda, że mój dom może być obserwowany. – Spojrzała na jego zdziwioną minę. – Wywnioskowałam

z listów, że ktoś stale śledził moje poczynania – wyjaśniła. – W przeciwnym razie moglibyśmy tam po prostu pójść i wyjechać jak cywilizowani ludzie.

– Szybko zdołała sobie pani narobić kłopotów, hrabino – zakpił.

– Proszę ze mnie nie drwić – odfuknęła, ale zaraz uciszyła go i wskazała palcem na wychodzącego z budynku mężczyznę. – Widzi pan tego wysokiego człowieka? To Alojzy Rudecki, jeden z szerokiego grona moich... przyjaciół.

– Przyjaciół? – Uniósł znacząco swoją wyrazistą brew.

– To porządny człowiek i może nam pomóc – odpowiedziała z przekonaniem na jego zdziwioną minę.

– Skoro tak pani uważa... – Podsunął się bliżej i rozejrzał, by zyskać pewność, że nikt go nie widzi. Zaczął rzucać drobnymi kamyczkami w stronę chudego mężczyzny. – Pst, pst. – Usiłował zwrócić jego uwagę. – Niech pani spróbuje.

– Baronie Rudecki – szepnęła. – Waćpanie...

Mężczyzna rozejrzał się na boki, odwrócił na pięcie i pobiegł w kierunku wejścia.

– Ależ pani sobie dobiera tych absztyfikantów – zakpił. – Prawdziwi chojracy, sama śmietanka. – Przyłożył dłoń do czoła.

Po chwili wyłonił się kolejny dżentelmen, nieco starszy od poprzedniego.

– Może ten?

– Nie znam go osobiście.

– Dziwne. Wydaje się łasy na walory... – szepnął, ale urwał, gdy zauważył, że jego towarzyszka zaczyna się nerwowo wiercić.

– Cóż, spędzimy tu chyba trochę więcej czasu, niż przewidzieliśmy, jeśli nie przyzna się pani do znajomości z nieco bardziej odważnymi mężczyznami.

Nie odpowiedziała, odsunęła się ostentacyjnie od niego i odwróciła twarz w przeciwnym kierunku.

– No co? – Spojrzał na nią zaczepnie i szturchnął lekko łokciem.

– Chyba nie powinnam była przychodzić do pana z tą sprawą. Gdybym tylko wiedziała, że Błękitny Major i pan to jedna i ta sama osoba...

– Mówiła to pani dziś już co najmniej dwukrotnie. – Z rozbawieniem wyobraził sobie, jak marszczy nos i zaciska pięści. – Już dobrze. Żartowałem tylko. Wraca ten pani chuderlak... i to z obstawą.

Alojzy Rudecki wychodził ostrożnie, ciągnął za sobą Pankracego Puckiego, którego nalana, zaczerwieniona twarz wyglądała w świetle lamp

niczym płonąca pochodnia.

– To tutaj, Pankracy, posłuchaj – zwrócił się do niego.

Aurelia rozłożyła ręce. Rzeczywiście do odważnych to oni nie należeli, ale wyszli, a to już coś.

– Baronie Rudecki – szepnęła.

– Toż to przecież... – zaczął głośno Pucki.

– Proszę zachować ciszę i udawać, że mnie pan nie widzi.

– Dobrze. – O dziwo wykonał polecenie, wyciągnął z kieszeni cygaretkę i poczęstował patykowatego przyjaciela.

– Ma pani jakieś kłopoty, hrabino? – odgadł i udał, że rozmawia z tamtym.

– Owszem. Potrzebuję panów pomocy.

– Zawsze jesteśmy gotowi – odparł Rudecki, gdy skierował wzrok na nieboskłon, by przypadkiem nie zawędrował w poszukiwaniu jej sylwetki ukrytej w mroku nocy.

– Doskonale. – Ucieszyła się. – Chciałabym, żebyście się panowie udali do mojego domu i dyskretnie poprosili Mariannę, moją służącą, by przekazała panom kuferek podróżny oraz szkatułkę stojącą na kominku. To bardzo ważne. Jeśli nie uda się wynieść niezauważenie kufra, to proszę wziąć chociaż niewielką torbę z niezbędnymi rzeczami. Sama nie mogę się tam udać.

– Dobrze, ale co potem?

– Potem? – Spojrzała w stronę majora. Pokazał jej na migi, co mają dalej zrobić. – Gdybyście panowie byli tak uprzejmi i zostawili wszystko w którymś ze swoich powozów. Jestem zmuszona użyć go wraz z końmi na kilka dni. Zwrócę wszelkie koszty.

– Nie będzie takiej potrzeby, proszę to potraktować jako przyjacielską przysługę – stwierdził rudowłosy i zaciągnął się cygaretką, jakby myślał, co powinien powiedzieć. – Czy jest pani z kimś do ochrony? Czy może pani tu bezpiecznie na nas poczekać?

– Tak. Mogę. Jest ze mną... są ze mną lokaj i służąca – skłamała.

– Proszę być spokojną. Przyjedziemy dwoma powozami, staniemy tak, by nikt nie zauważył momentu przesiadki. Wówczas pani wskoczy do pustego. Woźnicę poinformujemy po drodze.

– Dziękuję, panie Pucki. Nie wiem, jak się panom odwdzięczę.

– Och, to drobiazg. Mam nadzieję, że nic się pani nie stanie. Czy na pewno możemy panią tu zostawić?

– Na pewno.

Jakąś godzinę później Aurelia wchodziła bezszelestnie do krytej nityczanki, podróżnego powozu barona Rudeckiego zaprzęzonego w parę pięknych siwków. Baron przeskoczył dyskretnie do powozu przyjaciela, a Edmund wsunął się, garbiąc tak, by nikt nie rozpoznał jego sylwetki.

– Z przykrością muszę poinformować, że szkatułki nie było – odezwał się Pucki. – Służąca powiedziała, że posłała ją pani siostrze wraz z klejnotami jako prezent urodzinowy, na szczęście udało się zabrać dyskretnie niewielką torbę podróżną i chlebak z jedzeniem. Bukłaki z wodą i wino znajdują się w ukrytym schowku jako stałe wyposażenie powozu.

– Wrzuciliśmy tam również kilka monet, gdyby okazały się pani potrzebne na przykład na wynajem pokoi – dodał Rudecki. – Czy jest coś jeszcze, co możemy zrobić? – zapytał z troską i uwielbieniem w głosie ciągle zawstydzony swoją początkową rejteradą.

– Jakby byli panowie tak mili i nie mówili nikomu o naszym spotkaniu.

– To naturalne, hrabino. Nie musi pani o to prosić.

– Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

– Proszę pamiętać, że w każdej chwili...

– Dziękuję.

Kiedy się oddalili i pomknęli w kierunku granic miasta, major zaszydził:

– No, no.

Nie zareagowała jednak na jego zaczepki, próbowała ochłonąć zarówno po wydarzeniach tej nocy, jak i ze względu na jego bliskość. O swojej zniszczonej sukni, porwanym bucie i ubłoconej pończoszce już dawno zapomniała. Była zbyt zmęczona, by przejmować się takimi drobiazgami. Panowała zresztą taka ciemność, że niczego nie dało się dostrzec. Niestety Edmund, jakby w reakcji na jej myśli, odnalazł ozdobne żelazne krzesiwo sztabkowe z uszkiem do zawieszenia i zapalił niewielką lampkę, by rozświetlić wnętrze resorowanego powozu.

– Zaraz dotrzemy do bramy wyjazdowej. Może lepiej byłoby, żeby strażnicy nie wiedzieli, że tędy wyjechaliśmy.

– Zamierza pan przemknąć niezauważony obok strażników?

– Tego nie powiedziałem.

– W takim razie?

– Może odeślemy woźnicę, póki jeszcze nie jest zbyt daleko, by trafił szybko na jakąś dorożkę, ja udam służącego i zajmę jego miejsce, a pani

postara się wyglądać jakoś inaczej i przedstawić jako ktoś zupełnie inny, kto pragnie opuścić Warszawę o tak wczesnej porze.

– Sprytnie. Nie wiem tylko, w jaki sposób miałabym się nagle przedzierać w kogoś innego.

– Zasłoni pani twarz chustą i będzie się starała trzymać lampkę za sobą, tak by rzucała cień na panią.

– Spróbuję.

– Na wszelki wypadek damy kilka dukatów więcej służbie rogatekowej. Ludzie z tego oddziału raczej nie są zbyt dobrze opłacani.

– Rozumiem.

– I proszę postarać się, by pani głos brzmiał starzej. – Miał na końcu języka zupełnie inne słowo, ale dał sobie z tym spokój.

Nie odpowiedziała. Właściwie odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, że Edmund zamierza wysiąść z powozu. Może i zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa, ale jednocześnie przywoływał bardzo niestosowne uczucia i zaburzał normalne rozumowanie. Przy nim czuła się jakby lekko otumaniona. Był ostatnim człowiekiem, do którego chciała zwrócić się o pomoc, i ostatnim, którego myślała w ogóle spotkać, a świadomość, że stał się jedynym, na którego mogła teraz liczyć, nie dodawała otuchy. Prawdę mówiąc, jej grzeszne myśli starały się mimo przerażenia i powagi sytuacji przebić przez rozsądek, a każda z nich przybierała postać tego wcielonego diabła, kobieciarza i kusiciela.

Edmund rozluźnił wreszcie napięte mięśnie, kiedy bez przeszkód wyjechali z miasta i skierowali się na południowy wschód. Aurelia była kobietą, która zaburzała jego wewnętrzny świat... jeżeli dało się zaburzyć ten chaos, który w nim panował. Jeśli pominąć to, co działo się z jego ciałem, kiedy znajdowała się blisko, jak bumerang wracało poczucie zażenowania i winy. To przez nią zdradził kiedyś przyjaciela, a właśnie ją powierzył mu kuzyn w nadziei, że potraktuje Aurelię jak siostrę. Czuł się podwójnie skrepowany, skoro wiedział, że nawet tego słowa nie może dotrzymać. Owszem, pomoże jej, a przy okazji sam uratuje się z opresji, ale jakim cudem ma pozostać obojętny? Ze wszystkich kobiet, jakie spotkał w życiu, ta jedyna wywoływała w nim poczucie zagrożenia i niedosytu. Sam nie wiedział właściwie, co się z nim teraz działo. Funkcjonował niczym w półśnie i musiał włożyć wiele wysiłku w to, by się opanować.

Nie może dać jej tej satysfakcji i zacząć biegać za nią jak ci wszyscy głupcy. Boże! Jak ona to robiła? Mężczyźni niemal rzucali się do jej stóp

gotowi poświęcać majątki i swoje dobre imię. Tym razem okazało się to całkiem pożyteczne; powóz i para koni warte były kilku wyszeptanych czule słówek. A może nawet nie żadnych czułych słówek? Nawet do tego nie musiała się uciekać, przecież z niego wydobyla niegdyś informacje niczym wyszkolony szpieg, a wcale nie użyła swoich największych atutów. Może gdyby zmusiła go do mówienia pochlebstwami i typowo kobiecymi zagrywkami... Nie, nie może nawet sobie tego wyobrazić!

Pamiętał, jak przed kilkoma laty opętała jego przyjaciela. W okamgnieniu z radosnego, bezpardonowego chłopaka stał się zakochanym, bezmyślnym idiotą. Wielu jego kamratów ganiało za nią, od kiedy pojawiła się na salonach, kilku stoczyło nawet pojedynki, o których ta ślicznotka nie miała pojęcia. A te zawody, kto pierwszy posiadzie jej pukiel włosów, o których krzyczała cała Warszawa?! Żenada!

Zastanawiał się, czy ludzie markiza odnaleźli tunel, a jeśli nie, to czy domyślili się, że zdołał zbiec już z miasta... Być może nadal przeszukują okolicę.

Wtargnięcie wdowy po hrabim Platerze nie okazało się negatywną okolicznością. Oczywiście jeśli pominąć fakt, że okazała się nią jedyna kobieta, której za wszelką cenę nie chciał w tej roli zobaczyć i która doprowadzała krew w jego żyłach do takiej temperatury, iż chwilami miał wrażenie, że zacznie parować wszystkimi otworami w jego ciele niczym w opowieści grozy, to okazało się to nawet przypadkiem zbawiennym w skutkach. Dzięki znajomościom Aurelii i temu, że sama z powodu jakiegoś niebezpieczeństwa chciała opuścić potajemnie miasto, mógł bez wykładania środków, których akurat nie posiadał, i bez użycia podstępów zdobyć potrzebny powóz i konie.

Spojrzał przed siebie na słabnące zwierzęta. Chyba nie przywykły do szybkich podróży, i to nocą. Nie dało się ukryć, że potrzebują odpoczynku. Jemu zresztą również by się teraz przydał. Jeśli ludzie wynajęci przez Wąsacza dostali rozkaz odnalezienia go i zlikwidowania, to musiał nawet tutaj mieć się na baczności. Nie miał pewności, czy markiz dotrzyma słowa i weźmie jedynie rezydencję, a jego puści wolno, mimo że dał mu odejść po tym, jak zastał go z rozkraczoną nad nim półnągą markizą. Zawsze uważał Wąsacza za honorowego człowieka. Nie wszyscy mężowie byli jednak liberalni w stosunku do kochanków swoich małżonek. Przez głowę przeszła mu nawet myśl, że może markiz pierwszą połowicę zabił w ataku furii po tym, jak odnalazł ich miłosne listy, ale przypomniał sobie, że zmarła

w wyniku zapalenia płuc. Markiz nie mógł wywołać u niej choroby, aż takiej mocy nie posiadał. Może nie chciał opłacić kosztownej kuracji albo wezwać odpowiedniego specjalisty, ale w to Edmund również wątpił.

Duża część mężczyzn po tym, jak żona spełniła swój obowiązek w postaci wydania na świat potomka płci męskiej, a najlepiej dwóch na wszelki wypadek, pozwalała jej żyć własnym życiem i znajdować sobie rozrywkę, gdziekolwiek tylko chciała. Sami również święci nie byli. Rozwiązłość i zepsucie wśród przedstawicieli arystokracji mieniących się kulturalnymi i porządnymi potrafiła wprawić w osłupienie nawet najgorszego rozpustnika. Pod przykrywką przyzwoitości potrafili urządzić przyjęcia w wiejskich rezydencjach, gdzie po zakończeniu oficjalnej części wszyscy przemykali pokrętnymi korytarzykami, by zorganizować sobie schadzki. Sam brał udział w niejednej, stąd wiedział doskonale, na czym to wszystko polegało.

Może nie był do końca zepsuty, ale z pewnością nie zamierzał udawać świętoszka ani nie próbował nikomu wmawiać, że zachowuje jakieś zasady. Uchodził za kobieciarza i hulakę i wcale mu to w niczym nie przeszkadzało. Jakby dobrze się zastanowił, to sława wyprzedzała jego czyny i często sam dawał powody do plotek zupełnie niesłusznych, nie dementował też tych, które już o nim rozsiewano. Czasami specjalnie wymyślał nowe awantury, żeby znaleźć się w centrum zainteresowania. Kilka lat temu nawet rywalizował pod tym względem z Robertem Ostrowskim, a kiedy ten zaręczył się właśnie z Aurelią i starał się wkroczyć na uczciwą ścieżkę, major robił wszystko, by go z niej zepchnąć. Może i nie było to honorowe postępowanie, ale jakim prawem ona całą winę za postęпки narzeczonego rzuciła wtedy na niego? Szczerze powiedziawszy, to nawet nie za bardzo się starał sprowadzać Roberta na manowce, on sam doskonale sobie z tym radził.

Zatrzymał konie na polance, do której dojechał leśną ścieżką. Zapamiętał ją z czasów, kiedy podróżował bez celu zaraz po powrocie z wojny. Niedaleko wypływał strumień, gdzie konie będą mogły się napić i poskubać trawę. Niestety nie zabrali ze sobą owsa ani niczego innego, czym mogliby je nakarmić. Może później w zajeździe wymienią je na nowe.

Wschód słońca zapowiadał się czerwonym pasmem światła na horyzoncie, kiedy Edmund wchodził do powozu z zamiarem przeprowadzenia poważnej rozmowy dotyczącej dalszych planów podróży ze swoją nową kuzyneczką. Ta jednak pochrapywała w najlepsze, siedząc w nienaturalnej pozycji, z głową zwisającą bezwładnie w powietrzu.

Oj, nabawi się bólu szyi jak nic – pomyślał i poprawił jej pozycję poprzez podłożenie pod kark poduszki. Ostrożnie odpiął z jej głowy kapelusik oplątany pajęczyną i wyciągnął kilka spinek w obawie, że powbijają się jej w skórę. Brązowe, gęste włosy rozsypały się niczym wodospad na ramiona i skórzane siedzenie powozu. Nie zdołał powstrzymać się przed ich pogłaskaniem.

Po paru minutach złapał się na tym, że – przyczajony obok śpiącej Aurelii – nadal wpatruje się w miękkie pasma jej loków i gładzi je delikatnie. Otrząsnął się z tego dziwnego zamroczenia, złożył wszystko na karb długiej i ciężkiej nocy. Przeniósł się na siedzenie naprzeciwko i rozsiadł wygodnie. Usiłował nie zasnąć, na wszelki wypadek.

– Panie Breza, panie Breza. – Dochodził do niego cichy głos. – Majorze!

– Co, co? – zapytał, gdy otwierał oczy. – Aurelia, kocha...

– Widzę, że się pan obudził!

– A, tak. – Poprawił się, gdy uświadomił sobie, że to jednak nie sen. Szybko dotarło do niego, gdzie są i co tutaj robią. – Dobrze się pani czuje? –

Przyjrzał się jej uważnie. Po płaszczu z pajęczynami nie było śladu, siedziała jedynie w sukience, a na głowie miała nowy kapelusik. Włosy związała w ciasny kok, który nie umniejszał jej uroku. Niech to! Po cóż on zwraca uwagę na takie szczegóły? – Jest pani głodna, spragniona...

– Owszem. Dlatego pana budzę. W chlebaku znalazłam plastry szynki, ser i całkiem świeże pieczywo. Nie mamy wprawdzie herbaty, ale woda powinna wystarczyć. – Wskazała ręką na rozpakowane jedzenie.

Zaskoczyła go. Nie spodziewał się, że wstanie przed nim i do tego wyszuka wszystko, czego trzeba do posiłku, włącznie z nożykiem, który można raczej było uznać za sztylet niż nóż do krojenia chleba, ale nie umniejszało to jego wartości.

Po całkiem przyzwoitym śniadaniu Edmund przeszukał rzeczy zostawione przez pana Puckiego i stałe wyposażenie powozu barona Rudeckiego. Z zadowoleniem uznał, że młody absztyfikant urodziwej wdowy zostawił im nabyty pistolet i zapas nabojów, a poza tym sztyletem jeszcze jeden malutki, przypominający raczej większą igłę niż narzędzie do obrony. Pucki dorzucił, jak obiecał, trochę pieniędzy. Może nie było tego dużo, lecz jakby dobrze zaplanować wydatki, to powinno wystarczyć na dotarcie do jego rodzinnego domu położonego w malowniczej wsi pod Ciechanowcem. Tylko czy powinni udać się właśnie tam? Aurelia pewnie zechce jechać do swojego stryja pod Łomżę...

Dziwne, że jeszcze tego nie przedyskutowali. Wyruszyli i skierowali się na południowy wschód, by zmylić przeciwnika, ale żadne słowem nie pisnęło o celu wyprawy. Hrabina mogła stracić jasność rozumowania przez to, że ktoś do niej strzelał i zmusił ją do opuszczenia własnego domu pod osłoną nocy w towarzystwie człowieka, któremu nigdy nie ufała i którego nawet nie darzyła szacunkiem. Znosiła to całkiem nieźle. Nie marudziła, nie narzekała na trudy podróży, brak wygod i tego typu rzeczy. Przemknęło mu nawet przez głowę, że właściwie jak tak dalej pójdzie, to zacznie ją chwalić w myślach i podziwiać z opuszczoną szczęką niczym ci wszyscy jej wierni adoratorzy. Musiał skupić uwagę na czymś innym, by nie myśleć o żonie swojego kuzyna – wprawdzie teraz już wdowie, ale to i tak rodzina.

Podobała mu się, od kiedy ją poznał, i to do tego stopnia, że sam przed sobą musiał udawać obojętność, by się nie zdradzić z tej słabości przed nikim, ale chyba nigdy świadomie nie kusiała jego ani nikogo innego. Choć – przypomniał sobie – wspominała coś o treści anonimu, w którym oskarżano ją o spotkania z kochankiem. Nie pamiętał dokładnie. Zbyt dużo wypił i zbyt wielkie wrażenie na nim wywarła, kiedy zjawiała się tamtego wieczoru niczym duch przeszłości w dość krytycznym momencie jego życia.

On również nie należał do brzydkich, wprost przeciwnie, przed laty rywalizował z Robertem Ostrowskim o tytuł najprzystojniejszego oficera, a później nadal zajmował miejsce w ścisłej czołówce, przynajmniej tak donosiły plotkarskie periodyki i tak wynikało z zapisków w dziennikach w najbardziej elitarnych klubach. Można spokojnie stwierdzić, że był przystojnym mężczyzną, potwierdzało to przecież stałe zainteresowanie kobiet. Ostatnimi czasy nabierał jednak przekonania, że nie tylko wygląd czy czar i wdzięk, ale również reputacja zwabiały do jego łóżka kolejne kochanki. Z reguły zostawały nimi zameżne kobiety łaknące odrobiny przyjemności, której nie odnalazły w pożyciu małżeńskim. Mógł przebierać w nich jak w ulęgałkach. Nie robił tego jednak, przynajmniej przez ostatnie dwa lata. Choć flirtował, pocieszał, komplementował, czasami niemal uwodził wiele dam, do sypialni zapraszał najczęściej wdowy.

Gdyby się nad tym dobrze zastanowić, to mimo że opinia nadal wyprzedzała go o krok, a wiele kobiet opowiadało o jego umiejętnościach jedynie na podstawie krótkich epizodów, to po tamtej pamiętnej nocy naprawdę zaczął zachowywać się zdecydowanie bardziej powściągliwie, przynajmniej jak na jego standardy.

Czy ona mogła mieć z tym cokolwiek wspólnego? Myślał o niej stale, choć często z długimi przerwami, ale czy samo wspomnienie jej osoby miało moc tak go ograniczyć, tak zrehabilitować, tak wyprostować? A może zwyczajnie zaczął się starzeć? Nie! To niemożliwe. On, złotowłosy anioł o posturze mitycznego herosa, za którym kobiety wypłakiwały oczy, miałby wychodzić z formy?

Dopiero nie tak dawno... No, może już kilka lat minęło, od kiedy przekroczył trzydziestkę. To wiek niemal początku drogi dla prawdziwego mężczyzny. Czyżby przez swoje hulaszczcze życie, które prowadził od rozpoczęcia studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, wyeksploatował się, jak – nie przymierzając – koń zaprzęgowy?

– Nie zapytał pan nawet, czy podejrzewam, kto może mnie ścigać. – Aurelia odezwała się nad głową majora, czym wyrwała go z zamyślenia.

– Rzeczywiście, sama pani jednak powiedziała, że była dla wszystkich uprzejma. Zakładam więc, że nie ma pani pojęcia.

– W zasadzie to ma pan rację.

– Och, dziękuję. – Skłonił się niczym aktor po udanym występie.

– Ale nie chce pan wiedzieć, czy czegoś się domyślam? Wczoraj zadał mi pan to pytanie, zanim zaczęto do nas strzelać.

– Owszem.

– To jest pan ciekaw czy nie?! – Nie udało się jej zachować spokoju. Dlaczego ten człowiek wydobywa z niej najgorsze cechy? Do licha, robił to specjalnie.

– Szczerze powiedziawszy, to najbardziej interesuje mnie, co zrobimy teraz. Istnieje możliwość, że ktoś podąża naszym tropem. Wyjazd z Warszawy jedynie zwiększył dystans między nami a tymi, którzy strzelali. To, z jakiego powodu to czynią, w zasadzie nie ma większego znaczenia.

– Taki z pana specjalista? – Zdenerwowała się.

– Cóż – burknął tym swoim zmysłowym głosem, unosząc arogancko jedną brew.

Gdyby wiedziała, przed kim tak naprawdę uciekają, to nie dociekałaby niczego, tylko wsiadła w najbliższą karetkę podróżną do Łomży i udała się do majątku stryja – pomyślał. Nie mógł jednak pozwolić, by podróżowała samotnie, to już samo w sobie stanowiło niebezpieczeństwo, a poza tym nie potrafił sobie odmówić przyjemności podziwiania jej, nawet jeśli miałoby go to kosztować jeszcze więcej wysiłku wkładanego w trzymanie emocji na wodzy, a później doprowadzić do obłędu na wspomnienie ostrości jej

charakteru i piękna kobiecego ciała – tym razem o wiele bardziej realistycznego.

– W takim razie nic już nie wspomnę o belladonna, uszkodzonym siodle, przepiłowanej balustradzie, zakrwawionych rękawiczkach i niemal zasztyletowanym człowieku, który wcześniej próbował mnie uwieść.

Wyprostował się, nastawił uszu i z każdym kolejnym słowem coraz szerzej otwierał oczy.

– Jak pan grzecznie poprosi, to może zmienię zdanie, a teraz zgodnie z przyrzeczeniem danym mojemu mężowi proszę się mną zająć, jak należy, i odwieźć bezpiecznie do rodziny.

Zaraz. Co ona powiedziała? Wyteżył pamięć: „Zająć się, jak należy”? Przełknął głośno ślinę i odwróciwszy się, podbiegł do rzeki, zaczerpnął obiema dłońmi wody i opłukał twarz. Jak tak dalej pójdzie, to zacznie żałować, że wykorzystał jej problemy, by samemu uciec z miasta. A to przecież żona jego kuzyna. Kuzynka! I była narzeczona przyjaciela! Nie może o niej w ten sposób myśleć. Jakby nie robił tego od lat...

Aurelia oparła się o poduszki i zaczęła sprzątać resztki po ich wspólnym posiłku. Breza to jednak dziwny człowiek. Kiedy nie zwracała uwagi na jego przystojną twarz i nienaganną postawę, a do tego zapominała, że jest kuzynem jej męża i człowiekiem o jednej z najgorszych reputacji wśród mężczyzn, to nawet zaczynała go lubić. Droczył się z nią, ale wyglądał na zagubionego. Na kogoś, kto sam ma problemy i stoi na rozdrożu. W pewnym sensie trochę mu współczuła.

W zasadzie to niewiele o nim wiedziała – poza opinią, którą wyrobiła sobie na jego temat już dawno temu. Fakt, że szalenie ją pociągał i to jego postać zawsze przybierały jej wyobrażenia o idealnym... Na miłość boską, nie mogło jej przejść przez myśl słowo, które najlepiej oddawało to, jaką rolę odgrywał w jej wyobraźni.

Musiała szybko przywołać się do porządku. Przecież nie należała do kobiet, którymi targają tego typu niskie emocje. Nie była z kamienia, zdarzyło się jej czasem pokazać pazurki, ale zawsze podchodziła z rezerwą do mężczyzn. W końcu została zraniona i to niejednokrotnie. Gdyby jeszcze do tego doszły inne, bardziej skomplikowane uczucia poza własną dumą, to teraz czułaby się poraniona i zgorzkniała jak wiele jej przyjaciółek i – poniekąd – matka.

– Co zamierza pan zrobić? – spytała go, kiedy wrócił.

– Wyruszymy na północny wschód, będziemy jechać tak długo, jak długo wytrzymają konie, potem wymienimy je w jakimś zajeździe, gdzie mam zamiar się wyspać, zjeść coś, a następnie wznowimy podróż.

– Wyspać?

– Nocleg w powozie może być niebezpieczny, a musimy nadłożyć drogi. Zatrzymamy się w którymś zajeździe. Konie nie mogą jechać cały dzień, musimy robić przerwy, ale wieczorem dotrzemy do porządnego miejsca. Obiecuję.

– Stać nas na wynajem dwóch pokoi?

– Nie możemy aż tak szastać pieniędzmi. Poza tym najprościej będzie uniknąć tłumaczeń i podać się za małżeństwo, nie uważa pani?

– Żartuje pan, prawda?

– Ani trochę.

– Jak pan to sobie wyobraża?! – Oburzyła się.

– Normalnie. Chyba nie jest pani delikatną panienką. Rozumiem, że jako mężatka musiała pani spędzić przynajmniej jedną noc z mężczyzną.

– Owszem, ale to coś zupełnie innego. Pan nie jest przecież moim mężem i na dziecko też raczej nie wygląda.

– Czyżby bała się pani, że nie zdoła się opanować i rzuci na mnie jak wygłodniała wrona?

– Jak pan śmie?! – Zaczerwieniła się niczym pensjonarka.

– Żartuję sobie. Jestem pociągający i to prawda, że kobiety nie są w stanie utrzymać rąk przy sobie w mojej obecności – znów czynił drobne aluzje do jej sławetnego wybuchu w Pałacu Radziwiłłów – jednak pani jest ponad to, nawet jak na tak długi okres postu, nieprawdaż? – Puścił do niej oko.

– Jeśli pan wyobraża sobie, że będę w jakikolwiek sposób zabiegać o jego uwagę, to się grubo myli! To, że jestem wdową, nie oznacza, że cierpię z powodu braku mężczyzn.

– O, tego nie powiedziałem! – Zezłościł się, gdy przypomniał sobie uwielbienie w oczach młodego barona i jego tustawego przyjaciela.

– Niech pan nie będzie grubiański!

– To pani niech się zdecyduje, czy chce uchodzić za niewiniątko, czy za kobietę wyzwoloną, bo zaczynam się gubić.

Dlaczego w ogóle to powiedział?

– Dobrze już. – Uspokoila jego i siebie. – Niech będzie wspólny pokój. Radzę jednak trzymać ręce przy sobie. Znam pana możliwości. Nie życzę

sobie opędzać się przez całą noc od pana umizgów, tylko porządnie wyspać, a o pana poczynaniach krążą już legendy.

– Nie zaprzeczam, że to jedynie część tego, co miało miejsce w rzeczywistości. – Prowokował nadal. – Ale kuzynek nie dotykam. Każdy ma jakieś zasady, hrabino. – Odgryzł się jej za to, że z góry założyła, że będzie się od niego opędzać niczym od wstrętnej muchy. Żadna kobieta tak go nie potraktowała.

Czyżby właśnie ją odtrącił? – myślała urażona. Mimo że nawet nie próbowała się o niego starać? Poczula się jakoś dziwnie. Wiedziała, że na mężczyznach jej uroda robiła wrażenie, dlaczego zatem w tym przypadku było inaczej?

10.

Zajazd pod Choroszczą

Aurelia leżała przebrana w bawełnianą koszulę zawiązywaną troczkami pod szyją, z włosami obleczonymi siateczką, by nie rozsypywały się po całym łóżku niczym zagubione na wietrze pajęczynki babiego lata. Późnym wieczorem dotarli do zajazdu nieopodal miejscowości Choroszcz, jakieś siedemdziesiąt kilometrów na wschód od Wiśniowego Dworu (w jej mniemaniu miejsca docelowego). Edmund dał jej spokojnie przygotować się do snu i wszedł do pokoju dopiero wówczas, gdy poinformowała go, że już leży szczelnie okryta kołdrą. Wiedziała, że kiedy ona brała kąpiel w niewielkiej wanience przygotowanej przez właścicielkę zajazdu, on skorzystał z rzeki, bo zanim odprowadził ją bezpiecznie pod drzwi pokoju, prosił gospodynię o ręcznik i pytał, gdzie mógłby popływać tak, by nie narażać się na niewygodne pytania przy przekraczaniu granicy⁸.

⁸ Od 1807 roku Narew w okolicach Choroszczy stała się rzeką graniczną między Księstwem Warszawskim (od 1815 roku Królestwem Polskim) a obwodem białostockim wcielonym bezpośrednio do Imperium Rosyjskiego.

Sądziła, że położy się obok niej i... w sumie to nie wiedziała, co zrobi, ale nie spodziewała się, że będzie myszkował w jej rzeczach leżących na stoliku obok misy z wodą.

– Mogę wiedzieć, co pan robi? – zapytała, gdy usłyszała, jak wyjmuje coś z jej torebki.

Odpowiedziało jej ciche szeleszczenie.

– Majorze?

– Tak, to ja – burknął niewyraźnie. Następnie splunął i powiedział głośniej: – Myłem zęby. Ma pani całkiem wygodną szczoteczkę.

– Co?! Kto panu na to pozwolił?

– Oj, niech pani nie będzie taka małostkowa. To niemal jak pocałunek. Może pani potraktować to jako miły gest z mojej strony, i to bez użycia rąk.

– Wytarł się bezczelnie w jej ręcznik, zdjął koszulę i w samych tylko kalesonach położył się obok niej.

– Chyba nie zamierza pan spać nago?

– Nie. W końcu zostawiłem dół. – Przeczesał gęste wilgotne włosy dłonią.

– Ale mogę go zdjąć, jeśli pani tak bardzo przeszkadza.

– Boże broń! – Okryła się jeszcze szczelniej kołdrą, choć wcale nie było jej zimno.

– To proszę nie udawać dziewicy i nie tracić przytomności na widok męskiego torsu. – Wypiął się i pogładził po klatce piersiowej.

Nie potrafiła oprzeć się pokusie i podążyła wzrokiem za jego dłonią. Udawała oczywiście, że ma przymknięte powieki, ale oboje wiedzieli, że go podgląda zasłonięta firanką ciemnych rzęs. Jasny, perfekcyjnie wyrzeźbiony korpus, niczym w rycerskiej zbroi, lśnił wilgotny i idealnie gładki. Nie miał owłosienia. Dziwne. Jej mąż był pokryty włosami nie tylko na brzuchu, klatce, ale także na ramionach i plecach. W zasadzie to wyglądał niemal jak mała; zaśmiała się na wspomnienie własnego zaskoczenia, kiedy ujrzała go po raz pierwszy w całej okazałości. Edmund Breza nie przypominał małpy. Nie miała nic przeciwko owłosionym torsom, w sumie nawet jej się podobały, ale ta odmiana... ten ją po prostu zachwyił.

Przeniosła wzrok na leżące tuż obok niej ramię. Składało się z pagórków i dolin twardych mięśni. Nie było potężne; miało jednak tak idealną linię, tak niezwykle męskie zarysy, że ledwo potrafiła utrzymać w ryzach swój oddech. Wyglądał zachwycająco, oszałamiająco, uwodzicielsko i nieludzko nieprzyzwoicie. Boże, miała ochotę go... polizać. O czym ona myśli?! Nigdy nie była taka, taka... wyuzdana. Co się z nią działo?

Prześlizgnęła się wzrokiem niżej, po wgłębieniach i wypukłościach w kształcie wyraźnie twardych, poziomych wałeczków, do pępka, poniżej którego... O, tam już były włoski. Dlaczego nadal na niego patrzy? I czemu zrobiło się jej tak gorąco, a w gardle wyszło zupełnie, tak że nawet nie miała czego przełknąć, tylko na sucho miała językiem jak jakaś krowa?

W najskrytszych marzeniach, w najbardziej osobistych fantazjach i głębokich snach nie wyobrażała sobie, że mężczyzna może być tak pociągający. Nigdy dotąd nie straciła dla żadnego głowy, nigdy w nawet najbardziej romantycznym otoczeniu nie inicjowała zbliżenia pod jakąkolwiek postacią, nigdy nie przekroczyła jasno ustalonej granicy dla porządnym kobiet. Nigdy! Dlaczego więc teraz jedyne, o czym myśli, to rzucenie się na niego i... Mogła mieć tylko nadzieję, że ciemność nie pozwala mu dostrzec jej reakcji.

Pogładził się po pępku i zaczął nachylać w jej stronę. Litości! Jednym gestem zakryła głowę kołdrą. Zaśmiał się, położył obok i wyciągnął na całą długość łóżka. Był dość wysokim mężczyzną i ważył swoje mimo pozornej szczupłości, bo materac zapiszcział, a ona lekko podskoczyła. Teraz będzie się z niej naigrywał do końca tej całej podróży. Co za wstyd! Co za hańba! Jak on mógł? Miała ochotę zniknąć. Nie zrobił niczego, a udowodnił, że ma

na nią tak niezwykle wpływ – a to przecież ona była dotąd powodem tego typu stanów.

Długo nie mogła zasnąć, wsłuchiwała się tylko w jego miarowy oddech; zbyt zawstydzona i nadto podniecona, żeby uspokoić umysł. Leżała bez ruchu okręcona kołdrą na samym skraju łóżka, podczas gdy on rozłożył się wygodnie i nawet jej nie dotknął. W końcu pozostawiła mu mnóstwo miejsca. Czuła się zawstydzona, rozzłoszczona, a jednocześnie w jakiś nieokreślony sposób pobudzona. Teraz nawet go nie widziała, ale dochodził do niej unoszący się w powietrzu zapach jego czystej skóry. Męski, pociągający... On jednak w najlepsze spał, zupełnie nieprzejęty tym, że ją w jednej chwili i upokorzył, i rozbudził. Musi zachować resztki godności i udawać, że całe to zajście w ogóle się nie wydarzyło. Od jutra to ona będzie tą, która rozdaje karty. Od jutra.

Edmund zerwał się o świcie, ubrał w pośpiechu i wyszedł. Pozostawił jej wolny pokój, by mogła się doprowadzić do porządku. Uwierała go troszkę świadomość wczorajszego niewłaściwego zachowania, ale z drugiej strony ten mały przytyk był niczym w porównaniu z ogromem poczucia winy, jaki ona w nim wywołała, i to na długie miesiące. Właściwie to ciągle czuł się zdrajcą i nie potrafił pogodzić z faktem, że dał się jej tak łatwo podejść i rozbroić bez walki.

Była nie tylko jego kuzynką – przynajmniej tak starał się z mniejszym czy większym powodzeniem o niej myśleć – ale także zmorą z jego przeszłości, kobietą, której w żaden sposób nie mógł wyrzucić ze swoich myśli i marzeń, mimo że naprawdę bardzo się starał. Miał jej za złe to, że tak mu się podobała, że tak go intrygowała, złościła i inspirowała. Przez te wszystkie lata, zanim została narzeczoną Roberta, kiedy tak naprawdę nie mieli okazji, by się do siebie zbliżyć, zawsze ją obserwował, podziwiał i poznawał z daleka. Wtedy w kościele, kiedy wymusił na niej pocałunek, doskonale wiedział, że broniła się tylko ze względu na swoje dobre wychowanie. Jej ciało topniało w jego uścisku niczym woskowa świeca. Wyczuł, jak drży, jak przylega do niego całą sobą i jak przysuwa twarz, by jego wargi dotknęły nie tylko policzka, ale i kącika jej ust. Potem oprzytomniała i odepchnęła go z impetem, ale sama musiała przyznać, że chciała czegoś więcej.

Unikał jej może dlatego, że było to dla niego zbyt trudne, nadto skomplikowane, a on nie znosił komplikacji. Nie lubił wysiłku, zaangażowania, a Aurelia należała do kobiet, z którą jeśli zacząłby się

wiązać, to wyłącznie na stałe. Inne możliwości w tym przypadku nie istniały!

Teraz jednak trochę czasu minęło, oboje się zmienili i ich pozycje społeczne nie były już takie jak dawniej. On okazał się hazardzistą i bankrutem, któremu ojciec już dawno groził wydziedziczeniem, mimo że oznaczałoby to przerwanie linii rodu Brezów, a posiadłości przeszłyby w ręce kuzyna.

Jeszcze kilka lat wcześniej był młodszym synem, który nie liczył na odziedziczenie tytułu, dlatego mógł postępować tak, jak postępował, wiedząc, że nie obowiązują go zasady związane z objęciem patronatu nad wieloma osobami i nieruchomościami. Wcześniej zaciągnął się do armii, gdzie dzięki własnym umiejętnościom awansował i pomnażał majątek. Fakt faktem, że miał trochę szczęścia, bo oficerowie ginęli na tej wojnie jak muchy, ale gdyby był nieudolny, to nie zyskałby szacunku wśród podwładnych i marnie skończył z przestreloną głową lub poderżniętym gardłem. On jednak wyszedł ze wszystkich opresji niemal cało. Na nosie został mu niewielki garbek po złamaniu, a na ramionach i boku podłużne białe blizny po szabli. Nie trafiła go ani jedna kula, ani jeden odłamek. W zasadzie to gdyby nie uwiódł żony pewnego generała, lub raczej nie uległ jej prośbom o umilenie samotnego wieczoru, to awansowałby jeszcze wyżej.

Jak to się stało, że nie skojarzył faktów i nie zorientował się, że panna Aurelia Strzelecka i hrabina Plater to ta sama osoba? Kuzyn wychwalał pod niebiosa jej czar, słodycz i urodę. Ślub i śmierć małżonka Aurelii zbiegały się również w czasie i wszystko pasowało idealnie. Czy był na tyle ślepy i głupi, czy zwyczajnie nie chciał dostrzec tego, co stawało się oczywiste? Gdyby się wysilił choć odrobinę, natychmiast doszedłby do wniosku, kto poślubił jego bogatego kuzyna.

Zastanawiał się, czy stary Mateusz i jego młoda małżonka... Nie! Boże Świąty, nie! O tym nawet nie chciał myśleć. Zrobiło mu się niedobrze. Nie powinno, bo przecież nie należała do niego, ale uczucie rozdrażnienia i osłabienia pozostało. W końcu oni zostali małżeństwem. Do ciężkiej cholery, mieli do tego prawo! Nie mógł ich potępić, jakby sam był w tym czasie mnichem żyjącym w celibacie.

Aurelia przeciągnęła się, gdy usłyszała pukanie dziewczyny pracującej w zajeździe, która przyszła pomóc jej się ubrać. Podziękowała jej, gdy zorientowała się, że ma najszczerze chęci, ale Marianna zapakowała na tę podróż suknię zapinaną z przodu, którą bez problemu jej pani mogła założyć

sama. Chciała zrezygnować z ciasnego gorsetu, ale ponieważ nie miała miejsca na wciśnięcie go do bagażu, związała go jedynie tak, by się trzymał. Zgodziła się na ułożenie wysokiego, wygodnego koka, który miał być praktyczny, gdy już kobieta znajdzie się w powozie w drodze do celu.

Nie mogła uwierzyć, że tak szybko i spokojnie zasnęła mimo burzy uczuć i ujadania psów z pobliskiej psiarni należącej do rodu Branickich⁹. Nawet w obecności Edmunda odpłynęła w sen niczym małe dziecko. Dziwne, zwłaszcza że rozum nakazywał zachować czujność w jego obecności... Coś jednak skłaniało ją do tego, by mu zaufała. Wbrew beczelnemu sposobowi bycia dostrzegła w nim coś, co sprawiało, że nie wydawał się niebezpieczny. Może dzięki temu był tak popularny wśród kobiet? Ach! Zezłościła się na tę myśl. Wczoraj pokazał jej, jak bardzo wielki ma wpływ na każdą, nawet na nią. Dziś jednak nastał nowy dzień. Będzie twarda niczym skała i skupi się na tym, by uniknąć niebezpieczeństw i dotrzeć do rodziny, tam otrzyma pomoc i rozwiązanie sytuacji z napadem, jeśli nie zabójstwem hrabiego Olechowskiego.

⁹ Polski ród magnacki herbu Gryf, właściciele m.in. rezydencji w Białymstoku i Choroszczu oraz pałacu w Warszawie przy ulicy Miodowej.

Boże, miała nadzieję, że Olechowski przeżył i wraca do zdrowia, bo jeśli nie, to szantażysta skieruje na nią oskarżenie o zabójstwo, a wtedy... Och, woląла nawet o tym nie myśleć. W końcu stryj na pewno coś temu zaradzi, ale najpierw musi przecież pokazać listy.

Listy! Marianna wysłała je w szkatułce razem z biżuterią Małgorzacie, do posiadłości Wigurów. To tam, a nie do majątku stryja, należałoby się teraz udać. Bez listów nie będzie w stanie niczego udowodnić. Musi powiedzieć Edmundowi o zmianie planów. Choć jak się dobrze zastanowić, to nie mieli żadnych planów. Założyła sobie, że odwiezie ją do majątku stryja jakąś okrężną drogą, ale czy on zamierzał tak uczynić?

– Panie Breza – zaczęła po jakiejś godzinie, kiedy siedzieli obok siebie na koźle powozu kierującego się na zachód. – Nie uzgodniliśmy celu naszej wspólnej podróży.

– Aha – mruknął i rozejrzał się na boki, jakby nie zwracał na nią większej uwagi.

– Czy pan mnie w ogóle słucha?!

– Słucham, ale widzi pani, że zaczęło padać, a wiatr wieje coraz silniej i muszę uważnie patrzeć, czy jakaś gałąź nie spada nam akurat na dach. Wjechaliśmy na trakt otoczony starymi drzewami, to w taką pogodę bardzo niebezpieczne. Może odłożymy rozmowę na bardziej sprzyjające

okoliczności? – Pociągnął za lejce, zauważywszy dyndający przed nimi wielki konar.

– Dobrze, w takim razie proszę się skupić na drodze, wrócimy do tego, jak już wyjedzie pan z tego miejsca.

– Dziękuję uprzejmie.

Nie był chyba w zbyt dobrym humorze. Jechał w milczeniu, rozglądał się na boki. Nagle zagrzmiało i łupnęło coś bardzo blisko nich. Aurelia aż podskoczyła, ale dzielnie udawała, że wcale się nie boi. Edmund, jakby chciał się zrehabilitować, przysunął się bliżej i oparł lekko o nią.

– Jeśli pani chce, to może przesiąść się do środka. Tam przynajmniej nie będzie padać.

– Nie. Nie trzeba.

– Tu niedaleko powinna być niewielka jaskinia. Gdyby udało się nam tam dotrzeć, moglibyśmy przeczekać burzę, bo nie wygląda na to, by miała szybko ustąpić, a nie chcę narażać ani nas, ani koni.

Po dziesięciu minutach lekko przemoczeni dotarli do małej groty skalnej położonej w pobliżu drogi łączącej Stare Jeżewo z Tykocinem. Edmund wyprzągnął konie, wprowadził je do środka w pobliżu wejścia, a sam przeniósł się z Aurelią głębiej. Wydobył z chlebaka, który zabrał z powozu, krzemienie i skorzystał z gałązek ułożonych w stosik, znajdujących się we wnętrzu jaskini. Ktoś wcześniej musiał zostawić tu resztkę drewna, którego nie spalił, i dobrze, bo teraz im się przyda.

Aurelia przysiadła na niewielkim kamieniu i przyglądała się poczynaniom majora. Sprawnie uporządkował krąg mniejszych kamyków, który służył jako otoczka paleniska, i wzniecił niewielki ogień. Z początku pomyślała, że dym rozejdzie się na boki i zacznie szczypać ją w oczy, ale jakimś sposobem ulotnił się do góry, przesunął do wyjścia, mogła więc swobodnie oddychać i cieszyć się przyjemnym ciepłem, jakie dawał płomień.

– Może powinna pani zdjąć przynajmniej jedną warstwę ubrania i ją osuszyć przy ognisku? Chyba że chce się pani zaziębić i rozchorować.

– Nie chcę, ale nie przemokłam na tyle, by się przed panem rozbierać. Zgaduję, że sprawiłoby to panu zbyt wielką przyjemność. – Odgryzła się za wczorajszy wieczór.

– Czyżby?

A niech go! Nawet teraz to on ją zawstydził.

– Ja jednak skorzystam z dobrodziejstw ogniska i wysuszę przynajmniej kontusz. Rękawy przemokły mi zupełnie.

W zajeździe przehandlował swój strój na ubranie jakiegoś miejscowego szlachcica. Zdjął kontusz i został w cienkim żupanie, choć już samo to wydawało się co najmniej niestosowne, zważywszy że wyglądał w tym stroju niezwykle męsko i wprost doskonale. Drań! Przygryzła dolną wargę, by opanować jej drżenie. Czemu, do licha, nie może zapanować nad swoimi emocjami?!

– Może jednak i ja rozluźnię nieco sztywny strój – zachrypiała, po czym dzielnie odchrząknęła i zabrała się do zdejmowania peleryny. Rozluźniła troczki i rozłożyła materiał obok siebie, by powoli wysechł, a następnie wyprostowała się i dumnie usiadła z powrotem na kamieniu.

– Może pomóc pani z suknią? Zdaje się, że jej rękawy także przemokły.

– Jakby pan nie zauważył, guziki mam z przodu. Nie uważa mnie pan chyba za taką niezdare, żebym nie potrafiła sobie z nimi poradzić – dodała zadowolona z siebie, po czym zdjęła jedynie rękawiczki.

– Może i tak, ale z mojej pomocy byłaby pani na pewno zadowolona. Jeszcze żadna kobieta nie narzekała, gdy rozpinałem jej suknię.

– Nie wątpię. – Znów zyskał przewagę. Dlaczego lubował się w dokuczaniu jej? Czy to było aż takie zabawne?

Nie wiedział, dlaczego ją draźnił. Siedziała zziębnięta w małej grocie, udawała, że nie robi to na niej wrażenia, i za wszelką cenę zachowywała się tak, jak na prawdziwą damę przystało. Jakaś część jego osobowości miała ochotę wydobyć z niej kocicę, którą pokazała mu tamtej karnawałowej nocy. To jej oblicze doprowadzało go niemal do pasji, nawiedzało w prawie każdym śnie w ostatnich miesiącach. Domyślał się, że musiało być jej prawdziwym, może jednym z wielu, ale tym zarezerwowanym jedynie dla niego.

– Wydaje mi się czy pan usilnie stara się mnie sprowokować?

Rozgryzła go. Inteligentnie i uprzejmie. Spryciara – pomyślał.

– A czy udaje mi się ten cel osiągnąć?

– Nieudolnie.

– Szkoda. – Westchnął. – W powozie chciała pani o czymś porozmawiać.

– Zgadza się – przyznała uprzejmie i spokojnie zaczęła wyjaśniać. –

Ponieważ resztę listów z pogrózkami służąca omyłkowo przekazała mojej siostrze, to zanim pojedę do stryja, chciałabym odzyskać tę przesyłkę. Z pewnością karetki pocztowe dojeżdżają do celów znacznie szybciej niż pojazdy prywatne i przejęcie przesyłki w drodze nie wchodzi w rachubę.

– Zdaje sobie pani sprawę z tego, że mamy bardzo ograniczony budżet? Mieliśmy jechać pod Łomżę, a nie krążyć po kraju w poszukiwaniu siostry.

– Żartuje pan sobie?!

– Nie. Obiecałem panią bezpiecznie dostarczyć i tego się będę trzymał. Wycieczki krajoznawcze proszę sobie zostawić na inną okazję.

Miała ochotę nim potrząsnąć. Co najmniej! Była jednak zbyt dobrze wychowana i obiecała sobie więc nie tracić przy nim opanowania.

– Zaczynam naprawdę żałować, że zwróciłam się do pana o pomoc. Zawsze uważałam pana za wstrętnego, męskiego...

– Proszę się nie krępować. – Zmrużył powieki.

– Nie mam zamiaru zniżać się do pana poziomu. Oboje doskonale znamy pana historię – powiedziała na jednym wydechu.

– Czyżby śledziła pani moje poczynania?

– Nietrudno ich nie śledzić. Wszystkie brukowce stale o panu wspominają, a stare kokietki nie plotkują o nikim innym jak tylko o anielskolicym przystojniaku zapewniającym im coraz to nowe uciechy.

– Przystojniaku? Uważa mnie pani za przystojnego? – zaszydził.

– Niech się pan tak nie chełpi. Powtórzyłam jedynie opinię innych.

– A z pani to niby taka święta... krowa?

– Słucham? – Oburzyła się.

– Co, może te liściki nie pochodzą od jakiegoś starego lubieżnika, którego pani omamiła, wykorzystwała i porzuciła dla kolejnego? Ganiają za panią tabunami, nie patrzą nawet na to, co myślą ich żony.

– Jak pan tak może?! Dobrze pan wie, że jestem porządną kobietą. Myśli pan, że jak przypisze mi swoje cechy, to będziemy kwita, bo pan się przy mnie wybieli? – Bezwiednie podniosła dłoń do ust i przygryzła paznokiec.

– Nie doprowadzić sprawy do końca, a jej nie rozpocząć to dwie zupełnie inne historie.

– Co pan insynuuje?

– Przecież nic. Sama pani mówiła, że jest zupełnie niewinna. Co taki lubieżnik jak ja mógłby o tym wiedzieć? Chyba pani nie uraziłem?

Teraz to już przesadził. Ubodło ją to, jak ją potraktował. Spróbowała inaczej. Rola skrzywdzonego biedactwa zawsze wychodziła jej bezbłędnie. Miała ku temu wszelkie warunki. Pociągnęła nosem, przymrużając powieki.

– A nie zastanowił się pan choćby przez chwilę, że insynuacje, jakobym miała wodzić na pokuszenie wszystkich żonatych arystokratów Warszawy, można by uznać co najmniej za grubiaństwo?

Spojrzał na nią rozbawiony widokiem jej zmarszczonego noska i ust układających się w dzióbek. Chyba się domyślił, że go kokietowała.

– Zakłada pani, że zależy mi jakoś szczególnie na jej opinii? – Zapewne postanowił dać jej kolejną nauczkę.

Otworzyła szerzej usta ze zdziwienia i cofnęła palec, który sam już kierował się na spotkanie z zębami. Jeszcze nikt nigdy jej tak bezczelnie nie zlekceważył. Cóż za okropny człowiek!

– Zostawię panią na chwilę z tą myślą.

Wstał, otrzepał spodnie i narzuciwszy kontusz, wyszedł na zewnątrz, gdzie burza dobiegała końca.

Aurelia odwróciła się tyłem do wyjścia i zaczęła poprawiać garderobę, gdyż przewidywała, że za chwilę będą musieli stąd wychodzić. Nadal nie była pewna, dlaczego się z nim pokłóciła. Dobrze, że udało się jej nie krzyczeć i pozostać na miejscu. Od zawsze tak na nią działał. Im częściej się przekonywała, co z niego za człowiek i jak zły wpływ wywiera na innych, tym bardziej miała ochotę go udusić. Nigdy nie udawała nawet, że go jakoś szczególnie lubi, choć w towarzystwie była dla niego niezwykle uprzejma, jak zresztą dla każdego.

Oczywiście, że się jej podobał. Trudno, żeby tak przystojny mężczyzna pozostał jej zupełnie obojętny. Na długo przed tym, kiedy Robert Ostrowski, jego najlepszy przyjaciel, zaczął starać się o jej względy, często trafiała na młodego Brezę. Właściwie to jej matka sugerowała zawsze, że nie nadaje się na konkurenta do jej ręki, zapobiegawczo, zanim cokolwiek mogła sobie o nim pomyśleć. Był młodszym synem, bez tytułu, bez majątku; żołnierzem o nieciekawej reputacji, hazardzistą i kobieciarzem. Nie miał widoku na przyszłość ani nie nadawał się na dobrego kandydata do małżeństwa, a ono było przecież jej życiowym celem. Przynajmniej to jej wpajano, od kiedy wyrosła z zabaw lalkami.

Nawet jeśli zwracała na niego uwagę, to wyłącznie dlatego, że szalenie ją pociągał, czego sama przed sobą nie chciała przyznać, i do tego stanowił dla niej poniekąd zakazany owoc. Właśnie! Olśniło ją. Może to określało przyczynę jednoczesnej irytacji i fascynacji, jakie wywoływała w niej jego osoba. Pewnie gdyby był jakimś porządnym pierwszym synem, to zanudziłby ją na śmierć, podobnie jak pozostali mężczyźni.

Wiedziała, że to nieprawda; przynajmniej nie cała. Nie mogła jednak myśleć o nim inaczej. Teraz tym bardziej. Był kuzynem jej męża, hulaką, człowiekiem, który uwielbiał ją wyprowadzać z równowagi, i zwykłym

gburem nieliczącym się z jej potrzebami. Powiedział przecież, że nie będzie jej woził po kraju, nawet nie spytał, gdzie mieszka siostra ani dlaczego to takie ważne. Zupełnie nie przejął się listami ani czyhającym niebezpieczeństwem. Niby wywiózł ją z miasta, ale w rzeczywistości to zachowywał się tak, jakby wcale nie miała problemów. A może to nie do niej wówczas strzelano? Może to... Tępe uderzenie w tył głowy przerwało jej rozmyślanie. Straciła przytomność.

11.

Aurelia ocknęła się przywiązana do krzesła i z przepaską na oczach.

– Gdzie ja jestem?

– Siedź spokojnie, złotko – odezwał się gruby głos nad jej głową.

Poczuła ostry zapach potu pomieszanego ze strawionym alkoholem. Nieomal się zakrztusiła i nie próbowała już odwracać twarzy w kierunku cuchnącego mężczyzny.

– Ładniutka, co nie, Szczerba?

– Miałeś się tak do mnie nie zwracać, durniu! – burknął cuchnący.

– Sam jesteś dureń!

– Przestań, bo cię walnę zaraz.

– Może panowie przestaną się kłócić i wyjaśnią, co ja tutaj robię? – przerwała im, zniecierpliwiona. Strach jakoś wcale jej nie sparaliżował. Dziwne.

– Miałaś pecha, laluniu, że zabrałaś się z majorem. Ostatnio jest wart całkiem sporą sumkę. Nie wiedziałaś o tym?

A więc to nie o nią chodziło, przecucie jej nie zawiodło. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że jej prześladowca działałby z pomocą jakichś dwóch pijaków, najwyraźniej słabo zorganizowanych. Jego podchody były zdecydowanie bardziej wysublimowane.

– Nic nie słyszałam. Zgaduję, że jego również panowie złapali.

– A pewnie! Ale skoro już ześ za nim polazła, to może i z ciebie jakiś pożytek będzie. Zapytamy markiza, czy nie dorzuci paru złotych za taką wycackaną damulkę.

– Markiza?

– Mówiłem, durniu, żebyś się nie wygadał.

– Przecie markizów jak psów jest, chyba.

– Może i tak – zgodził się śmierzący.

– Pojedziemy i sprawdzimy.

– A co ze mną?

– Poczekasz sobie tutaj spokojnie ze swoim majorkiem na nasz powrót. Podejrzewam, że markiz raczej zapewni ci rozrywkę, niż zechce się ciebie pozbyć. Myślisz, że dlaczego żaden z nas cię nie dotknął? Towar wybrakowany to towar mniej opłacalny.

Zadrzała, ale nie pozwoliła się zbić z pantałyku.

– Długo panów nie będzie?

– A co cię to obchodzi, paniusiu?

– A jakbym zgłodniała albo chciała się napić...

– O, zachciewa się wygod.

– Skoro żeście mnie porwali, to chyba należy o mnie zadbać. Sami powiedzieliście, że wybrakowany towar jest tańszy. Jeśli opadnę z sił, to nie będę się do niczego markizowi nadawać.

– Ma rację, Szczerba.

– Mówiłem, bez nazwisk.

– Jużem przecie raz powiedział. Głucha nie jest.

– Dobra. Nałóż najpierw worek, żeby twojej gęby nie zobaczyła.

Odślonili Aurelii oczy i na stoliku obok niej postawili bukłak z wodą. Miała związane ręce i siedziała na jakimś krześle, na nodze czuła metalową obręcz, podobne wisiały luzem na ścianie pomieszczenia. Kątem oka dostrzegła przywiązaną nieopodal postać. Edmund stał z rękami uniesionymi do góry, a głowa zwisała mu bezwładnie niczym u szmacianej kukielki.

– Czy on żyje?

– Owszem.

– To czemu się nie rusza?

– Za mocno oberwał, ale zaraz powinien się ocknąć.

– A jeśli się nie ocknie?

– A może skończy z tym zadawaniem pytań, co?

– Pytam, bo jeśli umrze, to nici z panów nagrody.

– Już się nie troszczy o nasze sakiewki, lepiej pomyśli, co markiz z nią dzisiaj w nocy zrobi.

– A może jednak by panowie mnie wypuścili? Jestem bogata, mogę zapłacić więcej niż ten cały markiz.

– Nie sądzę. Czym by miała zapłacić? Chlebak już żeśmy wzięli. Powóz sprzedamy, konie też.

– Za kradzież koni grozi szubienica! – Zdenerwowała się.

– Straszy nas?

– Nie straszę, tylko ostrzegam.

– To niech się o nasze tyłki nie troszczy. Szubienica jest dla tych, co dadzą się złapać.

– Moja rodzina mogłaby za mnie zapłacić. – Spróbowała raz jeszcze.

– Taa. Myśli, że my głupi?

– Nie, wcale tak nie myślę – skłamała zrezygnowana. – To kiedy panowie wrócą?

– Jak zjemy coś i pogadamy z markizem. Radzę oszczędzać wodę, bo to może potrwać nawet parę godzin.

– A dokąd panowie dokładnie idą?

– A może przestanie wreszcie zadawać te durne pytania? – Podszedł i zawiązał jej chustkę wokół ust. Zakneblował ją, żeby już nic nie mówiła. – Jak zechce pić, to sobie przez szmatę przesączy – zwrócił się do kompana. – Już wolę brzydkie baby, co tyle nie miały jęzorem. Temu chojrakowi... – wskazał na Edmunda – ...lepszyc tortur nie trzeba jak jej trajkotanie.

Major starał się otworzyć oczy i zorientować w swoim położeniu. Nie było najciekawsze. Czuł, że ręce zaczynają mu drętwieć uwieszone w metalowych kajdanach na brzęczącym łańcuchu na wysokości głowy, przykutych do jakiegoś uchwytu zamocowanego w murze. Na oczach miał zawiązaną przepaskę, ale nie na tyle grubą, by nie zauważył, że wewnątrz nie należy do luksusowych. Zapach stęchlizny i wilgoci wskazywał raczej na loch niżli salę królewską. Musiał zebrać myśli i przypomnieć sobie dokładnie, co zaszło.

Nie było to wcale takie proste, zwłaszcza że po jego prawym bucie paradował jakiś gryzoń. Strzepnął natręta i próbował podążyć za nim wzrokiem. Dostrzegł jedynie dwa podobne kłębki sierści poruszające się tuż pod ścianą. Najwyraźniej szczury wyczuły okazję i zaczęły zbiegać się w jego kierunku, kiedy stał tak nieprzytomny i nie mógł się bronić.

Zachodził w głowę, jak się w to wszystko wpakował. Nigdy nie stronił od tarapatów i nikogo by nie zdziwiło, gdyby po raz kolejny zadarł z mężem którejś kochanki, sprowadził na złą drogę jakiegoś sztywnego elegancika albo ścigał się przez pół miasta swoim połyskującym w słońcu, czarno-złotym faetonem. Nie bulwersował go fakt, że przebywa w takim miejscu. Jako żołnierz, a nawet i poza służbą, potrafił zawędrować do o wiele gorszych przybytków, zawsze jednak szedł tam z własnej woli lub wiedziony jakąś silną potrzebą.

Potrzebą! Na Boga, uzmysłowił sobie, że tępy ból głowy mija i jedyne, co teraz odczuwa, to przemożne parcie na pęcherz. No tak! – olśniło go – przecież złapano go właśnie wtedy, kiedy przymierzał się do rozpięcia rozporaka, gdy udał się na ubocze. Jak mógł nie zauważyć, że ktoś go obserwuje i tylko czeka, by zaatakować? Taki zawsze okazywał się sprytny, przebiegły. Błękitny Major – niedościgniony bohater, ucieleśnienie kobiecych marzeń, wytrwały przeciwnik i najdoskonalszy zwiadowca. Tak można było go jeszcze niedawno tytułować, tak sam o sobie dopiero co

myślał. Ostatnio jednak zaczynał wątpić we własne możliwości... Chyba stał się zbyt pewny siebie, nadto arogancki, by zauważyć, że i jego można przechytrzyć. Przeształ z nogi na nogę, ale dojmujące uczucie pełnego pęcherza nie opuszczało go nawet na chwilę.

– Wreszcie raczył się pan obudzić. – Dotarł do niego słodki i zarazem wredny głosik znanej mu osoby. Nie mógł pomylić go z żadnym innym. Od dwóch dni brzęczał mu w uszach niczym natrętny komar. Nie, nie komar, a stado naprzykrzających się, wygłodniałych moskitów!

– Chyba widać – odparł. Podążył ruchem głowy w kierunku, z którego dobiegło pytanie.

– Nie musi być pan taki obcesowy. Raczej to ja mam powody do złości po tym, jak pan nas w to wszystko wpakował.

– Ja?!

– A niby kto polazł gdzieś w krzaki i zostawił mnie na pastwę losu bez odpowiedniego zabezpieczenia?

– Sądziłem, że sama dla siebie jest pani wystarczającym zabezpieczeniem – zakpił.

– Zabawne, bardzo zabawne.

Poruszył głową, starał się ściągnąć przepaskę z oczu, ocierając nią o ramię. Była dość mocno zawiązana, ale jakoś udało się ją przesunąć tak, by opadła na szyję niczym ozdobna chustka. Wtedy dopiero mógł dostrzec w pełni, w jakim oboje znajdują się położeniu. On przykuty do ściany z coraz większym bólem pęcherza, ona siedziała na krześle kilka kroków dalej ze związanymi rękoma i taką samą czarną szarfą wiszącą na szyi. Cóż, jej zapewniono o wiele większe wygody. Może gdyby była sprytniejsza, to podeszłaby do drzwi i zaczęła manewrować przy zamku zamiast czekać beczynn timer, aż on odzyska świadomość. Nie mógł jednak teraz jej tego powiedzieć, bo jeśli znał tę złošnicę, na przekór będzie siedzieć beczynn timer i w niczym mu nie pomoże.

– Wierci się pan, jakby go pchły oblazły.

– Pani za to jest aż nadto spokojna.

Poczuł ukłucie w dole brzucha. Jak długo może potrwać ta męczarnia? Może ktoś zaraz przyjdzie i pomoże mu przynajmniej w tej jednej kwestii? Spojrzał błagalnie w stronę zakratowanych drzwi.

– Nikt nie przyjdzie. – Odgadła jego myśli. – Powiedzieli, że wrócą po kolacji i jak będę grzeczna, to przyniosą coś i nam za kilka godzin.

– Kiedy to było? – Miał nadzieję, że dawno temu i że zaraz jego męki się skończą. Pal licho więzy, z tymi jakoś sobie poradzi; na polach bitewnych często nocował w nie lepszych warunkach, ale potrzeb fizjologicznych nie jest w stanie zatrzymać. Przynajmniej nie na długo.

– Przed kwadransem – rzuciła. – I jakoś nie spieszy mi się ich zobaczyć.

– O matko!

– Moje towarzystwo jest aż tak uciążliwe, że wolałby pan tych zbirów?

– Tak – odparł bez namysłu. – Nie, nie! – poprawił się szybko. – Oczywiście, że nie, ale widzi pani... – nie wiedział, jak zacząć ten temat – ...jestem w bardzo trudnym położeniu...

– Niech pan nie przesadza. Jest pan na tyle wysoki, że kajdany znajdują się w dość wygodnej pozycji i nie musi pan zwisać na nich w powietrzu.

– To prawda, ale chodzi o coś innego.

– Szczury? Nie powie mi pan chyba, że boi się szczurów! – Zaśmiała się.

– A pani się nie boi?! – Dopiero teraz zauważył, że nie piszczala na ich widok ani nie podkulała nóg.

– Nie tak bardzo, jakby pan chciał. – Dostrzegła jego minę i najwyraźniej odczytała ją zupełnie opacznie.

– Nieważne. – Nie miał czasu analizować teraz jej podejścia do gryzoni. – Chodzi o to, że wtedy, kiedy mnie zaatakowano, miałem akurat... – Słowa uwięzły mu w gardle. Do diaska, rozmawiał z damą, jakby nie było, o takich rzeczach nie mówi się w towarzystwie arystokratki, stałej bywalczyni salonów.

– Tak?

– Wyszedłem wtedy akurat... za potrzebą – wyszeptał.

– Może pan mówić jaśniej? Nic nie rozumiem z tych pana pomruków, majorze.

– Na Boga! – Nie wytrzymał. – Wyszedłem wtedy siku.

– No i co z tego?! – Zdziwiła się. – To chyba normalne.

– Normalne, normalne, ale mnie nie dano wówczas...

– To już chyba nie mój problem.

– Może nie, ale chyba nie chce pani przebywać z kimś, kto zsikał się w spodnie. – Zaczął przestępować jeszcze bardziej z nogi na nogę.

– A zamierza pan to zrobić? – zapytała rozbawiona mimo trudnego położenia obojga.

– Jeśli mi pani zaraz nie pomoże, to tak.

– A jak niby ja mam panu w tym... chyba nie myśli pan...! – Oburzyła się.

– Proszę – szepnął zdesperowany z wyraźnymi oznakami przeżywanymi tortur na twarzy.

– Ale jak ja... – otworzyła szeroko usta – ...mam to panu... – Zbladła na samą myśl.

– Może wystarczy rozpiąć i zsunąć spodnie. I proszę się pospieszyć, na Boga!

Dopiero teraz dostrzegł, że wokół jej kostki także założono metalową obręcz na dość długim łańcuchu.

– W porządku. Spróbuję. – Zadziwiła bardziej siebie niż jego.

Wstała z krzesła i zaczęła zbliżać się w jego stronę. Ciągnęła za sobą ciężki łańcuch, który naprężył się, gdy znalazła się na wyciągnięcie ręki od niego.

– Chyba wystarczy. Do drzwi też nie mogę się dostać – mruknęła sama do siebie.

– A więc sprawdzała pani możliwość ucieczki. Może źle panią w pierwszej chwili oceniłem.

– Słucham?

– Nic, nic. Proszę się pospieszyć.

– Co mam robić? – zapytała rzeczowo.

– Może rozpiąć guziki – zaproponował z przekąsem, choć jego mina wskazywała na to, że nie ma już ochoty na żarty.

Wyciągnęła związane ciasno dłonie i opuszkami palców sięgnęła do zapięcia jego spodni. Gdyby nie okoliczności, z pewnością widok majstrującej przy jego rozporoku kobiety wywołałby u niego silną reakcję, ale teraz mógł myśleć tylko o jednym. W dodatku szło jej bardzo opornie, bo palce miała zeszywniałe od krępujących je więzów, ale powoli dobrnęła do ostatniego guzika i wyprostowawszy się, odsunęła na odległość kroku.

– W porządku. Zrobione. – Udała, że takie czynności to dla niej absolutnie nic nowego, choć po plecach przebiegał jej na przemian zimny i gorący dreszcz, a dolna warga zaczynała niebezpiecznie drgać, co zdradzało, że nie pozostała na to obojętna.

Nie zamierzała dać po sobie poznać, że dotykanie go sprawia jej jakąkolwiek przyjemność, choć w rzeczywistości i wbrew samej sobie nie mogła temu w żaden sposób zaprzeczyć. Nie cierpiała go i przeklinała w myślach od lat, a jednak kiedy ponownie go zobaczyła, coś obudziło się

w niej na nowo. Był mężczyzną, który zawsze poruszał w niej wszystkie struny – i te odpowiedzialne za szaleńczą furję, której nie okazywała nikomu innemu, i te przypisywane... namiętności. Boże! Uświadomiła to sobie z wielką niechęcią. Pożądała go jak nikogo innego.

– Chyba nie zostawi mnie pani teraz z rozpiętymi spodniami i rękoma w górze? – szepnął błagalnie, widząc, jak się cofa.

– A co niby mam jeszcze zrobić?! – Otrząsnęła się z niezbyt przyzwoitych wyobrażeń i zbesztła w myślach, starając się, by na jej twarzy nie pojawił się zdradziecki rumieniec. Chociaż mogła złożyć go na karb niezręcznej sytuacji, w której się oboje znaleźli.

– Przecież sam się nie uwolnię. Mam panią błagać?

– To czego pan oczekuje?! Że wyjmę... że wyjmę tę rzecz za pana?!

– Ta rzecz, jak się pani wyraziła, sama ze spodni nie wyjdzie.

– Słucham?!

– Kobieto! Ja już dłużej nie wytrzymam.

Na widok jego błagalnego spojrzenia podsunęła się i udając obrzydzenie, sięgnęła najpierw po chusteczkę z maleńkiej kieszonki sukni, do której nawet ze związanymi rękoma mogła dosięgnąć, a następnie do jego rozporka i... nie mogła tego uczynić.

– Niech pani po prostu zsunie mi spodnie!

Wzięła głęboki wdech, chwyciła za materiał i pociągnęła w dół. W ułamku sekundy zdążyła przyjrzeć się obnażonemu niemal do kolan ciału, zanim nie zamknęła oczu i nie odskoczyła do tyłu. Chustka wypadła jej z dłoni.

Odetchnął z ulgą i odwróciwszy się do niej plecami, nawet nie zaczekał, aż wróci na swoje miejsce. Potrzeba była zdecydowanie paląca i o wiele silniejsza niż maniery, których i tak w jej obecności nie traktował zbyt poważnie.

– To obrzydliwe! – W pierwszym odruchu wydało jej się to wstrętne, ale po chwili zaciekało ją niezmiernie. Otworzyła jedno oko, by jedynie zerknąć. Nigdy wcześniej nie widziała sikającego mężczyzny.

– Obrzydliwe? – zapytał i spojrzał na nią przez ramię. – Kobiety zazwyczaj określały... tę rzecz zgoła odmiennymi słowami.

– Domyślam się. – Przymrużyła oczy. Czując, że wzbierają w niej nie tylko złość, ale i zazdrość. Chyba oszalała!

– Proszę nie udawać, że pani nie patrzy w moją stronę. Wyczuwam zainteresowanie.

– Też coś! – zachnęła się i z impetem odwróciła do niego plecami.

– Och, niech się pani na mnie nie obraża. – Zakończył czynność, odsunął się nieznacznie i zaczął zakopywać czubkiem buta moką plamę.

Posadzkę piwnicy stanowiła niezbyt ubita goła ziemia, więc łatwo mógł przykryć ślad warstwą piachu, tak by zapach nie był zbyt dokuczliwy. Oczywiście miał pewne zahamowania, nie czuł się dobrze ze świadomością, co przed chwilą zrobił. Lepiej obrócić sprawę w żart niż zamartwiać się nią w nieskończoność, jakby mało im było teraz innych kłopotów.

– Skończył pan wreszcie? – zapytała. Stała nadal tyłem.

– Owszem. Może pani już wrócić.

– Niby po co?

– Chyba nie zostawi mnie pani z tym problemem na wierzchu?

– Problemem? – Uniosła do góry lewą brew, bo czuła, że nadchodzi moment rewanzu. – To tak określały tę rzecz inne kobiety? Och, gdybym wiedziała wcześniej, nie zastanawiałabym się nad nazwą.

– Ha, ha, ha.

Cóż, kolejny punkt dla niej – pomyślał.

Odwróciła się powoli i otworzyła usta, gdy ujrzała, że stoi do niej tyłem z opuszczonymi spodniami.

– Podejdzie pani wreszcie?! – Niecierpliwił się i rozglądał na boki.

– Chyba nie ma takiej potrzeby. A co, jeśli znów się panu zachce?

– Zapewniam panią, że nie nastąpi to tak szybko. Chyba nie chciałaby pani, żeby mnie tak zastali nasi porywacze?

– Byłoby to całkiem zabawne, nie uważa pan, majorze?

– Nie uważam. Proszę się nade mną nie zneść i mi pomóc. Ostatni raz – szepnął.

– Dobrze. – Wyjęła drugą chustkę. – To ostatnia – zaznaczyła.

– Naprawdę więcej nie poproszę.

Podeszła, starała się nie zerkać w dół i odwróciwszy twarz, pochyliła się, żeby mu pomóc.

– Proszę się nie odwracać! Bo będę zmuszona zamknąć oczy albo wrócić na krzesło.

– Jak pani sobie życzy. – Wyprostował się i przekręcił głowę.

– Oj, będzie to pana drogo kosztowało.

– Jestem na to przygotowany. – Zerknął mimochodem w jej pełny dekolt.

Zsunęła mu spodnie i bieliznę jeszcze niżej, a następnie, odciągawszy od ciała, nałożyła ponownie, tak by nie dotknąć wrażliwego miejsca. Nie było

to jednak takie łatwe, zważywszy na jej związane ręce i okazałe rozmiary Edmunda. Udało się jej za drugim razem schować, co trzeba, do środka i powoli zapiąć guziki. Chustkę z obrzydzeniem, ale i żalem odrzuciła na bok.

– Odkupię pani tuzin jedwabnych – obiecał na widok jej skonsternowanej miny.

– Co najmniej – odparła i szybko się wycofała na swoje miejsce.

– Nic pani nie zrobili? – zapytał po chwili krępującej ciszy.

– W zasadzie nic.

– W zasadzie?

– Troszkę się z nimi posprzeczałam – przyznała bez zagłębiania w szczegóły.

– Zdziwiłbym się, gdyby poddała się pani bez walki.

– Kpi pan sobie ze mnie?

– Nie, podziwiam panią. Większość kobiet zemdlałaby z przerażenia, a pani z pewnością rozwiązał się język i... – Przyjrzał się czarnej chustce na jej szyi. – Zakneblowali panią?

– Cóż.

– Że też ja na to wcześniej nie wpadłem.

– Chyba pana czymś zdzielię – szepnęła.

– Na takie przyjemności przyjdzie jeszcze czas. Teraz musimy wymyślić, jak się stąd wydostaniemy. Ciekawi mnie tylko, po co mi zawiązali oczy. Pani za dużo mówiła, rozumiem, ale ja co? Za dużo się na nich gapiłem? – zastanawiał się głośno.

– Być może. Mój dekolt lustruje pan od dwóch dni prawie bez przerwy. Mogę panu naszkicować wszystkie jego szczegóły, jak nie umie pan zapamiętać.

– Szczegóły, szczegóły – dumął. Zignorował jej zaczepkę. – Nie chcieli, bym widział, bo mógłbym dostrzec jakieś szczegóły. Ilu ich było?

– Dwóch. – Uniosła ręce, by obejrzeć obtarte nadgarstki.

– Dwóch tylko?

– Mówię przecież. – Skupiła się na obrażeniach naskórka.

– W takim razie mamy szansę, by się stąd wydostać. Mówiła pani, że poszli na kolację. Nie mieli kogo postawić na straży, a skoro obliczyli, że wrócą po dłuższym czasie, to znajdujemy się z dala od miejsca, gdzie będą wieczerzać.

– Pewnie tak. – Przyjrzała się uważnie krępującemu ją sznurkowi i zaczęła go skubać zębami.

– Nie sędzę, by pani przegryzła tak grubą linę. Ale może da pani radę zdjąć z nogi to żelastwo?

– To coś? – Wskazała na metalową obręcz z przykutym łańcuchem.

– Tak, ma pani szczupłe kostki i drobne stopy, to mogłoby się udać.

– Jaki pan spostrzegawczy. – Zrezygnowała z gryzienia sznura.

– Proszę nie tracić czasu. – Upomniął ją. – Niech pani zsunie buty i naślini miejsce tuż pod obręczą.

Spojrzała na niego groźnie, z nutką powątpiewania, lecz posłusznie wykonała polecenia. O dziwo po kilku minutach manewrowania kostką i wielką bransoletą udało się jej uwolnić stopę. Nasunęła z powrotem bucik uradowana sukcesem, nie bacząc na łydkę boleśnie poturbowaną w dolnej części.

Major rozglądał się po ciemnym wnętrzu. Całą broń, którą miał przy sobie, z pewnością zabrano. Zauważył brak paska z prowizoryczną pochwą na sztylet znaleziony w powozie oraz kabury, w której nosił zwykle pistolet. Zdjęto mu kubrak, w którym trzymał mały sztylecik, a w cholewce buta nie wyczuwał długiego noża. Gdyby był przytomny, z pewnością nie dałby sobie tego wszystkiego tak łatwo odebrać.

– Dobrze. Niech pani teraz podejdzie do mnie i stanie tyłem.

– Nie rozumiem.

– Proszę nie tracić czasu.

Podeszła zaciekawiona.

– Niech pani się trochę jeszcze przybliży. Tak, bym sięgnął dłonią do upięcia włosów – wyjaśnił.

Posłusznie przechyliła głowę do tyłu i umożliwiła mu dotknięcie fryzury, i tak już zrujnowanej. Zaczął niezdarnie przebierać zeszywniałymi palcami w jej splątanych włosach. Sprawy nie ułatwiały bolące nadgarstki uwięzione w ciasnych obręczach.

– Lawenda z nutką mięty. Ciekawe połączenie.

– Będzie mnie pan teraz wachał?

– Żal nie skorzystać z sytuacji.

Kopnęłaby go, gdyby nie jego budzące litość położenie.

Wyszperał w końcu jedną z jej spinek, wrywając przy okazji garść włosów. Zakłęła pod nosem chyba po raz pierwszy od wielu miesięcy. Nie przestała jednak być damą i nie naskoczyła na niego, gdy zobaczyła, jak

przystąpił do otwierania kajdan. Poszło mu jak z płatka. Już po minucie był zupełnie wolny. Niestety w pomieszczeniu nie znalazł niczego, czym mógłby przeciąć jej więzy, a supły okazały się tak mocne, że przy próbie rozwiązania mógłby ją bardzo zranić lub pozbawić czucia w palcach.

Przystąpił do sprawdzania zamków drzwi, lecz kłódki znajdowały się najwyraźniej na zewnątrz i nie było sposobu na ich otwarcie. Zawiasy i mur okazały się też bardzo mocne i nie dało się ich zwyczajnie rozwalić. Pozostało jedynie małe, zakratowane okienko wysoko przy suficie. Na szczęście porywacze zostawili krzesło, więc Edmund mógł bez problemu wejść na nie i sprawdzić tę możliwość.

Kraty okazały się bardzo mocne, ale ściana wokół nich już niekoniecznie. Wykruszył fragment muru i wyjął część okucia tak, że z trudem, ale mogliby się przecisnąć.

– Sięgnie pani do okienka?

– Spróbuję. – Odsunęła go i zakasawszy spódnicę, stanęła na krześle. –

Zaraz. – Odwróciła twarz w jego stronę. – Mógł pan wyswobodzić nas, zanim...

Miała ochotę przyłożyć mu związanymi rękoma, ale złapał ją za pośladki i zaczął podsadzać do góry. Spięła się, gdy poczuła na sobie jego silne dłonie, nie powiedziała jednak ani słowa. Wiedziała, że wolność jest już blisko. Starła się skupić na tym, by się wydostać, ale myśli zdradziecko krążyły wokół jego ciepłego dotyku. A major jak na złość zamiast zwyczajnie popchnąć ją do góry, wykorzystał moment i wymacał dokładnie całą powierzchnię jej tyłka. Co za gbur! Szubrawiec jeden! Ale zrobił to niezwykle delikatnie... Jego ręce objęły ją wokół kolan i pogładziwszy jedną z łydek, dotarły do miejsca, w którym znajdowała się wcześniej obręcz.

– Obejrzę to dokładnie, jak się wydostaniemy. A teraz proszę się skupić. Podsadzę panią wyżej.

Poczuła, jak niemal podrzuca ją do okienka. Zdążyła tylko ułożyć dłonie w kształt przypominający strzałę i pochylić głowę. Wylądowała oparta na brzuchu, zwisająca przez okucie z głową na zewnątrz i nogami w środku. Major wskoczył na krzesło i wypchnął ją z całej siły, tak że niemal zaryła nosem w podłogę, ale zdołała podeprzeć się rękoma i jedynie wysmarować błotem. Ale nie to było teraz najważniejsze. Musiała pomóc jemu i oddalić się czym prędzej, zanim wrócą porywacze.

Odwróciła się do okienka, wytarła zabłocone dłonie o spódnicę i złapała za ramię Edmunda wydostającego się przez otwór w murze. Nie miał problemów z podciągnięciem się i dostaniem do wyjścia, ale z przecięnięciem szerokich ramion. Pomogła mu przewrócić się nieco, tak by ustawiony ukośnie w prostokątnym otworze wyswobodził się przez niego. Oczywiście kiedy już wychylał się, zawieszony podobnie jak przed chwilą ona, nie omieszkała się odsunąć, by stracił równowagę i również się nieco wybrudził.

Rzecz jasna on nie zdążył wyciągnąć ścierpniętych rąk i wylądował twarzą w błotnistej mazi. Podniósł się w milczeniu, uniósł dłonie do zamkniętych powiek, żeby wydobyć oczy spod warstwy błota. Uśmiechnął się jednak łagodnie, gdy zauważył, że stoi skonsternowana, niepewna, czy powinna się śmiać, czy uciekać, po czym podszedł do niej wolnym krokiem i całe błoto, jakie miał na rękach, wytarł w dół jej sukni. Ponieważ nie zaoponowała, to samo zrobił z twarzą, przyklękawszy przed nią na jednym z kolan.

– I tak była brudna – wyjaśnił z właściwym dla siebie urokiem.

– No wie pan?!

– Na bal się pani nie wybiera, jak mniemam.

Rozejrzała się. Przypomniała sobie o własnym położeniu... Chyba zaczynała przywykać do jego sposobu bycia, bo ani specjalnie nie zbulwersowało jej jego postępowanie, ani nie doprowadziło do wybuchu.

– Co teraz zrobimy?

– Musimy się najpierw dowiedzieć, gdzie jesteśmy i czy ci ludzie zostawili nam cokolwiek z naszych rzeczy. Rozejrzyjmy się i uciekajmy stąd.

Niestety powóz zniknął, podobnie jak wszystkie znajdujące się w nim przedmioty. Pod drzewem za krzakami znaleźli jedynie rozbebeszony kufer podróżny, a w nim szczotkę do włosów, szczoteczkę i proszek do zębów, chustkę i parę rękawiczek z wyhaftowanymi inicjałami. Pozostałe rzeczy zniknęły. Pewnie porywacze uznali, że tych nie da się spieniężyć, więc wyrzucili je wraz z uszkodzonym kufrem.

– Nie mamy nawet manierki na wodę – jęknęła Aurelia.

– Mamy.

– Jak?

– Zabrałem z piwnicy, kiedy pani zwisała przewieszona przez okienko. Wziąłem też chustki i dwa wygięte pręty z okienka. Może uda mi się rozciąć

lub poluzować nimi linę.

Podsunięła mu dłonie i poddała się jego zabiegom. Po chwili była już wolna. Edmund ostrożnie zwinął sznur i przymocował go sobie do spodni.

– Świetnie – skwitowała. – Co dalej, majorze?

– Nie wiem, jak pani, ale ja jestem strasznie głody i mam zamiar znaleźć jakieś miejsce do spania, zanim się ściemni. Kto wie, czy w lesie nie czai się gdzieś wilk albo coś o wiele gorszego.

– Próbuje mnie pan nastraszyć?

– Nie, mówię tylko, że powinniśmy się pospieszyć i znaleźć bezpieczne schronienie.

– Na pewno ma pan na myśli dzikie zwierzęta?

– Nie tylko. Ci ludzie również będą pani szukać.

– Mnie?

– A kogóż innego?

– Pana, majorze!

– Jak to mnie?

– Zdaje się, że nie raczył mi pan wspomnieć o pewnym dość istotnym szczególe.

– Mianowicie?

– Mianowicie takim, że pana również ktoś poszukuje i raczej nie ma zamiaru się z panem zabawiać.

– Co pani ma na myśli?

– Ci dwaj wyraźnie mówili o jakimś markizie, który szczerze ich wynagrodzi za dostarczenie mu pana żywcem.

– Jest pani pewna, że mówili o markizie? – zapytał ze zmarszczonym czołem.

– Owszem. Ciekawa jestem, czym pan go tak zdenerwował? Czyżby kolejna uwiedziona małżonka?

– Mniejsza o przyczynę. Ważne, że szybko zdołali mnie wyśledzić. To nie oznacza niczego dobrego...

– Czyli nie dość, że sama mam kłopoty, to jeszcze zwróciłam się o pomoc do kogoś, kto ma ich znacznie więcej.

– Może nie więcej, ale lepiej już chodźmy, zanim tamci wrócą.

Spojrzał na nią i przypomniał sobie o stanie jej kostki. Bez chwili namysłu wziął ją na rękę.

– Co pan robi?

– Nie widać?

– Mogę iść sama. Proszę mnie postawić.

– Nie mam zamiaru. Skoro już znalazła się pani pod moją opieką i nawet jeśli sam stanowią niebezpieczeństwo, to lepiej będzie, jeśli panią poniosę, niż miałyby pani wlec się za mną i jęczeć, czym zwabilibyśmy bandytów.

– Też coś!

– Pragnę jedynie zauważyć – przybrał ton dżentelmena – iż suknia pani swoje waży, więc niech się pani nie wierci.

Uniosła wzrok ku górze. Starła się uspokoić i nie trzymać się go zbyt mocno. Kiedy uszli spory kawałek i zostawili za sobą miejsce przetrzymywania, Edmund zorientował się, że przyszli w pobliże jaskini, w której zatrzymali się tego ranka. Nie chciał ryzykować, ale w jej wnętrzu mogły jeszcze leżeć jakieś użyteczne przedmioty. Nie mogli tam zostać na dłużej, bo zapewne pierwszym miejscem, do którego zajrzą porywacze, kiedy się zorientują, że para uciekła, będzie właśnie ta grotka.

Postawił Aurelię przy wejściu i ostrożnie zajrzał do środka. Było pusto. Wszedł cichutko i wyteżył wzrok, by sprawdzić, czy nie zostało coś, co może im się przydać. Na podłodze jaskini znalazł dwa krzemienie, a za kamieniem, na którym siedziała wcześniej Aurelia, zwiniętą pelerynę. Zabrał ją i wyszedł czym prędzej. Oddał znalezisko właścicielce. Wziął hrabinę ponownie na ręce.

– Do najbliższych domostw będzie jakieś trzy kilometry.

– To dość daleko – zauważyła. Czują zaciskające się na swojej talii i pod kolanami dłonie Edmunda.

– Powinniśmy zdążyć przed zmierzchem. – Nie wychwytał aluzji.

– I tak po prostu zajdziemy do kogoś, poprosimy o schronienie? –

W sumie, jeśli chciał ją nieść, to niech niesie, to przez niego została związana i ma otartą kostkę.

– Nie. Moglibyśmy narazić gospodarzy, a przy okazji siebie, gdyby ktoś się dowiedział, że tam jesteśmy.

– To co w takim razie?

– Musimy gdzieś się schować na noc. Niebo znów się zachmurzyło – starał się mówić elegancko, choć powoli opadał już z sił – i jeśli się nie pospieszymy, to ponownie zmokniemy.

– Może powinnam dalej iść sama? – Zaczęła mu współczuć. – Wątpię, żeby nas ścigano po lesie, a pan musi mieć siły, żeby nas bronić, jakby zaistniała taka potrzeba.

– Jest pani pewna? To jeszcze dwa, może trzy kwadransy.

– To przynajmniej trochę podejść, a jak nie będę już w stanie, to znów mnie pan poniesie.

– Zgoda. – Poddał się ze słabo skrywaną ulgą. – Powinienem chyba panią przeprosić, że nie wspomniałem o swoich kłopotach.

– O moich też nie chciał pan specjalnie słuchać. Teraz już przynajmniej wiem dlaczego.

– Niech się pani o mnie oprze. – Podał jej ramię. – Proszę mi o wszystkim opowiedzieć, hrabino.

– Aurelio.

Spojrzał na nią uważnie, po czym podał bukłak z wodą.

– Napij się powoli, a potem powiedz mi o wszystkim, Aurelio.

12.

Coś ścisnęło go za gardło. Jedynie w myślach zwracał się do niej po imieniu... A teraz naprawdę była obok niego i polegała właściwie wyłącznie na nim. Jeszcze wczoraj, ba, raptem kilka godzin wcześniej miał ochotę ją udusić i jednocześnie zaciągnąć do łóżka, a nagle zastanawiał się tylko nad tym, jak bezpiecznie odprowadzić ją do rodziny.

Sam nie mógł się zdecydować, jak powinien ją traktować i co do niej czuć. Od lat zajmowała jego myśli, była powodem wyrzutów sumienia i pragnień, od niepamiętnych czasów niezmiennie fascynowała go i drażniła. Unikał jej, potem szukał kontaktu, a zaraz znów trzymał się z daleka. Prawdę powiedziawszy, gdyby nie rozmowa sprzed lat z jej matką, to może dawno przestałby zawracać sobie nią głowę i nie stałaby się później jego obsesją.

Przed sześcioma laty, w roku jej debiutu, wyraźnie zainteresował się pojawieniem na salonach tej niesamowitej piękności. Dziewczyna dodatkowo zdawała się niegłupia, wygadana, uprzejma i niezwykle czarująca. Miała dar zjednywania sobie ludzi i wyraźnie odznaczała się na tle innych młodych panien. Zawsze podążał za nią spory tłumek wielbicieli. On jedynie obserwował ją z daleka, a kiedy już nadarzała się okazja, zupełnie tracił głowę i swój dar onieśmiania kobiet.

Od Wiktora Godlewskiego, jej kuzyna, próbował wyciągnąć niezbędne informacje, niestety wszystko usłyszała matka Aurelii i dyskretnie dała mu do zrozumienia, by trzymał się od niej z daleka. Wypomniała jego romanse i hulaszczy tryb życia, co oczywiście zrozumiał. Wierzył, że matce zależy na dobru własnego dziecka. Jej córka była niewinną i słodką istotą, a on nie szukał żony i uwiedzenie jej tylko dlatego, że go fascynowała, mogło zrujnować jej opinię i widoki na świetlaną przyszłość. Odpuścił nie bez żalu, pozwolił sobie jedynie na obserwację z oddalenia.

Zdziwił się, gdy Konstancja Strzelecka zaaprobowała konkury młodego Ostrowskiego. Robert był jego najlepszym przyjacielem i we trójkę, razem z Wiktorem Godlewskim, wykonywali wówczas różne zlecenia dla barona Ostrowskiego zajmującego się rozwikływaniem zagadek wśród arystokracji; często okazywały się to sprawy bardzo niebezpieczne i szalenie ciekawe. Chodziło nieraz o różnego rodzaju spiski, wymuszenia, zabójstwa, szantaże. Mieli do tego smykałkę. Dzięki zdobycemu w ten sposób doświadczeniu tworzyli całą siatkę wywiadowczych powiązań, które planowali wykorzystać

na wypadek przegranej Napoleona (co niestety nastąpiło) i konieczności podjęcia nowej walki o odzyskanie prawdziwie niepodległej ojczyzny.

Z ich trójki Wiktor prowadził się nader porządnie, Edmund i Robert słynęli z tego, że plotkowała o nich cała Warszawa podczas kolejnych sezonów, gdy powracali z wojny. Dwaj konkurujący ze sobą przystojniacy prześcigali się w skandalach i romansach z tabunami kobiet. Baron nie potępiał ich działań. Przeciwnie – uważał je za doskonałą przykrywkę i sposobność do zdobycia przydatnych informacji.

Dlaczego matka Aurelii nie przepędziła Roberta, kiedy zaczął się starać o względy jej córki? Odpowiedź zdawała się prosta. Młody Ostrowski miał widoki na wielki majątek i tytuł po ojcu.

Z początku Edmund był przeciwny związkowi Roberta i Aurelii, starał się nawet odciągnąć od niej jego uwagę, choć sam nie miał pojęcia dlaczego. Nie należała przecież do niego i nic tego nie mogło zmienić. To on namówił przyjaciela, by poszedł z nim tamtego czerwcowego wieczoru do jednego z belgijskich lupanarów, gdzie królowały miejscowe nierządnicze zabawy przybyłych żołnierzy. Oficerowie angielscy, mimo kolejnych bali organizowanych dla zabicia czasu, by przetrwać jakoś oczekiwania na sygnał do bitwy i zagłuszyć lęki, także zapuszczali się w niezbyt porządne rejony Gandawy, kolejnego przystanku dla króla Ludwika XVIII i jego dworu na drodze ucieczki przed Napoleonem. Żołnierze polscy, którzy nie brali udziału w kampanii belgijskiej, niemal do czasu rozstrzygających bitew niestety również ulegali pokusie licznych przybytków rozpusty. Po klęsce Bonapartego zostawili po sobie niezatarte wspomnienia nawet w takich miejscach. Bo ani szwoleżerów, ani strzelców konnych kawaleria brytyjska, ścigająca rozbite wojska francuskie, nie odważyła się zaatakować.

To Edmund podkusił Roberta, by ten zaczął czynić podchody do dziewczyny flirtującej w najlepsze z człowiekiem, który okazał się później szpiegiem, i to on zgodził się sekundować mu w pojedynku, do którego tamten go namówił. Nie mógł przewidzieć, że wszystko zostało ukartowane, a on, zamroczony alkoholem, nie zdoła zapobiec tragedii i wpakuje przyjaciela z zawiązanymi oczami pod ostrze tamtego, co ostatecznie uczyni go niezdolnym do walki i przeprowadzenia wyznaczonej misji. Do tej pory nie mógł sobie tego wybaczyć.

Niestety po przybyciu do kraju, gdzie Edmund zbierał laury jako bohater wojenny, okazało się, że Roberta czekały jeszcze większe problemy. Zamiast siedzieć przy jego łóżku i pocieszać w ciężkiej sytuacji Breza hulał

w najlepsze, wypijał morze alkoholu, starając się tym samym wyzbyć poczucia winy. Nie dość, że to nie uleczyło go z tego stanu, to wpędziło w poważne tarapaty.

Kiedy Aurelia wraz z siostrą znalazły go pijanego w Pałacu Radziwiłłów, zamiast powiedzieć, że Robert dochował jej wierności i zrobił to, co zrobił, w wyniku wprowadzenia w błąd, to wydał przyjaciela, przyznał, że pojedynkował się o jakąś dziewczynę. Aurelia zerwała zaręczyny, a młody Ostrowski zamknął się w swoim majątku ziemskim na wsi niczym pustelnik w jakiejś twierdzy na końcu świata.

To ją obwiniał o to, że się wygadał, choć zupełnie nie powinien. Nie była żołnierzem wytrenowanym do przesłuchań i tortur. Zadała mu kilka pytań, może podstępnie, może z furią i może wykorzystała jego stan, ale w końcu on sam dobrowolnie na nie odpowiedział. Udawał potem, że niczego nie pamięta, i cieszył się jak dziecko, kiedy usłyszał od Roberta, że on tak naprawdę nie chciał tego małżeństwa.

Aurelia także najwyraźniej nie załamała się po stracie przystojnego narzeczonego, szybko znalazła innego. Mateusz nigdy nie wydawał się człowiekiem zainteresowanym posiadaniem żony. Był przyjacielem domu Strzeleckich i znał Aurelię zapewne od dziecka. Jasne, że musiała mu się podobać jako kobieta. Komu by się nie podobała? Ale co mogło go skłonić do ubiegania się o jej rękę? Czyżby zakochał się w niej niczym sztubak? Ani razu nie napomknął o tym w listach ani w rozmowach. Chwalił żonę i mówił, że to nie tylko obdarzona urodą, ale również bardzo dobra i miła osoba, lecz słowem nie wspomniał o nieco bardziej erotycznej kwestii ich związku. Choć może to i lepiej! Edmund zacisnął pięści.

– Auć! Nie przesadzasz?

– Przepraszam, nastąpiłem na kamyk – skłamał, uświadomiwszy sobie, że ścisnął ją zbyt mocno za nadgarstek.

– Nie szkodzi. – Oddała mu bukłak z wodą.

Pociągnął łyk, zakręcił wlot i przytwierdził skórzany pojemnik do paska.

– Wszystko zaczęło się zaraz po śmierci Mateusza. Najpierw przychodziły krótkie anonimy z aforyzmami o życiu i tego typu sprawach. – Aurelia poczęła opowiadać o początkach swoich problemów.

– Tego typu sprawach?

– Wiesz, takie złote myśli wybitnych ludzi. Moja siostra jest od tego specjalistką. Dla mnie nie miały większego znaczenia, póki nie zaczęły brzmieć trochę złowieszczo.

Nie przerywał jej. Czuł, jak obejmuje jego ramię.

– Potem zdarzył się wypadek z podpiłowaną balustradą i pasujący do niego fragment z *Hamleta*, który dostałam tuż po nim. Ciągłe miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi i obserwuje każdy mój krok. Nawet przeanalizowałam sobie w głowie, czy może nie wyrzuciłam komuś ostatnio krzywdy, i przepytalam połowę mężczyzn w Warszawie, czy nie gniewają się za to, że odtrąciłam ich konkury. Nikt jednak nie przyznał się do podobnych odczuć. Nawet Robert uspokoił mnie i zapewnił, że nie ma żalu o zerwanie zaręczyn. Choć właściwie to oboje je zerwaliśmy niemal jednocześnie.

– Żałujesz? – przerwał jej, choć sam nie wiedział dlaczego. To był impuls.

– Nie. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Na Boga, nie! Bardzo go lubiłam, ale dobrze się stało, że tak wyszło. Nie pasowaliśmy do siebie zupełnie.

– A mój kuzyn? Dlaczego za niego wyszłaś?

– Miałam chyba mówić o listach?

– Tak, ale...

Co on wyprawia? Do jasnej cholery! Dlaczego wypytuje ją o tak intymne szczegóły? Zaraz odsłoni się przed nią jak ostatni idiota.

– O tym opowiem może później, dobrze?

– Dobrze. – Zdziwił się, że nie naskoczyła na niego ani nie odmówiła odpowiedzi.

– W poczuciu zagrożenia wyjechałam do Indii. Tam zdałam sobie sprawę, niestety niesłusznie, że wszystko to musiało być jednym wielkim urojeniem. Nabrałam dystansu i uspokojona postanowiłam wrócić do kraju. Właściwie to uciekłam stamtąd, bo nie mogłam już znieść mojej matki. Wszędzie szukała dla mnie kolejnego męża, nie zważała na to, że dobrze mi w stanie wdowieństwa, zwłaszcza że majątek, jaki odziedziczyłam, zapewniał mi spokojne życie i wolność.

– A więc nie zamierzasz więcej wychodzić za mąż? – podchwycił kolejny temat.

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, może i bym chciała, ale... nieważne. Nie zaprzeczam ani nie potwierdzam. Czas pokaże. – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Kontynuuj. – Zignorował jej minę.

– Po powrocie znów zaczęły się anonimowe liściki i podarunki. Nie byłoby to może nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że na przykład do czekoladek mój cichy wielbiciel dodał odrobinę wilczej jagody, przez co

pochorowałam się ja, a potem trzy moje służące. Na szczęście dawka okazała się nie na tyle duża, by kogoś zabić, ale miłe to wszystko nie było, zapewniam. Potem spadłam z konia, choć nie jechałam szybko, a robię to przecież od dziecka. Wydaje mi się, że ktoś musiał uszkodzić siodło. Nie udało mi się jednak tego dowieść. Gorzej było, kiedy podczas powrotu do domu z przyjęcia nieomal oberwałam kamieniem, który wleciał przez szybę do mojego powozu.

– To mógł być głupi żart.

– Owszem, gdyby nie liścik z ostrzeżeniem.

– Dlaczego nie poszłaś z tym do władz?

– Grożono mnie i mojej służbie. A potem ktoś napadł na hrabiego Olechowskiego, ugodził go nożem zaraz po tym, jak rozmawiałam z nim w tamtym miejscu przy świadkach, i wysłał mi moją zakrwawioną rękawiczkę.

– Co z nią zrobiłaś?

– Spaliłam, ale natychmiast otrzymałam list, że takich rękawiczek jest kilka i pozbycie się jednej niczego nie zmieni. Zabrałam ostatnie dwie groźby i wyruszyłam szukać Błękitnego Majora, by pomógł mi się z tego wyplątać. Kiedy ostrzeliwano twój gabinet, sądziłam, że to mój anonimowy wielbiciel.

– Cóż, miałaś poważne powody, żeby tak sądzić, ale to chyba byli jednak ludzie markiza, któremu chcieli przekazać nas porywacze. Wąsacz groził mi, że jeśli nie wyniosę się z domu przed upływem umówionego terminu, to osobiście się mnie pozbędzie. Mam wrażenie, że mój wyjazd mu nie wystarczył.

– Możemy zatem oboje być teraz ścigani?

– Nie wykluczam takiej możliwości. – Zastanowił się. – Trzeba zachować jeszcze większą ostrożność. Myślałem, że ta podróż będzie dużo łatwiejsza – dodał szeptem, jakby mówił sam do siebie.

– Ja też – przyznała i zatrzymała się.

– Jednak ponieść cię jeszcze trochę?

– Jeśli możesz...

– Mogę, to już niedaleko.

Chwycił ją ponownie, tym razem zdecydowanie delikatniej, jakby miał do czynienia z kruchą porcelanową figurką. Ona przechyliła się bardziej ku niemu, niemal opierała głowę o jego ramię, w ten sposób nie tylko ułatwiła mu dźwiganie, ale sama poczuła się wygodniej niż wówczas, gdy napinała

mięśnie, kiedy ten zbytnio – według niej – intymnie dotknął jej talii, by zachować równowagę na grząskim i wyboistym podłożu wśród różnych przeszkód. Las nie należał może do najgęstszych, lecz zwisające gałęzie, krzaczki i pajęczyny nie ułatwiały marszu. Dobrze, że ściółka wchłonęła nadmiar wilgoci po porannym deszczu, bo w przeciwnym razie brodziliby po kostki w błocie. Buty i tak mieli przemoknięte, cali się wybrudzili po tych wszystkich perypetiach.

W jego ramionach czuła się wyjątkowo bezpiecznie mimo świadomości, że być może ludzie, którzy ich porwali, zorientowali się w sytuacji i rozpoczęli pościg. W dodatku poza porywaczami nie wiadomo, czy i jej prześladowca nie wyruszył z Warszawy w ślad za podarowanym powozem.

Nie mieli pieniędzy, jedzenia, czystych ubrań. Wyglądali pewnie jak bezdomni żebracy, w dodatku ona miała ranną nogę, może nie jakoś dotkliwie, ale ból uniemożliwiał komfortowe chodzenie, on też z pewnością opadał z sił, choć dzielnie brnął przed siebie obciążony dodatkowym ciężarem.

Męczyły ją wyrzuty sumienia, że przez nią ich droga przedłuża się w nieskończoność, ale ufała mu na tyle, żeby wiedzieć, iż dotrą gdzieś w ciepłe, suche miejsce, gdzie bez strachu o własne życie będą mogli przenocować i jutro na nowo rozpocząć wędrówkę. Było to oczywiście zaufanie do niego jako kuzyna zmarłego męża, byłego żołnierza i człowieka, który posiadał doświadczenie w sprawach, o których ona nie miała jeszcze bladego pojęcia. Nie ufała mu natomiast jako mężczyźnie i jako znienawidzonemu przed laty przyjacielowi Roberta.

– Do Łomży jest chyba zbyt daleko, jeśli będziemy podróżować pieszo – szepnęła wprost w jego policzek.

Pojawiły się na nim już ślady lekkiego zarostu o barwie dojrzałego zboża, miała ochotę dotknąć i sprawdzić, czy jest tak ostry i drapiący, na jaki wygląda. Przeniosła wzrok nieco dalej na ucho i opadające na nie wilgotne włosy, które zaczynały wywijać się w różne strony z powodu braku pomady, której chyba – tak podejrzewała – na co dzień używał. Na szyi, tuż nad kołnierzykiem, zauważyła pulsującą żyłkę i niemal przygryzła do krwi wargę, by powstrzymać się przed dotknięciem jej czubkiem języka. Nie wiedziała dlaczego, ale miała ochotę sprawdzić, jak smakuje; nieważne, że tam również mógł być spocony i brudny. To zadziwiające, zwłaszcza że zawsze uchodziła za niezwykle schludną, wręcz pedantyczną osobę – i to zarówno jeśli chodziło o dom, który prowadziła poprzez wydawane

polecenia (a często i samodzielne polerowanie niektórych przedmiotów, by poprawić niedociągnięcia służby), jak i o strój czy higienę osobistą. Bardzo dbała o włosy, skórę, zęby.

Nie uważała urody za najważniejszy atrybut i w głębi duszy bolało ją to, że mężczyźni najczęściej chwalili jedynie prezencję, która stawała się głównym wyznacznikiem jej atrakcyjności. Niemniej lubiła dobrze wyglądać, była ładna i to nie sprawiało jej z całą pewnością przykrości. Nawet insynuacje, jakoby należała do głupich i pustych, zupełnie jej nie przeszkadzały. To Małgorzata zawsze walczyła ze stereotypami, starała się przeforsować w męskim świecie tezę, że kobiety mogą być równie mądre, zaradne, inteligentne i silne.

Aurelia wiedziała, że obie płcie zdecydowanie różnią się od siebie, i choć mogłaby nauczyć się tego samego, co zajmuje panów, to nie bardzo ją to interesowało. Zresztą, od dzieciństwa matka wpajała jej, że zbytnia inteligencja odstraszy wszystkich i narazi ją na ostracyzm społeczny. Kobieta zbyt oczytana i nadto mądra może być odbierana jako zagrożenie, dlatego nawet jeśli słyszała, jakie głupoty pletli w jej obecności mężczyźni, to starała się zachować pogodny wyraz twarzy i zwyczajnie ignorować ich niewiedzę.

Edmund był chyba pierwszym mężczyzną, poza jej mężem oczywiście, który nie wyróżniał jej jakoś szczególnie pod względem aparycji. Czynił awanse i tym uchodzącym za piękności, i tym mniej obdarzonym urodą kobietom. W zasadzie nie wydawał się zbyt wybredny. Kłócił się z nią i dokuczał zupełnie tak, jak jej brat czy kuzyn. Większość panów zwykle chwaliła ją i potakiwała, nawet gdy specjalnie mówiła coś niezgodnego z prawdą. Denerwowało ją to, że starają się zachować pozory zamiast przyznać, że się w czymś myli. Major miał odwagę wygarnąć jej prawdę. Zaczynała cenić tę cechę. Nie potrafiła też wyzbyć się porażającego ciepła, które paliło ją od środka, kiedy ich skóra przez moment stykała się ze sobą. Od lat fantazjowała na jego temat i tego, co kiedyś zrzucała na karb młodzieńczych rojeń lub wybujałej wyobraźni kobiety niedoświadczonej, teraz, jako wdowa, nie mogła potraktować lekceważąco.

Mateusz został przyjacielem jej rodziców i jako stały bywalec ich rodzinnego domu miał z nią kontakt od dzieciństwa. Lubiła go i w pewnej chwili zaczęła traktować niemal jak przyjaciela. Potrafił zauważyć, kiedy była smutna, czymś zmartwiona, kiedy szukała odpowiedzi na nurtujące ją pytania. To z nim rozmawiała, kiedy Robert ubiegał się o jej rękę i gdy przez

dziwne zrządzania losu wyjechał na wojnę, gdzie wdał się w głupi pojedynek, wskutek czego stracił zdrowie i wygląd. To Mateusz wyjaśnił jej, że nie powinna czuć się winna po zerwaniu zaręczyn, jeśli małżeństwo to byłoby dla niej czymś złym. Orientował się doskonale w salonowych zasadach i przewidywał, jaki to wzbudzi zamęt. Wiedział, jakich wskazówek jej udzielić, by zminimalizować skandal. Uważała wtedy, że Robert ją oszukał i nie dochował jej wierności, czego nie potrafiła mu wybaczyć i przyjąć jako coś normalnego, coś, co zwykle robią mężczyźni. Ona nie chciała być zdradzana. Była zbyt dumna, by dzielić się mężczyzną z kimkolwiek. Nie kochała go zresztą na tyle, by mu to wybaczyć. On po powrocie także nie chciał dotrzymać obietnicy i się z nią ożenić, dlatego że zdał sobie sprawę ze swoich ułomności. Uchodzili wcześniej za piękną parę, towarzystwo szeptało, że najpiękniejszą, choć oficjalnie do zaręczyn nie doszło. Byli wprowadzili po słowie, ale jeszcze nie podali tego do publicznej wiadomości. Uroczystość z okazji zaręczyn miała odbyć się po jego powrocie. On chciał jej to słowo zwrócić.

Zwyczaj mówił, że jeśli to mężczyzna zrywał zaręczyny, kobieta musiała okazać się niegodna, a więc zdradzić go, nie być niewinną lub wplątać się w jakiś skandal. Nie okazałoby się to dobrym rozwiązaniem dla kogoś w jej położeniu. Henryk Strzelecki roztrwonił wówczas większą część majątku i rodzina przeżywała poważne problemy finansowe. Ojciec nie miał tytułu szlacheckiego, który odziedziczył jego starszy brat, więc ją jako dobrze urodzoną biedaczkę ze skandalem na karku czekały wielkie problemy, zwłaszcza że dotąd kawalerowie wręcz zabijali się o jej rękę.

Sama mogła cofnąć dane słowo, ale w przypadku kiedy jej narzeczony powrócił z wojny, na której został ranny – bo tak brzmiała oficjalna wersja, nikt przecież nie chwalił się, że rany zdobył w wyniku pijackiej burdy w jakimś lupanarze – a ona zrywa z nim zaręczyny, wszyscy szeptaliby o jej bezwzględności i egoizmie. Wszak Robert Ostrowski nadal pozostawał majątnym synem barona, bohaterem wojennym ze stopniem podpułkownika. Ona, gdyby zostawiła go w chwili, gdy potrzebował wsparcia, okazałaby się bezwzględna i pozbawiona ludzkich odruchów.

Oczywiście większość małżeństw zawierano z powodów zupełnie innych niż miłość czy przywiązanie, a ludzie poślubiali majątki i tytuły, a nie drugiego człowieka, ale takie poczynanie sobie z rannym żołnierzem wszyscy potraktowaliby z pewnością surowo i wówczas również zostałaby odtrącona. Tak przynajmniej sądziła.

Trzecie rozwiązanie, czyli małżeństwo w sytuacji, kiedy oboje go nie chcieli, było jeszcze gorszym wariantem. Znalazła się w położeniu bez wyjścia; tak przynajmniej wówczas sądziła. Zastanawiała się, czy nie uciec gdzieś i nie zacząć życia od nowa, na co jednak brakowało jej i odwagi, i pieniędzy.

Hrabia Plater przyszedł z pomocą i rozwiązał wszelkie wątpliwości, zapewniał, że zaopiekuje się nią i uczyni zamożną hrabiną, niejako zmusi więc socjetę do zaakceptowania jej postępowania. Sprawę domniemanych zaręczyn zatuszowano tak, że nikt już właściwie nie wiedział, czy w ogóle do nich doszło, zwłaszcza że ślub odbył się niedługo po tym, jak żołnierze powrócili do kraju, a przecież nie podejrzewano, że hrabia poślubia kogokolwiek bez dłuższego namysłu, tym bardziej że długo pozostawał w stanie kawalerskim. Dzielili ich różnica prawie trzydziestu lat.

– To prawda. Nie możemy udać się do Wiśniowego Dworu twojego stryja, przynajmniej nie od razu. To naprawdę zbyt daleka droga. Póki co, najlepiej byłoby pożyczyć konie i powóz, tego jednak dzisiaj już nie dokonamy. Zaraz będzie zupełnie ciemno, a musimy gdzieś przetrwać noc. – Przerwał jej rozmyślania Edmund.

– Ale... od kogo mielibyśmy niby pożyczyć to wszystko? – zapytała, po czym niemal podskoczyła mu na rękach.

– Spokojnie. – Złapał ją mocniej, przycisnął do piersi. Niemal poczuła ciepło, z jakim na nią spojrział.

– Ale wiesz, dokąd idziemy, prawda?

– W rzeczy samej. Zaraz będzie widać klasztor Bernardynów w Tykocinie.

– Zatrzymamy się u nich czy w jakiejś gospodzie?

– Wolałbym dyskretniejsze miejsce. Tak, żeby nikt nie wiedział o naszej obecności. Przynajmniej póki nie wymyślę, co dalej mamy czynić.

Przystanął, poprawił ją sobie w ramionach i odsłonił grzywkę, która z braku porannych zabiegów opadała niesfornie na oko. Wyglądało to dość zabawnie i Aurelia kilkukrotnie musiała się powstrzymać, by jej nie odgarnąć za niego.

– Chyba zorientowałam się, gdzie dokładnie jesteśmy.

– Niby w jaki sposób? Poznałaś któryś z chlewów? – powiedział to takim tonem, jakby miała tam pracować albo robić coś bardzo niestosownego.

– Nie. – Uszczypnęła go. – Ale bywałam tu nieraz w dzieciństwie. Dałbyś radę poprowadzić mnie jeszcze kawałek?

- Chyba ponieść, kochana.
- Och, nie ważę znów tak dużo. – Zignorowała to, jakim słowem się do niej zwrócił. – Zresztą, odpoczęłam i mogę kuśtykać.
- Powiedz tylko gdzie, a jakoś cię udźwignę, w końcu nie takie ciężary ciągałem na wojnie.
- Ty, Błękitny Major, ciągałeś ciężary? To nie było do tego innych ludzi?
- Na wojnie nie zwracamy uwagi na stopnie, jeśli trzeba coś zrobić, to po prostu robimy, a kiedy musimy szybko się wycofać z pola bitwy, to nie tylko sprawność w posługiwaniu się bronią czy talent dowódczy są potrzebne, ale i krzepa. – Napiął muskuły, żeby jej zademonstrować swoje idealnie wyrzeźbione ramiona.
- Jeśli sądzisz, że takie sztuczki podziałają na mnie niczym na jedną z twoich licznych... przepraszam, nie powinnam.
- W porządku, zasłużyłem sobie. Wiem, że nie słyszałem nigdy z cnotliwego życia, ale musisz wiedzieć, że lwia część historii, które o mnie słyszałaś, jest dalece przesadzona.
- Przesadzona?
- No, na pewno nie, jeśli chodzi o moje umiejętności – napuszył się – ale co do rozwiązłości w ogóle, to ludzie lubią mnożyć przypadki moich podbojów. Wiesz, jak to jest.
- Nie wiem. – Zaczerwieniła się i próbowała szybko zmienić temat. Dziwnie się poczuła, gdy wspomniał o swoich umiejętnościach. Nie mogła przecież sobie pozwolić na to, by zauważył, jak bardzo jej się podoba. – Ale spytałeś, dokąd idziemy.
- Domyślałem się, że zaraz mi powiesz.
- Jeśli przemkniemy niepostrzeżenie węższą drogą biegnącą wzdłuż Narwi, to dotrzemy do kościoła Trójcy Przenajświętszej.
- A jak się tam dostaniemy?
- Nie tam. Zaufaj mi. – Uśmiechnęła się pod nosem.

13.

Kościół Trójcy Przenajświętszej w Tykocinie

– Zaczekaj. – Zatrzymał ją, zanim przekroczyli bramę miasta. – Nie chce ci się przypadkiem... hm.

– Co takiego?

– No, czy nie czujesz potrzeby?

– W zasadzie to... – zawstydziała się nieco – ...masz rację. Może ja przesunę się tutaj. – Wskazała dłonią wysokie drzewo. – A ty odejdziesz gdzieś dalej.

– Świetnie. – Zdążył szepnąć, po czym odwrócił się i już go nie było.

Aurelia przykucnęła, wsparła się jedną dłonią o pień, a drugą przytrzymała wszystkie warstwy spódnic jak najwyżej, trochę niezdarnie, ale udało się jej zrobić wszystko, co trzeba. Następnie cicho przeszli wzdłuż kolejnych budynków, aż dotarli na rynek i pod fasadę zwieńczoną trójkątnym frontonem, poprzecinaną lizenami¹⁰ i pilastrami¹¹ w porządku tokańskim. Po chwili przesunęli się w stronę jednej z dwukondygnacyjnych wież zakończonej hełmem.

¹⁰ Płaskie, pionowe występy w murze.

¹¹ Płaski filar, który nieznacznie występuje przed lico ściany.

– Co teraz? – zapytał Edmund.

– Drzwi mają łatwy do otworzenia mechanizm.

– Skąd taka porządna kobieta wie coś o nielegalnym otwieraniu drzwi?

– Zaraz nielegalnym. Kuzyn Wiktor pokazał mi podczas jednych wakacji. Przyjaźnił się z dziećmi mieszkającymi w tej okolicy, a moja matka nie była zadowolona, kiedy one przychodziły bawić się do dworu jej dalekiej kuzynki. Spędziliśmy tam kiedyś lato – wyjaśniła.

– A da się te drzwi skutecznie zablokować od środka?

– Podejrzewam, że znajdziesz sposób. – Pochwaliła go, bo wiedziała, że mężczyźni na ogół są próżni i niewielka zachęta wystarczy, by pobudzić ich do działania. Dla niej zwykle robili wszystko na jedno tylko skinienie.

Jak mówiła Aurelia, zamek łatwo ustąpił, wystarczyło wsunąć do niego pręt, który zabrali ze sobą, i trochę nim pomanewrować. Weszli cicho do środka, a Edmund zablokował drzwi długim drągiem służącym chyba do gaszenia wysoko położonych świec i szpadlem, który znaleźli w rogu pod schodami, a następnie wspięli się na górę.

Nie było tam może zbyt wiele miejsca, by się wygodnie rozłożyć, ale spory kawałek suchej, czystej podłogi spokojnie wystarczył.

– Póki widać cokolwiek, obejrzę twoją nogę.

Aurelia usiadła wygodnie na rozłożonym kontuszu majora i zdjęła buty.

– Pończochy również – zasugerował.

Zawahała się, słysząc to polecenie, ale jego głos nie brzmiał bynajmniej erotycznie. Chyba nie miał wobec niej złych zamiarów. Cóż, szkoda, przebiegło jej przez głowę, ale szybko skarciła się za tę myśl.

Ujął jej stopę delikatnie i przybliżył do twarzy. Mimo nadciągającego zmierzchu dało się jeszcze całkiem sporo zobaczyć, bo chmury się rozeszły i odsłoniły niemal pełny księżyc. Wyjął czystą chustkę i zwilżył ją wodą z bukłaka, następnie przemył ostrożnie obolałe miejsce.

Skóra wokół kostki była zaczerwieniona, a stopa lekko opuchnięta, w jednym miejscu zrobił się brzydki bąbel, z którego sączyła się żółtawa wydzielina. Miał nadzieję, że nie doszło do zabrudzenia, nie miał przy sobie alkoholu na odkażenie rany, a jedyny sposób, jaki mu przyszedł do głowy, w stosunku do damy jej pokroju nie wchodził w rachubę. Przemył dokładnie obolałą nogę i przyłożył do niej kilka małych listków babki lekarskiej, następnie powoli naciągnął pończoszkę.

– To powinno przynieść ulgę, zanim dostaniemy jakiś lepszy środek. Dobrze, że udało mi się znaleźć te listki *Plantago major*, w maju dopiero zaczynają rosnąć.

– To dlatego tak długo nie wracałeś. Dziękuję – wyszeptała oszołomiona delikatnością jego dotyku.

Jeśli w taki sposób obchodził się z kostką, to aż bała się pomyśleć, co potrafi czynić z innymi częściami ciała. Nic dziwnego, że kobiety tak za nim szalały... Czy jej dotyk też działałby w ten sposób na niego?

– A co z twoją głową? Nieźle oberwałeś.

– Zdaje się, że mam tylko guza.

– Może jednak to obejrzę? – zapytała, choć w gardle jej zaschło na samą myśl, że będzie błdzić palcami po jego gęstych, jasnych włosach, którym przyglądała się przecież przez pół drogi, chłonąc ich zapach i zapamiętując fakturę.

– Jeśli chcesz... – szepnął, a jego głos wydał się jakby mniej zdecydowany niż chwilę wcześniej.

To było naprawdę trudne. Jeszcze nigdy nie musiał tak bardzo opanowywać własnej żądy przy kobiecie. Wprost przeciwnie, zwykle

podsycał swoje zapędy poprzez wyobrażanie sobie... no właśnie, przywoływanie w wyobraźni Aurelii. Teraz jednak była tu, na wyciągnięcie ręki, a on wzbraniał się, by tak po prostu po nią sięgnąć. Nie należała do niego. Była żoną jego kuzyna, damą, na którą w żaden sposób nie mógł się połączyć. Do tego niezależna, bogata i w tarapatkach, co pewnie skłoniłoby ją do uległości wobec niego. Lecz kim on dla niej jest? Człowiekiem, którym przecież tak naprawdę pogardzała. Jedyne to, że zmuszono ją, by zwróciła się do niego o pomoc, sprawiło, iż tolerowała go i była dla niego dość miła. Ona dla wszystkich ogólnie była miła, nie stanowiło to zatem jakiegoś specjalnego wyróżnienia. Nie mógł wykorzystać tej sytuacji, bo znienawidziłaby go jeszcze bardziej. Pamiętał dobrze, jak obraziła się, gdy zarzucił jej rozwiązłość. Nie – ona, Aurelia Plater, nawet jako wdowa stanowiła szczyt doskonałości, której nie wolno mu naruszyć. Choć kusila jak nikt inny na całym świecie.

– Matko – jęknęła. – To nie guz, to raczej druga głowa.

– Przesadzasz.

– Nie, zdzielili cię naprawdę porządnie.

– Nie mów, że mi współczujesz.

– Ależ skąd! – zachnęła się rozbawiona. – Sama miałam ochotę ci przyłożyć i to nieraz, ale niosłeś mnie tyle drogi bez narzekań, a głowa musiała ci na pewno dokuczać.

– Nie bardzo, przyzwyczailem się. Szczerze mówiąc, to co jakiś czas po niej obrywam.

– Chyba że tak. – Pacnęła go lekko w ramię.

– A to za co?

– Nadal trzymasz moją nogę i czuję, że twoja ręka zabłądziła już pod kolano.

– O, nie zauważyłem. Naprawdę? – Zdziwił się z niekłamaną szczerością, zupełnie bezwiednie wędrował palcami po jej łydce w górę, mimo że rozum kazał mu się od niej odsunąć.

Cofnął dłoń i sięgnął po bukłak z wodą.

– Zostało niewiele, ale jutro rano powinienem gdzieś go napełnić. Dobrze byłoby wyruszyć jak najwcześniej. Przydałoby się też jakieś jedzenie. Nie spytałem nawet, czy dasz radę wytrzymać bez niego tak długo. Może powinienem iść poszukać ci czegoś?

– To miłe, ale zdarzało mi się pościć i jakoś sobie poradzę. Jutro powinniśmy dotrzeć do dworku kuzynki Godlewskich i tam nadrobię

zaległości, obiecuję.

Nie było zimno, ale spanie na gołej podłodze nie należało do najprzyjemniejszych. Rozłożyli jego kontusz i jej pelerynę, zwijając jego pas i jej kaptur pod głowy, a następnie się położyli, najpierw w niewielkiej odległości od siebie. Po chwili Aurelia przysunęła się nieznacznie w stronę Edmunda, a on niemal natychmiast przylgnął mocno do niej i prawie wsadził twarz w jej włosy.

– Oj – syknął. – Możesz powyciągać te pułapki, niemal nie straciłem oka. Chyba że specjalnie chcesz mnie zranić?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Oboje wiemy, że nigdy za mną nie przepadałaś – powiedział niby żartem.

– Musisz przyznać, że miałam swoje powody.

– To może lepiej się odsunę, zanim przyjdzie ci do głowy, żeby mnie zepchnąć ze schodów w nocy?

– A kto mnie będzie taszczył?

– A zapomniałem. Jestem ci przecież potrzebny.

– Może zakopmy topór wojenny.

– A więc jednak przyznajesz, że skrycie masz ochotę ze mną walczyć?

– Po prostu jestem zmęczona. – Uniosła dumnie podbródek. – Dlatego łaskawie nie będę się z tobą kłócić o jakieś zaszłości i chcę, byś odprowadził mnie w bezpieczne miejsce.

– Niech będzie. W sumie to całkiem logiczne rozumowanie.

– Widzisz.

– To powyjmujesz te kłujące cudeńka?

– W zasadzie mogę, nie są najwygodniejsze.

Sięgnęła dłońmi do rozsypującego się koka i powyciągała pozostałe w nim jeszcze spinki, odłożyła je na kupkę obok bukłaka z wodą, krzemieni, dwóch metalowych prętów i sznurka, po czym spokojnie ułożyła się w poprzedniej pozycji, tyłem do Edmunda. Ponownie objął ją ramieniem i przysunął blisko, wtulił twarz w jej miękkie włosy, które skręciła luźno i wsunęła częściowo za kołnierz sukni. Zesztywniała.

– Chyba nie zamierzasz mnie w ten sposób obejmować?

– A co w tym niewłaściwego?

– Jest noc, jesteśmy sami, nie jesteśmy małżeństwem – wyliczyła.

– Jakoś kiedy niosłem cię przez las, nie narzekałaś.

– Właściwie...

– Chyba że masz zamiar zmarznąć? Miejsca na pelerynie nie ma zbyt wiele, ale gdybyśmy się przytulili, to będzie nam całkiem wygodnie. To przecież logiczne, że w takich sytuacjach ludzie ogrzewają się nawzajem.

– Ogrzewają?

– Nie miałem nic złego na myśli. Przestań być taka sztywna.

– Masz rację. – Poddała się. – Przepraszam.

Pozwoliła, żeby ją delikatnie objął, choć nadal leżała wyprostowana, jakby połknęła pogrzebacz.

– Nie jest ci niewygodnie w pełnym stroju?

– Ta suknia podróżna jest specjalnie uszyta tak, by nie krępować ruchów – odpowiedziała chłodno i śmiertelnie poważnie.

– Mówię raczej o bieliźnie. – Niemal czuł, jak się rumieni, ale robił to, rzecz jasna, celowo. – Czy gorset ci nie dokucza?

– Nie, jest bardzo luźno zawiązany. W zasadzie to tak go włożyłam, że niczego nie uciska.

– W takim razie muszę przyznać, że masz niezwykle wąską talię. Zresztą, co ci będę mówił, sama wiesz, że w Warszawie na próżno szukać kobiety o tak doskonałej figurze.

– Próbujesz mnie komplementować?

– Nie, stwierdzam po prostu fakt.

– Też nie jesteś brzydalem. Z tego, co słyszałam, to plasujesz się nadal w czołówce najprzystojniejszych mężczyzn, mimo że w tym sezonie wyrosła ci spora konkurencja. Nawet twój złamany nos nie odstrasza nikogo.

– A według ciebie? Jak ty byś mnie sklasyfikowała?

– Według mnie? – Nie chciała odpowiadać na to pytanie, od zawsze stanowił dla niej symbol tego, czego powinna unikać, by nadal pozostawać porządną kobietą. – Nie zastanawiałam się nigdy.

– Doprawdy? – Przesunął dłonią po jej biodrze, wyczuł, jak napina się cała i drży, wsłuchana w jego ciepły szept.

– No może i całkiem wysoko, ale teraz powinniśmy już spać. – Udawała twardą.

– A może wykorzystać tę chwilę troszkę inaczej... – Trącił nosem jej ucho, chuchnął ciepłym powietrzem, tak że włoski na karku zjeżyły się jej z podniecenia.

O nie! Tak nie będziemy pogrywać, mój panie! Zezłościła się na niego. W jakimś stopniu była przecież doświadczoną kobietą, w dodatku od ponad roku pozostawała wdową, a stan ten w pewnych momentach stawał się

bardzo, bardzo dokuczliwy. Edmund musiał wiedzieć, że i ona nie jest z kamienia, a jego obecność działa na nią pobudzająco. Robił to specjalnie, łotr jeden! Nie miała zamiaru dołączać do długiej listy jego zdobyczy, nawet jeśli troskliwie opiekował się jej chorą nogą i niósł wiele kilometrów przez las. Całe dorosłe życie fantazjowała o nim skrycie, a on chce to teraz niecnie wykorzystać. Nie ma mowy! To ona da mu nauczkę, jeszcze zobaczy, kto tutaj jest górą.

Podczas pobytu w Indiach całkiem sporo – przynajmniej teoretycznie – dowiedziała się o sposobach dawania przyjemności. Nie musiała robić właściwie zbyt wiele, a przynajmniej wszystkie swoje gesty mogła zrzucić na karb czystego przypadku i źle pojętego postępowania, mszcząc się za stan, do jakiego ją teraz doprowadzał.

– Może – wychrypiała ku jego autentycznemu zdziwieniu.

Niemal zakrztusił się własną śliną, kiedy powoli odwróciła twarz w jego stronę i nie spuszczać wzroku z jego oczu, usiadła na nim okrakiem. Ominęła niestety najczulsze miejsce. Jęknął, gdy opadła na niego, poruszała się rytmicznie w przód i w tył, jednocześnie drobnymi dłońmi dotykała kołnierzyka jego żupana. Zgrabnym, niezwykle powolnym ruchem rozpięła pierwsze dwa guziki, rozchyliła górę koszuli... Pochyliła się i na przemian ciepłym chuchnięciem i zimnym dmuchnięciem drażniła jego rozpaloną skórę, odpinając powoli kolejne guziki. Paznokciem palca serdecznego przeciągnęła wzdłuż mostka, zatrzymała się i przesuwiała niżej.

Wstrzymał oddech, kiedy chwyciła jego dłoń i przybliżyła do swojej twarzy. Następnie jej wewnętrzną stronę okrążyła opuszkami palców, rysowała na niej skomplikowane wzorki i badała palec po palcu, jednocześnie nadal unosiła się i opadała na jego biodrach. Boże! Zaczynał wariować pod wpływem jedynie dotyku i to nawet nie żadnej intymnej części ciała, ale dłoni. Co ona z nim wyprawiała?! Poczul, że za chwilę nie wytrzyma i skompromituje się niczym niedoświadczony chłopiec, kiedy chwyciła drugą jego dłoń i z tą również zaczęła wyczyniać te swoje sztuczki. Zamknął oczy, z całej siły starał się skupić na tym, by nie podsycać własnych doznań, gdy coś zacisnęło się wokół jego nadgarstków w miejscu, gdzie rano znajdowały się kajdany.

– Au! – pisnął, uświadomiwszy sobie, że związała mu ręce. – Co robisz? – zapytał przestraszony i onieśmielony jednocześnie. On, zdobywca niewieścich serc i ciał, poczul się onieśmielony. Matko Boska!

– To na wypadek, gdyby przyszło ci coś nieprzyzwoitego do głowy.

– Słucham? – Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ona mówi o przyzwoitości po tym, jak niemal doprowadziła go do szczytowania?

– Rozwiążę cię, jeśli obiecasz trzymać ręce przy sobie. Możesz mnie obejmować, ale żadnych podtekstów, zgoda?

Dopiero teraz zorientował się, że swoimi sztuczkami zwabiła go w pułapkę. Poczł się niczym skończony głupiec. Ale czy nie zasłużył sobie na to?

– Podtekstów? – zapytał jeszcze, by poszukać usprawiedliwienia. – To co to niby było przed chwilą?

– Co takiego?

– No to, co robiłaś z moimi... z dłońmi?

– Zawiazywałam je tylko, a co myślałaś?

– No, no nic. – Poległ, po raz drugi w życiu go pokonała, trafiła idealnie w jego kolejny czuły punkt.

Postanowił pokazać jej, jak to jest, kiedy pożąda się kogoś, kogo nie można mieć, tak jak on przez te wszystkie lata pałał żądzą do niej, ale oczywiście według jej matki zupełnie na nią nie zasługiwał. Do licha ciężkiego, już on jej pokaże! I robi to z największą przyjemnością! Oj, będzie jeszcze prosić o jego dotyk...

– Nie wygłupiaj się, rozwiąż mnie i pójdźmy grzecznie spać. Jutro czeka nas długi dzień.

– Dobrze. – Uwolniła jego ręce i położyła się, zadowolona z siebie, w jego ciepłych ramionach idealnie wyrzeźbionych dla jej figury.

Zapadła w sen kilka minut później. Jemu zajęło chwilę, nim opanował emocje i wyciszył się na tyle, by móc zasnąć. Gniewał się na nią, ale jednocześnie cieszył już na samą myśl o wyzwaniu, jakie mu rzuciła. Oj, jeszcze zobaczy...

Nim wybiła północ, obudził się. Usłyszał jakiś szmer i zdał sobie sprawę z tego, że Aurelia nadal leży wtulona w niego, oddycha miarowo. Mógł wprawdzie wykorzystać jej nieświadomość i pozwolić sobie na jakiś niewinny psikus, stwierdził jednak, że będzie postępował uczciwie – nawet jeśli planuje małą zemstę, to przystąpi do niej zgodnie z regułami dobrego wychowania.

Poprawił jej głowę, by nie miała jutro bólu karku, wsunął pod jej szyję swoje ramię. Najwyżej mu zdrętwieje, co tam. Drugą ręką objął ją ściślej w talii i wtulił twarz w jej miękkie loki pachnące wprawdzie kurzem

i błotem, ale także czymś innym, jakimś niepowtarzalnym składnikiem jej samej.

Kiedy tak ją obejmował, starając się jak najmniej poruszać, dotarło do niego, że po raz pierwszy w życiu śpi z kobietą, której nie tknął. I wcale nie okazało się to takie straszne. Wprost przeciwnie, przenikało go przeświadczenie, że jest na właściwym miejscu. Tak, jakby był stworzony właśnie po to, by tulić ją do snu, by opiekować się nią i dbać o jej bezpieczeństwo. Czuł się zadowolony, spełniony, szczęśliwy jak nigdy wcześniej. A przecież do niczego nie doszło.

Może to było to, czego się tak obawiał? Może to coś zupełnie innego? Naprawdę mimo wszystkich ujemnych cech hrabiny Plater zauważał w niej człowieka, partnera do rozmów, kogoś, z kim mógłby... A może to późna pora, zmęczenie i ból nadgarstków każą mu stawać się takim romantykiem? Odsunął głowę od jej włosów i skupił na własnym oddechu.

Aurelia obudziła się dokładnie w momencie, w którym zasnął, i zauważyła, że pod głową ma jego ramię. W pierwszym odruchu pomyślała, że powinna czuć sztywność karku, ale nic takiego nie zauważyła. Było jej naprawdę wygodnie i ciepło. Spali niemal na gołej posadzce, ale obejmował ją tak ściśle i tak tulił się do jej pleców, że wcale nie zmarzła. Kostka bolała, ale nie na tyle, by przeszkadzać w spaniu, zwłaszcza że Aurelii naprawdę dokuczały zmęczenie i głód. Nie wiedziała, dlaczego się zbudziła, ale było jej niezwykle przyjemnie i dobrze. Czuła się bezpiecznie i naprawdę miło. Czyżby ten drań potrafił zachować się jak dżentelmen i nie robić nic niewłaściwego, choć miał taką możliwość? Zyskał w tym momencie w jej oczach. W dodatku te jego silne ramiona potrafiły tak czule obejmować, że z łatwością mogła zapomnieć o wszystkim: o anonimach, o ścigających porywaczach, o bólu i głodzie. Wciągnęła głęboko powietrze, starała się zapamiętać to uczucie spokoju. Wtuliła się w Edmunda jeszcze bardziej, o ile to możliwe, i ponownie zasnęła.

14.

Zaczynało świtać. Edmund otworzył oczy z dziwnym poczuciem szczęścia, gdy zorientował się, że nadal trzyma śpiącą Aurelię w ramionach. Intrygowała go ta kobieta, złościła, przywoływała uczucia wstydu i upokorzenia, budziła ochotę do zemsty, najczystsze pożądanie i czułość. Wybuchowa mieszanka – pomyślał.

Właśnie taka była. Hrabina Plater, dla niego na zawsze śliczna panna Aurelia Strzelecka. Leżała spokojnie w jego ramionach. Śnił o tym wiele razy i teraz, kiedy mógł przeżywać to w rzeczywistości, uczucie okazało się niezwykle dojmujące. Wprawdzie kusilo go, by obudzić ją pocałunkiem w policzek i zachować się bardzo stosownie, tak jakby sobie tego życzyła. O ile pamiętał, starała się uchodzić za wzór cnót i z pewnością zdenerwuje się, jeśli on znów zacznie swoje gierki, ale z drugiej strony... Uwielbiał się z nią droczyć, a ona przecież wczoraj udowodniła, że potrafi się przekomarzać, i pokazała to w spektakularny sposób. Przypomniał sobie, co wyprawiała z jego dłońmi, i zadrżał na samo wspomnienie. Oj, nauczy ją, że z Błękitnym Majorem nie wolno tak igrać. Jeszcze poprosi, by to on zaspokoił jej żądzę. Wystarczy tylko delikatnie ją rozbudzić, by sama nie wiedziała o tym, że jest poddawana próbie woli.

– Wstawaj, słoneczko. – Szturchnął ją delikatnie i przywarł do jej pleców.

Przeciągnęła się półśpiąca i poruszyła delikatnie biodrami. Wykorzystał moment i pogładził ją czule po boku, choć dla niego samego także stanowiło to ciężką próbę. Napał znowu, dotknął nosem jej ucha. Jęknęła, wyginając się w łuk, po czym chyba zaczęła odwracać się do niego przodem... Jednocześnie głaskała jego biodro. Zamknął oczy, udał, że śpi.

Aurelia poruszyła się niespiesznie z uczuciem błogości, wtulona w jego ramiona. Kolejny z całej serii snów o Brezie – pomyślała. Uwielbiała te poranne sny na granicy rzeczywistości.

– Och, Edmundzie... – wymamrotała, gdy się przeciągała.

Poruszyła głową, nie podniósłszy powiek, a jej lewa dłoń sama zaczęła wędrować po idealnie wyrzeźbionym brzuchu. Kierowała się ku dołowi, gdy nagle napotkała opór. Cofnęła ją przerażona, kiedy wróciła do świadomości. Otworzyła oczy. Spał. Dzięki Bogu, spał!

– Aaa – ziewnęła, by udąć, że dopiero teraz się budzi, i już miała zwrócić mu uwagę, kiedy odsunął się od niej i zaczął poprawiać ubranie. Wyciągając spod niej pognieciony kontusz.

– Nie wygląda to może najlepiej, ale jesteśmy tak brudni, że tych paru fałdek nikt nie zauważy. – Spojrzał na wymiętolony materiał i śmiał się w duchu z małego zwycięstwa. Teraz doskonale wiedział, że i ona go pragnie, może nawet tak, jak on pragnął jej. Nie było w tym w końcu nic dziwnego, to kobiety zawsze zabiegały o jego względy, a nie na odwrót.

Zabrał z podłogi swój płaszcz, zostawił ją na pelerynie i ukląkł w rogu dzwonnicy. Czuł na sobie jej pytający wzrok. Spodziewał się jakiegokolwiek reakcji z jej strony, ale nic takiego nie nastąpiło, odezwał się zatem pierwszy:

– Może wydaje się to nieprawdopodobne, ale modliłem się.

– Takie odniosłam wrażenie.

– I sądzisz pewnie, że zrobiłem to tylko na pokaz?

– Skąd – odpowiedziała, jego zdaniem, nie dość przekonująco.

– Modliłem się też nad rzeką, w powozie i wczoraj, kiedy poszedłem po babkę. Nie zawsze klękam.

– A kiedy odwiedzałeś... Przepraszam, wymknęło mi się.

– Chciałaś zapytać, czy kiedy szedłem sobie po chędożyć z jakąś dorodną mężatką...

– Nie ujęłabym tego w tak brutalny sposób – przerwała mu zawstydzona.

– Ale sens byłby ten sam. Odpowiem na niedokończone pytanie. – Wstrzymał celowo oddech, dodając dramaturgii. – Nie.

– Nie?

– Nie wtedy, a dopiero po powrocie do własnego łóżka. Nie jestem hipokrytą.

– Moja peleryna nadaje się właściwie do spalenia. To już drugie okrycie w ciągu kilku dni. Przy tobie zbankrutuję, by odkupić nową garderobę. –

Szybko pozbiierała myśli, starała się odwrócić uwagę od tego, co poczuła. Nawet rozmowa o modlitwie – choć pozwoliła jej dostrzec kolejne oblicze majora – nie zatarła śladów tamtego incydentu. Pamiętała jeszcze, jak pomagała mu w potrzebie, gdy zamknięto ich wczoraj w piwnicy. Musiała napić się wody, a najlepiej wskoczyć cała do rzeki. Próbowwała się podnieść, ale stając na otartej stopie, niemal syknęła z bólu.

– Chyba powinnam to po prostu rozchodzić. Musiała zdrętwieć w nocy.

– Pokaż. – Zbliżył się do niej, dotknął opatrunku. – Siedź spokojnie, zajrzę tylko i sprawdzę, jak to wygląda. – Zwrócił się do niej jak do dziecka, odłożył na razie na bok swoje wczorajsze postanowienia.

Wysunęła stopę i pozwoliła mu ją obejrzeć. Nie była przyzwyczajona, żeby mężczyźni oglądali jej nagie fragmenty ciała. Nawet mąż nigdy nie zapalał więcej niż jedną małą świecę, gdy odwiedzał ją w sypialni. W żadnym razie nie pokazywała mu się nago w świetle lamp, a tym bardziej za dnia. Wcale tego od niej nie wymagał. Pod tym względem był ogólnie bardzo mało wymagający. Zresztą tak się umówili jeszcze przed ślubem, co miało stanowić wyłącznie ich tajemnicę. Nie znaczyło to jednak, że zaniebyszał ją zupełnie. Oczekali niemal miesiąc, nim został na dłużej w jej sypialni, a wcześniej teoretycznie i dość szczegółowo zapoznał ją z intymnym światem. Nie spodziewała się nawet takiego rzetelnego wprowadzenia. Może nie miała zbyt wielu doświadczeń fizycznie, ale jej wyobraźnia została odpowiednio pobudzona. Może stąd wzięły się te sny, tak wyraźne i tak namacalne...

– Nie wygląda to tak, jakbym chciał.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Spojrzała na niego ostrożnie.

– Ta część, która wczoraj była opuchnięta, ma się całkiem dobrze, gorzej z raną; chyba dzieje się coś niedobrego, bo miejsce jest zaognione i sący się z niego więcej ropy.

– Co w takim razie?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Boże, stracę stopę?!

– Nie, nie aż tak.

– Co więc? Mów szybko!

– Trzeba to odkazić.

– Wiem, ale nie mamy alkoholu. Wątpię, żeby ksiądz trzymał w kościele zapasy wina, raczej zabiera je do domu, bo kiedyś... kiedyś ktoś je mu napoczął.

– Doprawdy? – Zaśmiał się na widok jej zaróżowionych policzków.

– To stara historia, nie będziemy teraz o tym wspominać. – Złożyła dłonie na podołku.

– Jest inny sposób.

– Jaki?

– Mocz.

– Co mocz?

– No mocz. – Wytrzeszczył oczy.

– Mocz?! Nie! – Jej brwi poszybowały niemal pod same włosy, których końce z kolei wydostały się już zza kołnierza sukni i rozsypały piękną,

brązową kaskadą na ramionach. – Tak?

– Tak. Poradzisz sobie?

– Jeśli to jedyne wyjście. – Rozłożyła ręce.

– Jedyne. – Przyznał, po czym podał jej szczotkę i spinki.

Uczesała się w mgnieniu oka – splotła długi warkocz. Podniosła się powoli z miejsca.

– Pomożesz mi zejść i dość w ustronne miejsce?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się i wziął ją na ręce. – Tak będzie sprawniej.

Jakieś dziesięć minut później obmywał twarz w wodach Narwi, a ona, schowana za krzakiem, zastanawiała się, jak nasikać sobie na stopę, by jednocześnie się nie przewrócić ani nie ubrudzić do reszty sukni. Jeszcze wczorajszego wieczoru całkiem stabilnie opierała się na dwóch nogach, kiedy stała w miejscu. Dziś było znacznie gorzej.

– Pomóc ci? – zapytał, gdy podszedł do krzaka z drugiej strony.

– Nie! – krzyknęła natychmiast. – Ani mi się waź!

Odczekał chwilę.

– Nie mogę się skupić, gdy tu jesteś.

Odszedł.

– Już skończyłaś? – zapytał po kolejnych dziesięciu minutach.

– Dobra, pomóż mi.

Ruszył jak na skrzydłach.

– Ale nawet nie waź się spojrzeć.

– To co mam robić?

– Trzymaj to. – Włożyła mu w dłoń materiał spódnicy i halki. – I daj mi rękę, bo zaraz się przewrócę.

– A nie pomóc ci przy zdejmowaniu bielizny?

– Żartujesz sobie chyba?

– Ani trochę. W końcu ty wczoraj pomagałaś mnie.

– Nie przypominaj mi, proszę.

– Jeśli wspomnienie o tamtym zdarzeniu aż tak cię dekoncentruje...

– Mógłbyś zamilknąć na chwilę? Nie ułatwiasz mi niczego.

– Już dobrze. – Odwrócił głowę.

Po kilku minutach usilnych prób i skupieniu całej siły woli Aurelii udało się wysikać tak, by polać ranę. Zapieкло, ale już po chwili przyszła wyraźna ulga. Niemniej jednak czuła się zbrukana i śmierdząca. Zawsze lubiła czystość i świadomość, że jej stopa... nie chciała o tym nawet myśleć.

– Zawinąć ci to chustką czy sama sobie poradzisz?

– Masz jeszcze jakąś chustkę? – Zdziwiła się.
– Zawsze noszę przy sobie co najmniej kilka.
– A myślałam, że to tylko ja mam taki zwyczaj.
– Jak widzisz, nie tylko. Coś jeszcze?
– Przytrzymaj tylko suknię. – Odsunęła się o parę kroków i usiadła na trawie.

– Jeśli komukolwiek kiedykolwiek choć jednym słowem wspomnisz o tym, co tu przed chwilą zaszło, to obiecuję ci, że cię uduszę. – Spojrzała mu prosto w oczy z poważnym wyrazem twarzy. – Dopadnę i nie bacząc na nic, uduszę!

– To byłaby piękna śmierć... – Rozmarzył się. – Ale nie obawiaj się, będę milczał jak grób – dodał na widok jej drżących powiek. – Ale gdybyś ty chciała porozmawiać sobie z kimś o tym, jak pomagałaś mi, to nie mam nic przeciwko.

– Nie mam najmniejszego zamiaru i ciebie proszę o to samo.
– To będzie niezwykle trudne. Taka wspinała anegdota...
– Chyba jednak na wszelki wypadek uduszę cię, jak już dotrzemy do celu.
– Uszczypnęła go w ramię, ale po namyśle się zaśmiała.

Może i nasikanie na stopę było obrzydliwe, a pomaganie mu wczoraj w potrzebie zbulwersowałoby każdą przyzwoitą kobietę z kręgu arystokracji, ale obie sytuacje zdawały się naprawdę zabawne. Po chwili oboje parskali śmiechem i uciszali się nawzajem niczym małe dzieci.

Edmund pomógł Aurelii wstać i oprzeć się wygodnie o jego ramię. Do dworku kuzynów nie było daleko, ale przy ich tempie poruszania się, zwłaszcza że wybierali najbardziej zakrzewione miejsca, wzdłuż rzeki na zachód, zapowiadał się bardzo długi spacer. Gdyby nie to, że oboje byli wyczerpani i głodni, a każdy hałas przypominał im o możliwym pościgu, poranek upłynąłby całkiem przyjemnie.

Dla zabicia czasu i żeby Aurelia nie myślała o obolałej kostce, Edmund zaproponował jej grę w szczerą odpowiedź. Jeśli któreś z nich nie będzie w stanie odpowiedzieć na zadane pytanie lub uzna je za niestosowne, to na najbliższym przyjęciu, w którym będą razem uczestniczyć, będzie musiało publicznie pochwalić wygranego albo siedząc przy stole, upuścić na podłogę widelec. Może nie były to najmądrzejsze zasady, ale akurat takie mu przyszły na myśl.

– Opowiedz mi o najprzyjemniejszym pocałunku w twoim życiu – zaczął major.

– Hm. – Zmarszczyła nos. – Może... nie albo...
– Zastanawiasz się?
– Czy to dziwne?
– Owszem. Powinnaś odpowiedzieć natychmiast. Chyba że żaden z twoich dotychczasowych pocałunków nie był dość przyjemny.
– Nonsens. Wszystkie były, dlatego nie mogę się zdecydować. – Odgryzła się. – Już wiem, mój pocałunek ślubny. Kościół wypełniony ludźmi, ja w pięknej sukni i hrabia Plater w nieskazitelnie czarnym surducie z drogiego aksamitu. To duże przeżycie dla kogoś, kto nigdy publicznie nie okazywał czułości.
– Ciekawe – zamruczał. Starał się zachować obojętność. – Twoja kolej.
– Kiedy całowałeś się po raz pierwszy?
– Oj, nie było cię jeszcze na świecie.
– Nie mówię tu o całuskach matki czy którejś z twoich ciotek, pytam o pocałunek z kobietą.
– Z kobietą? W takim razie mogłaś mieć wówczas ze dwa latka.
– Kiedy ja miałam dwa latka, ty najwyżej dziesięć. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że w wieku dziesięciu lat całowałeś się poważnie z kobietą.
– Nie wierzysz?
– W zasadzie to jestem skłonna uwierzyć. – Obrzuciła go karcącym spojrzeniem.
– No co?
– Zboreźnik.
– Niektóre kobiety to cenią. – Zaśmiał się. – Teraz ja: czy od śmierci swojego małżonka w twojej sypialni zagościł jakiś inny mężczyzna?
– Jak możesz?! – Oburzyła się.
– To tylko pytanie. Nie chcesz odpowiedzieć, to nie mów, najwyżej strącisz widelec. – Wyszczrzył białe zęby w swoim przesłodkim uśmiechu.
– Odpowiem! – Zaczerwieniła się i przymrużyła powieki. – Poza służbą, rzecz jasna, która tam sprząta...
– Wiesz doskonale, że nie o to pytałem.
Spojrzała na niego z miną morderczyni.
– Żaden.
– Żaden? – Upewnił się.
– Żaden – ucięła. – Co pan insynuuje?
– Pan? Zdaje się, że mówimy sobie po imieniu – zakpił. Podobało mu się, gdy się złościła. – Doszły mnie pewne plotki o tym, jaki wpływ mają twe

wdzięki na wielu niekoniecznie wolnych członków towarzystwa.

– To już ich problem, nie mój. Teraz moja kolej.

– Zamieniam się w słuch, madame.

– Dlaczego jeszcze się nie ożeniłeś? – Po co ona o to pyta!? Do licha, ta jego bliskość jest odurzająca, a jeszcze przytrzymuje ją w tak mocny, a zarazem delikatny sposób, że niemal sprawia jej to przyjemność.

– Nie znalazłem najwidoczniej odpowiedniej kandydatki.

– Hm.

– Zaskoczona?

– Raczej tak. Spodziewałam się usłyszeć, że masz jeszcze czas i cenisz sobie wolność.

– Bo mam i cenię, ale nie oznacza to, że gdybym odnalazł tę właściwą kobietę i przekonał ją, że to ja jestem tym jedynym, to nie stałbym się potulnym małżonkiem.

– Zdaje się, że nie wybrałeś najlepszej metody poszukiwań, chyba że liczysz na szybkie owdowienie którejś z odwiedzanych przez ciebie dam.

– Moja sława mnie wyprzedza, wspominałem już. Byłbym wdzięczny, gdybyś precedowała przez sito, i to z małymi oczkami, to, co słyszysz o mnie na herbatkach.

– Czyżbyś zaczął dbać o reputację?

– Skądże. Nie chcę tylko, by naruszało to twoją wrażliwość.

– Bądź poważny, proszę. – Uszczypnęła go.

– Ależ jestem.

Rozejrzał się wokół, bowiem usłyszał jakiś hałas. Szli w takiej odległości od Narwi, by nie ugrzęznąć i bezpiecznie przekroczyć jej liczne odnogi, jeśli musieliby skryć się między drzewami. Na szczęście hałasowała jedynie wiewiórka.

– A ty nie chciałabyś powtórnie wyjść za mąż? Życie samotnej kobiety musi być chyba uciążliwe, skoro zwróciłaś się o pomoc do kogoś takiego jak ja.

– Nie wiedziałam, że Błękitny Major z opowiadań mojego zmarłego męża to ty.

– A gdybyś wiedziała?

– Cóż. Nie mam pojęcia. Naprawdę nie wiem.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Powróćmy do pytania.

– Mój stan mi w zupełności odpowiada.

– Kłamiesz.

– Nie.

– W takim razie mijasz się z prawdą. Nie uwierzę, że chcesz do końca życia wszystkie noce spędzać w pustym łóżu i nigdy nie doczekać się dzieci. Nie chciałabyś mieć takiej małej córeczki, którą będziesz mogła stroić i czesać niczym laleczkę?

– Dzieci to nie lalki.

– Wiem, to tylko przykład.

– Może i bym chciała. – Poddała się po kilku chwilach namysłu. – Ale nie zmienia to faktu, że pozycja zamożnej wdowy jest całkiem wygodna.

– Dla kobiet, które nie boją się wziąć sobie kochanka, ale ty chyba do nich nie należysz.

– Zaczynasz zbyt szczegółowo analizować moją osobowość. Tak zachowuje się zazwyczaj moja siostra, więc doskonale wiem, do czego to wszystko zmierza.

– Dobrze. Przystanę. – Zmienił front. – Twoja kolej.

– Skąd przydomek Błękitny Major?

– To dość krępujące.

– Krępujące? Myślałam, że chodzi tu o błękitną krew twego rodu albo jakieś szlachetne czyny na wojnie.

– Niestety nie.

– W takim razie mów, proszę.

– To się zdarzyło w dzieciństwie. Zawsze miałem bardzo jasne, niemal białe włosy i wszystkie panie zachwycaly się moją urodą. Wykorzystywałem to do granic możliwości i kilku kuzynów postanowiło dać mi małą nauczkę.

– Tylko dlatego, że inni zachwycali się twoją urodą?

– Niezupełnie. Może i sam byłem małym narcyzem, który dokuczał innym, zwłaszcza mojemu starszemu bratu, rudemu niczym marchewka, z twarzą pokrytą mnóstwem piegów, jakby mu ptaszek narobił na twarz przez sitko.

– To rzeczywiście niemiłe.

– Właśnie. Bracia i kuzyni zebrali się któregoś dnia i moje piękne złote loki wysmarowali atramentem. Spałem nieświadomy i cała ta maź wsiąkła na tyle głęboko, że przez kilka tygodni dało się jeszcze dostrzec niebieskie refleksy.

– I to zapamiętano do dziś? – zapytała. Przytrzymała się go ostrożnie, bo przechodzili teraz po stromym zbocz, by zaoszczędzić sobie drogi.

– Rodzina szybko podłapała przydomek Błękitny. Major doszło, kiedy wróciłem po wygranej bitwie do domu i szczyciłem się przesadnie swoim kunsztem w walce, gdy podrywałem narzeczoną jednego z gości przybyłych do domu. – Zamyślił się. – Może nie byłem zawsze w porządku, ale nie robiłem też nic nad wyraz złego, zapewniam. To tylko zwykły flirt i maleńkie przechwałki. Wypiłem za dużo, przyjaciele zanieśli mnie do sypialni i powtórzyli psikusa. Nie trzeba być geniuszem, żeby zgadnąć, że moje jasne włosy jeszcze przez kilka dni pozostaną niebieskie. Cała rodzina i przyjaciele mieli ubaw, a z Błękitnego, dla podwyższenia rangi, zostałem Błękitnym Majorem. Po dwóch dniach ciągłych docinków sam zacząłem się z tego śmiać i tak już zostało. Ale – zaznaczył – nazywają mnie tak tylko krewni i najbliżsi. Inni nie muszą wiedzieć, że chodziło o włosy.

– Oczywiście – odparła bez namysłu, ukrywszy kpiący uśmiech. Pod maską bawidamka kryje się jednak wrażliwiec. Bardzo egoistyczny i wredny, ale wrażliwiec. – Choć zastanawia mnie...

Urwała nagle w połowie zdania, bo zdrowa noga zaczęła jej się ześlizgiwać po stromym zboczu niewielkiej wprawdzie kotlinki starorzecza, i przechyliła się całym ciałem niebezpiecznie w dół, wskutek czego pociągnęła Edmunda za sobą. Nie zdążył sięgnąć do gałęzi rosnącego obok krzewu w porę i oboje, upadłszy na mech, zjechali w dół. Całe szczęście, że nie zaczęli koziołkować, a tylko zjeżdżali nogami do przodu, było to jednak bardzo niebezpieczne z uwagi na wystające wszędzie konary i ostre korzenie drzew. Edmund nadal mocno trzymał Aurelię, złapał za wystającą gałąź i z całych sił uchwycił się jej, aż jego ramię wykręciło się boleśnie. Ona natomiast, uczepiona z jego drugiej strony, z suknią zadartą prawie na głowę, zwisała niczym kukielka z dwiema obolałymi kostkami, bez buta i z podartymi doszczętnie pończochami, spod których widać było poobcieraną skórę łydek.

– Możesz się po mnie wspiąć? – jęknął. – Jakoś to przetrzymam. Dasz radę?

– Chyba dam. – Syknęła z bólu, ale starała się zachować zimną krew i resztki godności. Nie uszło jej uwadze to, że ma zadartą spódnicę i prawdopodobnie nie zdoła jej poprawić, jak przystało damie, wobec czego będzie zmuszona wdrapać się na niego z obnażonymi całymimi nogami. Wolą jednak ujść z życiem niż oderwać którąś z rąk i zacząć naciągać garderobę.

Z wysiłkiem zaczęła się posuwać do przodu. Zapierała się kolanami najpierw o jego uda, następnie o biodra, pas, ramiona, aż niemal usiadła mu na głowie, nim zdołała chwycić się konaru, który trzymał.

Edmund, napinając mięśnie, zwiślał obolały na jednej ręce. Drugą starał się jej pomagać we wspinaczce, co wcale nie okazało się takie łatwe, zwłaszcza że musiał dotykać jej gładkiego ciała pokrytego siateczką zadrapań i resztkami pończoch. Gdyby nie tkwili w dość nietypowych pozycjach, mógłby to uznać za podniecające. Prawdę powiedziawszy, nawet w takich warunkach czuł przyjemne podniecenie.

Aurelia nie zaliczała się do kobiet, na które można patrzeć obojętnie, a tym bardziej obojętnie ich dotykać i to w tak intymnych miejscach, jak prawie nagie uda. Bardzo długie i kształtne uda, czego nie sposób nie zauważyć. Boże, chyba najcudowniejsze uda, jakie przyszło mu kiedykolwiek oglądać!

– Trzymaj się, skarbie. Spróbuję cię podsadzić wyżej, żebyś uchwyciła się tego drzewka na skraju zbocza – powiedział niemal z czułością.

Zignorowała słowo „skarbie”, choć pewnie miała ochotę upomnieć go za tę niestosowność. Czy pomyślała, że tak tytułował wszystkie kobiety, żeby nie pomylić ich imion?

Edmund przetoczył się na brzuch, kiedy tylko Aurelia, uchwycona konaru, klęczała nad jego głową. Podciągnąwszy się niczym gąsienica, wsunął przedramiona pod jej pośladki zakryte już niemal całkowicie przez opadający materiał spódnicy. Popychał ją powoli ku górze, starał się zapierać o to, co wyczuwał pod stopami. Wiedział, że jej nogi nie zapewniają wystarczającej stabilności, a podrapane nie pomagają w niczym. Ramię bolało go niesamowicie, ale miał jeszcze drugie i dzięki temu udało mu się wypchnąć Aurelię jak najwyżej.

Brudni, ale zmęczeni przysiedli na skraju urwiska i starali się zachować spokój. Został naprawdę niewielki kawałek do przejścia, ale z obolałym ramieniem Edmunda niesienie Aurelii nie wchodziło w rachubę, chyba że uczepiłaby się go niczym małka i zwiślała mu na plecach jak worek ziemniaków. Bukłak z wodą poleciał w dół, więc nawet nie mieli się czego napić. Oboje jednak byli na tyle zdeterminowani, że nie chcieli, nie mogli się teraz poddać ani narzekać na przeciwności losu.

Powoli się podnieśli i przyjęli poprzednią pozycję, by sprawdzić, czy dadzą radę tak ruszyć. Na szczęście druga kostka Aurelii okazała się jedynie

stłuczona, a z bólem można było stąpać, gdyby nie to, że brakowało jednego pantofla, a drugi i tak miał dziurawą podeszwę.

– Mógłbym pożyczyć ci swoje buty, ale są chyba o wiele za duże i tylko utrudniłoby to chodzenie. Musimy jakoś inaczej zabezpieczyć ci stopy. Może pozawijasz je w swoją spódnicę? I tak jest cała w strzępach. Jedna warstwa mniej czy więcej nie zrobi różnicy.

– A co z twoim ramieniem?

– Trzeba je tylko nastawić. Sam jednak nie dam rady.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Lepiej nie. Wytrzymam, a kiedy dotrzemy na miejsce, wezwiemy lekarza, który zrobi to, jak trzeba, i zajmie się twoimi kostkami.

– Jak wolisz. – Wstała powoli i oparła się na jego zdrowym ramieniu.

15.

W porze śniadaniowej dotarli wreszcie do drewnianego dworu, gdzie zdziwiona ochmistrzyni wzięła ich w pierwszym odruchu za parę włóczęgów.

– Panienska Strzelecka? Mateńko Przenajświętsza. – Wzniosła rękę. – Przepraszam, hrabina Plater i major Breza. Nie poznałam państwa w tym...

– Mieliśmy małe kłopoty – odparł Edmund.

– Coś mi się widzi, że nie takie małe. – Zlustrowała sukienkę Aurelii. – Jezusie Nazareński! Proszę nie stać na ganku, zaraz powiadomię państwa Strzeleckich, że mają gości.

– Państwa Strzeleckich?

– Moja pani wyjechała na lato, a państwo Strzeleccy przybyli przedwczoraj.

Służba natychmiast zajęła się przybyszami. Nakarmiono ich, rozdzielono, pozwolono umyć się i wezwano lekarza. Okazało się, że bark majora nie był zwichnięty, a jedynie mocno nadwyrężony. Wymagał okładów i unieruchomienia temblakiem na kilka dni, z kostkami Aurelii było nieco gorzej, ale przykładanie przygotowanych papek i długi odpoczynek miały dać dobre rezultaty w bardzo krótkim czasie. Doktor prosił, by chodziła jak najmniej przez kolejne dwa lub trzy dni i jak najczęściej zmieniała opatrunki. Obojgu pozwolono pospać do późnego popołudnia i nie zamęczano pytaniami na temat ich nagłego przybycia w tak nietypowym stanie.

Pani Strzelecka prosiła, aby zawiadomiono ją, kiedy tylko goście się obudzą, i natychmiast pobiegła do pokoju Aurelii z naręczem własnych sukien. Okazało się, że nie wymagały one właściwie żadnych poprawek, poza ciaśniejszym zawiązaniem talii, by leżały na niej idealnie. Edmund dostał na razie skromny strój dzienny z garderoby zarządcy, bo ubrania Wiktora były dla niego za długie i wymagały kilku poprawek. Dzięki sprawnym rękom jednego z lokajów ogolił się i uczesał, jak należy, przed zejściem na późny obiad.

Po obfitym posiłku wszyscy, włącznie z siedmiomiesięcznym synkiem państwa Strzeleckich, zgromadzili się w salonie przy kominku i starali zachowywać jak najbardziej swobodnie.

Edmund nie miał doświadczenia w zabawie z dziećmi, ale zauważył, że malec zwyczajnie się nudzi w towarzystwie samych dorosłych, wziął więc ze stolika dwie łyżeczki i zaczął wystukiwać nimi rytm o brzeg fotela.

– Ta-ta! – krzyknęło dziecko i poraczkowało do niego, siadło i wyciągnęło rączki.

Nie takiej reakcji się spodziewał. Zimny pot oblał mu czoło, a szczęki zacisnęły się mimowolnie. Wiktor rzucił mu gniewne spojrzenie, które natychmiast uchwyciła Aurelia. Ścisnęła dłonie w pięstki i czekała na rozstrzygnięcie sytuacji. Sabina, żona Wiktora, odwróciła się w drugą stronę. Najwyraźniej nie zamierzała mu pomóc. A niech to szlag!

– Ja, ja... – zaczął Edmund, jękając się, i spojrzał błagalnie w stronę pani Strzeleckiej, by wybawiła go z opresji. – My nigdy...

Aurelia patrzyła to na majora, to na Sabinę, a jej twarz robiła się coraz bardziej blada. Nagle Wiktor i jego żona wybuchli długo powstrzymanym śmiechem.

– Co?! – Edmund nie potrafił zrozumieć ich reakcji, a mały Jaś podsunął się jeszcze bliżej i zaczął wyrywać mu z ręki łyżeczkę.

– Ja zareagowałem zupełnie inaczej na to słowo – stwierdził Wiktor, przypatrując mu się zagadkowo.

– Niewątpliwie! – Breza nadal nie wiedział, czy uciekać, czy dołączyć do rozbawionego towarzystwa.

Aurelia również pogubiła się w sytuacji. Chłopczyk walczył dzielnie o drugą łyżeczkę, zupełnie ignorował całe zamieszanie.

– Ta-ta, ta-ta!

Edmund dał mu obie łyżeczki w nadziei, że zaraz odejdzie, ale ten już wdrapywał mu się na kolana, by sięgnąć do oparcia fotela i wybijać rytm, jak mu wcześniej zademonstrowano.

– Ta-ta, ta-ta! – krzyczał w najlepsze.

– Byłem dumny, że taki z niego oddany synek, ale okazało się, że to jedyne słowo, jakim się posługuje, i tak nazywa wszystko, co jest dla niego interesujące – wyjaśnił Wiktor.

– Powoduje tym bardzo zabawne sytuacje – uzupełniła Sabina Strzelecka i zerknęła wymownie na Aurelię.

– Boże – odetchnął Edmund. – Już chciałem stąd uciekać. – Chwycił malca pomimo obolałego barku i podniósł zdrową ręką, czym ułatwił mu dostęp do oparcia.

Bawili się wspólnie jeszcze dobry kwadrans, kiedy nagle na kolanach majora zaczęła pojawiać się coraz to większa wilgotna plama.

– Kolego! – Mężczyzna podniósł dziecko i spojrzał w jego małe niebieskie oczka. – Tego nie było w umowie.

Pani Strzelecka wstała szybko z miejsca i podbiegła, by pochwycić synka.

– Przepraszam najmocniej, majorze.

– Nic się nie stało. To przecież maleństwo. Ale jakbyście mogli pożyczyć mi jednak drugie spodnie...

Aurelia nie potrafiła powstrzymać nagłego ataku śmiechu. Zasłaniała usta dłonią, odwracała głowę i starała się myśleć o bólu kostki, ale nic nie przynosiło rezultatu. Śmiała się na cały głos zgięta wpół w sposób, który w żadnym razie nie przystoi damie. Edmund również zaczął najpierw oszczędnie, ale wkrótce ze łzami w oczach zaśmiewać się do rozpuku. Państwo Strzeleccy popatrzyli porozumiewawczo na siebie i parę rozchichotanych gości, po czym do nich dołączyli. Ich syn natomiast najwyraźniej stwierdził, że zrobił coś bardzo dobrego, bo zadowolony bił sobie brawo i przebierał nogami w powietrzu, trzymany przez matkę w pasie.

– To dasz mi te spodnie? – przypomniał Edmund.

– Oczywiście. – Wiktor zerwał się z miejsca. – Zaraz zaprowadzę cię do twojej sypialni i każę przynieść przynajmniej dwie pary. Zapewne zostały już odpowiednio skrócone. Możliwości Jasia są nieograniczone. – Spojrzał na niego z sarkastycznym uśmiechem. – Chodźmy zatem. – Wyciągnął dłoń.

– To doskonały pomysł. Ja również jestem zmęczona. – Aurelia podniosła się z fotela.

– Pomogę ci wejść na górę. – Podeszła do niej pani Strzelecka, która przekazała chłopca niańce. – Wybacz, ale nie ma żadnej wolnej sypialni na parterze.

– Och, nie jestem przecież aż taka chora. – Oparła się na jej ramieniu. – A jak się miewa Robert? – zapytała. Starła się brzmieć naturalnie.

– Coraz lepiej. Zaczął nawet powracać do dawnych nawyków.

– Och.

– Nie chodziło mi o typowe kawalerskie życie. Jak wiesz, pracowałem przed laty wraz z Edmundem i Wiktorem dla naszego ojca.

– Słyszałam o tym... – Zawahała się, czy rozwinąć ten wątek.

– Wiem, o czym myślisz. Ja również swego czasu brałam udział w kilku przedsięwzięciach, głównie jednak świadczyłam usługi inwestycji w sprawach sercowych.

– To musiało być naprawdę ciekawe.

– Było. Uwierz mi na słowo. Zaprowadzę cię teraz na górę i wrócę do Jasia. Bez bajki na dobranoc nie zaśnie – usprawiedliwiła się. – Jeśli

będziesz czegoś potrzebowała, daj znać.

Następnego dnia przy śniadaniu wszyscy zastanawiali się, czy aby na pewno dobrym pomysłem będzie ich wspólna podróż do Wiśniowego Dworu. Ze względu na nogi Aurelii i stłuczenia Edmunda lepiej byłoby, gdyby nie forsowali się i zostali na miejscu. Wiktor nie chciał na razie wtajemniczać ojca, ale nic nie stało na przeszkodzie, by zaprosić Małgorzatę, siostrę Aurelii, i poprosić, by przywiozła listy, jakie przez nieuwagę pokojówki otrzymała z prezentem urodzinowym.

Poprzedniego wieczoru Edmund opowiedział Wiktorowi co nieco o kłopotach jego kuzynki. Wspomniał też troszkę o własnych tarapatach, ale nie chciał wchodzić w szczegóły.

– Dochodzą tu niemal wszystkie wiadomości, i to na bieżąco. Prenumeraty ważniejszych pism ktoś ze służby odbiera z poczty. Czytałam o napadzie na hrabiego Olechowskiego, ale nic nowego o jego stanie zdrowia jeszcze się nie pojawiło – powiedziała Sabina, gdy sięgała po bułkę.
– Możecie spokojnie przeczekać kilka dni tutaj.

– Przedni pomysł, moja droga – zwrócił się do niej małżonek. – Co o tym sądzicie? – zapytał gości.

– Nie wiem. Nie chciałabym robić kłopotu – odpowiedziała Aurelia.

– To żaden kłopot.

– Może to nie jest zły pomysł. – Zamyślił się Edmund, drapiąc w brodę.

Musiał się skontaktować z ojcem i powiadomić go wreszcie o tym, że stracił dom w Warszawie. Kilka dni zwłoki nie robiło jednak różnicy. Może wymyśli jakiś przekonujący powód swojego postępowania. Jakąś kolejną wymówkę... Był skończonym bankrutem. Utracjuszem i hazardzistą. Jeśli to wyjdzie na światło dzienne... Ale senior rodu nie powinien go przecież wydziedziczyć...

Od kiedy pamiętał, zawsze go uświadamiano, że jako trzeci syn powinien starać się o własny majątek, bo z uszczuplonego przez pokolenia źle zarządzających nim Brezów zostało tyle, by pierwszy syn mógł żyć zgodnie z przypisanym mu tytułem, pod warunkiem że nauczy się wprawnie gospodarować zasobami. On i drugi z braci musieli wyuczyć się jakiejś profesji lub oddać żołnierce. Edmund wybrał wojsko, jego starszy brat – prawo. Obu szło całkiem nieźle, choć różnili się pod względem charakterów. Rozporządzali tym, co otrzymali, na tyle rozsądnie, by nie przymierać głodem, lecz o powiększeniu stanu swoich kont nie próbowali nawet marzyć, przynajmniej przez pierwsze lata po usamodzielnieniu. Później

sytuacja zaczęła się poprawiać, ale nie aż tak (przynajmniej w oczach niektórych), by traktować ich zupełnie poważnie. A teraz? Teraz to już nikt nie potraktuje go poważnie – pomyślał o Aurelii. Czy ona go w ogóle lubi? A nawet gdyby go lubiła, to co niby ma jej zaoferować? Jest bankrutem, który prawdopodobnie skończy za chwilę w rynsztoku. Cholera!

16.

Trzy dni później kostki Aurelii były już w na tyle dobrym stanie, że zaczynała wychodzić z domu i przechadzać się po przyległych ogrodach. Bark Edmunda również wracał do pełnej sprawności. Nie mógł wprawdzie jeszcze zrezygnować z temblaka, bo lekarz twierdził, że bez niego gotów go sobie powtórnie nadwyreżyć, ale zaczął wykonywać już drobne czynności samodzielnie. Nawet chesał się bez pomocy lokaja, z goleniem były jednak jeszcze problemy.

Zgodnie z zapowiedziami państwa Strzeleckich w majątku zjawili się państwo Wigurowie, czyli Małgorzata, młodsza siostra Aurelii, wraz ze swoim poślubionym zeszłej zimy oblubieńcem, którym okazał się młody baron Ksawery Wigura, kuzyn Edmunda.

Edmund poczuł się zażenowany, że nie zorientował się w planach matrymonialnych kolejnego członka swojej licznej rodziny. Ksawery i Małgorzata w związku z tym, że jej rodzice i rodzeństwo przebywali wówczas w Indiach, postanowili wziąć cichy, skromny ślub i nie zapraszać na niego nikogo poza znajdującymi się wówczas w pobliżu członkami rodziny i przyjaciółmi.

Nie dociekał również szczegółów, kiedy Aurelia wspominała o wysłaniu listów siostrze wraz z prezentem w szkatułce, i może dlatego nie domyślił się, że teraz po raz kolejny stali się w pewien sposób rodziną. To zaczynało już zakrawać na farsę, pomyślał, gdy Ksawery obrzucił go karcącym spojrzeniem na wieść o ich wspólnej wędrówce.

Wigurowie szybko zostali wprowadzeni w sprawę ucieczki hrabiny Plater z Warszawy i wspólnie przeglądali ukryte w szkatułce anonimy, wskutek czego dochodzili do coraz to nowych wniosków. Śledzono najświeższe gazety, by orientować się w stanie zdrowia hrabiego Olechowskiego i plotkach dotyczących sprawców napaści na niego. Awantura wisząca w powietrzu dawała o sobie znać, gdy wspomiano, że mógłby on oskarżyć o to – jak wynikało z gróźb w listach – Aurelię, starano się jednak zachować spokój i przeczekać chwilę, nim podejmie się właściwe działania.

Poranek był dość chłodny, ale hrabina Plater chciała go wykorzystać na spacer, by przemyśleć nieco ostatnie wydarzenia i jeszcze raz zastanowić się nad osobą Błękitnego Majora. Z jednej strony zaczynała go lubić, poznawać, nawet szanować, a z drugiej... kiedy pomyślała o tym, co poprzedniego wieczoru powiedział jej szwagrowi, to dłonie same zaciskały się jej w pięści.

Pani Strzelecka zajęta była próbami wmuszenia w synka śniadania, w czym dzielnie pomagała jej Małgorzata. Od kiedy młoda baronowa Wigura nabrała podejrzeń co do tego, że może być przy nadziei, zaczęła krążyć wokół małego niczym obsesyjny podglądacz. Zawsze starała się zapoznać ze wszystkim, co miało jej przypaść w udziale. Aurelia podejrzewała, że próbuje w myślach zanotować każdy szczegół opieki nad niemowlęciem, który mógłby się jej przydać w przyszłości. Czasem zazdrościła siostrze zmysłu obserwacji i doskonałej pamięci, ale w tym przypadku uważała to za co najmniej śmieszne. Każde dziecko okazywało się w końcu inne, a kobiety od wieków stawały się matkami i instynktownie wiedziały, jak powinny postąpić. Małgorzata zresztą to nie biedna wieśniaczka czy uboga mieszcanka zmuszona zająć się wszystkim samodzielnie. Miała opiekuńczą teściową i masę służby obeznanej w pilnowaniu magnackich latorośli. Jakby dobrze wszystko zorganizowała, to wyręczono by ją we wszystkim poza, rzecz jasna, porodem.

– Nie przeszkadzam? – Usłyszała za plecami głos kobiety.

– Ależ skąd, Sabino. Jeszcze raz dziękuję za suknie. Pasują idealnie.

– Cieszę się.

– Mamy identyczne figury. Nie musiałam niczego poprawiać.

Sabina uniosła lewą brew z niedowierzaniem, gdy lustrowała jej talię.

– No... może prawie niczego. Ale to ty niedawno zostałam matką.

– Przestań być taka poprawnie skromna. – Puściła do niej oko. – Zawsze byłaś jedną z najzgrabniejszych kobiet w towarzystwie. A biustu może ci niejedna pozazdrościć.

– Twój też nie wygląda gorzej.

– Ja jestem matką karmiącą, kochana, to stan przejściowy. Zresztą, chyba nie ja jedna w tym domu zwróciłam uwagę na takie szczegóły. Major niemal nie wyskakuje z fotela, kiedy pojawia się w pokoju. Wczoraj o mały włos nie wylałby na siebie koniaku, kiedy pochylałaś się nad robótką. Jeszcze nigdy nie widziałam, by tak otwarcie dawał sygnały, że jakaś dama mu się szczególnie podoba.

– Chcesz przez to powiedzieć, że do tej pory dyskretnie zapuszczał się do ich osobistych pokoi. Całe towarzystwo aż huczy o jego podbojach.

– Skłamałabym, udając, że tak nie jest, ale możesz mi wierzyć, plotki zwykle są mocno przesadzone.

– Nie w tym przypadku.

– Czyżby i tobie wpadł w oko ten nicpoń? – Sabina Strzelecka należała do kobiet, które nie potrafią utrzymać języka za zębami, czego nie zmienił nawet ślub z tak poukładanym i rozsądnym mężczyzną jak Wiktor, kuzyn Aurelii.

– Mnie? – Udała zdziwienie.

– Proszę, nie zaprzeczaj, bo wyjdzie to zupełnie na opak. – Zachichotała. – Zupełnie się nie dziwię. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, też przykuł moją uwagę. Zresztą nie będę kryć: nadal plasuje się w ścisłej czołówce. –

Otworzyła parasolkę, by ukryć twarz przed wschodzącym coraz wyżej słońcem. – Zaraz po moim mężu, rzecz jasna.

– Może rzeczywiście jest całkiem przystojny, ale wygląd to nie wszystko, zgodzisz się?

– Oczywiście. Tuszę jednak, że dostrzegłaś w nim także kilka innych pozytywnych cech.

– Może kilka. Niestety przywar dostrzegłam znacznie więcej.

– To też jest nie bez znaczenia. Widzisz, ja uważam, że najlepszy związek to taki, w którym iskrzy.

– Co masz na myśli? – Zaciekawiała się.

– Hm. Droga kuzynko po moim mężu... – odchrząknęła. – Moim skromnym zdaniem najlepiej jest być z człowiekiem, którego ma się ochotę udusić, ale nie robi się tego, bo bez niego samemu trudno będzie żyć.

– Chyba gdzieś już coś podobnego słyszałam.

– Z pewnością. Nie wymyśliłam tego sama, ale muszę przyznać, że do mnie i Wiktora pasuje idealnie. Kiedy się poznaliśmy, omal nie poderznięliśmy sobie gardeł. Miałam ochotę go zabić za to, że śledził mnie na polecenie ojca, a on zamiast zejść mi z drogi, specjalnie robił wszystko tak, by mnie zdenerwować i wyprowadzić z równowagi. Nasz pierwszy pocałunek... – Zaczerwieniła się. – Och, mało co go nie pobiłam, choć w sekrecie przyznam, że tylko dlatego, by nie pokazać, że mi na nim tak bardzo zależało. – Zerknęła w bok, żeby się nie zdradzić z tym kłamstwem. Pobiła go i to całkiem dotkliwie, ale nigdy nikomu się do tego nie przyznała. On tym bardziej.

Pogoda tego popołudnia okazała się wprost wymarzona na piknik, a malownicze nadnarwiańskie tereny aż prosiły się o ułożenie tam koców z jedzeniem i parasoli chroniących przed słońcem. Panie przyniosły sobie leżaczki i miękkie poduchy bez fatygowania do tego służby, a panowie – sprzęt do krykieta, bo nie zamierzali spędzić całego popołudnia na

wylegiwaniu się na kocach, spacerowaniu w kółko i prowadzeniu jałowych konwersacji. Damy oczywiście zapragnęły czegoś więcej niż tylko obserwowania zawodów. Chętnie przyłączyły się do gry, czym skutecznie popsuły zabawę dżentelmenom, dlatego zaproponowano zawody strzeleckie. Wiktor aż jęknął na myśl, że jego żona może wszystkich pobić na głowę, ale nie dał tego po sobie poznać i starał się dokonać podziału na drużyny zgodnie z płcią. Nikt oczywiście nie chciał go słuchać i panie ustawiły się równo z panami w kolejce do tarcz. Miano strzelać z łuków i pistoletów. Wszyscy dobrze wiedzieli, że w dworku jest spory zapas broni i można sprawnie przeprowadzić turniej z udziałem wielu osób.

Mały Jaś był tak zmęczony po zabawie z drużyną cioć i wujków, że zasnął na jednej z poduszek i tylko przykryto go cienkim kocem oraz zerkano co jakiś czas, czy się nie budzi.

Sprawnie ustawiono trzy tarcze, tak by oddać jednocześnie jak najwięcej strzałów i by wyniki okazały się najbardziej miarodajne. Tak zdecydowała Małgorzata, wykonawszy szybko jakieś obliczenia i przedstawiwszy im je w naszkicowanych naprędce wykresach, z których niewiele zrozumieli, ale przyznali jej dla spokoju całkowitą rację.

Jak łatwo można było się domyślić, Sabina i jej mąż trafili w sam środek tarcz oddalonych o dziesięć metrów od linii strzału. Następnie kolej przysłała na siostry Aurelię i Małgorzatę oraz majora i Ksawerego. Edmund dał popis zręczności, celując z łuku na jednej nodze, z uszkodzonym barkiem i przymrużonymi powiekami. Małgorzata przeanalizowała wszystkie dane, uwzględniła wiatr i nachylenie terenu i także strzeliła niemal centralnie. Jej małżonkowi nie poszło tak wspaniale, lecz zdołał osiągnąć celu, co i tak było sukcesem, zwłaszcza że poprzedniego wieczoru kuzyn namówił go na wychylenie kilku głębszych, przez co mężczyzna nieprzywykły do nadmiernego picia cierpiał dzisiaj na potworny ból głowy i przeszkadzały mu ćwierkające ptaki, których cienkie głosiki rozbrzmiewały w jego w uszach ze zdwojoną siłą. Jako ostatnia do zmagania przystąpiła Aurelia, którą spisano od razu na straty, więc poza majorem nikt nie przyglądał się jej wysiłkom. Ku zaskoczeniu wszystkich posłała strzałę bez zarzutu, co uznano za czysty przypadek.

W drugim podejściu tarcze przesunięto na odległość piętnastu metrów i uzgodniono, że do kolejnego etapu przejdą jedynie ci, którzy trafią w środek będący kółkiem o pięciocentymetrowej średnicy.

Łatwo można było zgadnąć, że Sabina, Wiktor i Edmund przejdą tę rundę bez mrugnięcia okiem, przy czym grot posłanej przez panią Strzelecką strzały w przeważającej części znalazł się w obwodzie środkowego kółka, dlatego zaliczono jej trafienie. Ksawery spudłował całkowicie, bo w momencie, kiedy naciągnął cięciwę i już przygotował się do strzału, nad jego głową odezwał się jakiś ptaszek, co zdekoncentrowało go ostatecznie. Jego żona, oczywiście po długim przygotowaniu, obroniła honor rodziny.

Gdy przyszła kolej Aurelii, wszyscy zaczęli baczniej przyglądać się jej technice. Zauważyli, że bardzo sprawnie się przygotowuje i bez zastanowienia oddaje celny strzał. Może to jednak nie był przypadek?

Kolejne dwa przesunięcia tarczy na odległość dwudziestu, a następnie dwudziestu pięciu metrów wyeliminowały Sabinę, którą zdekoncentrowały uwagi majora i wiercenie się przez sen małego Jasia, a w końcu stanem swojego męża, który także nie był tego dnia odpowiednio wypoczęty po długim wieczorze w towarzystwie Edmunda. Panie z zadowoleniem stwierdziły, że to powinno nauczyć ich, że uleganie namowom majora nie zawsze popłaca.

Do finału przeszły siostry i major Breza, który przestał się wygłupiać na widok naburmuszonych min kolegów, których poprzedniego wieczoru nieco nabrał, bo nie wypił tyle, co oni, ale skrzętnie popychał ich do zła.

– Nigdy nie zdradzałaś się z talentem strzeleckim – zauważyła Małgorzata, przyjrzawszy się siostrze.

– Bo takiego nigdy nie posiadałam, jak zapewne pamiętasz. –

Uśmiechnęła się Aurelia i przypomniała sobie, jak kiedyś obie trenowały w ogródku w majątku stryja, strzelając do słomianych kukieł, i ona zamiast w chochoła trafiła w szopę ogrodnika, wskutek czego stłukła szybę.

– To skąd ta nagła zmiana? Czyżby to wpływ jakiegoś mężczyzny? –

Spojrzała znacząco na majora, który szybko zorientował się, o czym mowa, i podszedł bliżej z zaciekawieniem.

– Owszem.

Edmund uśmiechnął się pod nosem, ale dotarło do niego, że nigdy nie udzielał jej żadnych lekcji.

– Zdradzisz jego imię?

– Nie wiem, czy powinnam.

Edmundowi pociemniało w oczach. Teraz przyszła jego kolej, ale był tak rozdrażniony tym tajemniczym wyznaniem Aurelii, że całkowicie poległ poprzez trafienie w nóżkę od tarczy ku uciesze kompanów. Przynajmniej

przestali patrzeć na niego jak na zdrajcę, bo uznali, że jednak pił wczoraj równo z nimi. Nie przysiadł wszak przy przegranych, a odszedł na bok na tyle blisko ostatnich zawodniczek, by ukradkiem wysłuchać, czy panie nie kontynuują przerwanej rozmowy. Czy był zazdrosny? Tak. Był cholernie zazdrosny!

Uderzyła go owa konstatacja, przyprawiła o ból w okolicy splotu słonecznego. Czy aż tak bardzo zaczęło mu na niej zależeć, ponieważ byli ze sobą blisko jak nigdy dotąd przez te kilka dni? Tak jakby wcześniej mu na niej nie zależało – zakpił w myślach i westchnął nad swoim uczuciem, do którego sam przed sobą zaczynał się w końcu przyznawać.

– Podczas mojego pobytu w Indiach kuzyn Sabiny postanowił mnie przeszkolić, na wypadek gdybym znalazła się w niebezpieczeństwie. – Usłyszał po chwili.

– Nie wiedziałam, że mogłaś być narażona na jakieś niebezpieczeństwo.

– Indie mają swoje ciemne strony.

– Opowiesz mi kiedyś o tym?

– Oczywiście, choć może cię to trochę zaskoczyć.

– Dużo czytałam.

– O paleniu wdów, sprzedaży dzieci, żebractwie, gwałtach, porywaniu do haremów, podziale na kasty?

– Troszkę. Ale teraz powiedz lepiej o tym kuzynie. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Edmund zacisnął bezwiednie pięści i odwrócił głowę na bok, by udąć, że podziwia jakiś okaz motyla siedzący na pobliskim krzewie.

– Nic z tych rzeczy. Wszyscy bracia Garenwill byli bardzo mili.

– Cóż... – Westchnęła.

Z Edmunda zeszło powietrze. Poczul gwałtowną ulgę i szczęśliwy podreptał w stronę reszty obserwujących zawody.

– Może wycelujecie jednocześnie do tej samej tarczy? – zaproponował Wiktor.

– To mogłoby być niezwykle interesujące. – Sabina dołączyła do męża, gładząc go czule po policzku.

– No proszę, taki poważny człowiek, a takie ciekawe propozycje – wymruczał dwuznacznie Edmund.

– Zdziwiłbyś się, Breza! – odparła Sabina i uniosła znacząco lewą brew, czym ucięła jego zaczepki.

– Dobrze. – Zgodziły się siostry, a młody baron skrupulatnie sprawdził, czy tarcza stoi w dokładnie takiej samej odległości od nich, nakreślił ołówkiem tuż nad grotami pierwsze litery imion strzelających pań, po czym rozpoczął odliczanie.

– Trzy, dwa, jeden, już.

Strzały wyleciały niemal jednocześnie. Wszyscy wpatrywali się w tarczę, tylko siostry odwróciły się do niej plecami, jakby zdecydowały tym samym, że już i tak wygrały obie.

Nigdy nie były w lepszych stosunkach i żadna nie chciała tego popsuć.

– Remis – zdecydował Ksawery.

– Niemożliwe. Ktoś musiał zwyciężyć – stwierdził Edmund.

– Sami zobaczcie – zachęcił zebranych.

– Panowie wstali, podeszli do tarczy i dokładnie przyjrzeni się strzałom tkwiącym obok siebie w centrum środkowego kółka.

– Rzeczywiście remis – orzekli jednogłośnie.

– Trzeba to będzie uczcić! – krzyknął Edmund.

– Daj spokój – odparł Ksawery.

– Tak, może zwykłe gratulacje wystarczą – dołączył Wiktor, który trzymał się za żołądek dający o sobie znać.

– Przestańcie! – Zaśmiał się Edmund.

– Uczymy to, ale może nie dzisiaj. Nie wiem jak ty, ale my musimy przynajmniej jeden dzień odpocząć.

– Jak chcecie. – Zagwizdał pod nosem i udał się w kierunku dam, którym należały się słowa pochwały.

Mały Jaś spał w najlepsze, można zatem było rozłożyć się spokojnie i poleniuchować, nie trudząc się prowadzeniem skomplikowanych pogawędek towarzyskich, czego obawiali się panowie. Okazało się, że i panie wolą odłożyć konwenanse, kiedy znajdują się na wsi w gronie bliskich osób.

– Jak pani kostka, hrabino? – Edmund zwrócił się oficjalnie do Aurelii, gdy ta rozłożyła się wygodnie na jednej z poduszek, oddalona nieco od reszty towarzystwa po tym, jak wcześniej oblała się winem i musiała dyskretnie wywabić plamę.

– Dziękuję, o wiele lepiej, majorze.

– Czy pozwoli pani, że sam to ocenię?

– Wszyscy patrzą – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– To niech patrzą – stwierdził i bez dalszych ceregieli ukląkł przed nią, wziął do rąk jej nogę i zdjął bucik.

Nie zdążyła nawet zaprotestować, gdy już oglądał opatrunek.

– Chyba go pan nie zdejmie?

– Nie śmiałym przecież. – Spojrzał na nią przekornie.

– Obawiam się, że śmiałyby pan, i to jeszcze jak – szepnęła, choć zaczynało się jej to podobać.

Udając, że ogląda opatrunek, i komentując dobrą robotę lekarza, przesunął ukradkiem palcem po jej łydce tak, że zadrzała. Starła się jednak zachować zimną krew, co było niemal niewykonalne.

Ależ z niego nikczemnik! A jej się to tak podobało, że niemal jęknęła z rozpaczy, kiedy założył jej bucik i z namaszczeniem odłożył nogę, podłożywszy pod nią mniejszą poduszkę – jak twierdził, by kuracja doktora okazała się skuteczniejsza.

– A pana bark, majorze? – zapytała głośno.

– Czyżby chciała się pani przekonać o jego stanie przy wszystkich? – wymruczał przeciągle.

Przyglądał się jej ze świadomością tego, że są dyskretnie obserwowani. Gdyby nie ta małeńka przeszkoda, zapewne inaczej potoczyłyby się rekonesans jej kostek. Przed oczami miał już obraz dalszej części smukłych, zgrabnych nóg i ich właścicielkę rozłożoną wygodnie na trawie, zachwyconą jego badaniami. Z chęcią i niezwykłym zaangażowaniem zbadałby każdy centymetr jej zgrabnych kończyn, aż podążyłby wytrwale do...

– Chyba pana uduszę – szepnęła, czym wyrwała go z zamyślenia.

– Taka śmierć byłaby dla mnie zaszczytem. Już o tym kiedyś wspomniałem.

– Nie pozwolilibym panu umrzeć. Udusiłabym pana tylko na tyle, by pan pocierpiał.

– To chyba się wzajemnie wyklucza.

– Nie w tym przypadku.

Uklonił się jej kulturalnie i przysunął w stronę pozostałych osób, bo czuł, że nie może sobie pozwolić na kontynuację tej rozmowy, by nie stracić swojej opinii doświadczonego i opanowanego kobieciarza.

17.

– Nie muszę ci przypominać, Ksawery, że to ja jestem twoim starszym kuzynem, a nie na odwrót. – Edmund poczuł się dotknięty upomnieniem krewnego młodszego o całe siedem lat.

– Ale to ja jestem mężczyzną żonatym, podczas gdy ty nadal zachowujesz się niczym lis wpuszczony między kury – wyjaśniał spokojnie baron Wigura. Stał w korytarzu prowadzącym do gościnnej części domu, kiedy opuścili towarzystwo z wymówką, że udają się już na spoczynek.

– Czyli tak, jak ty zawsze miałeś ochotę się zachować, ale nie starczyło ci na to odwagi? – odparł, choć wcale tak o nim nie myślał.

– Nie znasz mnie, kuzynie – szepnął.

– Oho, chyba mój krewniak zaszalał w końcu ubiegłego lata. Słyszałem o złamanych sercach w okolicy Wiśniowego Dworu Strzeleckich.

– Da-da-daj spokój. – Ksawery machnął ręką, gdy przypomniał sobie próby uwiedzenia go przez dwie zamożne siostry Lisowskie, z których ręk wyrwał się wyłącznie dzięki swojej mądrej małżonce.

– Jąkasz się? – W rodzinie wszyscy wiedzieli, że Ksawery miał problem z wymową w sytuacjach stresujących, zwłaszcza kiedy dotyczyły kobiet. – Czyli jest coś na rzeczy – wymruczał. – A pani Wigura o tym wie?

– We wszystkim brała udział. Jakbyś był bardziej uważny, to dawno byś poznał całą naszą historię. Nieważne – burknął. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jako mąż siostry hrabiny Plater muszę zwrócić ci uwagę, że należy ona teraz do mojej rodziny i nie chcę, byś złamał jej serce.

– Złamał serce? Cóż za słownictwo, kuzynie – zaszydził. – Zawsze uważałem cię za sztywniaka. Może jednak to małżeństwo było dobrym posunięciem. Małgorzata zresztą wygląda na równie szczęśliwą, że nie wspomnę już o tym, że rozkwitła przy tobie. Nigdy nie posądziłbym jej o to, że może wyglądać tak pociągająco.

– Uważaj! – Zabrzmiało to niczym ostrzeżenie.

– Nie miałem nic złego na myśli. Znasz mnie. – Klepnął go pojednawczo po ramieniu.

– Znam i dlatego muszę cię ostrzec, że nie będę się beczynnie przyglądał, jeśli spróbujesz sprowadzić moją szwagierkę na złą drogę.

– Ona nie jest już panienką, mój drogi. Może sama o sobie decydować.

– Może, ale wiem, że ty potrafisz zbałamucić najcnotliwszą kobietę, a nie chcę, by zrobiła coś, czego będzie potem żałować.

– Zbyt pochopnie mnie oceniasz. Poczulem się dotknięty.

– Nie sędzę. Widziałem, jak oglądałeś jej kostki. Nie nazwałbym tego z całą pewnością niewinną troską o stan zdrowia. Musisz mi obiecać, że nie będziesz się do niej dobierał, zważywszy choćby na to, że należy do mojej rodziny i w razie czego stanę po jej stronie.

– Ja też należę do twojej rodziny, gdybyś przypadkiem zapomniał. Czy to nie męska solidarność powinna przyświecać twym czynom?

– Nie w tym przypadku. Wiesz dobrze, że chcę i jej, i twojego dobra, przestań więc krążyć wokół tematu i bawić się ze mną niczym z głupią dzierlatką. – Wyprostował się, by zademonstrować swój imponujący wzrost i szczupłą, acz atletyczną budowę.

Może i Breza był sprawniejszy w walce, ale nie z chorym barkiem.

– Mówię to również dla twojego dobra. Chyba sam wolałbyś mieć spokój na rodzinnym gruncie i móc do kogokolwiek zwrócić się w razie kłopotów. Wiktor zapewne poprze mnie w tej sprawie.

– Rozumiem i doceniam twoją postawę. Musisz być taki zasadniczy, bo tak nakazują ci honor i tradycja, ale zważ, że może to hrabina Plater chce mnie sprowadzić na złą drogę.

Aurelia ubrana w suknię pożyczoną od Sabiny Strzeleckiej, z upiętymi wysoko włosami wykręconymi na czubku głowy nie mogła się doczekać wyprawy po miejscach, w których bawili się z kuzynem w dzieciństwie. Chciała zajrzeć jeszcze do pokoju siostry, by dokończyć ich wczorajszą rozmowę, zanim wszyscy zejdą na śniadanie i w domu zrobi się bardzo tłoczno. Usłyszawszy jednak na dole swoje imię, zakradła się cichutko i oparła plecami o ścianę, by jej nie zauważono.

– Chciałbyś, by tak było, ale to tylko twoje rojenia, Breza... – Udało się jej podsłuchać.

– Ty naprawdę dojrzałeś. Gratuluję raz jeszcze. A co do wdowy po naszym kuzynie, to chciałbym ci przypomnieć – powiedział z naciskiem – że nawet gdyby mnie prosiła na kolanach, to nie mam najmniejszego zamiaru jej uwodzić – skłamał, ale zaczynała już go mierzić ta ojcowska postawa młodszego kuzyna. – Możesz mi wierzyć na słowo, to jędza, jakich mało. Ta kobieta potrafi człowiekowi tak dać w kość i tak dalece zajść za skórę jak żadna inna...

Aurelia usłyszała za sobą kroki pokojówki, więc szybko wsunęła się do najbliższego pokoju i przeczekała, aż ta się oddali. Co za gbur! Ja niby jestem jędzą? Nie dotknąłby mnie, nawet gdybym go błagała na kolanach?

A kto wczoraj omal nie wsadził nosa między moje kolana pod pretekstem obejrzenia kostki!?! Podły karaluch!

Chciała wysłuchać reszty, ale musiała poczekać, aż pokojówka sobie pójdzie.

– I to niby tak ci przeszkadza? – zapytał z wyraźnym rozbawieniem Ksawery, kiedy Aurelia siedziała w pokoju.

– Z jednej strony przeszkadza, a z drugiej... – Uniósł wzrok ku górze. – Boże, nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak ona na mnie działa. – Spuścił głowę, jakby przyznawał się do czegoś złego.

– Podoba ci się to, prawda?

– Niestety, choć nie mam pojęcia dlaczego.

– Czyżbym źle cię ocenił? – Popatrzył na niego wyczekująco. – Czyżbyś jakimś cudem był zdolny do wzniosłych uczuć? Czyżbyś się zakochał? – wymówił to ze zdziwieniem.

– Może – wyznał Edmund, choć w tej samej chwili pożałował, że to uczynił.

– To sam powinieneś wiedzieć, że jeśli chcesz zachować się godnie, musisz postąpić może po raz pierwszy w życiu uczciwie.

– Mówisz o małżeństwie?

– Może nie od razu o małżeństwie, ale przynajmniej staraj się być wobec niej szczery.

– Problem polega na tym, że jestem spłukany do cna i ona może sobie pomyśleć, że tak nagle zacząłem uczciwie konkury po to, by zdobyć jej majątek.

– Jesteś spłukany?

– Wyjaśnię ci to później. To bardzo skomplikowana i długa historia, a my nie mamy tyle czasu. Załóż sobie tylko, że jestem bankrutem, a ona dysponuje środkami, które starczyłyby trzem takim jak ja. Do tej pory właściwie schodziliśmy sobie z drogi, a tu nagle ja zaczynam pałać do niej uczuciami; przecież to oczywiste, że pierwsze, co jej przyjdzie do głowy, to to, że znalazłem sobie w niej źródło finansowania.

– A mógłbyś tak zrobić?

Aurelia w tym momencie wyszła z ukrycia i podsunęła się w stronę rozmawiających panów.

– Czy mógłbym? Pytasz, czy mógłbym starać się o względy hrabiny Plater dla pieniędzy jej męża? To głupie, naprawdę głupie pytanie.

– Może głupie, ale musiałem je zadać.

– W porządku. Zadałeś. A wyobrażasz sobie mnie podległego kobiecie w sprawach finansowych? – zaszydził, niemal zaśmiał się dla rozładowania poważnej atmosfery. – I jak miałyby wyglądać nasze konkury? A może ona zacznie wysyłać mi kwiatki i drogie drobiazgi, bo mnie na to nie stać? Prędzej bym chyba strzelił sobie w łeb.

Pokojówka wróciła. Aurelia poprawiła suknię i ze złością wpadła do sypialni siostry. Jak on mógł coś takiego o niej powiedzieć!? Że niby nie chciałby jej nawet ze względu na majątek męża, a żeby coś ich do siebie zbliżyło, to musiałyby go błagać na kolanach? Chyba to właśnie usłyszała, choć pewności nie mogła mieć ze względu na szmery krzątającej się służby. Czy ten plugawy typ myśli, że ona będzie się prosić o jego względy? Fakt, że zbankrutował, nie zrobił na niej większego wrażenia, od zawsze uważała go za utracjusza, bo jego sytuacja finansowa nigdy nie rysowała się stabilnie. Ale zignorowanie jej jako kobiety i stwierdzenie, że nie jest godna jego uwagi, to coś zupełnie innego. To godziło w jej dumę, w jej kobiecość! A już zaczynała go lubić, już wyczuwała, że między nimi rodzi się coś na kształt przyjaźni, może nawet... nieważne. Już ona mu da popalić, niech tylko zaczeka! Zmusi go, żeby sam błagał ją o choćby najmniejszy dotyk, o jedno spojrzenie. Nie, ona – Aurelia, hrabina Plater, najpiękniejsza z dam – nie będzie się umizgiwać do nikogo. To o nią zawsze zabiegano i tak ma pozostać! Basta!

– Czy coś się stało? – zapytała ją siostra siedząca przy niewielkiej toalecie i poprawiająca wymykające się z upięcia rude loki.

– Ten drań, ten nikczemnik, ten potwór! – Próbowwała złapać oddech.

Małgorzata przyjrzała się jej krytycznie. To jedna z niewielu osób, które znały to oblicze Aurelii. Dla wszystkich zawsze była uosobieniem spokoju, serdeczności, damą ułożoną w najwyższym stopniu. Nikt postronny nie uwierzyłby, że pod tą ugrzecznoną maską może kryć się wulkan emocji.

– Chodzi o majora, jak mniemam. – Baronowa Wigura cechowała się zbytnią inteligencją, by nie odgadnąć tak oczywistego powodu wzburzenia siostry.

– W rzeczy samej! O kim innym można by się w ten sposób wyrazić, jak nie o tym hultaju, tym pijaku, tym bawidamku?!

– Cóż... – Nie zdążyła dokończyć.

– Ten obłudny, zakłamanym, podstępny i nic niewarty dandys myśli, że będę się o niego starać. Myśli, że jestem jak jedna z tych jego podstarzałych, znudzonych mężatek, co mu wysyłają zaproszenia do swoich sypialni pod

nieobecność męża. – Przestała zważać na słowa. – Tak! Słyszałam plotki o jego pozał się Boże podbojach. Pogromca starych ladacznic. Żalodne!

Małgorzata przeszła powoli pokój i siadła na brzegu łóżka. Nigdy nie miały z siostrą bliskich relacji. Może nie kłóciły się jakoś szczególnie, ale nie żywiły również do siebie głębokich uczuć ani nie zwierzały się ze swoich trosk. Jedna uważała drugą za niedouczonej strojnisię, druga pierwszą – za nudną dziwaczkę. Dopiero teraz pogodziły się i doceniły nawzajem, przyznając, że okazały się dla siebie zbyt surowe.

– Usiądź, napij się i powiedz po kolei, co się stało – poprosiła.

– Dobrze.

Aurelia naląła sobie wody do szklanki, upiła kilka łyków i zaczęła krążyć po pokoju.

– Usiądź – powtórzyła spokojnie Małgorzata.

Aurelia usiadła bez zastanowienia i odstawiała szklankę.

– Major rozmawiał właśnie z twoim mężem na mój temat.

– Z Ksawerym?

– A masz innego?

– Głupio pytam. – Skuliła ramiona, żeby nie parsknąć śmiechem, i z pełną powagą nastawiła uszu.

– Ten barbarzyńca.

Zaczyna się ciekawie – pomyślała Małgorzata, gdy analizowała miny i słowa siostry. Zakochana! Jak nic zakochana w majorze. I to po same uszy! W końcu to ona jeszcze niedawno tak wyrażała się o swoim mężu i to tylko dlatego, że posądzała go o flirty z inną panną, a raczej pannami, a zazdrość tak ją zaślepiła, że nie potrafiła logicznie myśleć.

– Ach – westchnęła rozmarzona pani Wigura, gdy przypomniała sobie pierwsze podrywy uczuć i zaloty męża. On i Edmund byli w końcu kuzynami, dość podobnymi fizycznie, co już samo w sobie świadczyło o dobrym guście siostry. Choć major miał niezbyt dobrą opinię w towarzystwie, to jednak dla miłości mężczyzna może się przecież zmienić. Ponoć z kobieciarza jest najlepszy małżonek i ojciec rodziny.

– Czy ty mnie słuchasz?! – zapytała niecierpliwie Aurelia. – Mówiłam, jak ten drań opowiadał Ksaweremu, że mam go błagać na kolanach, żeby zechciał mnie uwieść. Wspomniał nawet o obsypywaniu go drogimi prezentami. Wyobrażasz sobie?

– Z pewnością musiała zajść jakaś pomyłka. Usłyszałaś część rozmowy i błędnie wyciągnęłaś wnioski. Zapewne to zdanie wyrwane z kontekstu, bo

nie sędę, by major mógł tak o tobie myśleć. Pokusiłabym się raczej o stwierdzenie, że jest tobą co najmniej zauroczony. Sposób, w jaki na ciebie patrzy, kiedy myśli, że nikt go nie obserwuje, może świadczyć jedynie o głębokim zainteresowaniu.

– Mam nadzieję, że nie moim majątkiem. Choć chyba stwierdził, że majątek stanowi raczej przeszkodę. Sama już nie wiem. – Rozłożyła ręce.

– Zapominasz, że on również pochodzi z bogatego domu, a od kiedy jego dwaj starsi bracia odeszli z tego świata, nie musi czekać w kolejce po tytuły.

– Może. – Uspokoila się nieco.

– Może? Z tego, co widziałam, gdy odwiedzałam po ślubie kolejno krewnych Ksawerego, ojcowizna Edmunda to ogromne obszary leśne z rozrzuconymi siołami i pięcioma... – zawahała się – nie, sześcioma tartakami. Nawet on nie byłby w stanie przehulać takiej spuścizny.

– Tego nie byłabym akurat pewna. Zresztą nie żyje chyba z ojcem w zbyt dobrych stosunkach. Ale raczej powinien dziedziczyć...

– Na pewno. Przestań reagować tak spontanicznie. Powinnaś na spokojnie wszystko przemyśleć i wtedy podejmować działania.

– Masz rację, siostrzyczko. Dziękuję. – Podeszła do niej i objęła ją mocno. – Dziwne, że do tej pory nie potrafiłam docenić twojego analitycznego umysłu. Zawsze brałam cię za przemądrzałą ekscentryczkę – wyznała całkiem szczerze.

– A ja ciebie za pustogłową piękność, dlatego jesteśmy kwita. – Zaśmiała się serdecznie. – Spróbuj spojrzeć na Edmunda nieco życzliwszym okiem, zawsze byłaś do niego surowo nastawiona. Może niepotrzebnie?

Spokojnie zaplanuję zemstę i sam przypełźnie do mnie z błaganiem, bym zwróciła na niego uwagę – pomyślała Aurelia, gdy przytulała siostrę. Będzie udawać, że niczego nie słyszała, żeby jej myśli się uspokoiły i żeby na trzeźwo mogła sobie wieczorem wszystko poukładać. Czekał ją uroczy dzień, najpierw msza, potem spacer w miłym towarzystwie. Powinna pochwycić te chwile i nacieszyć się nimi, traktować Edmunda tak, jakby nic się między nimi nie zmieniło.

Może to wcale nie będzie takie trudne. Wbrew własnym niechęciom coś w środku podpowiadało jej, że powinna do niego lgnąć. Jak ćma do ognia, który może ją sparzyć, a jednak...

18.

– Przyznasz, Ksawery, że to niezwykle malowniczy kościółek.

– Owszem. Zjawiskowa fasada, profilowane gzymsy i trójkątny front. Ciekawie prezentują się też wieże w zaokrąglonych narożach.

– A ksiądz to naprawdę czarujący młody człowiek. Poprzedni, powiem ci w sekrecie – szepnęła Małgorzata – nie był nawet w połowie tak oddany własnej profesji. Pamiętasz, Aurelio? – zwróciła się do starszej siostry. –

Często zakradaliśmy się tutaj jako dzieci – wyjaśniła mężowi, kiedy stali całą szóstką już dobry kwadrans po tym, jak mieszkańcy okolicznych miejscowości biorący udział w nabożeństwie rozeszli się po krótkich pogawędkach.

– Zgadza się. Znalazłem sposób, jak otworzyć drzwi i wejść tam niezauważenie. Z wieżyczek rozciągał się widok na niemal cały Tykocin. – Rozentuzjzmował się Wiktor.

– Może poprosilibyśmy, aby nas tam wpuszczono – zapytała Małgorzata.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł... – Zawahał się Ksawery.

– Jestem pewna, że znakomity – odezwała się już do pleców baronowej Sabina i podbiegła do proboszcza wymykającego się z kościoła.

Wiktor tylko westchnął, gdy spojrzał na żonę, choć sam miał wielką ochotę na mały rekonesans.

– Załatwione. – Wróciła po kilku chwilach z pękiem kluczy w dłoni. –

Możemy spędzić tam tyle czasu, ile chcemy, a przy tym obiecałam wspomóc parafię hojnym datkiem. Postąpiłam słusznie, najdroższy? – zwróciła się do męża.

– Jak najbardziej – przytaknął i pocałował ją w policzek, a jednocześnie wymierzył potajemnie klapsa w udo. Ta zarumieniła się niczym nastolatka, posłała mu wymowne spojrzenie i już pędziła w stronę drzwi prowadzących na górę.

– Widzicie to? – zapytał Wiktor, pochyliwszy się nad kupką jakichś śmieci leżących przy ścianie na szczycie schodów.

– I te ślady krwi? – Dołączył do niego Ksawery i podjął trop.

– O czym mówicie? – Sabina przepchnęła się do nich.

Małgorzata zaczęła się dokładnie przyglądać pozostawionym śladom.

– Tu chyba ktoś nocował.

– Zgadza się.

Edmund zerknął na Aurelię, której twarz zrobiła się najpierw blada jak papier, a następnie przybrała kolor szkarłatu, i szybko odsunął ją, zasłaniając

całym sobą, by nikt nie dostrzegł jej zmieszania.

– Może bezdomni? – powiedział lekko.

– Może. – Wiktor podrapał się w brodę. – Zastanawiające.

– Ciekaw jestem, czy ksiądz wie o tym włamaniu – wtrącił nad głowami zebranych Ksawery.

– Nie mówmy mu o tym. Po co go denerwować? Może to para kochanków uwiła sobie tu gniazdko do tajnych schadzek? – zasugerował Edmund.

– I stąd ta krew? – zapytała Sabina i szybko zasłoniła dłonią usta. – Wyrwało mi się, przepraszam.

– Po cóż gorszyć wielebnego?

Aurelia zaczęła kasłać, zakrztusiwszy się własną śliną.

– Sami widzicie, jak gorszące są takie sugestie dla hrabiny Plater – zauważył Edmund. – A co dopiero dla księdza.

Zamiast odwrócić uwagę, jeszcze bardziej ją przykuł, całe szczęście w tym samym momencie Małgorzata również zaczęła pokasływać, zawstydzona insynuacjami, jakie przed chwilą usłyszała, a że robiła to mniej dyskretnie niż Aurelia, to na nią zwrócono teraz wzrok.

– Może jednak zejdziemy? – zapytał Ksawery.

– Ale najpierw uprzątnijmy to miejsce, zanim ktoś inny to zauważy – rzucił niby mimochodem Edmund. – Nie chcemy chyba, żeby kolejne damy poczuły się zgorszone.

– Nie wiedziałem, że tak dbasz o obyczajność – zakpił Wiktor. – Ale przyznam ci rację.

Kilka minut później Małgorzata odsunęła siostrę na bezpieczną odległość, puszczając tym samym innych przodem, i zapytała:

– Czyżby ty i major?

– O co pytasz?

– Wiesz dokładnie.

– Nie wiem. – Aurelia udawała zaskoczenie.

– Czy spędziliście noc w wieży?

– Nie powinnaś zadawać mi takich pytań.

– Może nie powinnam, ale jestem ciekawa. Nie chcesz, to nie mów.

– Dobrze. – Machnęła ręką. – I tak się wszystkiego domyślisz, jak zawsze.

Owszem, spędziliśmy.

– I?

– I co?

- Proszę cię! Powiedz cokolwiek.
- Ale co niby mam powiedzieć?
- Widzę, jak na siebie patrzycie. Coś musiało się między wami wydarzyć.
- Nawet mnie nie pocałował, jeśli o to pytasz.
- Tak?! Szkoda. – Westchnęła. Od kiedy poznała swego męża, zupełnie inaczej zaczęła postrzegać stosunki damsko-męskie.
- Szkoda? Małgorzato!
- To bardzo przystojny mężczyzna i... wiesz, co o nim mówią.
- Owszem.
- Jako wdowa mogłabyś przekonać się o tych zadziwiających zdolnościach.
- O czym tam szepczecie? – Uśmiechnięta Sabina odwróciła się do nich.
- O niczym ważnym.
- Może pójdziemy nad rzekę zrobić zawody dla panów w łowieniu ryb?
- Brzmi całkiem atrakcyjnie. Tylko co na to panowie?
- Podpuścimy ich odpowiednio i na pewno się zgodzą, a na kolację będziemy mieć świeże rybki.

Rzecz jasna Sabina dopięła swego i już po niedługim czasie panie obserwowały, jak męska część towarzystwa szykuje się do rywalizacji. Technika miała być dowolna, toteż od wyobraźni uczestników zależały sposoby połowów.

Edmund miał nadal chory bark, ale nie omieszkał spróbować. Od zawsze lubił wyzwania i zakłady, więc mimo dyskomfortu postanowił wziąć udział w zawodach. Ksawery i Wiktor zdjęli buty, surduty oraz kamizelki i po podwinięciu rękawów wskoczyli do rzeki. Zaczaili się pod brzegami na ryby wpływające w meandry. Edmund wybrał suchy sposób. Znalazł patyk, do którego przyczepił sznurek i haczyk zrobiony ze szpilki zdobiącej jego fular. Zdjął temblak i stworzył podbierak poprzez zawiązanie końców materiału na grubym kiju.

Pierwsza zdobycz przypadła w udziale Ksaweremu, który dzięki długim ramionom i rozłożystym palcom pochwycił niewielkiego okonia, wypływającego spod zwisającej kępy trawy pod brzegiem. Wiktor chciał powtórzyć jego wyczyn, niestety poślizgnął się i ryba przeskoczyła tuż nad nim, co wywołało salwę śmiechu obserwujących. Nie rezygnował jednak, poddał się dopiero wówczas, gdy zamoczył całą koszulę, a żona zagroziła mu, że zaziębnego nie dopuści do dziecka. Stał smętnie przy Edmundzie i zaczął rozglądać się za patykami na wędkę.

– Jeśli tak dalej pójdzie, to chyba się nie najemy! – krzyknęła Sabina, a jej towarzyszki zaśmiały się serdecznie.

– To może panie dołączą? – zasugerował mokry Ksawery, podczas gdy Edmund wypatrywał czegoś przyczajony na brzegu, a Wiktor zarzucał wędkę. Sabina zajęła się pobieżnym oprawianiem ryby, żeby można ją było przetransportować do kuchni.

– Aż tak głodne nie jesteśmy – odparła Małgorzata.

– Sądziłem, że panie lubią się czasem pomoczyć w wodzie. – Puścił do niej oko.

– Coś ci się musiało pomylić, skarbie. – Zarumieniła się jego żona, bo przypomniała sobie, jak się poznali, kiedy pływała nocą w sadzawce w majątku stryja ubrana jedynie w bieliznę.

– Zaraz złowię, ile trzeba – zapewnił major Breza – tylko potrzebuję ciszy, żeby nie wystraszyć najlepszych egzemplarzy, więc jakby panie mogły... – Spojrzał na wszystkie z groźną miną.

– Naturalnie – szepnęła Małgorzata i przyglądała mu się badawczo. Musiała przyznać, że rzeczywiście był szalenie przystojny, niemal tak samo jak jej mąż.

Po chwili wyciągnął podbierakiem trzy ryby (dwa leszcze i płoć), a za kolejnym razem jeszcze dwa krąpie. Uznano go szybko zwycięzcą, a pozostałych panów przepędzono z wody i z brzegu, bo zdecydowano o szybkim powrocie do domu.

Gdyby nie ból w kostce i rozmowy na temat anonimów, Aurelia mogłaby zapomnieć o czyhającym gdzieś niebezpieczeństwie i skupić uwagę na tym, co dzieje się w jej życiu w tym momencie. Mimo kilku drobnych incydentów czuła się doskonale w towarzystwie przyjaciół i tego podłego drania, majora Brezy. Zamierzała dać mu nauczkę, lecz zauważyła, że nikła więź, jaka ich łączyła, zaczyna się sukcesywnie wzmacniać.

Tymczasem Edmund, oderwany od towarzyszącego mu stale poczucia zagrożenia, bo przez tydzień nikt nie upominał się o jego głowę ani nie próbował porwać go czy zastrzelić, zaczął coraz intensywniej zastanawiać się nad swoim położeniem. Sytuacja wyglądała źle. Bardzo źle. Z początku chciał udać się do ojca i wyznać mu swoje winy, błagać o wybaczenie, ale doszedł do wniosku, że tym razem staruszek nie ugnie się pod jego wpływem i najzwyczajniej w świecie wyrzuci go i każe radzić sobie samemu. Wiedział, że to byłoby uczciwe rozwiązanie. Zasłużył w pełni na potępienie i powinien otrzymać karę. Gdyby zjawił się tam z hrabiną,

zwróciłby uwagę na jej problemy i jakoś obszedł swoje, zanim informacje o przejęciu domu w Warszawie dotarłyby do majątku ojca. Teraz jednak nie mógł mieć złudzeń. Po ponad tygodniu ktoś musiał donieść rodzinie o jego problemach. Wiedział, że tego typu sensacje rozprzestrzeniają się szybciej niż choroby. Ludzie, zwłaszcza przedstawiciele jego klasy, uwielbiali plotki, a już te na temat czyjegoś niepowodzenia w szczególności. Potrafili samymi językami doprowadzić kogoś na skraj załamania. W labiryncie zasad dotyczących socjety należało umieć lawirować tak, by nie wpaść w którąś z licznych pułapek. Do tej pory wychodził jakoś na swoje, udawał, że go to zupełnie nie wzrusza, i miało to swoisty urok. Nie był jednak pewien, czy i tym razem pójdzie mu równie łatwo.

Mógł oczywiście sprzedać się jakiejś bogatej wdówce i jako utrzymanek radzić sobie z problemami finansowymi po tym, jak uda mu się udobruchać markiza i wyjaśnić, że zabicie go nie ma większego sensu. Już nieraz zamożne starsze panie proponowały mu tego typu układy. Nie chciał jednak stać się zwykłą kurtyzaną w spodniach. Nie potrafili by spojrzeć sobie w oczy. Do tej pory nie wziął grosza od żadnej kobiety i nie miał zamiaru tego zmieniać. Obojętnie, co sobie o nim myślano!

Aurelia tymczasem przeżywała huśtawki nastrojów i nie mogła się zdecydować, czy lubi majora Brezę, czy go nienawidzi. Czasem przyłapywała się na tym, że z lubością ocenia jego sylwetkę i przygryza dolną wargę na widok jego zgrabnie umięśnionych ud, które uwydatniały spodnie pożyczone od Wiktora, a czasem wmawiała sobie, że jest on najohydniejszym człowiekiem, jakiego poznała, byleby tylko przekonać siebie samą, że wcale jej się nie podoba. Brała mu za złe słowa, które wypowiedział tamtego dnia, i mimo że zdążył ją już od tego czasu nieco udobruchać, to nadal nie miała zamiaru zaufać mu ani na moment.

Dopiero trzeciego dnia major zdołał się jako tako zrehabilitować w jej oczach, gdy ułożył przy śniadaniu plan, by to Ksawery Wigura pojechał do Warszawy porozmawiać (w imieniu siostry swojej żony, jako męski przedstawiciel jej najbliższej rodziny) z hrabią Olechowskim, o którego poprawie stanu zdrowia rozpisywały się najświeższe gazety, i upewnić się, że osoba przesyłająca jej pogróżki nie mówiła prawdy.

Wszyscy uznali, że takie formalne wybadanie sytuacji będzie najlepszym rozwiązaniem. Anonimy potraktowano dość poważnie i nie chciano, by hrabina osobiście zjawiała się w mieście i niepotrzebnie narażała na niebezpieczeństwo. Drugą sprawą, o której nie wspomiano głośno, była

możliwość, że hrabia złoży obciążające ją zeznania, zachęcony przez kogoś trzeciego, a ona trafi do aresztu bądź narazi się na publiczne rozmowy z przedstawicielami prawa. Sprawa na szczęście dotyczyła pobicia i ranienia, była więc nadzieja, że nikt nie uwierzy, iż drobna kobieta mogłaby pokonać w tak łatwy sposób rosłego mężczyznę, ale nigdy nic nie wiadomo. Hrabia Olechowski miał powiązania z jednym z sędziów jako najbliższy współpracownik ministra skarbu jeszcze w Księstwie Warszawskim, a później senator.

Ksawery był młodym mężczyzną, lecz na tyle rozsądnym i odpowiedzialnym, że wszyscy uznali, iż to on powinien zająć stanowisko w tej sprawie i jako pełnomocnik wdowy złożyć wizytę hrabiemu, by sprawdzić ostrożnie jego nastawienie. Kiedy dowie się już wszystkiego, zyskają podwaliny do ułożenia planu działania. Sprawę tajemniczych anonimów na razie odłożono, bo nie można ich sprawdzić bez wszczynania śledztwa w Warszawie, a nikt nie podejrzewał, by prześladowca dotarł aż tutaj, by wytropić hrabinę. Dom i ogród otaczały całkiem solidne płoty. Wszystko połączono w sposób spójny z częścią gospodarską i domkiem dla służby, a ta została nieźle przeszkolona w obsłudze broni.

Aurelia wyznała siostrze, że Olechowski próbował ją uwieść we własnym ogrodzie w czasie przyjęcia zorganizowanego przez jego żonę i może być wściekły z powodu jawnego odrzucenia. Obie jednak doszły do wniosku, iż w rozmowie z męskim przedstawicielem jej rodziny i ze świadomością swojego niegodnego zachowania, najlepiej w obecności własnej małżonki, powinien postąpić, jak należy, i przyznać, że nie hrabina Plater, a kto inny był sprawcą napaści tamtego feralnego przedpołudnia.

Długo ustalano plan podróży barona Wigury i to, co powinien mówić, nim wypuszczono go i zapewniono odpowiedni prowiant na drogę.

19.

Edmund i Wiktor zaszyli się na kilka godzin w drewnianym lamusie, który służył jako niewielka sala treningowa. Z ich niegdyś nierozłącznej trójki przyjaciół brakowało Roberta Ostrowskiego, ale tego trudno było namierzyć, bo – jak słusznie podejrzewali – wyrzął ze swojej jaskini, by rozpocząć prywatne śledztwo. Poza tym z uwagi na przeszłość jego i Aurelii przebywanie tu mogłoby okazać się nieco niezręczne.

Edmund zdawał sobie sprawę z tego, że prędzej czy później będzie musiał porozmawiać z Robertem o stanie własnych uczuć, ale wolał o tym jeszcze nie myśleć.

Wiktor opowiadał o małżeństwie swego ojca i o tym, jak poradzili sobie po zeszłorocznej suszy i wyszli obronną ręką z kryzysu, który dotknął nie tylko Królestwo Polskie, ale niemal całą Europę¹². Wspominał o inwestycjach, jakie zamierzał poczynić, lecz Edmund nie przysłuchiwał się zbyt uważnie jego wynurzeniom, wstydził się przyznać przyjacielowi, że w tej chwili stał się kompletnym bankrutem. Do tej pory rozmawiał o tym jedynie z Ksawerym.

¹² Rok 1816 nazwano „rokiem bez lata” ze względu na serię gwałtownych letnich anomalii klimatycznych występujących przede wszystkim na półkuli północnej, czego skutkiem były m.in. brak żywności i zamieszki.

Nigdy nie miał szczęścia do pomnażania swoich niewielkich zasobów. Jako trzeci syn od zawsze wiedział, że musi się o siebie zatroszczyć, bo ojciec zaoferuje mu co najwyżej jakiś skromny majątek ziemski, by tam uprawiał rolę czy hodował bydło, albo zapewni odpowiednie wykształcenie prawnicze i umożliwi karierę adwokacką. O życiu na wsi jakoś specjalnie nie marzył, bycie prawnikiem uważał za coś, co zupełnie nie przystawało do jego natury. Normy i przepisy prawne stanowiły zbyt duże ograniczenie dla jego szerokich horyzontów myślowych, by mógł podporządkować się i dzielnie znosić wyroki, jego zdaniem zupełnie nieadekwatne do win. Jak zresztą sprawiedliwym można byłoby nazwać powieszenie dziecka za założenie wnyków na króliki lub kradzież jedzenia na wyżywienie rodziny, podczas gdy ludziom dobrze urodzonym często uchodziły na sucho gwałty na kilkunastoletnich dziewczynkach, które nawet kształtem nie przypominały jeszcze kobiet? Dodatkowo mimo konstytucyjnych zapewnień o równości wielokrotnie dochodziły go słuchy o samowoli carskich urzędników. Po latach służby w wojsku i dzięki znajomości z obcokrajowcami doskonale się orientował w trudnym położeniu Polaków

i nie skakał z radości po ustaleniach kongresu wiedeńskiego z 1815 roku w przeciwieństwie do wielu przedstawicieli arystokracji. Czuł przez skórę, że najbardziej liberalna konstytucja w Europie, oferowana jego rodakom, szybko stanie się jedynie zapisem na papierze¹³. Do roli prawnika był zanadto wybuchowy, zbyt nieułożony.

¹³ Konstytucja miała zapewnić istnienie polskiego wojska, urzędów, szkolnictwa oraz równość wobec prawa, słowa i dźwięku, nietykalność osobistą i majątkową obywateli. W pierwszych latach reformy przebiegały pomyślnie dla Polaków, nie trwało to jednak długo.

Edmund na żołnierza też nie powinien się nadać właśnie z tych samych powodów, był jednak zawsze wprawny w boju, szybki, zwinny i niezwykle skuteczny. Miał zmysł strategiczny i sporo szczęścia. Niestety popadał też często w tarapaty, więc krążące o nim opinie różniły się w tak znaczny sposób, że część oficerów wprost go uwielbiała, podczas gdy inni najchętniej widzieliby go martwym.

Mógł zostać duchownym, jak wielu dobrze wykształconych ludzi w jego położeniu, ale naturalna skłonność do płci pięknej nie pozwalała mu na taką perfidię, by pouczać ludzi o moralności i jednocześnie robić maślane oczy na widok pierwszego głębszego dekoltu.

Los postąpił przewrotnie, sprawił, że jego dwaj starsi bracia zmarli jeden po drugim (najstarszy na zapalenie płuc, drugi z kolei w wyniku pojedynku), nie pozostawili po sobie ani wdów, ani prawowitych spadkobierców, co jego uczyniło następcą swego ojca. Ten oczywiście nie był rad z takiego obrotu sprawy. Edmunda nigdy nie uważał za kogoś odpowiedniego do przejęcia majątku. Już jego dziadek, kobieciarz i hulaka, pomniejszył włości i zadłużył je do tego stopnia, że ten musiał włożyć wiele wysiłku w odbudowanie pozycji. Wizja, że kolejny nieodpowiedzialny Breza dostanie w swoje ręce ich szesnastowieczny dwór wraz z rozległymi lasami, przyprawiała go o palpitacje serca.

Matka Edmunda wprawdzie dostrzegała w nim załączki odpowiedzialności i miała nadzieję, że wyrośnie ze sztubackich pomysłów, kiedy znajdzie odpowiednią, silną kobietę, jednak mimo że stale broniła syna, to przy ostatniej przegranej, kiedy w tajemnicy przed ojcem regulowała jego zobowiązania, jasno dała do zrozumienia, że to był ostatni raz.

– Może krótki trening. Co powiesz na szermierkę? – rzucił Wiktor, gdy zdejmował ze ściany szpadę z pięknie zdobioną rękojeścią i koreczkiem wetkniętym na czubek, by nie zranić przeciwnika podczas ćwiczeń.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Nie sądziłeś chyba, że będziemy tak stać i rozmawiać.

Edmund nie zauważył nawet, kiedy kompan podsunął mu szpadę pod nos, by poćwiczył swój numer z atakiem manekina. W tym chory bark nie stanowił przecież przeszkody.

– Co się dzieje, przyjacielu? – Wyrwał go z zamyślenia głos Wiktora.

– Nic, nic.

– Widzę, że coś cię trapi. Chyba nie jesteś aż tak przejęty tymi liścikami do mojej kuzynki? Czytaliśmy anonimy. To typowe pogróżki, w przeszłości rozwiązyaliśmy przecież kilka podobnych spraw. Myślę, że i tym razem wspólnie szybko uporamy się z problemem. Nie jesteś typem romantyka, więc raczej nie chodzi o nieudolne konkury.

– Zabawne.

– Chyba trafiłem w czuły punkt. – Wiktor odłożył szpady na miejsce i podążył wzrokiem za spojrzeniem Edmunda.

– Po części, ale to nie jedyny mój problem – przyznał Edmund.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o pieniądze? Nie przegrałeś czegoś po raz kolejny w karty? – zażartował Wiktor, jednak na widok poważnej miny Edmunda, dodał: – Sądziłem, że już wyrosłeś z hazardu.

– To Robert przeszedł metamorfozę, nie ja. Pamiętasz? – przypominał mu. – Ja zawsze byłem i pozostanę tym najgorszym z nas wszystkich.

– Nie mów tak. Może da się to jeszcze odkręcić. Chyba nie zastawiłeś swojego domu w Warszawie. Jeśli chodzi o jakiś kawałek ziemi, to mogę ci pożyczyć pieniądze na spłatę długu albo zaproponować coś, na czym mógłbyś szybko zarobić.

– Niestety chodzi o dom w stolicy, a wart był wcale niemało i chyba nie miałbym z czego spłacić ci pożyczki. Ojciec najpewniej mnie wydziedziczy albo tak skonstruuje testament, że dostanę jedynie to, co musi mi przekazać, i to w takiej kondycji, że szybko stanę się bankrutem, gdy tylko on zejdzie z tego świata.

– Nie może być chyba aż tak źle.

– Niestety jest. – Edmund przysiadł na stojącej ławeczce. – Żadne sztuczki tym razem nie pomogą, a matka nie może mnie dłużej chronić przed skutkami własnej głupoty.

Wiktor spojrzał srogo na przyjaciela i odetchnął głośno. Zastanawiał się, jak może mu skutecznie pomóc. To on był zawsze tym najrozsądniejszym z ich trójki. Robert i Edmund wечно sprawiali problemy.

– Sam widzisz. Jestem skończonym idiotą – wyznał tamten skruszony.

– Masz rację. – Przyjaciel nie chciał zaprzeczać, nawet z grzeczności.

– Jestem kompletnie splukany, właściwie to nie zdążyłem się nawet spakować i wszystko, co mam, to te pożyczone ubrania. Część służby odprawiłem z odszkodowaniem, a resztę odesłałem do jednego z majątków ojca, tak by się nie zorientował, że wszyscy stracili pracę. W dodatku ludzie osobnika, który ze mną wygrał, chcą dać mi jeszcze nauczkę za uwiedzenie jego żony.

– Dziwne byłoby, gdyby nie została w to wmieszana żadna niewiasta – zaszydził Wiktor.

– Nawet nie zaprzeczę, choć wcale jej nie uwiodłem, a jedynie udowodniłem, że potrafię to zrobić.

– Opowiedz wszystko po kolei. W przeciwnym razie nie będziemy w stanie ci pomóc.

– My?

– Ja i moja żona. Nie sądzisz chyba, że cokolwiek uda mi się przed nią ukryć. To córka barona Ostrowskiego. Dochodzenie prawdy ma we krwi. Skup się i nie pomiń niczego. Coś dokładnie zrobił?

Co dokładnie zrobił? Zdecydowanie lepszym pytaniem byłoby, czego nie zrobił. Edmund zamyślił się, by przypomnieć sobie wszystko, by niczego nie pominąć. Zaczęło się od gry w karty... Nie, zaczęło się dużo wcześniej.

Teraz zdał sobie sprawę z tego, że markiz, którego wszyscy przezywali Wąsaczem ze względu na sumiasty, zadbany zarost, musiał wiedzieć o jego romansach z poprzednią żoną i dlatego właśnie wciągnął go do gry o tak duże stawki. Wiedział, że jeśli da mu kilka razy wygrać, a potem odpowiednio podejdzie, by przegrał i szukał w krótkim czasie możliwości odbicia się od dna, może zastawić nawet dom w Warszawie.

Niestety Edmund okazał się na tyle głupi, że dał się w to wszystko wmanewrować i poszedł niczym baranek na rzeź. Przegrał rezydencję przy Pięknej i jakby tego było mało, dał się wciągnąć w niepotrzebną dyskusję na temat wierności kobiet. Markiz, pewny swego, jeśli chodziło o nową małżonkę, wyraził gotowość sprawdzić, czy zachowa ona wierność w konfrontacji z jednym z najprzystojniejszych ogierów brylujących na warszawskich salonach. Skąd miał przypuszczać, że jego młoda i – jak sądził – niewinna żona już przed ślubem należała do długiego orszaku kochanek Brezy? Chociaż to stanowiło jednorazowy wybryk, zupełnie nic nieznaczący dla obojga (major nie potrafił sobie przypomnieć, zresztą nie starał się nawet, był wtedy zbyt pijany). Zdobyć tej damy ponownie nie okazało się niczym trudnym dla takiego specjalisty jak on.

Markiz założył się z nim po raz ostatni, dał mu szansę na odzyskanie dokumentów własności rezydencji. Powiedział, że ukrył je pod materacem w sypialni żony. Zadaniem Edmunda stało się przekonanie markizy, by dobrowolnie pozwoliła mu przeszukać swoje łóżko, kiedy będzie już przygotowana do snu. Wąsacz sądził, że jego cnotliwa małżonka nie dopuści Brezy do rozbierania mebla ze względów moralnych i da mu popalić za wtargnięcie do jej osobistych pokoi. Wszyscy znali gorący temperament tej damy i głośne komentarze na temat cnotliwości innych kobiet. Tymczasem rzeczywiście nie chciała dopuścić nocnego gościa do rozbierania łoża, bo wolała, aby je wykorzystali w zupełnie inny sposób, niemogący nosić nazwy przyzwoitego.

W tamtej chwili, kiedy Edmund wdrapał się do jej sypialni, wpadł w podwójną pułapkę. Nie dość, że trudno mu było wyjąć dokumenty, to jeszcze zdał sobie sprawę z tego, iż będzie musiał, nawet pozbawiony możliwości odzyskania domu, zadziałać tak, by chociaż ocalić życie, bo jeśli markiz wejdzie i zobaczy, jak jego półnaga małżonka ociera się o innego mężczyznę, to dopiero zacznie się szaleństwo.

– Chyba błędnie założyła pani, jaki jest powód mojej wizyty tutaj – wydukał wówczas.

– Och, nie paniuj mi, proszę. Oboje wiemy, po coś tu przyszedł, złociutki. Zastanawiałam się, czemu tak późno. Sypialnie moich koleżanek odwiedziłeś przecież już dawno. Czyżbyś mnie zostawił sobie na deser? W sumie to nawet zrozumiałe... – Paplała jak nakręcona, obsypywała jego ramiona pocałunkami i ostentacyjnie wypinała imponujący biust.

– To nie tak. – Usiłował jej przerwać, jednak bezskutecznie.

– Och, mogłabym się obrazić, że kazałeś na siebie tyle czekać. Od dawna przecież flirtowałeś ze mną na wszystkich możliwych balach. Ostatnio, kiedy tańczyliśmy walca w wiejskiej rezydencji naszego wspólnego znajomego pod Zambrowem, byłam prawie pewna, że odwiedzisz mnie później na górze. Czekałam bardzo, bardzo długo. – Wydęła usta w dzióbek. – Będziesz musiał mi to zaraz zawiązką wynagrodzić.

– Ależ proszę pomyśleć, markiz...

– Markiz, markiz. A bo to jedyny mężczyzna na tym świecie?

– Nie, ale pani mąż. Może jednak warto zachować wierność? – Sądził, że w ten sposób przywoła ją do rzeczywistości, ale się grubo mylił.

– Wierność? – Prychnęła. – Gdybym zachowywała wierność tej drewnianej tyczce, to uszłabym w tydzień po ceremonii zaślubin.

– O! – Zrozumiał, że wyrzutów sumienia próżno u niej szukać. Postanowił działać inaczej. – Dziś, moja droga, niestety nie jestem w należytej formie, a nie chciałbym cię zawieść i stracić reputacji w tej materii.

– Zapewniam cię, że potrafię wykrzesać z mężczyzny siłę, nawet kiedy nie umie utrzymać się na własnych nogach. Powinieneś coś o tym wiedzieć.

– Wolałbym jednak przyjść raz jeszcze, kiedy będę mógł dogodzić ci pod każdym względem. Teraz chciałbym zajrzeć pod ten materac. – Niecierpliwił się, bo czuł, że czas próby dobiega końca.

– Dobrze. – Opuściła, co go zupełnie zbiło z tropu. – Jeśli tak ci zależy, to nie krępuj się. – Wskazała łóżko.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się i z zapalem pobiegł do oddalonego o kilka metrów masywnego mebla. Zupełnie nie wyczuł podstęp.

W pośpiechu pozrzucił poduszki i zaczął podnosić ciężki materac. Nie znalazłszy niczego, pobiegł więc sprawdzić z przeciwległej strony. Tam niestety też nie było tego, czego szukał. Pozostały jeszcze nogi łóżka, ale że tę część przysłaniał wysoki kufer, Edmund musiał wejść na materac i włożyć rękę pod niego. Markiza wykorzystwała ten moment. Nawet nie wiedział kiedy znalazła się nad nim, gdy z uwięzionymi rękoma leżał płasko na łóżku. Dosiadała go w chwili, w której sięgał po złożony papier.

W ostatniej sekundzie wyciągnął dokumenty i przeturlał się na plecy, by odsunąć się, jak najdalej zdołał. Ona jednak, widząc przerażenie w jego oczach, rozchyliła peniuar i usiadła na nim okrakiem.

– Skoro znalazłeś już swoje papierki, to teraz kolej na mnie!

Odepchnął jej dłoń, więc złapała za dokumenty.

– Leż spokojnie, bo podrę je na twoich oczach! – krzyknęła lodowato. – Oj, lubimy się droczyć, lubimy – wyszeptała po chwili zmysłowo.

– Nic nie rozumiesz – jęknął, bo pamiętał, że powinien podejść jak najszybciej do okna i zapalić lampkę.

– Daj spokój. Oboje przecież tego chcemy.

W tym momencie drzwi sypialni otworzyły się z hukiem i pojawił się w nich markiz. Sięgnął po pistolet umocowany do kabury przy pasku. Dokładnie tak, jak Edmund sobie wcześniej wyobraził, wycelował prosto w jego kierunku. Markiza w sekundzie owinęła się kocem i udawała zrozpaczoną, markowała, że atakuje złoczyńcę, który wkroczył do jej sypialni. Aktoreczka!

Markiz obrzucił żonę obojętnym spojrzeniem, w którym tylko Edmund dostrzegł głęboko skrywaną pogardę, a jemu kazał wyjść na zewnątrz.

– Miałeś odzyskać papiery, a nie uwodzić moją żonę. Chyba taka była umowa? – warknął. Mierzył wprost w jego serce.

– Ale... – chciał powiedzieć, że to nie tak i to ona próbowała go uwieść, nie mógł jednak wpędzić kobiety w tarapaty, ponieważ uległa jego urokowi.

– Mam nadzieję, że do niczego nie doszło. Nie zdążyłeś się jeszcze do końca rozebrać. – Spojrzał na jego spodnie wyraźnie zmieszany, co próbował ukryć tym marnym żarciem. – Zastanawiam się tylko, dlaczego oboje siedzieliście na łóżku.

– Pańska żona próbowała odebrać mi dokumenty. Sądziła, że nie mogą być moje, skoro leżały pod jej materacem.

– Bardzo mądrze. Teraz powtórzysz to moim przyjaciółom i znikniesz stąd jak najszybciej, nim się rozmyślę. Fragment o siedzeniu na łóżku i lichym stroju markizy radzę pominąć. Rozumiesz?!

– Dobrze. – Zdążył odpowiedzieć, zanim został wepchnięty do sąsiedniego pokoju, gdzie już czekało trzech przyjaciół markiza mających rozstrzygnąć ważność warunków zakładu.

– Major Breza opowie panom to, co powiedział przed chwilą mnie. – Schował pistolet, by pokazać, że nikt nie działa pod przymusem.

Edmund przedstawił naprędce wymyśloną wersję.

– Mogę dostać swoje dokumenty? – zapytał naiwnie po tym, jak mężczyźni wymienili po cichu swoje opinie.

– Chyba nie sądziłeś, że uznam to za wygraną? – odezwał się markiz. – Skoro moja żona walczyła, to nie oddała ich dobrowolnie. – Uśmiechnął się pod nosem. – Taki był warunek zakładu. Zgodzą się ze mną panowie? – zwrócił się do pozostałych mężczyzn.

– Niestety, majorze. Markiz ma absolutną rację – odparł jeden z dżentelmenów. – Warunkiem było dobrowolne oddanie dokumentów.

– I jeśli jeszcze raz zbliży się pan do mojej żony – szepnął mu wściekły mąż, kiedy znaleźli się na korytarzu – to gorzko tego pożałuje. Wystarczy, że dojdzie do mnie najmniejsza ploteczka, a policzę się z panem, jak nakazuje honor. A teraz proszę się stąd wynosić!

– Przeszedłeś samego siebie. – Wiktor podsumował jego długi wywód. – Tym razem wspiałeś się na wyżyny, Breza.

– Nie musisz ze mnie drwić. Sam zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że gorzej być już nie może. – Westchnął. – Chociaż może.

– Tak?

– Kiedy mój ojciec dowie się o przegranej i kolejnej aferze, wówczas pozostanie mi już chyba tylko banicja. Dobrze, że nie grozi mi więzienie za długi. Chyba już szybciej strzeliłbym sobie w łeb.

– Nie próbuj brać mnie na litość. Zawsze mówisz o strzelaniu sobie w łeb, a jakoś nigdy nawet nie spróbowałeś.

– Nie kpij.

– Należy ci się.

– Masz rację. Jestem idiotą i w dodatku użalam się nad sobą niczym dziecko. Chciałem jechać do ojca i prosić go o ostatnią szansę, obiecać, że postąpię dokładnie tak, jak sobie tego życzy.

– Czyli?

– Czyli ożenię się z wybraną dla mnie dziedziczką i ustatkuję, będę siedział w naszym wiejskim majątku, zarządzał tartakami i nie robił żadnych problemów bliskim.

– Ty miałbyś podporządkować się woli ojca i posłusznie wykonywać jego polecenia? To już może lepiej rzeczywiście strzel sobie w końcu w ten pusty łeb.

– Co?! – Edmund otrząsnął się z ponurego nastroju. – Myślisz, że mam inne wyjście?

– Owszem. Jeszcze godzinę temu byłeś buńczucznym bawidamkiem, a teraz zachowujesz się niczym skrzywdzona dziewczynka.

– To co mam, do licha ciężkiego, według ciebie zrobić?

– Na początek powinieneś przyjąć wynagrodzenie ode mnie za doprowadzenie tu całej i zdrowej mojej kuzynki.

– Wynagrodzenie? Nie zrobiłem tego dla pieniędzy.

– Wiem, ale pożyczać ci nie mam zamiaru, bo i tak nie masz z czego oddać. Mogę ci wypłacić zaliczkę na poczet przyszłych wynagrodzeń.

– Za co?

– Widzisz, niedawno spotkałem się z Robertem. Nazbierało się sporo spraw, które wymagają wyjaśnienia, a ludzie nimi zainteresowani są skłonni wiele zapłacić temu, kto im pomoże.

– Czyżby Robert wznawiał działalność ojca?

– Chciałby, jednak teraz zaprzęta go inne śledztwo. Odmawiał do tej pory kolejnym potencjalnym klientom, bo wiedział, że i ja nie mogę poświęcić się wszystkiemu.

– Chyba nie masz zbyt wielu zajęć? Majątkiem Godlewskich zajmuje się zarządca, a Wiśniowym Dworem – hrabia Strzelecki.

– Póki co angażuję się w wychowanie syna i kilka spraw mojego ojca. Może nie wymaga to ode mnie aż tak dużo uwagi, bym nie mógł podjąć kilku ryzykownych akcji, ale znasz moją małżonkę. Jak nic chciałaby wyruszyć ze mną, a na to pozwolić nie mogę. Zgodzisz się, że śledztwa tego rodzaju nie powinno powierzać się kobietom.

– Twoja żona chyba by cię udusiła za te słowa.

– Wiem i nigdy jej się nie przyznam, że to powiedziałem. Może i byłaby w tym dobra, może i rozwiązałaby wiele zagadek, bo ma do tego smykałkę i wrodzony talent, ale ja chyba bym umarł z niepokoju o jej bezpieczeństwo.

– Chyba że tak.

– Więc zgodzisz się ze mną, że z naszej trójki pozostałeś tylko ty. Jako jedyny nie masz rodziny, zobowiązań. Posiadasz jeszcze dość dobrą pozycję w towarzystwie, bo nie ulega wątpliwości, że odziedziczysz majątek po ojcu, nawet jeśli przegrałeś co nieco w karty. A może nawet to podziała na twoją korzyść.

– A czego dotyczyłyby te zlecenia, jeśli mogę zapytać?

Wiktor zerknął ostrożnie na Edmunda, zauważył przebłysk zainteresowania w jego oczach. Co jak co, ale ryzykowne śledztwa naprawdę potrafiły go wciągnąć.

– Nic skomplikowanego, przynajmniej dla ciebie, przyjacielu.

– A zatem?

– Należy sprawdzić uczciwość kilku kandydatek do ręki bogatego młodzieńca, odnaleźć testament pewnej wdowy i sprawdzić, kto regularnie podkrada pieniądze pewnemu senatorowi. Z jedną musiałbyś udać się do Białegostoku, z dwoma pozostałymi do Lublina. Ja postaram się udobruchać markiza. Ma u mnie pewien dług i jako honorowy człowiek zapewne postara się z niego wywiązać. Niestety zajmie to trochę czasu. Markiz to dość zasadniczy i trudny do pertraktacji dżentelmen.

– Muszę zatem wyjechać?

– Naturalnie. Masz z tym jakiś problem? Były zazdrosne kochanki? – Wiktor nie dawał za wygraną.

– Nie. Tam chyba nie. Ale gdzie miałbym się zatrzymać?

– Mam niewielki domek położony w Nałęczowie, jeszcze z czasów, gdy mój ojciec jeździł tam dla poprawy zdrowia. Stoi teraz pusty, ale na twoje potrzeby powinien wystarczyć.

Edmund zamyślił się, próbował zebrać wszystko w całość.

– O co chodzi? – zapytał go Wiktor.

– O hrabinę Plater – powiedział bez ogródek. – Obiecałem, że jej pomogę.

Nie mogę tak po prostu zniknąć.

– O tym też pomyślałem.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

– I co wymyśliłeś?

– Najpierw zajmiemy się razem sprawą anonimów i odzyskaniem twojej bezpiecznej pozycji w Warszawie, a kiedy znajdziemy szantażystę, będziesz mógł swobodnie pojechać do Lublina i zająć się śledztwami. Wyślę zaraz odpowiednie listy, by uspokoić zleceniodawców. I tak nie obiecywałem im zbyt wiele, więc powinni się cieszyć z twojego przybycia tam wkrótce.

– Dobrze. Wpierw jednak znajdziemy szantażystę i uspokójmy Wąsacza. Naprawdę nie zamierzałem uwodzić jego żony i nikomu nie pisnę słowa, że ona miała na mnie chrapkę.

– Mnie właśnie pisnąłeś.

– Ale ty to co innego.

– Radzę jednak nie przyznawać się do tego i poprzestać na sprawie przegranego domu. I rozchmurz się – powiedział Wiktor. – Wykaraskałeś się już kilkakrotnie z podobnych tarapatów i tym razem nie powinno być inaczej.

Miejmy nadzieję – pomyślał Edmund.

20.

Warszawa, maj 1817

Powrót hrabiny do stolicy zorganizowano tak, by wszyscy dokładnie o nim wiedzieli. Edmunda ulokowano w domu Ostrowskich przy ulicy Miodowej, o czym listownie Sabina Strzelecka poinformowała starszego brata. Odpowiedź zawierająca pełne przyzwolenie przyszła bardzo szybko. Państwo Strzeleccy zamieszkali w swoim domu przy tej samej ulicy, dzięki czemu łatwo można było organizować spotkania. Ponieważ należało zapewnić bezpieczeństwo wdowie, jej kuzyn postanowił wynająć trzech zaufanych agentów, z którymi kiedyś współpracował, w celu ochrony domu. Dwóch obserwowało teren wokół rezydencji, a trzeci przebrany za lokaja pilnował wnętrza i chodził za nią krok w krok, gdy ta miała ochotę na choćby krótką przechadzkę. Państwo Wigurowie zajęli pokoje gościnne w domu hrabiny, lecz z powodu złego samopoczucia Małgorzaty nie mogli za bardzo udzielać się towarzysko.

Ksawery, który przebywał w Warszawie od jakiegoś czasu, regularnie odwiedzał hrabiego Olechowskiego, starał się wybadać jego nastawienie do Aurelii oraz plany postępowania w sprawie napaści. Z początku nie chciano z nim w ogóle rozmawiać, ale dzięki kilku pozornie przypadkowym spotkaniom z jego żoną i jej przyjaciółką został przyjęty z należyty szacunkiem i potraktowany poważnie.

Wiktor najpierw chciał udobruchać Wąsacza, by major mógł swobodnie pomagać mu w śledztwie dotyczącym nadawcy anonimów, dlatego umówił się z nim w kawiarni Duvala¹⁴, gdzie zbierali się wszyscy poważani dżentelmeni z najwyższych sfer. Markiz początkowo nie był przychylnie nastawiony do złożonej propozycji, jednak po dłuższej rozmowie zgodził się nie mścić na Brezie w zamian za dyskretną obserwację małżonki, o którą był strasznie zazdrosny, i obietnicę, że major będzie unikał jej odtąd jak ognia, z wyjątkiem oficjalnych przyjęć.

¹⁴ Obecnie kawiarnia Nowomiejska założona przez Henryka Duvala w 1724 roku.

Niestety na odkupienie domu przy ulicy Pięknej Wąsacz się nie zgodził, bo miał wobec tej nieruchomości jakieś osobiste plany, ale przynajmniej obiecał dać spokój majorowi i nawet pod koniec spotkania wypił za jego zdrowie. Przyznał również, że jego ludzie ostrzelali dom z własnej inicjatywy. On kazał im jedynie nastraszyć Brezę, by ten potraktował poważnie jego ostrzeżenia, a dwóch zbirów, którzy go złapali i uwięzili w lesie, wynajął również do tego celu.

Obaj panowie zgodnie stwierdzili, że to uczciwy układ i trudno, by markiz postąpił inaczej, zwłaszcza że major miał romans z jego pierwszą małżonką, o czym woleli nie wspominać.

Następnego dnia cała czwórka (pani domu, major Breza i państwo Strzeleccy) zebrała się w salonie hrabiny Plater, by delektować się przysmakami kuchni indyjskiej, w których przyrządzaniu wyspecjalizowała się jej kucharka.

– Widzę, że humor panu dzisiaj dopisuje, majorze – odezwała się Aurelia, gdy Edmund po raz kolejny przywoływał jakąś anegdotkę, zaśmiewał się szczerze i głośno wbrew zasadom dobrego wychowania.

– Mam powody, madame. – Skłonił się.

– Ma to coś wspólnego z pana ostatnimi problemami?

– Owszem.

– W takim razie gratuluję, kuzynie – zwróciła się do Wiktora. – Wnioskuje, iż to twoja zasługa.

– W dużej mierze, jeśli mam być szczerzy.

– A jak się czuje Małgorzata? – zapytała Sabina z troską w głosie. –

Co prawda resory w naszym powozie pozostawiają wiele do życzenia, ale chyba powinny już jej przejść te nudności spowodowane podróżą.

– Czuję się znacznie lepiej, dziękuję – odezwała się pani Wigura wchodząca do salonu w jasnozielonej sukni i gustownym czepeczku.

Aurelia obrzuciła ją wzrokiem. Domyśliła się, że to nie powrót do dawnych przyzwyczajień, kiedy jej młodsza siostra na siłę próbowała oszpecić się nakryciami głowy, ale przymus spowodowany mdłościami. Brzemienna Małgorzata nie była w stanie umyć włosów, bo wszelkie środki myjące natychmiast wywoływały u niej torsje. Wybieg z czepkiem był dobrym posunięciem.

– Oboje czujemy się całkiem dobrze – oznajmił kroczący za żoną Ksawery i niemal zawadził o futrynę drzwi z powodu wysokiego wzrostu.

– Wygląda pani olśniewająco, jeśli wolno mi zauważyć. – Edmund spojrział ostrożnie na Ksawerego. – Gdyby wszystkim kobietom tak służyły choroby, to nie robiłyby nic innego, tylko narażały się na kolejne ich gatunki.

– Odmiany – zwróciła mu uwagę Małgorzata, unosząc palec wskazujący. Uwielbiała poprawiać ludzi, choć od kiedy poznała swego męża, starała się zwalczać w sobie tę cechę.

– Ma pani całkowitą rację. Ignorant ze mnie.

– Dość tego, Breza – mruknął Wiktor. – Chyba wczoraj wyjaśniliśmy sobie kilka rzeczy. Jeśli nie chcesz narazić się na kolejne problemy, to radzę zacząć zmieniać sposób bycia.

– Już się poprawiam. – Edmund puścił oko do Małgorzaty i cmoknął powietrze, by udać, że posyła całusa Aurelii, kiedy wszyscy zwrócili się w stronę jej siostry.

Niepoprawny!

– A cóż to za pyszności? – zapytała Małgorzata, wpatrując się wilczym wzrokiem w tacę z ciasteczkami?

– Jesteś pewna, że ci nie zaszkodzą? – zwrócił się do niej z troską mąż.

– Nawet gdyby, to uważam, że warto spróbować – odpowiedziała i sięgnęła po talerzyk.

– Przepraszam, jaśnie pani, ale właśnie nadeszła poczta, a prosiła pani, bym dostarczał ją bezzwłocznie – odezwał się wchodzący do salonu kamerdyner.

– Dziękuję, Harris. – Aurelia sięgnęła po niewielki stosik listów złożony równiutko na zdobionej tacy. – Możesz odejść.

– Poproś Mariannę, by doniosła jeszcze ciasteczek. – Uśmiechnęła się Małgorzata.

– Naturalnie, proszę pani.

Kamerdyner uklonił się i mimo ciekawości dostojnie odmaszerował, zamknąwszy za sobą drzwi.

– Odezwał się? – zapytała Sabina. – Powinien już zauważyć twoje przybycie do Warszawy.

– Owszem. – Aurelia przebiegła wzrokiem po wykaligrafowanej drukowanymi literami anonimowej wiadomości.

– Co pisze?

*Kto się zbliża, tego nie odpychajcie, a kto odchodzi, tego nie zatrzymujcie.
Kto wraca, tego przyjmujcie tak, jakby się nigdy nie oddalał.*

– Ciekawe, co miał przez to na myśli?

– Nie on, to cytat – odezwała się Małgorzata i jak gdyby nigdy nic pałaszowała resztki ciastek z talerzyka.

– Czyj? – zapytali chórem.

– Johanna Wolfganga von Goethego, niemieckiego poety i myśliciela.

– A co może oznaczać?

– Nie jestem niestety dobra w interpretacji, zwłaszcza że nie mam pojęcia, którą z możliwości wybrał nadawca anonimu.

– Niewątpliwie powrót hrabiny do Warszawy został zauważony przez osobę, o którą nam chodziło – powiedział Edmund, ważąc słowa.

– Owszem – odparł Wiktor. – I chyba jego nastawienie nie uległo diametralnej przemianie, ale z pewnością list nie zawiera jawnych pogróżek, poza końcowym fragmentem o niezmiennym traktowaniu powracających.

– Nie licząc próby zastrzelenia mnie, która okazała się skierowana przeciwko komuś innemu – Aurelia spojrzała sugestywnie na majora – do tej pory przytrafiały mi się raczej niegroźne wypadki. Nawet zawartość belladonny w czekoladkach okazała się tak wymierzona, by nie zabić, a wywołać chorobę. Nikt przecież nie przewidział, że służące zjedzą całe opakowanie naraz.

– To prawda, ale nie możemy tego tak zostawić. Kto wie, czy osoba ta nie posunie się do drastyczniejszych środków. Ostatnie listy były bardzo jednoznaczne – szepnęła Sabina, gdyż usłyszała, że ktoś otwiera drzwi.

Marianna wniosła tacę z ciasteczkami i dyskretnie się oddaliła. Zerknęła wymownie na majora. Musiał dziewczynie wpaść w oko, pomyślała Aurelia, a ten jakby na złość posłał pokojówce czarujący uśmiech.

– Breza – syknął Wiktor. – Gotowa jeszcze się w tobie platonicznie zakochać. Spójrz na mnie i zachowuj się tak, jak przystało.

– To wbrew mojej naturze – jęknął Edmund.

– O czym to mówiliśmy? – Wiktor dyplomatycznie zmienił temat.

– Przypominałam o ostatnich listach. Podaj mi szkatułkę, najdroższy. – Sabina zwróciła się do męża. – Posłuchajcie:

Pilnuj się! Jak Olechowski zejdzie z tego świata, to zaczną się prawdziwe poszukiwania sprawcy. Jeśli nie chcesz, by wina spadła na ciebie, wyjedź z Warszawy natychmiast!

I drugi:

Zdenerwuj mnie wizytami w domu kochanka, to nawet wyjazd niczego nie zmieni. Dopadnę cię, zanim opuścisz Warszawę.

– Już to przedyskutowaliśmy. Anonim ma złe zamiary – podsumowała.

– A mnie się wydaje, że to jedynie puste słowa. Taka próba nastraszenia – stwierdził Wiktor. – Przecież właściwie nic się nie stało, jak mówiła Aurelia. Rzecz jasna nawet te drobne wypadki w moim przekonaniu są karygodne i należy sprawcę odnaleźć, ale raczej nie mamy do czynienia z mordercą, a z jakimś odrzuconym adoratorem.

– Może... – Małgorzata uniosła do góry palec wskazujący. – Jednak zwróć uwagę, kuzynie, że anonim jasno mówił, by Aurelia wyjechała z miasta. Czy odtrącony wielbiciel chciałby pozbywać się swojej muzy?

– Może miał dość oglądania jej w ramionach innych mężczyzn? – zasugerował Edmund.

– Majorze! – Aurelia niemal krzyknęła. – Już chyba wielokrotnie wyjaśniałam, że ta wzmianka o kochanku w jednym z listów to jakiś kompletny absurd.

– Ale fakt pozostaje faktem. Ktoś musiał w ten sposób odebrać pani zachowanie – kontynuował, by wytrącić ją z równowagi.

Spojrzała na niego, przygryzała przy tym dolną wargę.

– Nie wydaje mi się, bym w jakikolwiek sposób dała komukolwiek powody, by tak myślał.

– A jednak. – Edmund znacząco uniósł lewą brew.

– Dość tego! – przerwał Wiktor. – Skupcie się, proszę, na sprawie, a nie na własnych zatargach.

Hrabina Plater oblała się pąsem, a Edmund wykonał gest sznurowania sobie ust.

– Z pewnością postępowaniu Aurelii nie można niczego zarzucić, ale jest ona jedną z ładniejszych kobiet w Warszawie i może budzić uczucie zazdrości – odezwała się Sabina. – Prawdopodobnie anonim nie mógł patrzeć, jak bryluje na salonach otoczona gromadką wielbicieli. Niewykluczone, że chciał, by wyjechała na wieś, gdzie nikt nie będzie zabiegał o jej względy, aby móc albo pojechać za nią, albo poczekać na jej powrót i wówczas starać się o jej uwagę.

– Możliwe. Ale warto też pomyśleć o tym, że może treść anonimów nawiązująca do spotkań z kochankiem jest jedynie przykrywką dla zupełnie innej sprawy – wtrąciła się Małgorzata.

– Co masz na myśli?

– Może chodzi o coś zupełnie innego. O jakieś sprawy finansowe na przykład. Albo o papiery. Sami wiecie, że wszyscy bardziej świadomi politycznie Polacy mają teraz obsesję śledzenia. Pewnie za sprawą tajnej policji carskiej. Każdy doszukuje się drugiego dna w różnego typu przestępstwach i uważa nawet na własną służbę, bo boi się podsłuchiwania. Może ktoś chciał zastraszyć Aurelię, a tą sprawą z Olechowskim skompromitować ją, by uzyskać sobie tylko znane korzyści. Może jest ona w posiadaniu jakichś dokumentów zmarłego męża, o których nie ma pojęcia.

– Właśnie – przypomniał sobie coś Ksawery. – Byłem wczoraj u hrabiego Olechowskiego.

– Kiedy? – spytała Małgorzata. – Nie wspominałeś mi.

– Gdy zasnął po południu, pojechałem do jego domu. Po naszej ostatniej rozmowie nie byłem przekonany, co właściwie ten człowiek zamierza uczynić.

– A teraz? – wtrącił się Edmund. – Chce oskarżyć Aurelię, to znaczy hrabinę Plater? – Niemal się zarumienił.

Aurelia wychwyciła tę nutkę zażenowania na jego twarzy, czuła, że jednak nie jest on do końca cyniczny. Postanowienie wzięcia odwetu zeszło na razie na drugi plan. W zasadzie to coraz mniej zaprzętała sobie głowę zemstą, natomiast samym majorem Brezą – coraz bardziej. Od kilku dni nie robił większych aluzji do ich stosunków i starał się jej unikać. Miała nadzieję, że nie stracił nią zainteresowania.

Dziś wyglądał niezwykle kusząco. Bryczesy w jasnym odcieniu szarości doskonale uwydatniały kształt jego długich nóg, a cienka, bawełniana koszula miękko otulała mięśnie przedramion. Do tego zgrabna, choć skromna ciemnoszara kamizelka i nieskazitelnie biały fular. Nie odwiedzał ostatnio fryzjera, a przydługie włosy układał finezyjnie na prawy bok, co dodawało mu uroku w połączeniu z idealnie ogoloną, muśniętą słońcem cerą.

Zatęskniła nagle za chwilami, kiedy przedzierali się wspólnie przez las i uciekali przed porywaczami. Tamta noc w wieży, gdy okrywał ją szczelnie ramionami... Przeciągnęła się dyskretnie na fotelu, co nie uszło jego uwadze.

Na chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały i o dziwo nie puścił do niej oka ani nawet nie wyszczerzył się w uwodzicielskim uśmiechu. W jego oczach za to dostrzegła coś zupełnie innego. A może jej się wydawało, bo sama poczuła jakąś tkliwość.

– Jego żona, wyraźnie skrepowana zaistniałą sytuacją – kontynuował Ksawery – stanęła za namową swojej przyjaciółki po mojej stronie i zasugerowała mężowi, że niepotrzebnie wywoła skandal i jeszcze narazi się na śmieszność, jeśli sam przyzna, że mogła go obezwładnić taka krucha i o wiele od niego słabsza kobieta jak hrabina Plater.

– Ale fakt, że on nie wniósłby oskarżenia ze wstydu, nie oznacza, że szantażysta nie może dostarczyć sądowi spreparowanych dowodów

w postaci zakrwawionych rękawiczek, o których wspominał w jednym z listów.

– Święta prawda. Nawet jeśli hrabia stwierdzi, że niczego nadal nie pamięta, to dowody mogą jednoznacznie obciążyć Aurelię.

– A gdybyśmy pokazali ten list stróżom prawa? – zasugerowała Sabina.

– To byłby doskonały pomysł, kochanie, ale mogą stwierdzić, że sami go napisaliśmy.

– Zatem najlepiej byłoby znaleźć szantażystę, zanim zrobi coś głupiego albo wsadzi Aurelię do więzienia, albo zrobi jej jakąś inną krzywdę.

– Sądzę, że z przekonaniem o jej niewinności jakoś sobie poradzimy, jednak nie unikniemy skandalu. Sama wiesz, jak okrutne potrafi być społeczeństwo w takich przypadkach.

– A skandal może objąć nie tylko mnie, ale przy okazji całą moją rodzinę.

– Westchnęła Aurelia.

– Dlatego musimy spotkać się z żoną Olechowskiego i jej przyjaciółką. Sądzę, że one we dwie przekonają hrabiego, by zaniechał oskarżeń – podsumował Ksawery.

– Dobrze.

– Wiedziałem, że się zgodzicie, dlatego umówiłem się z paniami dzisiaj. Mają przyjść po południu.

– Tutaj?

– Tak. I prosiły, by przygotować trochę więcej ciasteczek. Trzeba powiadomić kucharkę, bo obawiam się, że moja żona pochłonie większość z jej wypieków, zanim panie do nas dotrą.

– Przepraszam. – Małgorzata zarumieniła się, gdy zjadała kolejną kokosankę. – Ale to takie pyszne.

Po południu wszyscy niecierpliwie czekali w salonie na przybycie hrabiny Olechowskiej i jej przyjaciółki. Aby nie krępować pań, Sabina przepędziła panów do stojącego w kącie stolika do kart i kazała siedzieć tam, dopóki nie zostaną poproszeni. Ci, po krótkiej wymianie zdań, przystali na jej prośbę, której Edmund słusznie nadał miano rozkazu, i grzecznie odeszli, pomni, by jedynie się przywitać, a potem wrócić do gry.

– Hrabina Olechowska i markiza Morawska – zaanonsował kamerdyner w jak zwykle nienagannej liberii i z tajemniczą miną.

– Poproś panie, Harris. – Skinęła głową Aurelia.

Edmund omal się nie zakrzuszył na widok blondynki z wydatnym biustem, ubranej w obcisłą różową suknię odsłaniającą w zasadzie znacznie więcej,

niż zakrywała. Obok niej szła pulchna, uśmiechnięta kobieta cała w błękitach i koronkach. Wszyscy panowie wstali i wdzięcznie powitali wchodzące panie, po czym udali zainteresowanie grą.

– Jak to miło, że zgodziły się panie przyjść – zaczęła Aurelia. – Chyba nie trzeba nikogo przedstawiać. – Żonę mojego kuzyna panie znają, moją siostrę również.

– Ależ naturalnie. Moje gratulacje z powodu ślubu – odparła hrabina Olechowska.

– Hrabino – kontynuowała Aurelia.

– Berto – poprawiła ją pulchna kobieta.

– Przepraszam. – Zarumienia się. – To taka delikatna sprawa.

– Eleonora już mi wszystko wyjaśniła. Wiem, że zaszło ogromne nieporozumienie.

– Tak? – Zdziwiła się Sabina, gdy patrzyła przeciągle na markizę Morawską.

Wyglądała wyzywająco, można by rzec – wulgarnie. Raczej nie sprawiała wrażenia kogoś, kto bezinteresownie pomaga innym. Ale może pozory mylą.

– Markiza wyjaśniła mi, że mój mążnek miał jakieś zaszłości z pani zmarłym mężem i przez to całą złość przeniósł na panią. Podejrzewał, że ten napad mogła pani zlecić – przerwała na chwilę – co uważam naturalnie za kompletną bzdurę – sięgnęła po ciastko – w ramach zemsty za ich dawne porachunki.

Aurelia spojrzała na Eleonorę zupełnie zbита z tropu. Małgorzata i Sabina także siedziały cicho, wysłuchały dalszych wyjaśnień, zaskoczone, że to nie one muszą tu przekonywać hrabinę. Eleonora Morawska zrobiła to za nie. Ale dlaczego?

– To bardzo miłe z twojej strony – zwróciła się do markizy Aurelia – że stanęłaś po mojej stronie. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Nie musisz, kochana. – Ta zrobiła nieco komiczną minę, tak że jej zgarbiony nos nieco się unióś. – My, kobiety, musimy sobie pomagać.

– Niemniej jestem bardzo wdzięczna, zwłaszcza że nie każdy byłby tak pewien czyjejs niewinności.

– Przecież to oczywiste. Gdyby jakaś kobieta z zimną krwią planowała zabić kogoś tak szanowanego i ogólnie poważanego jak hrabia Olechowski, to nie postąpiłaby w tak niedorzeczny sposób jak ty, moja droga.

– To znaczy?

– Przecież nie spotkałaby się z nim przy świadkach w publicznym miejscu, gdyby miała zamiar go później zaatakować.

– To prawda – zgodziła się Aurelia.

– Poza tym i tak już szeptano o tej sprawie, a kolejne rewelacje wzbudziłyby niepotrzebne zainteresowanie pismaków i naszych kontrahentów. Mój mąż prowadzi kilka intratnych interesów, a plotki mogłyby im zaszkodzić, same rozumiecie – dodała Berta i ugryzła kolejne ciastko.

– Naturalnie – poparła ją przyjaciółka. – Proponowałabym jeszcze pokazać publicznie, że nie ma między wami żadnych niedomówień, a plotki same ucichną.

Kto by pomyślał, że kolejna sprawa pójdzie tak łatwo. Chciałoby się rzec, że zbyt łatwo...

21.

Pałac Radziwiłłów położony w podwarszawskim Wielopolu lśnił setkami lampionów, które tworzyły wielobarwne wstęgi prowadzące do ogrodów udekorowanych na tę okazję motywami z baśni. Między żywopłotami ustawiono poidelka i karmniki dla ptaków, by zwabić je dla podkreślenia atmosfery. Fontannę ozdobiono girlandami z kwiatów, a sztuczne rośliny nietypowych kształtów i rozmiarów poustawiano tak, by tworzyły niemal magiczny gąszcz z bajkowych przygód.

Schody wystawnej rezydencji wyłożono miękkim, czerwonym dywanem, a na nich rząd lokajów w lśniących srebrem, czarnych liberiach i trójgraniastych kapeluszach odbierał od gości okrycia i wręczał po kieliszku szampana odpowiednio schłodzonego dzięki zaspom lodu ukrytym w piwnicach. Ponoć na deser miały być podane lody i galaretki w kolorach tęczy.

Przyjęcia generałowej od zawsze słynęły z doskonałej organizacji i wyśmienitego bufetu, o muzyce nie wspominając. Uroczystość miał zakończyć pokaz fajerwerków, który goście będą podziwiać z tarasu i altanek ukrytych w ogrodzie. Oczywiście trudno byłoby oświetlić i zaadaptować na ten sam wzór cały ogród, dlatego pewna jego część pozostała bez poprawek, aby można było oddalić się i odpocząć od towarzystwa.

Gości przybyło co najmniej stu, w związku z czym wzdłuż ulicy dojazdowej ciągnął się sznur rozmaitych powozów z woźnicami czekającymi na swoich państwa.

Główna sala, ta, w której miały odbywać się tańce, oświetlona została mnóstwem świec migoczących w złotych kandelabrach, których blask odbijał się od rozmieszczonych wszędzie lusterek w połyskliwych ramach i połączonych medalionach zdobiących półkuliście sklepiony sufit. Ustawiono tam szereg rzeźb kojarzących się z postaciami z baśni, a także krasniali, elfów, wróżek, smoków i potworów, a podest dla orkiestry wyglądał niczym wielki tort lukrowany perłową masą.

Jadalnia przypominała domek z kart z dużymi czerwonymi sercami i rombami podwieszanymi pod sufitem oraz czarnymi treflami i winami zdobiącymi krzesła i obrusy. Nawet sala dla pań wyglądała jak kraina wróżek, jedynie pomieszczenia męskie oszczędzono, pozostawiając je takimi, jakimi bywały podczas zwykłych przyjęć.

Panie poubierane w wielobarwne, wiele odsłaniające suknie wachlowały się, rozemocjonowane, udawały oczywiście znudzenie i całkowitą obojętność, choć w istocie każda zazdrościła doskonałego wyczucia i zasobów gospodyni, bo sama chciałaby okazać się lepszą organizatorką. Panom wystrój był w większości obojętny, chociaż zdradzali nikłe zainteresowanie, wdzięczni za motyw baśniowy, który z kobiet uczynił strojne księżniczki i pozwolił im na jeszcze bogatsze przebrania.

Aurelia wybrała na tę okazję chabrową suknię z dopasowanym stanikiem obszytym złotą nitką, zebraną ściśle pod biustem i puszczoną swobodnie wieloma cienkimi warstwami do samych kostek, tak że widać było wystające granatowe pantofelki z przyczepionymi do nich małeńkimi dzwoneczkami. Swoje gęste włosy wygładziła, tworząc niski kok przesunięty na lewą stronę, i ozdobiła złotymi łańcuszkami, których zwieńczenie stanowiła ozdobna *tikka*¹⁵ z pięknie wyeksponowanym opalem, zawieszona pośrodku czoła, do której dobrała delikatny naszyjnik w podobnym wzorze. Jej dłonie zamiast rękawiczek przystrojone były w *panje*¹⁶ z wplatanymi czarnymi kamykami. Gdyby ktoś miał opisać wygląd hrabiny, to skojarzyłby ją z Szeherazadą, bohaterką baśni *Tysiąca i jednej nocy*. Przywiezione z Indii ozdoby idealnie posłużyły jako dodatki do uczynienia z jej starej sukni baśniowego stroju.

¹⁵ Najbardziej ozdobny opadający na czoło element opaski do włosów.

¹⁶ Tradycyjna hinduska bransoletka połączona z jednym lub pięcioma pierścionkami (sprowadzona do Indii z Persji).

Małgorzata w zielonej jedwabnej kreacji z krótkim rękawkiem, dekoltem w kształcie łódki i swoimi miedzianymi włosami, które udało się doprowadzić do porządku na tyle, by można było spiąć z nich zgrabny koczek na czubku głowy, przypominała celtycką księżniczkę, której towarzyszył potężnych rozmiarów jasnowłosy leprechaun¹⁷, jej mąż, ubrany w seledynowy surdut i czarną kamizelkę ze złotymi guzikami.

¹⁷ Rodzaj skrzata, zgodnie z mitologią irlandzką.

Sabina i Wiktor Strzeleccy postawili na klasykę. On pojawił się w czarnym stroju balowym z nieskazitelnie białą koszulą i finezyjnie przywiązanym fularze – tajemniczości dodał sobie poprzez założenie cieniutkiej maski przysłaniającej połowę twarzy, ona – w krwistoczerwonej, poszerzanej ku dołowi sukni z koronki podszytej ałlasem i w czarnej koronkowej przepasce na oczy oraz z włosami upiętymi luźno, z wywiniętym specjalnie charakterystycznym białym pasmem i małeńkim diademem na głowie.

Nie zabrakło również majora Brezy, który choć spóźniony, zdołał dostać zaproszenie i przybyć witany przez łapczywe spojrzenia pań. Jakimś cudem jego krawiec zdążył z garderobą na czas, i nawet pokazał przy tym pełnię swego kunsztu. Edmund wybrał strój osiemnastowiecznego francuskiego księcia, jakby na przekór temu, że Bonaparte przegrał z kretelem i pozbawił tym samym Polaków ich rosnących nadziei. Całość składała się z szustokoru z grubego materiału, wyglądem przypominającego frak bez klap, za to z wielkimi zdobnymi guzikami i misternym haftem, oraz z długiej kamizelki i obcisłych spodni do kolan. Szczupłe, ale umięśnione łydki odziane były w białe pończochy, a na stopach lśniły lakierowane buty z ozdobnymi klamrami na podwyższonym obcasie. Wszystko w odcieniach czerni i granatu poza nieskazitelnie białą koszulą. Na głowę, jak przystało na tamte czasy, założył pudrowaną jasną perukę zawiązaną z tyłu tasiemką. Nie zapomniał nawet o przyklejeniu sobie sztucznego pieprzyka nad górną wargą, co jego i tak charakterystycznym rysom – ze względu na złamany nos i niezwykle zmysłowe usta – nadało iście diaboliczny charakter. Anioł i szatan w jednej osobie. Panie nie mogły nie zareagować, zwłaszcza że ich znaczna część doskonale wiedziała, z kim ma do czynienia, a te, które go nie znały, zapewne słyszały co nieco o jego podbojach.

Aurelia aż się zagotowała, gdy zobaczyła owe śledzące go spojrzenia innych kobiet, ale Edmund nonszalancko powitał wszystkich mijanych gości i przebił się przez gęstniejący tłum prosto do ich grupki. Zarezerwował sobie u niej pierwszego walca. Stwierdził, że nie ma ochoty podrygiwać w rytmie nudnego kontredansa z tak czarującą istotą, ale to szepnął jej niezwykle dyskretnie, kiedy już do tego typu zabawy poprosił pozostałe panie. Następnie oddalił się, jak wcześniej ustalili, by niezauważenie obserwować otoczenie, bawiąc się przy tym w najlepsze.

Jak można było się domyślić, zaledwie po kwadransie od ich przybycia wokół Aurelii zaczęło roić się od rezerwujących sobie kolejne tańce panów; nie zabrakło wśród nich barona Alojzego Rudeckiego i Pankracego Puckiego, którym po raz kolejny dziękowała za pomoc w ucieczce z miasta i zapewniała, że wszystko jest pod kontrolą. Kiedy oferowali swoje dalsze usługi, to, aby niechcący nie zdradzili się przed nikim, przydzielono im zadanie stworzenia listy wszystkich dżentelmenów zabiegających o względy Aurelii. W końcu jako przedstawiciele tej licznej gromadki powinni najlepiej się orientować w swojej konkurencji. To skutecznie zasznurowało im usta i zdyscyplinowało do niesienia prawdziwej pomocy.

Strata powozu, który niestety przepadł bez wieści po ucieczce i porwaniu, nie wydawała się aż tak dotkliwa i jego właściciel nie chciał zgodzić się na odkupienie nowego. Aurelia uparła się jednak, że to byłoby zbyt hojne z jego strony, i poprosiła szwagra, by ten dopilnował uregulowania rachunku. Ksawery obiecał natychmiast zająć się tą sprawą.

– Aurelio, moja droga, wyglądasz olśniewająco – zaszcebiotała Berta Olechowska, gdy zmierzała w jej kierunku, tak by usłyszało ją jak najwięcej osób.

Za nią z nieodgadnioną miną szedł dumnie wyprostowany mąż, ale w miarę zbliżania się do hrabiny, jej siostry i Sabiny Strzeleckiej, które wpatrywały się w niego z zaciekawieniem, tracił cały rezon.

– Baronowo Strzelecka, baronowo Wigura... – Ukłonił się. – Hrabino, chciałbym, by przyjęła pani moje przeprosiny. – Zwrócił się tylko do Aurelii, ściszył głos, choć wszyscy wokół zamilkli i uważnie nasłuchiwali. –

Przypuszczenia, jakoby mogła mieć pani coś wspólnego z napadem na moją osobę, były zupełnie bezpodstawne. Oczywiście nie myślałbym tak z całą pewnością, gdyby nie wynik urazu, co rzecz jasna nie może mnie usprawiedliwić, jednak liczę na pani wyrozumiałość.

– Naturalnie, hrabio. Mam nadzieję, że pana zdrowie wróciło już do normy.

– Dziękuję, czuję się zdecydowanie dobrze, choć zapewne długo jeszcze będą dokuczać mi bóle głowy.

– Bardzo mi przykro to słyszeć. Tuszę jednak, że nie przeszkodzą one panu w obowiązkach, jakie mają dżentelmeni.

– Proszę się nie obawiać.

– Czy policji śledczej udało się namierzyć sprawcę? – zapytała Małgorzata.

– Niestety zdaje się, że stracili wszelką nadzieję. Najprawdopodobniej był to zwykły rabunek, bo zniknął woreczek z pieniędzmi, który miałem wówczas przy sobie.

– Tak, nawet w biały dzień w publicznym miejscu można spodziewać się najgorszego – stwierdziła Eleonora Morawska, która wyłoniła się spośród tłumu. – Teraz człowiek może zostać napadnięty dosłownie wszędzie.

– To prawda – zgodziły się wszystkie.

– Co panie sądzą o mojej kreacji? – zmieniła temat Eleonora.

– Hm. – Aurelia rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy.

– Cóż... – Małgorzata uniosła do góry wskazujący palec. – Tkanina jest chyba najwyższej jakości.

– A kolor naprawdę bajeczny – dokończyła Sabina. – I podkreśla pani wszystkie atuty.

– Tak, to prawda. Od zawsze szczycę się znakomitą figurą, prawda, markizie? – zwróciła się do stojącego za nią męża, który od chwili pojawienia się jedynie skłonił głowę na powitanie.

– Owszem, ale suknie wszystkich pań są dzisiaj niezwykle piękne – odparł i uciał dyskusję. – Może pójdziemy do pozostałych panów – zwrócił się do Olechowskiego.

– Mam nadzieję, że nie przesiedzicie tam, panowie, całego wieczoru – rzekła markiza. – Chciałabym widzieć cię tańczącego, mój drogi.

– Specjalnie na twoją prośbę, żono, i oczywiście dla własnej przyjemności rezerwuję sobie tańce u każdej z pań. – Ukłonił się lekko. – Proszę sobie zanotować. A teraz niech mi panie wybaczą. – Odwrócił się i pomaszerował sztywnym krokiem w kierunku sali, gdzie siedzieli sami mężczyźni.

Olechowski, chcąc nie chcąc, powędrował za nim. Zapomniał o tańcu i wszystkich, zadowolony, że tę część wieczoru, na którą namawiała go żona, ma już wreszcie za sobą.

– Pozwoli pani. – Aurelia usłyszała za plecami aksamitny głos Edmunda. Kilka minut wcześniej obserwowała go, jak z gracją drapieznika porusza się po parkiecie.

– Naturalnie, majorze. – Podała mu dłoń i dała się poprowadzić do walca.

– Nie mogłem się doczekać – wyznał.

– Nie odniosłam takiego wrażenia. Wydało mi się raczej, że świetnie się pan bawił do tej pory.

– Owszem, ale myślami krążyłem przy tobie, skarbie – szepnął jej do ucha, czym wywołał u niej skurcz żołądka.

– Proszę sobie nie żartować – odparła, choć jakaś jej cząstka wiedziała, że tym razem mówi szczerze.

– A ty?

– Nie rozumiem. – Nie potrafiła skupić uwagi, gdy czuła jego dłoń zaciśniętą wokół swej talii i subtelny piżmowy zapach jego skóry pomieszany z aromatem lawendowego mydła, wody kolońskiej i krochmalu.

– Tęskniłaś?

– Nie odpowiem na to pytanie.

– Tęskniłaś – stwierdził i uśmiechnął się szelmowsko.

Nazajutrz przy śniadaniu dyskutowano na temat balu. Właściwie osiągnięto sukces w stosunkach z hrabiostwem Olechowskimi, ale sprawa dotycząca szantażysty nie posunęła się ani o krok. Edmund dyskretnie obserwował Aurelię, starał się wy badać, czy ich wczorajszy taniec i wydarzenia tuż po nim zostawiły po sobie jakiegokolwiek wrażenia. Do rana nie mógł zmrużyć oka, a teraz nie był w stanie przełknąć małej grzanki. Ona natomiast zajadała w najlepsze.

– Potrzebujemy więcej wskazówek – orzekł Wiktor.

– Myślę, że nie powinniśmy długo czekać, zwłaszcza po publicznym wystąpieniu i to w tak odważnej kreacji – odparła jego żona.

– W porównaniu z suknią markizy Morawskiej moją można by określić jako przesadnie skromną.

Aurelia posmarowała grzankę dżemem truskawkowym i dołożyła sobie na talerzyk winogron.

– Ale elegancką i kuszącą – podsumował Edmund, obrzuciwszy ją wymownym spojrzeniem znad gazety, którą rozłożył przed sobą na stole, by udawać, że studiuje jakiś artykuł. Raz po raz popijał jedynie ciemną kawę bez cukru.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Sabina. – Czyżby to, co nam wszystkim cisnęło się przez cały wczorajszy wieczór na usta?

– Mniemam, że ty, moja droga, nie jesteś w stanie wytrzymać dłużej i zaraz nas uświadomisz – wtrącił Wiktor i zerknął na nią znad jakiejś plotkarskiej broszurki.

– Nie omieszkam. – Odłożyła na bok pismo dla pań „La Belle Assemblée” specjalnie sprowadzane z Anglii, w której mieszkali jej kuzyni. – Różowy, dopasowany do granic możliwości kostium wyglądał, jakby miał jej za chwilę eksplodować na biuście. Delikatnie mówiąc – wyjaśniła.

Małgorzata nie wtrącała się do dyskusji na temat strojów, pokazywała mężowi jeden z najnowszych artykułów ich wspólnego przyjaciela sir O'Briana, naukowca, który opisywał zachowania plemion żyjących w Ameryce Południowej. Nie czuła się dzisiaj zbyt dobrze, dlatego popijała jedynie ziółka.

– Rzeczywiście trudno o trafniejsze określenie fasonu tego cudeńka, choć trzeba przyznać, że miało i swoje dobre strony. – Zaśmiał się major. –

Widzieliście minę jej męża, kiedy wszyscy szeptali za ich plecami? Wyglądał, jakby połknął kij od szczotki, tak bardzo starał się udawać obojętnego.

– Breza! – ostrzegł go Wiktor.

– Najważniejsze jednak, że sprawa Olechowskiego została w końcu zamknięta. Przynajmniej podejrzenia co do udziału hrabiny Plater. –

Edmund zamknął przeglądaną gazetę. – A wracając do pani stroju, hrabino – zwrócił się do Aurelii i podsunął Wiktorowi swój magazyn. – Czy to zbieg okoliczności, że dobraliśmy ten sam kolor? – Spojrzał na nią wnikliwie, jakby chciał zauważyć najmniejsze drgnięcie mięśni jej twarzy.

– Z całą pewnością, majorze. Chyba że ma pan jakieś specjalne zdolności telepatyczne, ale proszę nie wprawić w zakłopotanie Marianny, to moja pokojówka wybierała suknię.

– Ach tak. – Przymrużył powieki.

Dlaczego ona za wszelką cenę nie chce zdradzić się z tym, że jej się podoba? Czyżby nic nie znaczył dla niej wczorajszy pocałunek?

Spojrzała na niego czujnie. Chyba nikt z tu obecnych nie zorientował się, że na chwilę zniknęli na tarasie. W końcu to on miał jej pilnować w tamtym momencie. Zaraz po wspólnym tańcu poszli odetchnąć świeżym powietrzem. Wybrał miejsce, które wcześniej upatrzył, niby w pobliżu, a jednak odosobnione dzięki wykorzystaniu kurtyn, które sam wcześniej troszeczkę przesunął, i rozwiązaniu ich, kiedy już tam przyszli.

Zaprotestowała, gdy zobaczyła, że preparuje naprędce coś w rodzaju miłosnego gniazdka, ale gdy wyjaśnił, że chodzi o dobro śledztwa, złagodniała. Stała przy balustradzie, próbowała spoglądać w stronę ogrodu, niestety widok zasłaniało wysokie drzewo. Specjalnie wybrał to miejsce, by nie można było ich dostrzec z zewnątrz.

– Sądzisz, że on tu gdzieś jest? – zapytała szeptem.

– Do tej pory znał każdy twój krok, kiedy pojawiałaś się w Warszawie. Musiał wiedzieć też, że zjawisz się i tutaj.

– Szczerze mówiąc, nie czuję jakoś specjalnie zagrożenia.

– Może dlatego, że zdążyłaś oswoić się z tą sprawą i wtajemniczyłaś w to zaufane osoby, które chcą ci pomóc. To coś zupełnie innego niż podejrzenia snute w pojedynkę.

– Chyba masz rację. – Spojrzała na niego badawczo. – Co robisz?

– Cały wieczór miałem ochotę to zrobić.

Chwycił jej stopę, gdy padł na kolana, i zaczął nią potrząsać niczym zabawką.

– Działają! – Zaśmiał się jak małe dziecko.

– Dlaczego miałyby nie działać? Temu służą – wyjaśniła i zademonstrowała mu dokładnie swoje kostki. – Hinduski właściwie noszą je trochę wyżej jako bransoletki na nogach, ja przerobiłam je, by przypiąć do butów.

– Ciekawe. Cała twoja biżuteria wygląda interesująco.

– Jeśli masz ochotę, to przypatrz się, proszę. – Wyciągnęła dłoń i pokazała oszlifowane kamyki przypięte do połyskliwych łańcuszków biegnących od pierścienia umieszczonego na środkowym palcu do zdobionej bransolety, dzięki czemu zmusiła go do powstania z kolan. – To *panja*.

Nie był pewien, czy tylko bada w ten sposób jego reakcje, czy ma ochotę na coś zupełnie innego.

– Sprytny wybieg. – Zauważył jej podstęp.

– Czyżby? Zdaje się, że nie leżę w kręgu pana zainteresowań, Edmundzie.

– Któż mógłby wymyślić coś tak niedorzecznego? To raczej pani, droga Aurelio, stale pozostaje poza moim zasięgiem. – Zbliżył się niebezpiecznie do jej twarzy.

Była dość wysoką kobietą, on zaś – słusznego wzrostu, choć nie najwyższym mężczyzną w ich kręgu, więc wystarczyło, że pochylił głowę, a ona uniosła swoją i ten wieczór można by uznać za w pełni udany.

– Majorze – upomniała go.

– Hrabino – wychrypiął, nie potrafił jednak przestać zbliżać się do jej kuszących ust.

– Edmundzie – jęknęła.

Niemal rzucili się na siebie z głodem przypominającym zachowanie wychudzonych drapieżników na widok kawałka krwistego mięsiwa. Z jednakowym zapalem przyłgnęli do siebie całymi ciałami i wstrzymali oddechy.

Dokładnie w tej samej chwili ktoś odsłonił kotarę. Nie zorientowali się, kto to, zupełnie pochłonięci sobą, choć nawet nie zdążyli na dobre rozpocząć pocałunku. Odskokczyli od siebie jak oparzeni i nie odezwały się słowem, wrócili na salę.

Nie mógł się mylić. Wyraźnie wyczuł, że i ona go pożąda. Nie protestowała przecież, wprost przeciwnie...

– Korespondencja, jaśnie pani. – Nienagannie ubrany kamerdyner wszedł do jadalni i przerwał jego rozmyślania poprzez lekki skłon z tacą, na której piętrzył się stosik listów. – Marianna zajęła się przysyłanymi bukietami,

życzy pani sobie postawić któryś w sypialni czy jak zwykle rozlokować część na parterze, a część oddać parafii?

– Niech Marianna sama zadecyduje. Dziękuję, Harrisie.

– Do usług, milady.

– Zaczekaj, Harrisie. – Zatrzymał go Edmund. – Czy nie zauważyłeś niczego podejrzanego w dostawcach poczty?

– Co pan ma na myśli?

– Czy nie przychodził z wiadomościami ktoś podejrany, ktoś inny niż zazwyczaj?

– Dostawcy dość często się zmieniają. Czasami przybiegają tu mali chłopcy chcący zarobić kilka groszy, ale najwięcej listów dostarcza stały kurier.

– Dziękuję. Gdybyś coś zauważył, to poinformuj nas.

– Oczywiście. – Kamerdyner oddalił się tym samym dostojnym krokiem.

– Już próbowałem sprawdzać dostawców, niestety bezskutecznie – odezwał się po jego wyjściu Wiktor.

– Warto jednak uczulić służbę – odparł Edmund i spojrzał wymownie na piętrzący się stos papierów.

– To prawda.

– Mamy tuzin zaproszeń na różnego typu spotkania towarzyskie, list od mojego prawnika Bronisława Zajączka, kilka rachunków i anonim – wyliczyła Aurelia, przesegregowawszy pocztę.

– Zacziesz od ostatniego, prawda? – zapytała Małgorzata i odłożyła periodyk naukowy.

Nie radzę bawić się czyimiś uczuciami.

Poprzez podsycanie zazdrości można doprowadzić do przebudzenia bestii.

Widzę, że nie trzymasz się z dala od miasta, by nie drażnić mnie swoim postępowaniem, i dodatkowo przywiozłaś sobie towarzystwo. Pamiętaj jednak, że nie zawsze będą cię chronić, choć moja złość nieco pobladła.

– Chyba stwierdzenie, że osiągnęliśmy zamierzony cel na balu, można uznać za nieprzesadzone – podsumował Wiktor.

– Wygląda na to, że wzbudziłaś zazdrość, a przynajmniej poważnie zdenerwowałaś anonima – dodała Sabina.

– Wściekł się za taniec z innymi mężczyznami, może za nasz walc – zasugerował Edmund tak, aby dać jej do zrozumienia, że miał na myśli coś zupełnie innego. Najwyraźniej anonimem mogła być osoba, która wtargnęła

wówczas za zasłonę oddzielającą ich od reszty towarzystwa i dostrzegła pocałunek. A może nie.

Aurelia podchwyciła jego tok rozumowania.

– Uważa pan, majorze, że to zazdrosny, odrzucony mężczyzna, któremu nie było dane ze mną zatańczyć? – To ostatnie słowo powiedziała z wyraźnym akcentem, by dokładnie zrozumiał, co miała na myśli.

– Najwyraźniej.

– A może chodziło o coś zupełnie innego. – Małgorzata spojrzała dyskretnie na milczącego od rana męża.

– Sądzisz, że mogło chodzić nie tyle o zazdrość o Aurelię, ale o któregoś z jej adoratorów?

– Nie wiem, ale nie możemy wykluczyć takiej możliwości.

– Czyżby męska rywalizacja? – zapytała Sabina.

– Niekoniecznie męska, choć masz rację, to też jest ciekawy trop.

– Wiem, że należy brać wszystkie możliwości pod uwagę, ale skupmy się na tej najbardziej prawdopodobnej – zaproponowała Aurelia.

– Czyli?

– Na zazdrosnym mężczyźnie, który mógł poczuć się dotknięty.

– Jesteś pewna, że to dzieło mężczyzny? – Małgorzata wskazała na liścik.

– Oczywiście, że nie, ale czy naprawdę sądzisz, by jakaś kobieta mogła kryć się za tym wszystkim?

– A co powiesz na zazdrosną, nieszczęśliwie zakochaną w jednym z twoich adoratorów maniaczkę?

– Przesadzasz.

– Mam nadzieję. Niemniej jednak z listu wynika, że anonim nie jest sam pewien swego nastawienia. Raz ostrzega cię przed zbudzeniem bestii, by po chwili stwierdzić, że już się mniej złości. To musi być ktoś rozchwiany emocjonalnie lub słabego charakteru.

– Rzeczywiście. Poprzednie listy były bardziej zdecydowane. Może wyczuł zagrożenie? Musimy postępować ostrożniej.

– Może przez jakiś czas zajmiemy się cichą analizą i dyskretnym sprawdzaniem poszlak, by uspić jego czujność? – zaproponował Ksawery.

– Doskonały pomysł, zwłaszcza że chciałabym w końcu zajrzeć do listu od mecenasa. Miałam problemy z pewnym majątkiem męża i liczę, że w końcu udało mu się je rozwiązać – odparła Aurelia wyraźnie zmęczona całym śledztwem.

Edmund nie spuszczał z niej wzroku, ale jego myśli krążyły już wokół zupełnie innych rzeczy. Jeśli wczorajszego wieczoru wbrew zdrowemu rozsądkowi dała się ponieść namiętności, to może nie jest wcale taką zdeterminowaną do życia w pojedynkę, nowoczesną kobietą. Niewykluczone, że choć sama nie chce tego przed sobą przyznać, potrzebuje mężczyzny. Ściślej mówiąc – potrzebuje jego. Nie miał wątpliwości, że działa na nią niczym magnes. Teraz trzeba tylko ją przekonać, by przestała wbrew sobie stawiać opór i zaakceptowała fakt, że pragnie go mimo jego wad.

– Nie krępuj się, ja porównam charakter pisma, jeśli pozwolisz. –

Małgorzata wstała i przyniosła sobie szkatułkę z pozostałymi listami od anonimowego szantażysty.

Aurelia otworzyła wiadomość od Bronisława Zajączka.

– Okazuje się, że mimo licznych trudności młody prawnik, jak obiecał, załatwił wszystkie formalności i za kilka tygodni będę mogła bez obaw udać się do ziemskiej posiadłości mojego męża położonej w dolinie Bugu niedaleko miejscowości Brok – streściła.

– To wspaniale! – Ucieszyła się Małgorzata. – Będziesz miała blisko do naszego dworku i będziemy mogły się częściej widywać, oczywiście jeśli tam zamieszkaż.

– Niewykluczone.

– W dodatku to blisko naszego dworu i dość daleko od stolicy – dodała Sabina.

– Same plusy. – Hrabina odłożyła korespondencję. – Zaproszenia przejrę później.

– Doskonale. A my wrócimy do rezydencji mojego brata, bo Jaś pewnie już wszedł na głowę niani i swojemu wujkowi.

– Wujkowi? – Zdziwiła się Aurelia.

– Och, zapomniałam poinformować. Wczoraj do Warszawy przybył Robert.

22.

Drugi list nadszedł nazajutrz po pierwszym i brzmiał następująco:

Można na ciebie patrzeć i patrzeć, aż miałyby się ochotę zamknąć cię żywą w obrazie i nigdy nie wypuścić.

Może gdybyś mniej na siebie zwracała uwagę, to nie ściągaliśmy na siebie tylu kłopotów.

Po nim nastąpiła tygodniowa cisza.

Większość ludzi odetchnęłaby spokojnie, ale oni wyczuwali, że może to oznaczać przyczajenie się nadawcy listów mające na celu osłabienie uwagi ofiary. Obawiali się, że po dłuższej ciszy może zaatakować znieścacka. Wprawdzie nic złego się nie wydarzyło, ale woleli wziąć sprawy w swoje ręce niż czekać w nieskończoność na krok przeciwnika, zwłaszcza że nie mieli pojęcia, kim on jest.

Po długich dyskusjach, przesłuchaniu służby i przeprowadzeniu drobiazgowego śledztwa z poukładaniem chronologicznie wszystkich wydarzeń i listów od czasu powrotu Aurelii do kraju doszli do wniosku, że anonim reaguje na spotkania hrabiny Plater z mężczyznami. Musi być zazdrosny bądź zazdrosna, a to można łatwo wykorzystać.

Ponieważ brzemienność Małgorzaty się potwierdziła i zaczynała ona odczuwać coraz częstsze mdłości, a Ksawery nie chciał zostawić jej samej, odesłano ich do domu z obietnicą przesyłania informacji na bieżąco, by nie narażać przyszłej matki na coraz trudniejsze warunki panujące w Warszawie i emocje związane ze sprawą.

Na początku nie chcieli prosić o pomoc agentów, a tym bardziej policji. Jeśli nie będzie takiej konieczności, woleliby zupełnie zrezygnować z informowania osób trzecich. Sabina i Wiktor Strzeleccy, major Breza i główna zainteresowana, to znaczy hrabina Plater, postanowili działać we czwórkę. Później, jeśli będzie to konieczne, włączą kogoś z zewnątrz.

Najpierw hrabina miała się pojawić na jakimś przyjęciu i flirtować tam z możliwie jak największą liczbą dżentelmenów, z którymi rozmawiała już wcześniej na organizowanych balach, oczywiście w pewnych granicach przyzwoitości, i czekać na szybki odzew w postaci kolejnych pogroźek. Wówczas należałoby dokładnie obserwować dostarczycieli wiadomości i tym tropem dotrzeć do nadawcy. To jednak, jak dobrze wszyscy wiedzieli, mogło okazać się niewystarczające. Informacje można przesłać przez przypadkowego chłopaka, który nawet nie zdąży zauważyć, kto dokładnie

wręczył mu wiadomość, rad, że trafiła się sposobność zarobku. Dobrą okazję stanowił zapowiadany kolejny bal. Tym razem w podmiejskiej rezydencji barona Rudeckiego, do którego zainicjowania przyczynił się Wiktor.

Drugi etap planu polegałby na zmuszeniu anonima do podjęcia działania, by tym samym mógł się odsłonić, doprowadzony do ostateczności, bez możliwości przemyślenia podejmowanych kroków. Trzeba było ustawić wszystko tak, by do domu Aurelii wszedł kochanek w sposób bardzo widoczny i w oknie którejś sypialni zainicjował erotyczną scenę. Jeśli ich podejrzenia co do charakteru anonima są słuszne, to będzie on obserwował dom i albo zacznie działać natychmiast, albo już następnego ranka, a wówczas łatwiej go wytropią.

Najprościej byłoby zainscenizować spotkanie kochanków w domu hrabiny po wcześniejszym wtajemniczeniu części służby. Do Aurelii przyszedłby jej kuzyn Wiktor bądź major Breza i odegraliby scenę. Drugi z panów w towarzystwie kilku silniejszych lokajów obserwowałoby teren wokół budynku.

Aurelia nie chciała wzbudzić plotek ani sensacji w towarzystwie, dlatego Sabina wpadła na pomysł, by zagrać jej rolę i zaraz po przeprowadzaniu planu pokazać sąsiadom, że to ona wraz z mężem zawitała do jego kuzynki, a że poniosła ich namiętność... cóż, niech sobie inni pogadają, w końcu ona i Wiktor są od dwóch lat małżeństwem i mają do tego typu zachowania pełne prawo.

Sabina nie martwiła się zbyt opinia innych. Zanim wyszła za Wiktora w skandalicznym wieku dwudziestu pięciu lat, uchodziła w towarzystwie za ekscentryczkę o ciętym języku i zupełnie jej to nie przeszkadzało. Nigdy wprawdzie nie dała powodów, by sądzono, iż prowadzi się w sposób niewłaściwy, ale z mężem przecież mogła się spotykać do woli. Właściwie to nawet miała ochotę, by o tym plotkowano, zważywszy że większość przedstawicieli socjety w małżeńskich sypialniach spełniała jedynie obowiązki w celu przedłużenia linii rodu, a namiętności szukała w lupanarach bądź ramionach kochanków.

– Niech zazdroszczą – stwierdziła z satysfakcją w głosie.

– A jeśli ten szaleniec zaatakuje ciebie zamiast mnie? – zapytała Aurelia.

– Nie sądzę, by mógł mi coś zrobić z tak dużej odległości. Staniemy tak, by w razie użycia pistoletu kule nas nie dosięgły, a jednocześnie tak, byśmy byli dobrze widoczni. Figury mamy wszak niemal identyczne, wystarczy zmienić kolor włosów i nie odwracać się *en face* – powiedziała to głosem

znawczyni. – Och, zgódźcie się – zwróciła się do wszystkich. – Tak dawno nic ciekawego się nie działo.

– Wiedziałem – odezwał się Wiktor. – Ciągnie cię do przygód.

– To krew Ostrowskich, nic na to nie poradzę.

– Dobrze.

– Dobrze? – Podskoczyła z radości. – Nie sądziłam, że pójdzie mi tak łatwo.

– Sądziłaś, sądziłaś – odparł jej mąż. – Okręciłaś mnie sobie wokół palca już dawno, moja droga. – Westchnął, wpatrując się w nią z miłością.

Aurelia pozazdrościła im przez moment ich oddania i zrozumienia. Droczyli się, ale szanowali i ufali sobie nawzajem. Czy ona też by tak potrafiła?

– Dobrze, to Sabina zagra mnie – stwierdziła. – A co ja będę robić w tym czasie?

– Najlepiej byłoby, gdybyś przeczekala wszystko ukryta w innym pokoju, tak by nie było cię widać z żadnego okna – wyjaśnił Wiktor.

– Ja i kilkoro ludzi będziemy obserwować teren rozmieszczeni wokół domu – zaproponował Edmund.

– Wolałbym, byś ty jednak pozostał w środku na wszelki wypadek. Może pozwolimy wtargnąć naszemu prześladowcy po tym, jak ja spektakularnie wyjdę z rezydencji i zostawię swoją kochankę. To mogłoby go ośmielić, nie uważasz, przyjacielu?

– Doskonały pomysł. Zostanę w środku.

– A może...

– Nie. Zostanę. Tak będzie rozsądniej.

– W porządku. Przykleję wąsy na wszelki wypadek i ucharakteryzuję się tak, by mnie nie poznano. Raczej mało kto uwierzyłby, że Aurelia spotyka się z kuzynem, którego dotąd traktowała jak brata.

– Słusznie. Po wszystkim wyjaśnimy sytuację sąsiadom, odkrywając, że jeśli nawet coś podejrzewali, to byli w absolutnym błędzie.

– Gdyby było trzeba, odegramy scenkę na nowo, tym razem wyjdziemy z ukrycia i ukážemy się w oknie, kiedy już niebezpieczeństwo minie.

– Macie odpowiedzi na każdą ewentualność? – zapytała Aurelia.

– Nie, ale staramy się, by tak właśnie było. – Zaśmiała się pani Strzelecka.

– A, i trzeba przeprowadzić wszystko tak, by anonim sądził, że w rezydencji poza parą kochanków prawie nikogo nie ma. Służba musi udawać, że ma wychodne. Kilkorgu naprawdę można go udzielić.

Do realizacji pierwszej części planu przystąpiono już następnego wieczoru podczas przyjęcia organizowanego w bardzo podobnym gronie do poprzedniego balu, lecz w skromniejszej rezydencji barona Alojzego Rudeckiego. Jego matka od dawna chciała wydać przyjęcie, by pokazać ich podmiejską posiadłość położoną we wsi Mokotów (bardzo popularnym wśród bogatej szlachty i arystokracji miejscu do wznoszenia dworków i pałacików) i okalające ją ogrody ewentualnym przyszłym kandydatkom na żonę syna, dlatego przystąpiła do dzieła niemal w tej samej chwili, gdy otrzymała od niego zgodę.

Młody, rudowłosy mężczyzna sam oczywiście nie wpadłby na tego typu pomysł, ale Wiktor, podzieliwszy się z nim pobieżnie problemami z odnalezieniem nadawcy anonimów, przyznał, że najlepiej jest wyprowadzić go z równowagi przez wystawienie hrabiny Plater na widok publiczny tak, by miała okazję do tańców z wieloma dżentelmenami, i w miejscu, które łatwo można by obserwować. Rezydencja Rudeckich wydała się do tego celu wprost idealna. Sporej wielkości sala balowa w kształcie prostokąta z niewielkimi balkonikami nie dawała możliwości na skryte śledzenie poczynąń tańczących poza jednym miejscem, o którym wiedzieli domownicy. Ogród mimo potężnych rozmiarów był jeszcze słabo zarośnięty i odpowiednie umieszczenie pochodni i lamp pozwalało na jego doskonałą obserwację.

Aurelia, wystrojona w ciemnogranatową suknię obszytą czarną koronką, z falującymi włosami podpiętymi w luźny kok i puszczone na plecy, wyglądała niezwykle elegancko i zarazem pociągająco. Nic dziwnego, że już w chwilę po jej pojawieniu się na sali balowej miała zapełniony niemal cały karnecik. Wiktor i Sabina obserwowali dyskretnie gości, podobnie czynił to gospodarz imprezy i jego najlepszy przyjaciel Pankracy Pucki.

Edmund kręcił się wprawdzie, lawirował pomiędzy przybyłymi paniami, ale miał baczenie także na panów, a sam nie omieszkał zamówić sobie u hrabiny przynajmniej ostatniego walca.

Aurelia przygotowała się kondycyjnie do tego wydarzenia, zdała sobie bowiem sprawę z tego, iż nie powinna odmówić możliwości zatańczenia z nią żadnemu adoratorowi, jeśli tylko starczy czasu i utworów tanecznych.

Pierwsze pięć tańców było utrzymanych w powolnym rytmie, o co prosił muzyków baron Rudecki, świadom założeń planu i tego, że nie należy zamęczyć hrabiny. On i Pucki nie prosili jej tego wieczoru do tańca, dali możliwość innym, choć krążyli jak zwykle wokół niej, by nie wzbudzić

podejrzeń. Pucki wymówił się bólem kostki, przez co unikał żwawych ruchów przez cały wieczór, a Rudecki – nawałem obowiązków gospodarza.

Wszystko szło gładko. Panowie Ignęli jak zwykle do Aurelii, a między nimi co chwila dochodziło do mniejszych i większych spięć, zwłaszcza że liczba tańców została ograniczona, a czas pomiędzy kolejnymi hrabina miała wypełniony do granic możliwości. Z każdej strony napływali nowi zainteresowani rozmową lub tańcem. Raz nawet Wiktor musiał interweniować, by rozdzielić w ogrodzie dwóch młodych dżentelmenów, którzy niemal pobili się o to, że jeden z nich nie dopuścił drugiego do głosu i zagarnął na kilka minut uwagę hrabiny.

Właściwie lista podejrzanych rozciągała się niebezpiecznie, bo coraz to ktoś zauważał kolejnego cichego obserwatora wpatzonego w Aurelię z ukrycia. Fakt, że wyglądała tego wieczoru wprost zniewalająco, nie ułatwiał wszystkim zadania.

Ona mimo zmęczenia dzielnie starała się sprostać swojej roli. Kilkukrotnie musiała odmówić tańca z powodu braku wolnego miejsca w karnecie lub dyplomatycznie uciąć zbyt odważne awanse ze strony żonatych mężczyzn, ogólnie jednak nie zauważyła niczego, co by w szczególny sposób przykuło jej uwagę. Od kiedy zadebiutowała, zawsze cieszyła się zainteresowaniem i teraz jedynie adoratorzy zaczęli odważniej traktować flirty, bo wiedzieli, że mają do czynienia z kobietą doświadczoną, a nie z niewinną panienką.

– Wygląda pani niczym anioł – odezwał się Edmund i objął ją ciasno w tali, kiedy wreszcie przyszedł odebrać obiecany taniec.

– Nikt nas nie słyszy, może pan być sobą, majorze.

– Jestem sobą.

Znów próbuje grać obojętną – pomyślał.

– Zapomniałabym, że ten uwodzicielski uśmieszek to wcale nie maska.

– Niektórzy rodzą się czarujący, inni nie. Sama pani powinna o tym wiedzieć najlepiej. – Spojrzał niemal arogancko w jej oczy.

– Proszę nie udawać nagłego olśnienia mą urodą. Troszeczkę się już znamy, majorze – podkreśliła ostatnie słowo.

– Ależ nie udaję! Dzisiejszego wieczoru przebija pani wszelką konkurencję. W zasadzie to nie wiem, czy w ogóle na tej sali znajdują się jakiegokolwiek kobiety, kiedy tak na panią patrzę.

– Proszę.

– Mówię prawdę.

- Jak każdej. – Rozejrzała się dyskretnie wkoło.
- Nieprawda.
- Czyżby?
- Ranisz mnie do głębi, najdroższa.
- Najdroższa? Sądziłam, że nasze stosunki nieco uległy zmianie.
- Jedynie pozornie.
- Co masz na myśli?

Postawił na szczerość. Może już pora skończyć z tym komicznym zachowaniem i dać do zrozumienia, że jej pragnie nie tylko w sensie fizycznym, mimo że nie powinien zabiegać o jej względy. W końcu w ostatnich kilku dniach przejrzał listy od zleceniodawców i postanowił zająć się sprawami paru przedstawicieli arystokracji, co może przynieść mu niemałe pieniądze i pomóc odbudować utraconą pozycję. Nie będzie musiał zatem zwracać się do niej z pozycji nędzarza.

– Mimo wszystko nadal wyczuwam, że mnie pragniesz – zaczął w typowy dla siebie sposób. – Świadczy o tym choćby kolor twoich policzków, kiedy tak niemal dotykam twych pośladków – mówiąc to, dyskretnie zsunął dłoń po śliskim materiale sukni.

– Impertynent!

– Podoba ci się to, przecież widzę.

– Mylisz się. Jestem czerwona z wysiłku. Ja nie plotkowałam sobie z połową kobiet na balu, a dzielnie znosiłam każdy taniec, nawet najbardziej kwadratowy.

– Kwadratowy? Ciekawe określenie – mruknął jej do ucha i przesunął dłoń we właściwe miejsce. – Czyżbym wyczuwał nutkę zazdrości?

– Chciałbyś.

Nie mylił się. Uśmiechnął się do siebie w duchu. Jest zazdrosna – to dobry znak. Musiał jednak działać niezwykle ostrożnie, dlatego zmienił front.

– Zapamiętałaś dokładnie wszystkich partnerów do tańca? – zapytał.

– Oczywiście, a ty znalazłeś czas na obserwowanie pozostałych?

– Jestem profesjonalistą. Nie tylko w dziedzinie obserwacji. – Ucisnął mocniej jej dłoń, by poinformować o przejściu z kroku zmiennego do obrotu w lewo. – Nie będę cię zamęczał, nie obawiaj się.

– Nie jestem aż taka delikatna.

– Doprawdy?

– To chyba twoje ulubione słowo.

– Być może. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Pięknie pachniesz. Ciekaw jestem, czy to zasługa perfum, czy twojej rozgrzanej skóry, kiedy tańczysz akurat ze mną.

– Nie schlebiaj sobie.

– Gdzieżbym śmiał.

Taniec dobiegł końca, nim Edmund na dobre przystąpił do dzieła.

– Chyba powinniśmy udać się wspólnie na kolację – zaproponował.

– Tego wymaga zwyczaj – odparła. Pozorowała obojętność.

On jednak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest jej obojętny. Należało jedynie zrobić wszystko, by nie bała się do tego przyznać i przestała planować, jak mu dokuczyć, bo czuł, że ciągle coś knuje, gdy na niego zerka. Podał jej ramię i zaprowadził do jadalni, gdzie przygotowano kilka stolików, a goście mogli usiąść dowolnie, bez wyznaczonych miejsc.

O dziwo kolacja upłynęła w bardzo przyjemnej atmosferze, bez podtekstów, aluzji i docinków. Kucharze stanęli na wysokości zadania, podobnie obsługa. Goście byli aż nadto zadowoleni, zwłaszcza że podano mocno schłodzone soki wyciskane ze świeżych owoców, co było rzadko spotykane podczas balów, a kapitalnie orzeźwiało w upalną noc. Aurelia zaczęła odnosić się do niego przyjaźnie i swobodnie, prawie tak, jak to robiła, kiedy wędrowali wzdłuż Narwi. Miał nadzieję, że uda mu się jej pokazać, iż nie jest już tym samym człowiekiem, za którego go uważała przez ostatnie lata, i uzmysłwić, że może powinna mu zaufać.

– Czyżby zwierzyna złapała przynętę? – Edmund spojrzał pytająco w stronę Aurelii, gdy siedział w jej salonie następnego przedpołudnia w towarzystwie państwa Strzeleckich.

– Może.

Aurelia sięgnęła po nożyk do otwierania listów i odrzuciwszy pozostałą korespondencję na bok, przystąpiła do otwierania nowego anonimu.

– I? – zapytał zniecierpliwiony major, kiedy przez kilka minut nie komentowała treści.

– Może po prostu przeczytam?

– Prosiłbym.

Cacko, za którym żądza chciwie goni,

Straciło urok, gdy je mamy w dłoni –

A gdy wdzięk barwy i świeżość przeminie,

Rzucim, niech leci – lub samotnie ginie.

Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,

*Czyli ofiarom swobodę zostawisz?*¹⁸

¹⁸ George Byron, *Giaur*, przeł. Adam Mickiewicz, Wydawnictwo Ibis, Poznań 2012, s. 19, w. 394–399.

– Moim zdaniem jasno wynika z tego, że wczorajszego wieczoru tańczyła pani z autorem tegoż listu. – Major podszedł do wygasłego kominka, postawił jedną nogę na obudowie i oparł na niej łokieć.

Chyba specjalnie przyjął taką pozę – pomyślała Aurelia i zapomniała na moment o trzymanej w ręku kartce. Przyjrzała się jego kształtnym udom przechodzącym w krągłe pośladki wyraźnie rysujące się pod cienkim materiałem spodni. Surdut został zdjęty znacznie wcześniej z powodu wyjątkowo wysokiej temperatury. Breza stał i prezentował się w pełnej krasie w samej jedynie kamizelce i koszuli z podwiniętymi rękawami.

Uniosła list, wachlowała się nim gwałtownie.

– Nic ci nie jest, kuzynko? – zapytał Wiktor, a jego żona zgromiła go wzrokiem, unosząc efektownie jedną z brwi. – No tak. – Pokręcił z pobłażliwością głową, gdy czekał na odpowiedź Sabiny.

– Poczekajmy, aż wdowa znów przypomni sobie, gdzie się znajduje, albo Breza przestanie wypinać się w jej stronę i podwijać jeszcze bardziej mankiety koszuli – wygłosiła, po czym ciszej dodała: – Szczwany lis.

– Przepraszam. – Aurelia otrząsnęła się, udając, że nie dosłyszała jej słów. – Zastanawia mnie treść tego listu. Czyżby anonim stracił zainteresowanie? A może to jakiś podstęp?

– Nie możemy tego wykluczyć. W każdym razie wiele nam podpowiedział – zauważył Wiktor.

– Tak? – Zdziwiła się. Ona nie wyczytała tam niczego ciekawego.

– Tak, musimy dokładnie sprawdzić wszystkich dżentelmenów, z którymi wczoraj tańczyłaś.

– To ponad dwa tuziny osób.

– Nie powiedziałem, że to będzie łatwe, ale znacznie łatwiejsze niż sprawdzanie połowy Warszawy.

– To prawda – wtrącił zadowolony z podstępu Edmund. Doskonale wiedział, że Aurelia będzie lustrowała go ukradkiem zza listu, kiedy kręcił jej przed oczami zgrabnym zadkiem. – Sądzicie, że to cytat?

– Najpewniej. Do tej pory poza obraźliwymi pogrózkami zdarzały się same cytaty, niektóre z zaznaczeniem autora – przypomniała Sabina.

– Próbowaliśmy chyba razem z Małgorzatą wywnioskować coś na temat szantażysty z samych jego wiadomości.

– Niezbyt dobrze nam to wyszło, zwłaszcza że i pismo, i styl wypowiedzi nie były jednostajne.

– To prawda.

– Może mamy do czynienia z jakimś chorym umysłowo człowiekiem.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytała Aurelia.

– Kimś, kto ma kilka osobowości.

– Naczytałaś się za dużo kryminałów, moja droga. – Przystopował jej zapędy mąż.

– Być może, ale z całą pewnością osoba ta jest impulsywna, podatna na czynniki zewnętrzne, nastroje.

– Niemal jak każda kobieta. – Zaśmiał się major.

– Chyba doszliśmy do wniosku, że autorem jest mężczyzna, najpewniej zazdrosny lub zawiedziony, skoro pisze, że trzymał hrabinę w ręku – stwierdził rzeczowo Wiktor.

– W takim razie do jego cech dorzuciłbym zniewieściałość – odparł kpiąco Edmund.

– Breza! – upomniał go przyjaciel. – Pamiętaj, że znajdujesz się w towarzystwie dam.

– Ani na chwilę o tym nie zapomniałem. – Mrugnął porozumiewawczo i zerknął na odkryte ramiona hrabiny Plater. – Współczuję, Sabino, pani mąż to prawdziwy nudziarz.

– Całe szczęście nie zawsze. – Zarumieniła się Sabina. – Wspominałam już.

– Ach tak. Przepraszam. – Zaśmiał się Edmund i skłonił z galanterią. – Może wrócimy do anonimu.

– Właśnie. Nie kojarzę autora, choć styl przypomina mi kogoś współczesnego.

– Małgorzata wiedziałaby na pewno, ale jej tu nie ma. Biedaczka nie czuła się najlepiej.

– To prawda. Musimy sobie poradzić bez jej pomocy.

– Nie musimy. – Prześlijmy jej ten list, tak będzie szybciej, niż byśmy mieli szukać cytatu w książkach i pytać w księgarniach – zasugerował Edmund.

– W księgarniach wzbudzilibyśmy podejrzenie, a ona wraz z mężem przebywa przecież nie we Francji, tylko pod Zambrowem. Wiadomość zwrotną otrzymamy najpóźniej pojutrze – odparła przytomnie Sabina.

– W rzeczy samej – podsumował Wiktor. – A teraz zjedźmy coś w końcu, bo zabraknie nam sił do kontynuowania śledztwa.

Już następnego dnia przyszła odpowiedź Małgorzaty z adnotacją o ich całkowitej ignorancji. Wyjaśniła w liście, że słowa należą do ich wspólnego znajomego, właściciela jednego z pukli Aurelii, lorda Georga Gordona Noela Byrona, który studiował razem z ich angielskim kuzynem, a fragment ten pochodzi z wydanej w 1813 roku powieści poetyckiej zatytułowanej *Giaur*.

Małgorzata streściła im utwór, wspomniała o nieszczęśliwcu zakochanym w damie poślubionej innemu mężczyźnie oraz o wątku społecznym dotyczącym okupowanej przez Turków Grecji. Zaznaczyła, że niezbyt rozumie, co miał na myśli anonim, bo treść całego utworu nijak się ma do sytuacji Aurelii, która żyje, podczas gdy ukochana Giaura została utopiona za zdradę męża w morzu, a on zaś napadnięty później i zabity przez owego kochanka, dlatego chyba należy przyjrzeć się samemu fragmentowi, choć nie pasuje on jakoś szczególnie do poprzednich listów. Stwierdziła też, podobnie zresztą jak major Breza, iż być może się myli, ale z tych wersów wynika, że nadawca tańczył bądź rozmawiał dłużej z Aurelią, dotykał jej przy tym w jakiś sposób i próbuje wmówić hrabinie, że traci ona zainteresowanie. Zdaniem Małgorzaty autor listu robi to dla odwrócenia uwagi, być może sądzi, że uspi jej czujność. Może zauważył, że jest obserwowana przez inne osoby?

– Zgadzam się z Małgorzatą – rzekł Wiktor. – Wzmianka o utracie uroku jest jedynie próbą odwrócenia uwagi. Moim zdaniem należałoby jak najszybciej zastawić pułapkę i wykorzystać fakt, że przeciwnik myśli, iż wywiódł nas w pole.

– Co masz na myśli? – zapytała jego żona.

– To, o czym dyskutowaliśmy ostatnio.

– Mówisz o scenie ze schadzka kochanków?

– W rzeczy samej.

– Przepysznie! – Przyklasnęła. – Nie mogłam się wręcz doczekać.

– Zdaję sobie z tego sprawę, niestety. – Westchnął.

– Sądzicie, że to go wypłoszy z ukrycia? – zapytała z nadzieją Aurelia.

– Jestem niemalże przekonana. Bez względu na to, kim jest, niewątpliwie kieruje nim zazdrość, czy to o ciebie, moja droga, czy może o jakiegoś mężczyznę. Tak czy inaczej, z pewnością jesteś obserwowana, choć

dyskretnie i nie przez cały czas, bo już byśmy go wytropili. Trzeba zrobić to naprawdę z wielką pompą.

Aurelia szeroko otworzyła oczy, gdy słuchała wywodów Sabiny.

– Nie martw się, dopilnujemy, by nikomu nic się nie stało – uspokoił ją Wiktor. – Mamy w tym spore doświadczenie.

23.

Wysoki, szczupły mężczyzna o jasnych, falujących włosach pochylał się nad kolejnym listem, ostrożnie kaligrafował każdą literę. Jego długie, blade palce zaciskały się mimowolnie na zaostrozonym piórze, a idealnie wykrochmalony, wysoki kołnierz koszuli drapał w gładko ogolony policzek.

Sięgnął po pojemnik z piaskiem i posypał kartkę, by tusz szybciej wysechł, po czym zdmuchnął wszystko na wcześniej przygotowaną tacę. Poprawił swoje wysłużone okulary, których używał jedynie w zaciszu gabinetu, i przyjrzał się jeszcze raz cytatowi. Wydaje się odpowiedni, pomyślał, marszcząc arystokratyczny, długi nos z niewielkim garbkiem pośrodku. Iskierka nadziei jeszcze się w nim tliła, motywowała go do działania.

Kilka tygodni wcześniej nie spodziewał się, że spróbuje ponownie. Czuł się znieważony i odrażony, kiedy posąg amora, nad którym ślęczał przez kilka tygodni w swojej pracowni usytuowanej w wilgotnej piwnicy domu, trafił do ogrodu hrabiny Olechowskiej. Myślał, że nie znieśnie napięcia, jakie towarzyszyło mu tamtego wieczoru, gdy gospodyni oprowadzała gości i chwaliła się nowym nabytkiem.

Nie mógł zrozumieć, jak ktoś tak bez skrupułów mógł oddać, niemal wyrzucić tygodnie jego ciężkiej pracy i poświęcenia. To był ogromny cios dla jego serca. Cios, po którym nie zamierzał wracać do walki. Taka zniewaga, podobnie jak wcześniej okazywana obojętność, raniły go do głębi. Miał już dość wielomiesięcznego wzdychania do kobiety, która nie raczyła nawet poświęcić mu dostatecznej uwagi, zbywała zdawkową uprzejmością, zajęta innymi mężczyznami wszędzie licznie ją otaczającymi.

Nie był odrażający, przeciwnie – uchodził za całkiem przystojnego, zamożnego dżentelmena cieszącego się szacunkiem w towarzystwie. Potrafiłby zapewnić jej dostatnie i spokojne życie, wielbiłby ją każdego dnia i dziękował za łaskę spędzania z nią czasu. Może nie miał hrabiowskiego tytułu jak jej poprzedni mąż, lecz w przeciwieństwie do niego był młody i pełen wigoru. Gdyby tylko raczyła zwrócić na niego uwagę...

Wyrzucenie posągu wytrąciło go z równowagi i doprowadziło do wszechogarniającej melancholii, po której nie był pewien, czy zdoła się podnieść. Tamtego wieczoru wiślane wody wydawały się takie kuszące... Tak łatwo mógł w nich zakończyć swe udreki. Przełknął jednak gorzcy porażki i zdecydował się spróbować kolejny raz. Sądził, że jest na tyle dobrym aktorem, że nikt postronny nie zauważy jego obsesji na punkcie

pięknej hrabiny Plater, ale ktoś się jednak domyślił. Na szczęście zlitował się nad nim, gdy zobaczył jego reakcję na odsłonięcie posągu, i udzielił mu cennych wskazówek.

Rady okazały się trafione do tego stopnia, że po raz pierwszy udało mu się zatańczyć z nią na balu. Oderwał wówczas ukradkiem fragment koronki jej sukni, która teraz stała na piedestale obok kilku innych rzeczy należących do niej. Nie wpuszczał nikogo do piwnicy – nawet jego służba musiała omijać tę część domu z daleka pod groźbą zwolnienia z pracy. Tłumaczył się zabobonnością artysty, który nie chce, by ktokolwiek widział jego dzieła, zanim nie zostaną ukończone, a naprawdę ukrywał tu ten niewielki ołtarzyk złożony z pukla włosów, fragmentów stroju, kilku szkiców i nadpalonych świec.

Kropelka potu zebrała mu się nad gęstymi brwiami, spłynąwszy wcześniej po przerzedzonych włosach. Wyprostował się i otarł twarz chusteczką. To wszystko kosztowało go stanowczo zbyt wiele nerwów. Miał poważne wątpliwości, czy postępuje słusznie, ale misternie ułożony plan sprawdzał się od tej pory bezbłędnie i nie mógł tak po prostu zrezygnować z upragnionego celu. Wydobył zza poły surduta niewielki flakonik z lekarstwem i upił kilka kropel. Lek pomagał mu się wyciszyć i uspokoić kołatanie serca.

Wynajęty przed tygodniem magazyn w dokach nad Wisłą stał przygotowany na przybycie hrabiny. Specjalnie sprowadzono tam łoże z indyjskimi motywami, by można było ją wygodnie na nim położyć, zanim się ocknie. Oczywiście wszystkie części zamówił oddzielnie i sam poskręcał mebel. Nawet pościel oblekł po raz pierwszy w życiu własnymi rękoma. Nikt przecież nie mógł niczego zauważyć. Magazyn wynajął przez pośredników, a w dokach pojawiał się w przebraniu starego profesora i pod zmienionym nazwiskiem. Teraz wystarczyło tylko zaczekać na odpowiedni moment...

24.

Cały następny dzień upłynął pod znakiem przygotowań do wspólnej akcji. Aurelia i Sabina musiały dobrać tak suknie, fryzury i dodatki, by z daleka nie sposób było ich od siebie odróżnić. Wiktor nie potrzebował używać zbytnej charakterystyki, bo nikt nie wiedział, o kogo dokładnie chodzi szantażyście. Wystarczyło, że przyklei wąsy, aby z daleka nie rozpoznano w nim kuzyna Aurelii i nie zlekceważono sytuacji.

Nadal – mimo trwających poszukiwań – nie ustalono tożsamości anonima, ale plan, by wreszcie wywabić go z ukrycia, mógł pomóc ten cel osiągnąć.

Panie miały niemal identyczne figury, lecz zupełnie inne włosy, dlatego nie pozostawało nic innego, jak dobrać odpowiednią perukę. Na szczęście w warszawskim domu Ostrowskich, gdzie Sabina spędziła znaczną część panińskiego życia, znajdował się specjalny pokój z kostiumami, których używali jej brat, Wiktor i Edmund, gdy pracowali dla barona Ostrowskiego. Wystarczyło dobrze poszukać.

Gdy Strzeleccy będą odgrywać scenkę schadzki kochanków, Edmund zaopiekuje się Aurelią w oddalonym pokoju.

I tak zgodnie z planem hrabina Plater pokazała się publicznie w pięknej, charakterystycznej sukni z bladoniebieskiej koronki, z upiętymi wysoko włosami i lśniącym diademem na czubku głowy na śródownym przyjęciu u jednej z dawnych znajomych, skąd wyszła wcześniej do prawie opuszczonego domu (poinformowała o tym niemal wszystkich zebranych). Wróciła bardzo powoli swoim krytym powozem oznaczonym herbem jej zmarłego męża.

Po chwili pod drzwi podjechał przebrany Wiktor i narobiwszy wiele hałasu, wszedł frontowym wejściem i udał się na górę do sypialni hrabiny. Tam oczywiście czekała na niego własna żona – stała na początku w odpowiednio oświetlonym oknie, tak by wszyscy wzięli ją bez dwóch zdań za gospodynię. W pokoju ustawiono pod odpowiednim kątem lustro i lampki oliwne, by w wypadku strzałów państwo Strzeleccy byli bezpieczni, a jednocześnie cały czas doskonale widoczni z ulicy.

Edmund i towarzysząca mu Aurelia siedzieli w ciemnym pokoju w drugim skrzydle budynku i z ukrycia obserwowali ulicę.

Kobieta zdawała sobie sprawę z tego, że musi po całej akcji pokazać jeszcze sąsiadom, że to nie ona umówiła się na sekretną schadzkę, ale jej kuzyn z własną żoną. Pomyślała nawet, że co by się dzisiaj nie stało, to zwyczajnie wyjdzie z Sabiną ramię w ramię w podobnych sukniach, a tamta

zdejmie na ulicy perukę, by zamknąć usta ewentualnym plotkarkom. Później wymyśla coś o podobnych kostiumach na planowany bal maskowy, gdzie miały odegrać bliźniaczki czy coś w tym rodzaju.

Tak naprawdę nie przejmowała się zbytnio akurat tą kwestią związaną z dzisiejszym wieczorem. Bała się, że ktoś naraża się zamiast niej, i to nie dawało jej ciągle spokoju. W dodatku obecność majora przyczajonego za zasłoną okna z napiętymi przedramionami widocznymi w słabym świetle rozpraszała jej całą uwagę. Odwinięte mankiety koszuli, rzucony na oparcie fotela frak i rozwiązany fular – wszystko to działało na jej wyobraźnię i mimo niebezpieczeństwa nie potrafiła pominąć tego elementu, dlatego siedziała cicho z podkulonymi nogami na drugim fotelu i nasłuchiwała wszelkich dochodzących odgłosów.

Edmund, oparty o parapet, wyglądał zza grubej zasłony, starał się dostrzec jakikolwiek ruch na zewnątrz. Wydawało mu się, że zauważył coś w kępie drzew, ale mógł się mylić. Znał rozlokowanie agentów i nie martwił się zbytnio tym, że przegapią wtargnięcie na posesję kogoś obcego, zdecydowanie bardziej dokuczała mu świadomość obecności kobiety siedzącej kilka metrów od niego. Aurelia wyglądała cudownie, ubrana w koronkową suknię z połyskującym diademem wpiętym w wysoki kok i kilkoma lokami miękko spływającymi na ramiona. Ciemność i wygodne łóżko stojące w rogu pokoju gościnnego potęgowały jego wrażenia.

Nie potrafił wyrzucić z głowy pojawiającej się coraz to wizji, jak ona podchodzi do niego i pozwala przenieść się na satynową pościel, na której mógłby z nią zrobić, co tylko będzie chciał. Och, wiedział, jak wspaniała mogłaby być to noc, gdyby ostatnio nie okazywała mu tej swojej wyższości, jakby chciała dać do zrozumienia, że on nie zdoła zapanować nad własnymi popędami. Ona natomiast jako wzór wszelkich cnót umie jedynie dyskretnie uwodzić, ale jest całkowicie odporna na jego wdzięki. Miał ochotę sprawdzić, czy tak było w rzeczywistości, ale dobrze miarkował, że nie jest to odpowiednie miejsce ani pora.

25.

Stał pod jej domem dobrą godzinę, zahaczał czubkiem głowy o liście i z narastającą falą niepokoju obserwował, jak inny mężczyzna podchodzi i bierze ją w ramiona niczym swoją własność. Nie mógł znieść myśli, że jego wymarzona kobieta, jego muza, jego świętość zostaje zbrukana dotykami innego. Nawet nie starała się zachować reguł przyzwoitości i pozwoliła lekkomyślnie, by tamten uwodził ją przy zapalonych lampkach, wystawiona na widok publiczny. Jego marzenie, jego natchnienie, jego Aurelia! Będzie musiał w przyszłości jakoś zmasać tę hańbę. Nawet jeśli miałyby go to bardzo drogo kosztować. Jego nieskalana bogini powinna nadal uchodzić za istotę idealną. Poczuł, jak palce zaczynają mu drżeć z niepokoju, dlatego sięgnął po swoje kropelki i upił odrobinę. To pozwoliło mu opanować emocje i spojrzeć ponownie w stronę rezydencji.

Tamten nie dawał za wygraną. Wcześniej jedynie dotykał twarzy jego ukochanej i wymusił – bo na pewno sama mu na to nie pozwoliła! – kilka drobnych pocałunków, teraz jednak przeszedł z większą werwą do dzieła. Jeśli wzrok go nie mylił, to bezwstydnik rozsznurowywał właśnie gors jej koronkowej sukni. Tego było zbyt wiele. Zbyt wiele!

Sięgnął do kabury uczepionej przy pasku spodni i wyciągnął z niej zdobiony pistolet skałkowy odziedziczony po stryju, oficerze dragonii litewskiej. Może nie był wyszkolonym strzelcem, ale wiedział, że tego typu broń ma zasięg do pięćdziesięciu metrów i istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że jeśli wypuści kilka kul, w końcu w coś trafi.

Nie okazał się też na tyle pozbawiony wyobraźni, by umyślnie zranić kobietę, o której marzył od wielu miesięcy. Nie miał zamiaru stać się jednym z tych wielu romantyków pogrążonych w beznadziejnym smutku, którzy sami na siebie zsyłają udręki. Musiał celować w jego kierunku, nie jej.

Wypalił bez dłuższego zastanowienia. Wiedział doskonale, że odrobina wahania zakończy się tym, iż nie wystrzeli wcale. Nie chciał zabić tego człowieka, jedynie nastraszyć, a najlepiej zranić, tak by popamiętał, że nie należy wykorzystywać naiwności hrabiny. Jego hrabiny!

Kula trafiła w szybę właściwego pokoju i na właściwej wysokości, niestety w sąsiednim oknie. Para odsunęła się od siebie, nie wiedziała chyba, co robić. Zaskoczył ich. Uśmiechnął się pod nosem. Wykorzystał zamieszanie. Załadował ponownie i – tym razem podparłszy drugą dłońią łokieć ręki z pistoletem – wycelował uważniej.

Szyba drugiego okna poddała się momentalnie, a z wnętrza domu słyhać było krzyki. Czyżby w coś trafił? Oby nie w nią, przestraszył się na moment, dostrzegł jednak, jak przebiega do drzwi cała i zdrowa. Zdążył załadować raz jeszcze i wystrzelić w lampę oświetlającą główne wejście, przy okazji stłukł oszklenie nad drzwiami.

Po oddaniu trzeciego strzału pobiegł czym prędzej – by uniknąć oświetlonych miejsc – dawno upatrzonym szlakiem w kierunku tylnego wejścia. Nie był na tyle nierozważny i głupi, by dać się teraz złapać. To mógł się okazać ten właściwy moment! Nie wybaczyłby sobie, gdyby przegapił taką okazję. Obserwował dom i wiedział, że większość służby wyszła przed zmrokiem, a wszyscy pozostali wraz z tajemniczym kochankiem, który uniknął kulki, wybiegli szukać go w miejscu, skąd oddawał strzały.

Zakradł się cicho od tyłu i wślizgnął niepostrzeżony do rezydencji – wykorzystał moment nieuwagi służącego, który pilnował przejścia. Teraz wystarczyło szybko dotrzeć do Aurelii, uspić ją przy pomocy eteru, który znajdował się w buteleczce w kieszeni jego surduta, a następnie wydostać ją przez któreś z szerokich okien na parterze domu i zabrać do jednej z dorożek, płacąc solennie za to, by woźnica przymknął oko na zasłabnięcie jego towarzyszki. Wiedział, że jest na tyle silny, by nie sprawiało mu to zbytnej trudności. Od lat dźwigał kamienie, z których rzeźbił najrozmaitsze posągi, więc przeniesienie delikatnej kobiety nie stanowiło dla niego wyzwania.

Wszedł po cichu na górę i skierował się wąskimi schodami i długim korytarzem do części sypialnej. Znał mniej więcej rozkład pomieszczeń, bo miał okazję przebywać tu kilkukrotnie, jeszcze zanim hrabina została właścicielką domu; odnalezienie właściwych drzwi nie zajęło mu wiele czasu. Usatysfakcjonowany sięgał dyskretnie po chusteczkę, którą musiał nasączyć płynem.

Drzwi jej przestronnej garderoby były, jak przypuszczał, uchylone, a ona siedziała tyłem do niego i dyskretnie obserwowała ulicę. Okazja sama prosiła się o wykorzystanie. Kobieta nawet nie podejrzewała, że niebezpieczeństwo mogło się kryć za jej plecami, zaabsorbowana zapewne wcześniejszym zamieszaniami i tym, co się działo teraz za oknem. Podeszedł cicho na palcach i szybkim ruchem zakrył jej usta materiałem. Nie zdążyła zareagować. Przez chwilę szamotała się, wymachiwała rękoma, ale szybko jej ciało poddało się i osunęło do tyłu. Dopiero teraz dostrzegł swój błąd.

Sabina Strzelecka siedziała i czekała na przybycie Edmunda i Aurelii ukrytych bezpiecznie w drugim skrzydle domu. Obserwowała zamieszanie na ulicy, gdzie jej mąż w towarzystwie agentów i kilkorga zaufanych służących biegał w poszukiwaniu strzelca. Miała nadzieję, że anonim nie uciekł zbyt daleko i któryś z mężczyzn prędzej czy później dopadnie go i pochwyli. Wtem usłyszała za plecami szmer i zdała sobie sprawę z tego, że nie jest jedyną osobą w garderobie. Niestety było za późno, by odwrócić głowę. Poczula słodkawy zapach na przytkniętej do jej twarzy chustce. Wiedziała, że nie powinna nabierać powietrza. Jak dobrze, że trenowała z mężem nurkowanie i potrafiła wstrzymać oddech na wiele dłużej niż przeciętna dama. Musiała jednak udawać bezwładną. Nie miała pewności, czy ten szalowiec nie trzyma jej na muszce i nie zastrzeli, gdy zauważy, że próbuje się bronić.

Zakręciło jej się w głowie, nie na tyle jednak, by stracić kontrolę nad swoim ciałem. Udała, że pada w jego ramiona, starała się nie odsłaniać twarzy, by myślał, że jest kobietą, do której wysyłał te wszystkie anonimy. Jęknął. Najwyraźniej zauważył, że uspił nie tę osobę.

Sabina, udając nieprzytomną, starała się dyskretnie wysunąć do tyłu rękę i szarpnąć napastnika za poły surduta. Wiedziała, że w ten sposób go zaskoczy i zyska kilka sekund. Niestety mężczyzna okazał się przewidujący i nie dał się jej zwieść po raz drugi. Odrzucił chusteczkę i szarpnąwszy, zerwał jej z głowy perukę. Zdołała tylko obrócić się i schwycić go za nadgarstek dłoni, w której trzymał pistolet, by jego lufę skierować jak najdalej od siebie. Nie było to łatwe, ale gdy zobaczyła wahanie w oczach przeciwnika, skupiła wszystkie siły na tym manewrze.

Gdzie, u licha, podziewał się Breza?! Uparł się, by ślęczeć w domu zamiast obstawiać teren wokół rezydencji, a teraz, kiedy naprawdę jest potrzebny, zwyczajnie gdzieś się zapodział.

Napastnik wykręcił jej boleśnie ramię i sycząc, że nie zamierza jej zabić, pochwylił, by uniemożliwić kolejne próby ataku.

– Edmund! – krzyknęła zrezygnowana.

Jak na zawołanie pojawił się major, co zrozumiała, gdy usłyszała, jak trzymający ją w ramionach mężczyzna przeklina pod nosem, uderzony czymś ciężkim w głowę. Miała nadzieję, że upadnie zaraz, ale nic takiego nie nastąpiło. Odsunął się od niej tak, by to ona nie wywinęła kozła, i odwrócił do zaskoczonego majora.

– Major Breza, jak mniemam? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Rzekłbym: do usług, ale to raczej nie jest wizyta towarzyska, panie... Hardy, jeśli się nie mylę – odparł kpiąco major.

– W takim razie proszę mi nie przeszkadzać i poszukać sobie szczęścia gdzie indziej. Chyba nie brak panu kochanek?

– Ja nie usypiam kobiet ani nie próbuję ich zniewolić siłą. Zastraszanie także nie jest w moim stylu – mówił to, a jednocześnie mierzył do niego z najdziwniejszego pistoletu, jaki Sabina kiedykolwiek widziała.

W innych okolicznościach podeszłaby czym prędzej, by obejrzyć to чудо. Cztery ustawione w kwadrat lufy lśniły w bladej poświacie promieni padających skośnie przez szybę, dwa kurki znajdujące się nad nimi odbezpieczono, a wprawna dłoń majora zaciskała się na rzeźbionej kolbie z polerowanego drewna. Cudeńko. Wtem zauważyła, że do środka drugimi drzwiami wsunęła się bezszelestnie Aurelia. Stała teraz dokładnie za swoim prześladowcą. Nie wiedziała, czy Edmund też ją zauważył, ale była pewna, że w trójkę jakoś sobie poradzą, mimo iż napastnika cechowały wyjątkowo atletyczna postawa i wysoki wzrost.

Mężczyźni mierzyli siebie wzrokiem, nie wypuszczali broni z rąk. Z tej odległości, gdyby odpalili jednocześnie, żaden nie miałby szans na przeżycie. Chyba obaj doskonale zdawali sobie z tego sprawę, bo żaden nie wyglądał na chętnego, by wystrzelić jako pierwszy mimo trwających słownych przepychanek.

– Wiesz, że nie wyjdiesz stąd żywy, Hardy?

– Ani ty, Breza.

– I cóż przez to zyskasz?

– Przynajmniej będę miał pewność, że hrabina Plater nie stanie się kolejnym punktem na twojej długiej liście kochanek. – Dało się usłyszeć, że kłamię.

Gilbert Hardy nie wyglądał na kogoś, kto mógłby zabić z zimną krwią drugiego człowieka. Choć Sabina musiała przyznać, że nie знаła go zbyt dobrze.

– Jeśli nie na mojej, to może na czyjejś innej. Pomyślałeś o tym?

Tamten omal nie zadrzał, wytrącony z równowagi, ale w ostatniej chwili zrozumiał, że to tylko sposób, by pozbawić go opanowania.

– To co? Odkładamy broń. Jak džentelmeni – zaproponował Edmund.

– Zgoda, ale żadnych sztuczek. – Tamten zmierzył go czujnie wzrokiem.

– Słowo honoru. – Major zaczął pochylać się w bok, nadal celował jednak prosto w niego.

Tak jak obiecali sobie wzajemnie, ostrożnie odłożyli pistolety na ziemię i w tym samym momencie odkopnęli je gdzieś pod ścianę, a jednocześnie rzucili na siebie z pięściami. Edmund był wprawionym żołnierzem, doświadczonym pięściarzem i bardzo zwinnym szermierzem, lecz w panującym półmroku, na ograniczonej przestrzeni i z niedawno wygojonym barkiem nie miał takiej przewagi nad przeciwnikiem, jakby chciał. Gilbert Hardy, choć wolniejszy i mniej doświadczony w walce, zyskiwał przewagę siłową, nie wspominając o zasięgu ramion i mocniejszym ciosie. Może nigdy wcześniej nie bił się z nikim poza kilkoma treningami bokserskimi na ustalonych warunkach, ale tu liczyła się krzepa, a tej miał pod dostatkiem.

Panowie wymieniali ciosy. Edmund odparowywał wszystkie uderzenia, wykorzystywał swój spryt i technikę, niestety widać było, że sztuczki te nie na długo wystarczą, bo przeciwnik był zdeterminowany położyć go i odszukać właściwą ofiarę.

Sabina dała znak Aurelii stojącej za plecami Hardy'ego w chwili, gdy ten rozkwaszał nos majora potężnym lewym sierpowym. Tamta skoczyła na plecy wyższego z mężczyzn i odciągnęła go od przeciwnika. Hardy w pierwszym odruchu – zapewne sądząc, że ma do czynienia z Sabiną – odepchnął ją ostrożnie, starał się odsunąć od bijatyki, ale kiedy dotarło do niego, że trzyma w talii swoją żonę, cała jego waleczność znikła. Wyglądał jak zagubiony szczeniak, który narozrabiał i teraz nie wie, czy się przyznać, czy uciekać.

Aurelia szarpnęła się, by wyrazić żądanie, żeby ją natychmiast puścił, i udała, że traci przytomność z nadmiaru emocji, jak przystało na damę. Hardy pochwyił ją delikatnie, rozglądał się nerwowo w poszukiwaniu miejsca, w którym powinien ją położyć. Edmund jeszcze nie odzyskał animuszu po otrzymanym ciosie, dlatego to Sabina musiała podjąć atak z drugiej strony.

Naskoczyła na plecy mężczyzny, czym pozbawiła go resztek zdrowego rozsądku, w tym samym czasie Aurelia ocknęła się i ugryzła go w rękę. Biedak nie wiedział, co uczynić. Nie mógł uderzyć kobiety, a z dwiema nie potrafił sobie poradzić. Starał się utrzymać je, by nie uciekły ani nie sięgnęły po broń, więc objął obie ramionami.

Pozbawiony wolnej dłoni, skazany był na łaskę majora, który najpierw przyłożył mu z całej siły w nos i odwdzieczył się za złamanie własnego, kopnął w lewą kostkę, nadepnął na prawą stopę, a na koniec wydobył

z cholewki buta niewielki pistolet ręczny i wymierzył go prosto w serce rywala. Trwali tak kilka chwil, mierząc się wzrokiem, podczas gdy obie panie próbowały się wyrwać, a przynajmniej nie dopuścić, by Hardy mógł wykonać gwałtowny ruch. Tak zastał ich Wiktor, gdy wkroczył do garderoby z kilkoma innymi uzbrojonymi mężczyznami i przejął dowodzenie nad sytuacją.

Państwo Strzeleccy wraz z agentami pojechali na posterunek policji w celu złożenia zeznania. Aurelia została, by opatrzyć Edmunda i wydać odpowiednie polecenia dotyczące rezydencji. Czekwała na przybycie inspektora mającego zabezpieczyć ślady walki. Później mieli oboje dołączyć do Sabiny i Wiktora.

Nos Edmunda nie był poważnie złamany. Z powodu wcześniejszych urazów miał tak ułożone kości, że wystarczyło je delikatnie nastawić. Krwawił jednak obficie, więc trzeba było zużyć masę ręczników. Na szczęście udało się zatamować krwotok i opatrzyć pozostałe zranienia.

Po kilku godzinach wyjaśnień, podczas których Gilbert Hardy przyznał się do wysłania kamiennego posągu będącego jego dziełem oraz podzielił się swym planem uśpienia wdowy Plater i przeniesienia jej do wynajętego w dokach magazynu, skąd miał ją później uwolnić i stać się jej bohaterem.

Opowieść mogłaby wydać się romantyczna i żandarmi z początku podśmiewali się z nieudolnego amanta, lecz po zeznaniach hrabiny, w którym opowiedziała o majstrowaniu przy siodle jej klaczy, zatrutych czekoladkach, rozbitej kamieniem szybie powozu i groźbach wrobienia jej w napaść na hrabiego Olechowskiego, zmienili nastawienie do zatrzymanego.

Hardy wykazał skruchę i przyznał, że przyjmuje krople na uspokojenie nerwów, dlatego po długich naradach zgodnie stwierdzono, że powinien zostać odesłany w jak najdalszy zakątek Królestwa, gdzie podda się stosownej kuracji u wybranego przez nich lekarza psychiatry, a wcześniej zostanie jeszcze raz dokładnie przesłuchany następnego dnia przez sędziego.

Nie miał dużego wyboru, zatrzymany zgodził się na taki układ, przysiągł też, że nigdy więcej nie uczyni niczego podobnego. Najadł się wstydu, ale dotarło do niego, że potrafi bez zdenerwowania podejść do kobiety. Ba, jest nawet zdolny, by walczyć i samodzielnie podejmować decyzje. Stwierdził, że sprzeda w przyszłości dom w Warszawie i wyniesie się jak najdalej od wszystkich, którzy mogą skojarzyć go z tym skandalem. Zgodził się wyjechać daleko i w spokoju zadbać o nadszarpnięte nerwy. Miał szczęście,

że hrabina nie wystąpiła z wnioskiem o zamknięcie go w jakimś zakładzie dla obłąkanych, bo to mogło być dla niego gorsze niż więzienie, którego (dzięki jej dobroduszości) uniknął. Jedno dobre to to, że wyzbył się swojej obsesyjnej miłości. Zdał sobie sprawę z tego, że wieści o jego sekretnym ołtarzyku i nagim posągu, nad którym od kilku tygodni pracował, szybko dotrą do hrabiny. Tak bardzo zbłąźnił się przed wielbioną przez siebie kobietą, że gdyby nawet codziennie mu się śniła, to więcej do niej nie podejdzie i niczego jej już nie wyśle. Poprzysiągł sobie, że weźmie się w końcu w garść i odda sztuce gdzieś na spokojnej wsi.

Aurelia przyglądała się z daleka swemu prześladowcy, gdy przesłuchiwała go policja. Nie mogła wprost uwierzyć, że był nim nieśmiały i trochę nieporadny Gilbert Hardy. Nigdy nie wzięłaby pod uwagę możliwości, że taki spokojny i dobrze wychowany człowiek mógł zrobić coś podobnego, ale fakt, iż miał słabe nerwy i od miesiący przyjmował silne krople, świadczył o tym, że każdemu może przytrafić się pewnego rodzaju szaleństwo.

Wyglądał niczym kupka nieszczęścia. Dość szczupły, choć szeroki w ramionach i bardzo wysoki mężczyzna o szarych oczach i krzaczastych jasnych brwiach, łysiejący już mimo młodego wieku. Sprawiał zawsze wrażenie grzecznego i niegroźnego. Faktycznie pojawiał się nieraz wśród liczного grona jej wielbicieli, ale nigdy nie naprzykrzał się jej rozmową i tylko raz poprosił do tańca. O ile sobie dobrze przypominała... Właściwie to nie zwracała do tej pory na niego uwagi, bo nie wyróżniał się niczym poza potężnym wzrostem.

Nie miała pojęcia o jego talencie do obróbki kamienia. To musiała być bardzo ciężka i żmudna praca. Gdyby się podpisał i wyjaśnił, że amor jest jego dziełem, z pewnością by się go nie pozbyła lekką ręką. Sądziła, że został wykonany na zlecenie jakiegoś bogatego jegomościa, a z powodu golizny niezbyt nadawał się do jej ogrodu w mieście. Obiecała nawet, że rozpoczęty posąg jej osoby, mimo że ponoć niezbyt skromny, umieści w swoim wiejskim majątku jako rekompensatę za potraktowanie lekceważąco jego poprzedniej pracy. W zasadzie to było jej go żal, choć wiele przez niego wycierpiała, dlatego nie chciała wnieść oskarżenia, by trafił do więzienia i by sprawę nagłośniono, co wywołałoby skandal. Obrane rozwiązanie wydawało się dla wszystkich zdecydowanie lepsze.

Edmund nie do końca wierzył, że Hardy działał samodzielnie, lecz nie chciał denerwować Aurelii. Postanowił sam sprawdzić to w najbliższej przyszłości.

Pożegnali się tuż po północy. Strzeleccy, zmęczeni, pojechali prosto do swojej rezydencji położonej na drugim końcu ulicy Senatorskiej, gdzie zapewne spał w najlepsze ich synek. Wiktor cały czas obwiniał się o to, że naraził żonę na niepotrzebne niebezpieczeństwo, gdy zostawił ją samą w garderobie, a ta nie ułatwiała mu niczego, gdyż wykorzystywała jego poczucie winy. Nawet mrugnęła porozumiewawczo do Edmunda, kiedy mijali go, wsiadając do powozu.

– Czy na pewno chcesz wracać do domu? Szyby raczej nie zostaną wstawione tak szybko, a służba nie spodziewa się, że przesłuchania mogły odbyć się bez przeszkód – zapytał Edmund hrabinę pozostawioną pod jego opieką.

– Czyżbyś coś proponował, majorze?

– Może późna kolacja? Nie jesteś głodna?

– Owszem. – Zaskoczyła tą odpowiedzią bardziej siebie niż jego.

26.

– Nie wydaje mi się, byśmy mieli odpowiednie stroje, by wprosić się do jakiegoś bufetu przy zorganizowanym balu – zauważyła przytomnie Aurelia, gdy tylko powóz Strzeleckich zniknął za zakrętem.

Uspokoila się, kiedy schwymano anonima i okazało się, że nie jest on już dla niej żadnym zagrożeniem. Trzymała się naprawdę dzielnie, ale doceniała obecność i zaangażowanie majora. Wprawdzie nie zapomniała o powziętym planie, by dać mu nauczkę za to, co powiedział Ksaweremu, jednak zaczynała powoli traktować go bez poprzedniej rezerwy i dostrzegać w nim człowieka, który naprawdę chce się zmienić na lepsze. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości – pożądała go jak przez całe swoje dorosłe życie.

Spodobał jej się już przy pierwszym oficjalnym spotkaniu, ale matka skutecznie wybiła go jej z głowy, nazwała swawolnikiem i fordanserem. Potwierdziło to jego późniejsze zachowanie, kiedy sprowadzał młodego Ostrowskiego na złą drogę i stał się przyczyną jej późniejszych kłopotów. A może tak sobie to wszystko tłumaczyła, by usprawiedliwić, że nie potrafiła myśleć samodzielnie i przyjęła słowa rodzicielki za jedynie słuszną opinię? Niewykluczone, iż później znalazła w nim kozła ofiarnego, ponieważ nie chciała przyznać, że to Robert zawinił? Choć przecież dobrze się stało. Nie byłaby dla Roberta dobrą żoną, a on dla niej dobrym mężem. Nie kochali się, nie pasowali do siebie.

W sumie to pośrednio dzięki poczynaniom Edmunda poślubiła Mateusza. To dzięki temu małżeństwu jest teraz wolną i niezależną kobietą, a kiedy już usunięto szantażystę, który torował jej drogę do pełni wolności, może zrobić z własnym życiem, co zechce.

Jak powinna się teraz zachować? Romans z człowiekiem o takiej opinii, w ogóle romans dla kobiety do tej pory uważanej za uczciwą i porządną to byłaby plama na honorze. W dodatku godziłoby to w jej przekonania religijne i wpędzało w poczucie winy. Ale jeśli pozwoliłaby mu znów zniknąć ze swego życia, to czy potrafiłaby naprawdę cieszyć się wolnością? Czy w ogóle mogłaby czuć się wolna, gdyby stale nosiła go w pamięci? Major Breza na zawsze stanie się częścią jej życia, częścią niej samej. Nawet jeśli odsunie go fizycznie, to jej rozum i serce nigdy się go nie pozbędą. Czy powinna walczyć z tą słabością? Nie wiedziała. Kompletnie nie wiedziała, co robić.

– W takim razie co powiesz na posiłek w domu przy Miodowej? Robert Ostrowski użyczył mi go na okres pobytu w Warszawie, abym czuł się

swobodniej tam zamiast z jego siostrą i jej mężem. – Edmund przerwał jej rozważania.

– Kolacja w domu byłego narzeczonego? Masz dziwne propozycje.

– Wyjechał do pałacu Stanisława Manuziego. Nie ukrywam, że za moim podszeptem.

– Domyślam się. To zdaje się małżonek kuzynki Mateusza, Konstancji, z domu hrabiny Plater.

– I nieoficjalny syn Stanisława Augusta Poniatowskiego.

– Czyżby Robert przejmował dzieło ojca?

– Być może. A Belmont¹⁹ jest na tyle daleko, że prędko stamtąd nie wróci.

– Spoważniał. – Przyznaję, sam miałem mieszane uczucia, skoro wiedziałem o waszej wspólnej przeszłości. Dlatego wyjaśniliśmy sobie wszystko i wiem, że już dawno zamknął ten rozdział swojego życia.

¹⁹ Belmont – dawny pałac Hylzenów sprzedany Mikołajowi Manuziemu „Diabłu Północy”, po którym dziedziczył syn Stanisław. Pałac spłonął podczas powstania listopadowego, w które zaangażowany był podobno jego właściciel. Obecnie w Achremowcach na Białorusi.

– Cieszę się. – Odetchnęła. – Nadal jednak propozycję uznaję za niestosowną.

– Dlaczego? To tylko kolacja.

– O tej porze?! Chcesz, by posądzono nas o romans, który odegrali za nas Sabina i Wiktor?

– Ależ skąd! Widzę zwyczajnie, że jesteś głodna, a po tych wszystkich przeżyciach zapewne miałabyś ochotę posiedzieć z kimś zaufanym i spokojnie porozmawiać.

– Porozmawiać? – Zdziwiła się.

– Tak. To chyba nic zdrożnego.

– Chyba – odparła mało przekonująco. – Pomożesz? – zapytała, podając mu dłoń, by wsiąść do podstawionej dorożki.

– Naturalnie. – Pospieszył jej z pomocą, a następnie zajął miejsce naprzeciwko.

– A czy państwo Strzeleccy nie udali się przypadkiem w tym właśnie kierunku?

– Dokładnie. Ich dom jednak znajduje się na tyle daleko, by nie zauważyli, że my podjedziemy wkrótce pod rezydencję Ostrowskich, zwłaszcza że kazałem woźnicy jechać okrężną trasą.

– Rzeczywiście. – Aurelia spojrzała przez okno dorożki.

Kwadrans później byli już na miejscu.

– Rozgość się, proszę, i przestań patrzeć współczująco na lokaja. Powiadomiłem go znacznie wcześniej, że przyjedziemy późno. Kucharka przygotowała wszystko wieczorem, więc twoja obecność tutaj nikogo nie zmusiła do pracy po nocach – tłumaczył się Edmund na widok spojrzeń rzuconych przez Aurelię służącemu, który ziewnął, gdy przyniósł herbatę z przystawkami i postawił je na udekorowanym stole w bibliotece rezydencji.

– Zdaje się, że gospodyni ma maleńkie dziecko, mam nadzieję, że nie naraziłeś jej na niepotrzebny kłopot. – Od czasu powrotu z Indii zaczęła bardziej zwracać uwagę na potrzeby przedstawicieli klasy pracującej.

– Mówisz o małym Stasiu? Słodkie dzieciątko, choć jeszcze mało ogarnięte.

Aurelia przyjrzała się jego minie. Poczwała, że coś w jej wnętrzu zaczyna topnieć. A przecież niedawno chciała mu dać nauczkę. Nie może o tym zapomnieć. Nawet jeśli miałby to być jedynie drobny przytyk. Należy mu się i z pewnością wyjdzie mu na dobre.

– Obsikał cię? – zapytała kpiąco.

– Niestety – przyznał. – Chyba powinienem podchodzić do wszystkich dzieci ze specjalnym płaszczem ochronnym, bo w przeciwnym razie skończę na starość w roli nocnika.

Zaśmiała się, szczerze rozbawiona, i sięgnęła po niewielkie bułeczki nasączone syropem owocowym. On również nachylił się, by chwycić filiżankę, ale zamiast tego ujął delikatnie jej dłoń i czubkiem języka zlizął z opuszki palca resztkę słodkiej esencji.

– Najpierw odrobinę słodczy – powiedział tubalnym głosem przyprawiającym ją niemal o dreszcze.

– Od obsikania przez dziecko przechodzisz zbyt gładko do umizgów – zbeształa go bez mrugnięcia okiem.

To dobra pora, by przystąpić do mojej maleńkiej zemsty – pomyślała. Moment wydaje się idealny.

Udaje tylko obojętną – przemknęło Edmundowi przez głowę. Może podchodził do tego zbyt delikatnie, może powinien zachować się mniej przyzwoicie? Chciał ją zdobyć. Nie potrafił tego dłużej powstrzymać i nie chodziło jedynie o fizyczne napięcie, co do którego nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Niemal z bólem spojrzał na jej smukłe ramiona i wydatny biust, kiedy się nachylała, by sięgnąć po swoją filiżankę.

Wiedział, że zbyt długo nie był z kobietą, ale nie chciał już żadnej innej poza nią, jeśli istniał choć cień szansy, że może ją w końcu mieć dla siebie.

Nie był pewien, jaką metodę obrać. Aurelia różniła się od kobiet, z którymi przyszło mu do tej pory obcować. Miał ogromne doświadczenie i wszelkie atuty, by ją oczarować. Nocami układał misternie plany, w jaki sposób powinien rozpocząć tę grę, ale wszystko nagle uleciało mu z głowy. Musiał improwizować.

– W zasadzie nie zmieniłem tak bardzo tematu. Pamiętasz chyba naszą przygodę z porwaniem?

– Nie choruję na zaniki pamięci, jeśli o to pytasz. – Spojrzała w jego stalowoszare oczy.

– O stan twojego umysłu jestem całkowicie spokojny, martwi mnie twoja obojętność na moje, czego nie da się ukryć, niezaprzeczalne przymioty.

– Jakie na przykład?

– Naprawdę mam ci wymieniać? – wyszeptał. – A może po prostu jesteś tak oziębła, bo nie potrafisz rozniecić w sobie choćby małej iskiarki na widok mężczyzny? Może ciebie nie interesują mężczyźni?

– Twoje domniemania są co najmniej śmieszne.

I tu cię mam, kochana – pomyślał zadowolony.

– Nie jesteś alfą i omegą męskiego świata. Przystojna twarz i gładkie słówka to za mało, by zwrócić uwagę kobiety takiej jak ja. Może za mało się starasz, a może nie potrafisz mnie zwyczajnie zainteresować? – Aurelia powiedziała to celowo, badała jego reakcję.

– Miałaś już okazję obejrzeć sobie z bliska kilka moich atutów – wymruczał, patrzył jej przy tym prosto w oczy. Może nie było to eleganckie zagranie. Może nawet nieco dziecinne, ale...

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Poczowała, że zaczyna się rumienić, choć z całej siły starała się kontrolować sytuację.

– Oj, wiesz, i to doskonale. Widziałem, jak mnie obserwowałaś. –

Przyjrzał się uważnie jej reakcjom. Starła się udawać, że nic ją to nie obchodzi, ale dolna warga lekko jej zadrżała, a piersi zaczęły poruszać się coraz szybciej w miarę spływania oddechu.

– Masz zbyt wysokie mniemanie na temat własnych... argumentów. Nie powinieneś skonsultować tego z jakimś specjalistą od chorób umysłowych?

Twarda sztuka!

– Twoja reakcja w zajeździe, a potem w tej ciemnej piwnicy...

– Dalibóg! – Odwróciła głowę. – Nie chcę o tym rozmawiać. To obrzydliwe.

– A mnie się wydaje, że zaczyna ci się to naprawdę podobać...

– Mylisz się. – Spojrzała w stronę drzwi. – Zdaje się, że przybył nasz posiłek.

– Nie uciekniesz od tej rozmowy. – Uniósł znacząco brew.

Teraz to on był górą, wreszcie!

Podstępny gad! Aurelia obrzucała go w myślach inwektywami najgorszego gatunku, starała się skupić na podawanych potrawach. Czyli o to mu chodziło z tym przyjazdem? Chciał sprawić, bym uwolniła wszystkie instynkty pobudzona jego igraszkami i zaczęła domagać się więcej, jak to zdradził Ksaweremu. Chce, bym błagała o jego dotyk? Ha! Nie trafiłeś, kochany, ze sposobem. Udawała, że zajmują ją smakołyki na stole, i obmyślała plan działania. Chcesz zmusić mnie, bym ci uległa? Hola, majorze! Zobaczmy, kto tu kogo uwiedzie tej nocy!

Po kwadransie siedzieli skupieni naprzeciwko siebie, jedząc w milczeniu kolację. Każde tkąło własny plan uwiedzenia drugiego. Jedno – poprzez udawanie całkowitego niewiniątka, drugie – poprzez prowokację raczej w arogancki, ale dość nieudolny sposób.

Kropelka miętowego sosu wymknęła się z kawałka wołowiny i kapnęła wprost na dość głęboko wycięty dekolt sukni hrabiny. Czy było to zaplanowane? Może. A nawet jeśli nie, to nie mogła przecież zmarnować tak doskonałej szansy. Odłożyła widelec i bardzo powolnym ruchem uniosła dłoń i zerknęła w dół, tak aby jego wzrok podążał za jej ręką. Udało się! Patrzył jak zahipnotyzowany, choć minę miał niezrównanie obojętną i żaden jego mięsień nawet nie drgnął, czym okazał subordynację swojemu panu. Wyciągnęła palec wskazujący i leniwie dotknęła zielonkawej kropli, specjalnie zatrzymała dłoń na prawej piersi i nabrała powietrza do płuc, by uwydatnić w pełni jej zarys. Zebrała skrupulatnie małą plamkę i uniosła niczym cenny klejnot. Przyglądała się jej uważnie. Zbliżyła palec do ust i koniuszkiem języka bardzo, bardzo powoli oblizała, po czym wcale go nie odsunęła, a niespiesznie przesunęła nim po dolnej, wydatnej wardze.

Patrzył lodowatym wzrokiem na jej poczynania, choć krew w jego żyłach nagle zwiększyła objętość, zaczynała wręcz bulgotać z emocji. Co za sprytna żmijka! Nie musiał jej wcale prowokować w tak jednoznaczny sposób. Doskonale znała się na sztuce uwodzenia. Doskonale! Czyli wcale nie była taką chłodną, ułożoną damą, za jaką chciała być uważana. Od dawna znał jej

temperament. Wtedy w Pałacu Radziwiłłów podczas reauty maskowej pokazała mu jedynie jego załóżek. Namiętność aż w niej kipiała. Zdał sobie sprawę z tego, że dobrze wiedziała, jakie to wywoła u niego reakcje i na jakie tortury skaże go, gdy nie da mu zaspokoić rozbudzonych pragnień. Zrobiła to celowo. Z premedytacją. Wyłącznie po to, aby się na nim zemścić. Aby udowodnić, że to ona ma nad nim władzę i to ona jest mistrzynią w tej niezwyklej sztuce. Dopiero teraz uświadomił sobie, że to nie on wciągnął ją w pułapkę, ale ona jego. Tylko czy miał jej to za złe? Nie! Należało mi się – przyznał pokornie. Och! Gdyby nie fakt, że wszystkie mięśnie napinał do granic wytrzymałości, by zachować resztki godności i udawać obojętnego, to rzuciłby się na nią jak wygłodniałe zwierzę. Albo przynajmniej dał jej solidną nauczkę, wymierzając klapsa w – nie ma co wmawiać sobie, że jest inaczej – niezwykle kształtne pośladki.

Patrzył. Siedział nieruchomo z kawałkiem mięsa nabitym na widelec. Zapomniał o tym, że powinien go włożyć do ust, gdy zaczynała wolno podnosić się z krzesła. Co ona do diaska zamierza uczynić?!

– Jesteś pewien, że nikt nam nie będzie przeszkadzał, majorze? – szepnęła zmysłowo niskim głosem.

– Nikt. – Z trudem wydobył z siebie jedno słowo i głośno przełknął ślinę.

– Idealnie. – Zwilżyła językiem wargi, gdy przesuwała się w jego stronę.

Siedział jak zamurowany. Jakby jego wszystkie członki nagle zmieniły się w czysty ołów. Nigdy jeszcze nie był tak bezbronny w starciu z kobietą. Czuł się niczym małe dziecko, które zaraz czeka coś niespotykanego, tylko nie ma pojęcia, czy się na to cieszyć, czy uciekać. Widelec wypadł mu z dłoni i z brzękiem uderzył o porcelanowy talerz.

Aurelia z nieodgadnioną miną podeszła, zatrzymała się na wprost jego twarzy i kilkoma zwinnymi ruchami zmusiła go, by rozchylił uda, po czym wtargnęła pomiędzy nie i stojąc najbliżej, jak się tylko dało, pochyliła powoli w jego stronę.

Patrzył, obawiał się poruszyć choćby o centymetr, by nie spłoszyć tej chwili. Sam już nie wiedział, czy śni, czy ma do czynienia z realnym światem. Zbyt wiele razy marzył o takiej sytuacji, by móc uwierzyć, że się ziszcza.

Nagle hrabina Plater pochyliła się i bez zbędnych słów dotknęła jego podbródka, uniosła go lekko, potem pochyliła się jeszcze bardziej i delikatnie musnęła jego czoło, następnie bliznę na nosie, kącik ust, aż wreszcie – same usta.

Nie mógł opierać się dłużej. W ułamku sekundy objął ją w pasie i przyciągnął, po czym usadowił sobie na kolanach. Kiedy złapała oddech, to on przejął inicjatywę, muskał najpierw powoli, a potem coraz zachłanniej i namiętniej jej nabrzmiące wargi. To nie był zwykły pocałunek, ale połączenie wszystkich fascynacji, marzeń, snów, oczekiwań i tęsknot, jakie przeżywali oboje w ciągu ostatnich tygodni, a może i lat. Zatracili się oboje bez reszty, zupełnie zapominając, że nie znajdują się w zaciszu sypialni, a w bibliotece, w dodatku w domu Ostrowskich.

Edmund doskonale wiedział, co pragnie teraz zrobić. Aurelia nie była kolejną kochanką, jedną z tych znudzonych swoim starym mężem, i zbyt pochopne działania mogłyby ją zniechęcić. Tego nie chciał, mimo że powstrzymywanie się w obliczu jej cudownych, zmysłowych ruchów stanowiło niemal torturę. Chwycił zdecydowanie jej pośladki, usadził ją sobie okrakiem na kolanach, a sam oparł się wygodniej na krześle, potem powolnym (na tyle, na ile zdołał się opanować) ruchem podciągnął jej suknię i zaczął pieścić posuwistymi ruchami jej kolana, przesuwając się w kierunku ud, na których zataczał opuszkami palców coraz większe koła. Nie przerywał jednocześnie pocałunku, który pogłębił, gdy dołączył do niego język.

Aurelia westchnęła cichutko, zapomniała całkowicie o lekcji, której zamierzała mu udzielić, kiedy dotknął dłonią wewnętrzną stronę jej uda. W pierwszym odruchu omal się nie zerwała z udawanym oburzeniem, ale przytrzymała ją przez moment, pozwolił na oswojenie się z tą pieśzczotą. Boże! Jeszcze nikt nigdy nie całował jej w taki sposób. To było cudowne, zniewalające, obezwładniające. Miała nadzieję, że nie zemdleje z wrażenia, kiedy zda sobie sprawę z tego, że gdzieś w najgłębszych marzeniach, których wstydziła się sama przed sobą, znajdował się właśnie taki pocałunek. Czy Bóg miałby coś przeciwko temu, żeby dwoje ludzi, którzy chcą jedynie uszczęśliwić siebie nawzajem, popełnili coś tak nierozsądnego? Z pewnością nie potępiłby ich przecież – pomyślała i objęła go ściślej ramionami.

Musiał być wyrozumiały. Chciał być wyrozumiały, choć, na Boga, on sam jedynie wiedział, ile go ta powściągliwość kosztowała. Oderwał się na moment od jej ust, by mogła skupić się na doznaniach, i jedną dłoń skierował ku jej szyi, coraz bardziej poluzowywał dekolt, by dostać się do nabrzmiących, cudownie gładkich piersi. Przechylił głowę w bok, by móc całować cudowne zgięcie szyi, na przemian przygryzając płatki jej uszu,

a następnie muskać wargami obnażoną skórę ramienia. Druga dłoń nadal krążyła nad kolanem, docierała już niebezpiecznie pod podwiązkę i wyżej.

Aurelia wiła się i wzdychała, co tylko potęgowało i jego doznania, czyniło całą zabawę bardziej przyjemną, a jednocześnie bolesną. Miał ochotę podnieść ją i przenieść na sąsiednią sofę, ale wiedział, że nie może tego uczynić, jeśli chce osiągnąć coś więcej niż jednorazową przygodę. Nawet nie marzył, by ona zaczęła odwzajemniać dotyk, i omal nie krzyknął, gdy drapnęła jego tors, wdzierając się pod koszulę. Nie zdjęła mu w pośpiechu halsztuka. Bezszelestnie i niepostrzeżenie rozpięła tylko kilka guzików, a ponieważ przeczuwała, że pod tkaniną nie ma już niczego poza nagim ciałem, zaczęła go muskać palcami, jakby poznawała kształt, aż dotarła do sutka, na którym skupiła całą swoją uwagę.

Pamiętała doskonale, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy bez koszuli. Wyglądał niczym wyrzeźbiony w kamieniu grecki półbóg, którego imienia za nic nie mogła sobie teraz przypomnieć. Od tamtej chwili zastanawiała się, czy w dotyku te pagórki i dolinki ułożone w nieprzesadnie, lecz proporcjonalnie umięśnioną całość są podobne do rzeźb. Nie zawiodła się, mimo ciepła i miękkości skóry tkanka tuż pod nią była twarda i napięta. Chciała rozebrać go i podziwiać, a potem sycić się, całować i poznawać go centymetr po centymetrze. Potrafiła jednak zapanować nad marzeniami w obawie, że wystraszy go swoim zachowaniem. Ostatkiem woli powstrzymała się od rozpięcia kolejnego guzika, który zwodniczo dawał dojście do dołu brzucha, a tam...

Uniósł głowę, ponownie zatracił się w jej soczystych ustach. Jeszcze moment i przestałby myśleć, rzuciłby się na nią bez oporów, gdyby nie hałas w korytarzu. Całe szczęście lata walki na froncie, a potem udział w różnego typu śledztwach wyostrzyły jego zmysły i potrafił w porę usłyszeć nadchodzące zagrożenie. Oderwał się z żalem od jej ust i zaczął poprawiać sukienkę. Zrozumiała go bez słów. Wróciła na swoje krzesło, przeczesując ręką włosy, tak by wyglądały na ułożone, i ujęła szybko widelec. On dopinał ostatni guzik i sięgał właśnie po kieliszek, kiedy w drzwiach pojawił się Wiktor Strzelecki z konsternacją w oczach.

– Przepraszam za najście. Nie sądziłem, że jesteście tu oboje. Lokaj mówił, że jesteś zajęty, ale myślałem, że przeglądasz raczej jakieś dokumenty.

– Jak widzisz i ty możesz popełnić błąd. Przysiądziesz się? – Major wskazał krzesło obok siebie.

Niewielki stolik w bibliotece mógł pomieścić spokojnie sześć osób, więc miejsca wystarczyło dla kolejnego gościa.

– Poproszę, żeby przyniesiono nakrycie i dla ciebie. – Edmund udawał, że wizyta przyjaciela zupełnie mu nie przeszkadza, choć wpijająca mu się w ciało góra spodni, która gwałtownie stała się ciaśniejsza, powodowała uczucie dyskomfortu, a widok rozpalonej skóry siedzącej naprzeciw niego kobiety wcale nie pomagał opanować tego stanu.

– Nie trzeba, jadłem w domu. Napiję się tylko wina, jeśli pozwolisz.

– Naturalnie.

Wiktor wstał i podszedł do ukrytego barku, by wybrać sobie odpowiedni trunek.

– Poznałem kilka skrytek, kiedy pracowałem dla barona – wyjaśnił, gdy nalewał sobie porto.

– W rezydencji hrabiny pewnie jeszcze trwa sprzątanie, a jeśli nawet nie, to wybite okna nie sprzyjają atmosferze spokojnego posiłku. Zaproponowałem kolację tutaj – pospieszył z tłumaczeniami Edmund, zerkając na Aurelię poprawiającą suknię.

Wiktor zignorował jego słowa, starał się nie patrzeć na kuzynkę. Najwyraźniej domyślał się, że nie siedzieli tutaj beczynnienie, zajadając się wołowiną.

– A co ciebie tu sprowadza? – Major zmienił temat, starał się odwrócić jego uwagę, choć wiedział, że na niewiele się to zda. – Robert wyjechał w jakichś interesach na kilka dni.

– Otrzymałem list z Białegostoku. – Wyjął rozpieczętowany kawałek papieru i dostojnym ruchem wręczył go przyjacielowi. – Sprawa jest bardzo pilna, ale też dochodowa. Jeśli wyjechałbyś o świcie, to uda ci się ją szybko rozwiązać. Poleciałem ludziom, którzy zajmowali się interesami barona, by wszystkich interesantów kierowano teraz do ciebie.

– Czuję się zobowiązany. Nie sądziłem, że tak prędko zadziałasz – odpowiedział i udał, że jest zadowolony z takiego obrotu sprawy. Nawet nie chciał myśleć, do czego by doszło, gdyby nie wtargnięcie przyjaciela.

Aurelia przyjrzała się uważnie kartce, którą Edmund szybko przeleciał wzrokiem i wsunął do kieszeni surduta. Wyglądała na równie zawiedzioną, choć w spokoju przeżuwała mięso.

Rezydencję Roberta Ostrowskiego przy ulicy Miodowej i dom wdowy Plater przy Senatorskiej dzieliła odległość niespełna dwóch kilometrów. Jeśli skorzystać z lekkiego miejskiego powozu z budką, jednego z kilku stojących

w wozowni, mogli tam dotrzeć w niespełna kwadrans, wliczając w to wsiadanie i wysiadanie. Edmund najwyraźniej nie chciał się spieszyć, ale wiedział, że musi niedługo wyruszyć, a przeciąganie rozstania nie przyniesie żadnych korzyści.

– Zatem wyjeżdżasz z rana? – zapytała go, kiedy Wiktor w końcu zamknął drzwi powozu i pozwolił im odjechać wspólnie do jej domu.

– Zgadza się.

– Nie wspominałeś mi o tym wcześniej.

– Nie byłem pewien, czy będę musiał wyjeżdżać, a tym bardziej nie miałem pojęcia, że nastąpi to tak szybko.

– Rozumiem. – Otuliła się szczelniej szalem. Noc była dość ciepła, ale kiedy siedzieli w bibliotece, zaczęło lekko mżyć.

Podał jej dłoń, pomógł wspiąć się i zająć miejsce na koźle, po czym jednym susem umościł się obok niej i dał znać lekkim ruchem bata, by konie ruszyły.

– Na jak długo?

– Nie jestem pewien. Mam nadzieję, że za dwa, trzy tygodnie wrócę.

– Dwa, trzy tygodnie? – Chciała udać, że jej to nie obeszło, ale z marnym skutkiem.

– Jeśli dobrze pójdzie – odparł smutno.

– Nie będę pytać, co to za interesy. Ufam, że poradzisz sobie z nimi.

– Będę pisał. Mogę? – Zmienił temat, nie patrząc w jej stronę.

– Nikt ci nie zabroni.

– Mogę liczyć na odpowiedź?

Czyli zależało mu na niej – pomyślała.

– Jak najbardziej. Proszę, tylko nie zapomnij się podpisać. – Zaśmiała się, by rozluźnić atmosferę.

Chyba oboje nie potrafili odnaleźć się w sytuacji. Jeszcze godzinę wcześniej omal nie kochali się na krześle w bibliotece, a teraz się żegnają, nie wyjaśnwszy sobie w zasadzie niczego.

27.

Alumnat – dom weterana wojennego w Tykocinie, lipiec 1817

– Dziękuję jeszcze raz, że przydzieliłeś mi te wszystkie śledztwa. Okazało się, że Białostoccy zleceniodawcy są niezwykle hojni, a ta ostatnia sprawa w Tykocinie... uwielbiam takie zagadki.

Edmund rozsiadł się wygodnie w skromnym fotelu w jednej z dwunastu izb murowanego budynku na planie czworoboku z wewnętrznym dziedzińcem, służącego jako dom dla weteranów wojennych w Tykocinie²⁰, z kieliszkiem porto w jednej i cygarem w drugiej dłoni. Nietypowe miejsce na nocleg, lecz i oni nie postępowali konwencjonalnie.

²⁰ Wzniesiony w latach 1633–1647 przytułek i szpital dla żołnierzy weteranów pochodzenia szlacheckiego i wyznania katolickiego. Miejsce to było planem filmowym m.in. *U Pana Boga w ogródku* w reżyserii Jacka Bromskiego.

– Nie tylko hojni, ale i wpływowi. Zresztą, nasza poprzednia siedziba także była wygodna i mogliśmy rozwikłać szybko kilka intratnych zleceń – zauważył Wiktor.

– Masz na myśli Choroszcz? Niewiele z tego pamiętam – jęknął Robert.

– Bo myślami byłeś, przyjacielu, gdzie indziej, ale może tam powrócisz w towarzystwie damy, która ci te myśli ostatnio zaprzęta, i obejrzysz sobie te urokliwe grzędawiska raz jeszcze? – zaproponował Edmund.

– Grzędawiska? Nie przypominam sobie, bym zwiedzał tam grzędawiska. Zostawiliście mnie w klasztorze dominikanów ze stertą papierów, a sami ruszyliście w teren.

– Rzeczywiście. – Przypomniał sobie Breza. – Niemniej naprawdę warto. Urokliwe wioseczki, łączące się i rozdzielające koryta Narwi, siedliska ptaków i wybujała roślinność. Twojej wybrance z pewnością się spodobają.
– Uniósł znacząco brew.

Robert nie pociągnął tego tematu.

– Klasztor też wygląda niczego sobie. A dzięki temu, że w szpitalu wojskowym nie ma już wielu chorych, to i łóżka mieliśmy wygodne²¹.

²¹ Klasztor dominikański w Choroszczy ufundowany w 1654 roku przez Mikołaja Stefana Paca, kasztelana wileńskiego. W latach 1812–1817 znajdował się tam szpital wojskowy.

– Zapomniałeś wspomnieć o szkole, bibliotece i relikwiach Świętego Kandyda.

– Pojmuję aluzję. Wróćmy do aktualnego miejsca naszego pobytu. Też w zasadzie nad Narwią – wycofał się Edmund. – Za dzisiejszą akcję z łapaniem złodzieja należy się wam odpowiedni procent od mojego

wynagrodzenia. – Spoglądał na parę przyjaciół, gdy czknął niezbyt kulturalnie, opróżniwszy do końca kolejny kieliszek.

– Może i byłbym skłonny się z tobą zgodzić, przyjacielu, gdybym był w stanie jeszcze cokolwiek wyliczyć. Nie wiesz przypadkiem, dlaczego te obrazy tak krzywo powieszono? – zapytał Robert Ostrowski oparty o ścianę.

– Nie jestem pewien, ale zdaje mi się, że wiszą całkiem prosto. – Wiktor uniósł wyprostowany kciuk i palec wskazujący, starając się ocenić poprawne położenie pejzaży na ścianach pokoju.

– Z całą pewnością coś z nimi jest nie tak. Mówię ci, przyjacielu – upierał się Robert.

– Może powinieneś usiąść. – Zaśmiał się Breza. – Nie martw się, nie zlecą ze ściany, kiedy od nich odejdiesz.

– Jesteś pewien?

– Biorę to na siebie.

– W takim razie niech będzie. – Robert chwiejnym krokiem podszedł do fotela i runął na siedzenie. Zagłębił się w nim w dziwnej pozie. – Tak mi całkiem wygodnie.

– Chyba sprowadziłem was na złą drogę.

– Cóż, ostrzegano nas, od kiedy pamiętam, że nieźle z ciebie ziółko – powiedział Wiktor. – Ale dotąd przynajmniej ja byłem na twoje sztuczki odporny. Poza jednym drobnym incydentem, o którym nie warto wspominać.

– Korzystacie z chwili wolności wyrwani spod czujnego wzroku swoich kobiet? Ale naprawdę jestem wdzięczny, że tak szybko przybyliście, żeby mi pomóc złapać tego draba. Sam bym sobie nie poradził. Zuchwalec był dobrą głowę ode mnie wyższy. Gdyby nie wasza interwencja, mógłbym nie doczekać końca rozwiązania tej zagadki.

– Poradziłyś sobie i bez nas, może zajęłoby ci to trochę więcej czasu. My tylko obstawiliśmy drogi ucieczki, przenieśliśmy testament w inne miejsce i pomogliśmy podłożyć kopię. Całą zagadkę rozwikłałeś samodzielnie, więc przestań nam wreszcie dziękować. Robisz to drugi dzień.

– Drugi?

– Jakbyś nie zauważył, siedzimy w tym miejscu od wczorajszego popołudnia, a już słońce zaczyna zachodzić – powiedział Wiktor. – Robert zasnął właśnie po raz trzeci, od kiedy tu wczoraj wszedł. Zaraz znów zacznie chrapać, jak go nie przewrócisz na bok. Chyba całkowicie wyszedł z wprawy przez ostatnie dwa lata abstynencji.

– Zdaje się, że siedzisz bliżej – stwierdził Edmund. – Poza tym to twój szwagier. Ja mu mam zamiar odebrać jedynie byłą narzeczoną.

– Jak wstanę, bo nóg nie czuję.

– Sabina mnie chyba powiesi, jak się dowie, co wam zajmuje tyle czasu.

– Nie ma powodu do niepokoju. W majątku Godlewskich wszystko zostało obsiane i obsadzone na wiosnę, pierwsze siano zebrano już dawno, a do żniw i drugiego pokosu daleko. Młody zarządca załatwił wszystko tak, że sam bym sobie lepiej nie poradził. Ja nie mam wiele do roboty. Wiśniowym Dworem zajmuje się w zasadzie ojciec, a moje obowiązki pełni Julian Zaremba, jego zarządca. Czasem mam wrażenie, że jestem tam całkowicie zbyteczny. Może dam namówić się w końcu Sabinie i zajmę się poważnie polityką. Suszy mi głowę, bym zaczął odnawiać znajomości, które przydadzą się, kiedy przejmę miejsce po hrabim, choć ten, swoją drogą, nigdy nie był jakoś szczególnie zaangażowany politycznie.

– Mówisz całkiem do rzeczy. Jesteś pewien, że piłeś równo z nami?

– Alkohol odbiera mi, jak już wspominałem, władzę w nogach, głowę pozostawia rozumną.

– To pogratulować. Ja zaczynam już lekko odpływać.

– Wspominałeś wczoraj, że ojciec poprosił cię o przyjazd do rodzinnego majątku.

– Raczej rozkazał stawić się tam do końca tygodnia. – Westchnął. –

Szczerze wątpię, by się za mną stęsknił. Do dziś nie może przeboleć tego, że to ja żyję, a nie któryś z moich braci.

– Może powinieneś udowodnić mu, że los wcale nie okazał się tak okrutny i zaczęłeś brać odpowiedzialność za własne czyny. – Ziewnął. –

Albo chociaż spróbować zainteresować się prowadzeniem majątku. W końcu masz chyba zostać dziedzicem, teraz innej możliwości nie ma.

– I tu się mylisz, przyjacielu. Zdaje się, że markiz tylko czeka, aż naprawdę powinie mi się noga, by móc mnie wydziedziczyć i tytuł przekazać w ręce dalekiego krewniaka.

– Może zbyt surowo go oceniasz?

– Nie sądzę.

– I co zrobisz?

– Z czym? – Odstawił pustą karafkę i skinął ręką na pełną, która stała nieco dalej. Niestety nie przysła mimo jego szeptów.

– Z wyjazdem – mruknął Wiktor. – Przestań gadać do tego szkła, bo pomyślę, że oszalałeś. Pojedziesz do rodziców?

– Owszem. To może być nawet zabawne. Ojciec pewnie już wie o stracie domu w Warszawie. Ciekaw jestem, co mi zaproponuje.

– A nie czujesz się choć trochę winien?

– Jeszcze jak. – Ziewnął i oparł głowę o fotel, zamykając oczy.

– Prześpij się i wytrzeźwiej, ale najpierw podaj mi i Robertowi dzbanek z wodą, czuję, że rano będziemy go bardzo potrzebować.

– Mięczaki – szepnął Edmund, ale uległ prośbie i zadbał jeszcze o przyjaciół, zanim zasnął.

– Nocnik też możesz podsunąć.

– Służę – jęknął, gdy wstawał z fotela. – Tylko nie pomylcie jednego z drugim.

28.

Majątek Wigurów pod Zambrowem

Trzy dni później zupełnie trzeźwy Edmund Breza przyjmował najlepszą pozycję na twardym krześle, jakie wskazała mu ciotka, baronowa Wigura.

– Czy dobrze się ciocia czuje? – Skłonił się nisko starszej pulchnej damie, która nadal patrzyła na niego wrogo, choć starała się być za wszelką cenę miłą. Od kiedy pamiętał, próbowała odseparować go od swego jedynaka wszelkimi sposobami w obawie, że pójdzie w ślady zmarłego ojca i zacznie prowadzić podobnie jak on hulaszczyste życie.

Ciotka zaczęła machać sobie przed twarzą wachlarzem, na co jej oddana synowa Małgorzata podbiegła i wyjęła z kieszeni sukni flakonik soli trzeźwiących. Edmund dałby sobie rękę uciąć, że puściła dyskretnie oko do męża.

– Och, nic mi nie jest, kochana, naprawdę, zabierz już to świństwo. –

Ciotka wyprostowała się szybciej, niż zaczęła słać. – Chyba nie przybyłeś tu prosić mojego drogiego Ksawerego o przysługę? Ostatnim razem wrócił taki schorowany, biedaczek, że myślałam, iż nigdy nie odzyska w pełni sił.

Oj, gdyby widziała jego ostatnich dwóch pomocników, to by nie narzekała na stan zdrowia swego synka. Miał ochotę jej opisać, jak układali się na zmianę w fotelach i pomagali sobie nawzajem ściągać buty. Z tego można byłoby otrzymać materiał na niezłą sztukę komediową.

– Niech się ciocia nie martwi, przybyłem jedynie złożyć sąsiedzką wizytę. Skoro już odwiedziłem te strony, nie mogłem pominąć Wigurów.

– Naturalnie, Edmundzie, jesteś tu zawsze mile widziany. – Ksawery starał się zatrzeć złe wrażenie wywołane atakiem udawanej choroby matki.

Zawsze była w stosunku do niego nadopiekuńcza. Po ślubie nie miał serca odesłać jej do wdowiego domu (równie wygodnego jak dworek, w którym mieszkali, i oddalonego od niego zaledwie o kilkadziesiąt metrów), choć miał pewne obawy, jak jego żona poradzi sobie z jej nadopiekuńczością. Okazało się jednak, że wrodzona inteligencja i sprytne pomysły Małgorzaty uczyniły ich relację nawet bardziej niż znośną. W zasadzie to jego żona miała zadziwiający wpływ na teściową. Aż bał się, że obie kiedyś staną przeciwko niemu ramię w ramię. Na szczęście Małgorzata wyjaśniła mu, iż jego matka jest typem kobiety, z którą należy odpowiednio postępować,

i zrobiła to w taki sposób, że do tej pory nie miał pojęcia, jakich użyła argumentów. Pamiętał jedynie, że później długo nie wychodzili z łóżka.

– Cieszy mnie to – odparł Edmund i sięgnął po małe ciasteczko. –

Swoją drogą chciałbym pogratulować, pani Wigura – zwrócił się do Małgorzaty. – Moja matka prosiła przekazać, że gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, to służy radą i pomocą.

– Myślę, że ja jako równie doświadczona kobieta mogę w zupełności wystarczyć – odezwała się starsza pani Wigura – ale dziękuję za troskę.

Edmund posłał jej promienny uśmiech.

– Nie miałem nic złego na myśli – szepnął.

W towarzystwie ciotki Wigury swój nieodparty urok mógł schować głęboko do kieszeni. Ona była całkowicie odporna na wszelkie komplementy i salonowe sztuczki. Przeżyła kilka lat w małżeństwie z człowiekiem, który słynął z ekscesów podobnych do jego zachowania. Miała zatem tutaj naoczny przykład tego, jak takie postępowanie wpływa na rodzinę. Ale on przecież nie był żonaty ani nie posiadał dzieci. Dlaczego więc tak bardzo negatywnie na niego reagowała?

Posiedzieli we czwórkę dobrą godzinę, nim Edmund zdołał wyciągnąć Ksawerego na przejażdżkę konną, gdzie wreszcie mogli porozmawiać na osobności.

– Zgaduję, że nie przyszedłeś do nas jedynie w celach towarzyskich – pierwszy odezwał się Ksawery, gdy jechali kłusem przez okoliczne łąki.

– Ojciec postawił mi ultimatum.

– Jakie?

– Mam się ożenić do końca roku i to z zamożną, odpowiednio wysoko urodzoną kobietą, najlepiej o nieposzlakowanej opinii. Dodatkowo muszę odzyskać dom w Warszawie albo zakupić inny o nie niższej wartości. W przeciwnym wypadku nie dostanę złamanego grosza, a tytuł przejdzie mi koło nosa. Jego prawnik już się o to postara.

– To w czym problem? Mogę udzielić ci pożyczki na zakup domu. Żony ci wprawdzie nie znajdę, ale ty i hrabina Plater...

– Aurelia nie chce słyszeć o ślubie. Ceni sobie wolność niezależnej wdowy, a poza tym na razie nic nas ze sobą nie łączy.

– Nic nie łączy?

– Może źle to ująłem. Widzę, że jej się podobam, ale to nie taka znowu nowość. Podobam się prawie wszystkim kobietom.

– Przyznaję, ale sądziłem, że ją traktujesz w szczególny sposób.

– Ja ją tak, ona mnie chyba nie bardzo. Zresztą wyraźnie powiedziała, że nie chce wychodzić za mąż.

– To znajdź kogoś innego.

– Nie potrafiłbym już chyba.

– Kochasz ją?

Ksawery spojrział na niego zdziwiony i zwolnił, przytrzymał konia.

– Jak ostatni głupiec.

– To postaraj się ją zdobyć.

– Gdybym wiedział jak...

Edmund przesunął się nieznacznie do przodu, wystawił twarz do słońca.

– Uwodziciel, salonowy ogier ostatnich lat nie wie, jak zdobyć kobietę?

– Nie kpij.

– Nie kpię. Musisz zaufać instynktowi.

– A jeśli mimo wszystko nie zechce mnie poślubić?

– To zastanów się, co jest dla ciebie ważniejsze: majątek, tytuł i zadowolenie rodziny czy ona?

– Ona – odpowiedział bez namysłu. – Ona! – powtórzył głośniejszym, uradowanym głosem, co sam sobie właśnie uzmysłowił.

– To z resztą sobie poradzisz.

Ksawery ponownie przyspieszył.

– W zasadzie to obejdę się bez tego cholernego tytułu. Nigdy nie byłem pretendentem do miana dziedzica i jakoś szczególnie płakać z utraty tego statusu nie będę.

– Sam widzisz.

– Pojadę do Lublina i zarobię jeszcze tyle, by podnieść się z ziemi, a potem ruszam prosto do niej i... i niech się dzieje wola Boża.

– Od kiedy stałeś się taki religijny?

– Zawsze byłem. – Przybrał znów swój ironiczny uśmiech. Gładził czarną grzywę ogiera, którego dosiadał. – A od kiedy to ty jesteś takim ekspertem od związków? Czyżby małżeństwo z Małgorzatą w końcu zrobiło z ciebie mężczyznę?

– Zdziwiłbyś się! – krzyknął, kiedy starał się go wyprzedzić.

– Zapomniałem ci osobiście pogratulować. Dobra robota!

– Ścigamy się?

– Nie zauważyłeś?!

W tym czasie Aurelia nadrabiała zaległości towarzyskie i starała się nie myśleć o tym, jak bardzo brakuje jej Edmunda. Tęskniła nawet za jego

docinkami i nonszalancją, z jaką podchodził do wszystkich reguł dobrego wychowania, kiedy na horyzoncie pojawiała się w miarę ładna kobieta. Nie mogła nadal wytłumaczyć sobie, w jaki sposób od próby zagrania mu na nosie przeszła do czułych pocałunków. Na samo wspomnienie gęsia skórka pokryła jej przedramiona, nogi, kark, a nawet... duszę. Nigdy nie przeżywała czegoś podobnego. Nie miała pojęcia, w jaki sposób ten birbant i w ogólnej opinii kobieciarz, choć niezwykle urokliwy, mógł zawładnąć jej myślami do tego stopnia, że nic innego już się dla niej nie liczyło tak jak dawniej. Nie cieszyły ją stroje, listy od rodziny, herbatki u przyjaciółeczek, liczne wycieczki w towarzystwie panów Rudeckiego i Puckiego. Ulubione potrawy zaczęły smakować zupełnie inaczej, jałowo.

Nawet inni dostrzegli subtelną zmianę w jej oczach, lecz tłumaczyli to wydarzeniami, jakie miały miejsce w związku z aresztowaniem Gilberta Hardy'ego. Nie dało się długo utrzymać w tajemnicy jego obsesji na jej punkcie i próby porwania z domu. Wprawdzie nie został ostatecznie potępiony i nawet ona sama doszła do wniosku, że nie był tak groźny, jak to wynikało z listów, które jej posyłał. Biedak szaleńczo się zakochał i uważał, że tylko w taki sposób zdobędzie jej serce. Szczerze powiedziawszy, wołała, by trzymał się od niej z daleka, ale była przekonana, że więcej nie przyjdzie mu już do głowy nic podobnego. Dostał niezły wycisk od Wiktora, a Edmund też nie szczędził mu razów, za co później miała do niego żal.

Towarzystwo, owszem, plotkowało o tych wydarzeniach, zwłaszcza że pismaki z gazet plotkarskich prześcigały się w nadaniu tej historii jak najbardziej sensacyjnego brzmienia, nie był to jednak środek sezonu, a poza użyciem eteru i kilkoma próbami nastraszenia swojej wybranki nieszczęśliwy amator nic więcej nie uczynił, szybko więc zapomniano o sprawie.

Edmund pisał, jak jej obiecał. Były to jednak bardzo krótkie informacje na temat jego stanu zdrowia, pogody, uroków uzdrowiska w Nałęczowie i powodzenia w kolejnych śledztwach okraszone kilkoma komplementami. Nic, co mogłoby wyjaśnić, jaka właściwie łączy ich relacja. Ona również nie okazała się zbyt wylewna, ale nie chciała narazić się na śmieszność, bo nie w jej stylu były romantyczne wyznania. Wołała wyjaśnić sobie wszystko prosto w oczy, a to miało już niebawem nastąpić.

29.

Warszawa, sierpień 1817

Kamienne schodki wspaniałej rezydencji przy Senatorskiej lśniły w letnim słońcu, kiedy Edmund podjechał od frontu na jednym z gniadoszy z pięknie utrzymanej stajni Roberta Ostrowskiego. Przyjaciel w zamian za możliwość korzystania z domu przy Miodowej poprosił go jedynie o dyskretne sprawdzenie kilku osób i informowanie go na temat własnego aktualnego pobytu, gdyby okazał się mu potrzebny. Edmund podejrzewał, że takie wiadomości dostawał również z innych źródeł, a zwracał się o nie jedynie po to, by ten nie czuł się winien, że korzysta z jego środków i nie daje nic od siebie.

Przez ostatnie tygodnie jego myśli stale krążyły wokół Aurelii. Nawet kiedy czekał przyczajony, zastawiał pułapki na potencjalnych włamywaczy i śledził nieuczciwych zalotników, to jakaś jego część skupiała się na usychaniu z tęsknoty za nią. Czy i ona na niego czekała? Czy i ona myślała o nim noc w noc, cierpiała katusze, pozbawiona jego dotyku?

Oddał konia stajennemu hrabiny Plater i odziany w poranny strój, odebrany od krawca poprzedniego wieczoru, wszedł dumnie wyprostowany z bukietem białych różyczek w rękę.

– Hrabino. – Ukłonił się nisko, kiedy tylko kamerdyner z podejrzliwą miną zostawił ich samych w salonie.

– Majorze. – Wskazała mu fotel naprzeciwko. – Napije się pan herbaty?

– Pan?

– Napijesz się herbaty, Edmundzie? – poprawiła się natychmiast, lekko zarumieniona. Nie widziała go w końcu od kilku tygodni i nie była pewna, jakie stosunki ich właściwie łączą.

– Nie powiesz mi, że się za mną stęskniłaś? – zaczął i uniósł jedną z brwi.

– Jesteś niemożliwy! – Uśmiechnęła się i odetchnęła swobodniej.

– Spadłem na cztery łapy niczym kocur, choć ty jedna wiesz, że trochę mnie to kosztowało.

– Dotarły mnie słuchy, że zaczynasz odbudowywać swoją pozycję.

– O tobie słyszałem to samo, moja droga. – Nachylił się. – Ponoć już ustawia się kolejny sznur wielbicieli. Rano spotkałem pana Puckiego. Nie omieszkał wspomnieć, że zabrał cię ostatnio do teatru, a jego przyjaciel baron Rudecki odwiedził w twoim towarzystwie niemal wszystkie dostępne wystawy sztuki. Poczulbym się zazdrosny, gdybym nie znał twojego

zapatrywania na stały związek. Czy może coś uległo już w tej kwestii zmianie i ja o tym nie wiem? – zapytał niby żartem, ale serce na moment przestało mu bić, jakby od tego zależało jego dalsze egzystowanie.

– Bynajmniej – odparła i spojrzała na niego spod wpełprzymkniętych rzęs.

– Zastanawiałem się nad twoim szantażystą.

– Tak? – zapytała niezbyt zainteresowana. Cieszyła się, że może w końcu pozwolić sobie na wytchnienie.

– Od początku nie chciałem wierzyć, żeby tak spokojny i nieszkodliwy człowiek wpadł samodzielnie na tego typu pomysł.

– Ludzie zaskakują nieraz samych siebie. Czy mam przypomnieć ci nasze niedawne przygody w drodze do Tykocina?

– Zgodzę się, jednak nadal nurtuje mnie myśl, czy aby nikt nie podpowiedział czasem temu biedakowi, co powinien zrobić.

– Nawet gdyby tak było, to wątpię, by ten ktoś uczynił to z premedytacją, świadom, do czego może ostatecznie posunąć się odrzucony mężczyzna.

– Nie uważasz, że to infantylne, byśmy odsunęli na bok taką możliwość i z góry założyli, że nikt nim nie kierował?

– Anonimy ustały, nikt mnie nie śledził ani nic złego nie przytrafiło mi się od czasu aresztowania Hardy’ego.

– Cieszy mnie to, ale jakoś nie uspokaja.

– Uważasz, że powinni go zatrzymać w więzieniu albo skazać na coś gorszego niż grzywna, przymusowe leczenie, wyjazd z Warszawy i zakaz zbliżania się do mnie?

– Nie, myślę, że samo aresztowanie i przesłuchanie okazały się dla niego wystarczająco upokarzające, a sposób, w jaki wyrażał swój żal i mówił o chwilowym szaleństwie, świadczy o tym, że gotów będzie ci w przyszłości raczej służyć niżeli znów zrobić coś, co miałoby ci w jakikolwiek sposób zaszkodzić. – Pochylił się i chwycił jej dłoń.

– W takim razie do czego zmierzasz, majorze, bo do czegoś ten wywód dąży? Byłabym naiwna, sądząc, że mówisz to bez przyczyny.

Pochyliła się w jego stronę, co go na moment zdekoncentrowało.

– Zastanowiło mnie to – odezwał się w końcu – jak Gilbert Hardy zareagował na cytaty przytoczone z listów. Wyglądało na to, jakby niektóre usłyszał po raz pierwszy w życiu. Jedynie te ostatnie przyjmował z całkowitym spokojem, jeśli nie liczyć drżenia rąk i zaczerwienionych oczu.

– Być może zapomniał już o tamtych słowach, a pisał je pod wpływem nagłego impulsu bądź, jak sam to określił, chwili szaleństwa.

– Nie brzmiały one jak pisane pod wpływem impulsu. Zawierały cytaty i całkiem przemyślane sformułowania, sama przyznasz.

– Hardy ukończył Oxford i jak się zdaje, z powodzeniem prowadził jakieś rodzinne interesy. Nie można mu odmówić inteligencji, Edmundzie. Raczej stać go na skreślenie kilku prostych anonimów. Odrzucone uczucie i zraniona duma stawały się już nieraz w historii powodami gorszych czynów. Może i on uległ swoistemu opętaniu, jakiemu poddało się przecież przed nim wielu innych mężczyzn?

– Niewykluczone. Jednak jeśli pozwolisz, nadal będę bacznie obserwował twoje otoczenie.

Przyjrzała mu się uważnie, lecz nie potrafiła odgadnąć jego prawdziwych intencji.

– Czy to aby na pewno nie jest jedynie pretekst do tego, by się częściej ze mną widywać?

– A czy nie istnieją inne pobudki, dla których mógłbym to robić? –

Zerknął na nią przelotnie, gdy sięgał po filiżankę. – Czy naprawdę musiałbym posuwać się do podstępów? Może czas wreszcie położyć kres tym przepychankom i przyznać, że łączy nas coś niezwykłego i zwyczajnie szkoda czasu, by marnować taką okazję.

– Nie nadążam, wybacz.

– Nie musisz udawać, Aurelio. Oboje wiemy, że zależy nam na sobie i świetnie się czujemy w swoim towarzystwie.

Przypatrywała mu się ostrożnie, szukała dowodu na to, że kpi sobie z niej lub przynajmniej przyjacielsko żartuje. Zawsze uważała go za cynika i trudno jej przychodziło przyznać, iż zaszły w nim w ostatnich miesiącach zmiany. Zarówno w jego zachowaniu, jak i jej odczuciach. Nie wspomniał wprawdzie nic o miłości, oddaniu ani niczym choć odrobinę do tego podobnym, ale przecież dziwne byłoby, gdyby padł przed nią na kolana i wyznał głębokie uczucia. Podobali się sobie od lat, działali na siebie jak nikt inny i temu nie mogła zaprzeczyć. Było im razem cudownie. Wprost bajecznie. Przypomniała sobie chwilę, gdy pieścił ją podczas kolacji tuż przed wyjazdem.

– Chciałbyś zaproponować mi romans?

– A czy naprawdę byłoby w tym coś złego?

– Wiesz, co zawsze sądziłam o tego typu relacjach.

– Wiem, ale uwarunkował to nie szacunek do pamięci o mężu, który zresztą chyba nie miałby ci za złe, gdybyś zaczęła w końcu żyć, zamiast trwać tak w zawieszeniu, ale to, że nie przypuszczałaś nawet, iż masz takie potrzeby, jakie masz. Wiesz, o czym myślę. – Spojrzał na nią wymownie, czekając na odpowiedź. – Do kroćset, Aurelio! – Ponaglił ją. – Pożądasz mnie, a ja ciebie. Czy to naprawdę takie straszne, że dwoje dorosłych, wolnych ludzi chce sobie dać odrobinę przyjemności? Przecież nie zmuszam cię do małżeństwa, bo wiem, że sobie tego nie życzysz. Wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, że ślub cię nie interesuje, bo pozycja wdowy daje więcej swobody.

No tak, odpowiada mu to, że nie chce za niego wychodzić. Dostanie przyjemność, a nie będzie miał zobowiązań. Choć może i ona również tego właśnie chce? A może powinna mu powiedzieć, że zmieniła zdanie co do powtórnego zamążpójścia? Nie, tego mu z pewnością nie powie! Spróbowała uspokoić nerwy i szybko pozbierać myśli.

– Wiesz – zaczęła niepewnie – jestem osobą wierzącą.

– Jak większość społeczeństwa.

– Owszem, ale zauważ, że wpisujesz w to stare dewotki i mężów hipokrytów, którzy utrzymują przybytki rozpusty.

– Być może. Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego z nami.

– Nie chciałabym popełniać ciężkiego grzechu i jednocześnie przyczyniać się do tego, byś i ty miał taki na sumieniu.

Odchylił się ze zdziwienia na oparcie krzesła. Tego się zupełnie nie spodziewał.

– Posłuchaj. Nie jesteś już zamężną kobietą, śmierć Mateusza uwolniła cię od obowiązku dochowania mu wierności. Jego śmierć skończyła małżeństwo i nikt nie nazwie cię wiarołomną.

– To prawda. Nie zmienia to jednak faktu, że utrzymywanie bliskich stosunków z obcymi mężczyznami chwały kobiecie nie przynosi.

– Może nie, ale nie zasługuje również na potępienie. Po pierwsze, skoro jesteś wolna, to nie zdradzasz nikogo, po drugie, może to i grzech, ale z pewnością nikogo nie krzywdzisz ani nie przyczyniasz się do sprowadzenia mnie na złą drogę. Dobrze wiesz, że już dawno nią krocę, a jeśli chcę dać szczęście tobie i jednocześnie sam poczuć się szczęśliwym, to chyba czynimy dobro. Nie mogłabyś tego odebrać w ten sposób? Gdyby Bóg nie chciał nas ze sobą połączyć, to nie postawiłby mnie na twojej drodze.

– Poniekąd wytrąciłeś mi argumenty, ale wcale nie ująłeś obaw.
Odsunęła się, niepewna tego, co powinna zrobić.

– W takim razie powiedz mi, czego się obawiasz, abym mógł stawić temu czoła.

– A co, jeśli wyniknęłyby z tego konsekwencje w postaci dziecka?
Pomyślałeś o tym?

– Wówczas byśmy się pobrali w przyspieszonym tempie.

– Sam powiedziałeś, że nie chcę ślubu.

– Ale w takiej sytuacji... – Zawahał się. – Czy myśl o wyjściu za mnie jest ci aż tak wstrętna, że odmówisz sobie przeżycia czegoś, o czym skrycie marzysz? – Spojrzał na nią błagalnie.

– Nie jest mi wstrętna, ale...

– Sama widzisz. Nie byłoby to znów takie najgorsze. Zresztą może nie będzie konsekwencji, jeśli się o to postaramy, a nawet gdyby, to przecież ludzie zawierają małżeństwa ze znacznie niższych pobudek.

– Zabrzmiało to niezbyt zachęcająco.

– Zaczynasz analizować wszystko niczym twoja młodsza siostra.
Wolałem, jak grałyście w przeciwnych drużynach.

– Nigdy nie grałyśmy w przeciwnych drużynach, majorze.

– Tak? Widocznie patrzyłem na was ze złej perspektywy.

– Widocznie.

Zamyśliła się.

– Hm.

– Nigdy nie grałyśmy w przeciwnych drużynach, bo nie miałyśmy ku temu okazji.

– Jak mam to rozumieć?

– Po prostu grałyśmy w zupełnie inne gry.

– Interesujące. – Odchrząknął, wpatrzony w nią jak w obrazek. – Może źle się wyraziłem. Wolałem już, jak miałyście nieco odmienne poglądy na życie.

– W takich sprawach zawsze okazywałyśmy się zgodne.

– Nie będę się kłócił. – Westchnął. – Zwyczajnie ciężko mi bez ciebie. –

Chwycił jej dłoń i podsunął się, jak to tylko było możliwe. – Zaczniemy od drobnych kroczków? Proszę.

Spojrzała na niego z czułością. Nie miała pojęcia, o co mu naprawdę chodziło ani do czego ta rozmowa miała zaprowadzić, ale jedno było pewne: ona również czekała na jego powrót i z rozrzewnieniem wspominała każdą

sekundę tamtego wieczoru. Czy chciała, by te słodkie chwile znów się powtórzyły? Chciała! Chciała i to bardzo.

Zastygli na moment, dopóki on nie odezwał się pierwszy.

– A może nie rozmawiajmy o konsekwencjach, o planach na przyszłość, o niczym, co wprawia nas w zakłopotanie lub smutek. Zwyczajnie bądźmy razem, tyle ile będziesz chciała. Czy żądam zbyt wiele?

– Nie – szepnęła. – Nie żądasz.

Uniósł wolną dłoń i dotknął jej podbródka, zadarł go lekko ku górze. Zamknęła oczy i pozwoliła mu całować się wolno i z rozmysłem.

Nie spieszył się. Smakował każdą sekundę, każdy ruch, każdy fragment jej ust. Wodził językiem, by zapamiętać fakturę i kontury, aż wreszcie pozwoliła mu wnikać do środka i rozpocząć rytmiczny taniec. Całował ją jak nikt inny przed nim, zupełnie tak, jak to sobie wyobrażała, gdy czekała na jego powrót każdego wieczoru, samotnie w sypialni.

Czy mogła sobie pozwolić na odmówienie takiej przyjemności? Czy byłaby w stanie żyć samą tylko tęsknotą? A czy teraz, kiedy pozwoliła, by ich usta połączyły się na nowo w namiętym uścisku, czy teraz, kiedy zgodziła się niejako zostać jego kochanką, czy teraz będzie potrafiła to zakończyć? A jeśli to on znudzi się nią pierwszy? Nie mogła zaprzętać sobie tym głowy, nie chciała. Nie teraz! Na Boga, nie teraz.

Ostatnie myśli rozplynęły się jak we mgle, kiedy rozluźnił sznurek w gorsie jej sukni i wsunął jedną dłoń za koronkowy dekolt. Jęknęła bezgłośnie i odchyliła się do tyłu, by w ślad za jego ręką mogły podążyć usta.

Kilkanaście godzin później, gdy wpuszczała go tylnymi drzwiami, uważna na to, by nie obudzić służby, zastanawiała się jeszcze, czy nie popełnia błędu. Edmund nie cieszył się nigdy ani dobrą opinią, ani niczym zaufaniem, nie licząc ścisłego grona przyjaciół. Ale czyż nie udowodnił jej w ciągu ostatnich miesięcy, że potrafi trzymać swoje żądze na wodzy, że mimo dość nieokrzesanego stylu bycia jest człowiekiem godnym szacunku? Przecież gdyby chciał ją wykorzystać, zrobiłby to już wiele razy. Sama w końcu nieraz stwarzała mu ku temu okazję.

Poza tym w ciągu tych kilku miesięcy, od kiedy przyszła prosić go o pomoc po otrzymaniu anonimów, nie słyszała ani nie widziała, by romansował czy nawet jakoś szczególnie flirtował z jakąkolwiek kobietą. Stał się ostatnimi czasy prawdziwym wzorem cnót. Wprawdzie nie wiedziała, co dokładnie robił podczas wyjazdu, ale gdyby wdał się w jakiś

skandal, to szybko doniesiono by jej o tym. Nie miała powodów, by mu nie wierzyć, i coraz bardziej uświadamiała sobie, że zwyczajnie w świecie jest w nim zakochana, a zakochana kobieta ma prawo popełniać błędy. Do tego była wdową. Czas zaakceptować fakt, że jako kobieta wolna i do tego zamożna miała prawo kierować swoim życiem w sposób, jaki jej odpowiadał. Czy ktokolwiek potępiłby ją za romans z przystojnym majorem, skoro nikt oficjalnie nie wytykał tego samego wpływowym mężatkom?

Wyrzuty sumienia doskwierały jej, dopóki nie ujrzała go stojącego w drzwiach z długą różą w dłoni.

– Dla najpiękniejszej – powiedział i pochylił się, by musnąć delikatnie jej usta.

– Ci... – Uspokoiła go i prowadziła po schodach na górę.

– Tęskniłem – szepnął jej do ucha, kiedy zamknęła za nimi drzwi sypialni.

– Jacek i Marianna już śpią, bo na jutro zleciłam im trzepanie dywanów, zanim wzejdzie słońce i zrobi się za duszno na takie czynności. Alba i Edna nocują gdzie indziej, podobnie kucharka i reszta służby, a kamerdyner jest zbyt głuchy, by cokolwiek usłyszeć.

– Denerwujesz się? – zapytał na widok jej szeroko otwartych oczu.

– Tak – przyznała szczerze.

– Ja również. Tak długo na to czekałem, że nadal nie jestem w stanie uwierzyć, że to rzeczywistość. To duży dom. Nawet jeśli ktoś wstanie, to nic nie zauważy. Zresztą, masz bardzo dyskretną służbę, powinnaś o tym wiedzieć.

– Wiem, lecz wcale mnie to nie uspokaja.

– Może zatem popracuję nad tym, by cię troszkę rozluźnić. Sam też się uspokoję, bo krew aż mi dudni w uszach – szeptał tak, że robiło się jej coraz bardziej gorąco i to nie tylko z powodu temperatury panującej na zewnątrz.

Nie zdążyła jeszcze zamknąć za sobą drzwi sypialni, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, gdzie ułożył niczym najcenniejszą kruchą porcelaną. Przełknęła głośno ślinę.

– Nie bój się – szepnął. – Nie jestem niewyżytym grubianinem. Nie zrobię niczego, czego byś nie chciała. Po prostu sprawię, byś zechciała tego wszystkiego, co pragnę ci ofiarować.

Podobał mu się jej niewielki opór i zagubienie. Oznaczało to, że mąż nie wprowadził jej jeszcze we wszystkie tajniki sztuki miłosnej i może mieć na tym polu wiele miejsca do manewrów. W głębi duszy pragnął ją uczyć i pokazywać wszystko, co da jej radość. Sam mógł jedynie patrzeć na jej

reakcje i to by mu wystarczyło. Choć dobrze wiedział, że gdyby taki scenariusz wybrała, to cierpiałby wielkie katusze.

Od tak dawna o niej marzył i tak długo była poza jego zasięgiem, że przywykł do owego stanu rzeczy i teraz radość aż w nim kipiała, szukała chaotycznie ujścia. Musiał się skoncentrować resztką woli, by nie ulec emocjom i nie popełnić żadnego błędu. Wiedział, że taką kobietę zdobywa się powoli, stopniowo, a on nie chciał tej szansy zmarnować. Jak wiadomo, pierwszy raz to pierwszy raz. Nie da się drugi raz przeżyć czegoś, co miało być pierwsze. A dla niego to pierwsze doświadczenie z kobietą, w której był zakochany, którą wielbił i podziwiał skrycie od lat, a która do niedawna dla niego stanowiła jedynie ulotne marzenie senne. Pierwszy raz miał być z kobietą, którą choć w części poznał, której zaufał i o którą troszczył się tak naprawdę.

Aurelia wstrzymała oddech, niepewna, co powinna uczynić. Nie miała pojęcia, jak się właściwie zachować. Gorąco pragnęła Edmunda jako mężczyzny. Musiała przyznać sama przed sobą, że nawet wówczas, gdy była narzeczoną Roberta, a później, kiedy spotkała go tuż przed swoim ślubem z hrabią, to gdzieś w głębi duszy zwracała na niego uwagę. Irytował ją i drażnił, to prawda, ale postępował jak wielu podobnych mu mężczyzn, dlatego więc to jemu brała za złe fakt, że był właśnie taki, jaki był. Może z zazdrości? Trudno jej przychodziło to przyznać, ale zauroczył ją jego bezpretensjonalny sposób bycia. Kiedy uwięziono ich w piwnicy w lesie, a on poprosił, by pomogła mu w załatwieniu potrzeby fizjologicznej, tylko udawała obrzydzenie. Swoją niechęcią próbowała zatuszować zainteresowanie, ciekawość, a może coś znacznie więcej.

Plotki, które o nim krążyły, nawet jeśli przerysowane i wielokrotnie wyolbrzymiane, to musiały mieć solidne podwaliny, skoro utrzymywały się tyle lat. Z jednej strony ciekawość i chęć zakosztowania czegoś, co zakazane, a z drugiej mężczyzna, którego zaczynała szanować, mimo że postępował nieraz lekkomyślnie i awanturniczo. Bała się tego, co miało nastąpić, i jednocześnie czuła lęk, że mogłoby się to nie zdarzyć... Chyba by umarła z niedosytu.

– Zapinana z tyłu, dla odmiany – szepnął, przewrócił ją na brzuch i usiadł nad nią okrakiem. – Spokojnie, chcę cię jedynie troszkę rozebrać.

Leżała sztywna, bała się poruszyć, skupiona na każdym najmniejszym muśnięciu.

Rozpiął pierwszy guzik sukni, zsunął ją z ramion do połowy pleców, następnie pochylił się i bardzo, bardzo powoli zaczął rozsznurowywać ciasny gorset, którego nie zdjął z niej, a jedynie przesunął w dół.

– Jesteś bardzo spięta – zamruczał jej tuż przy uchu. – Pozwól, że temu zaradzę.

Ułożył jej ręce wzdłuż kręgosłupa, a pod głowę podał malutki jasiek.

Nie odważyła się spytać, co zamierza, bo zaczął na przemian chuchać i dmuchać, czym doprowadził do tego, że mięśnie same z wolna rozluźniały się, a w niej narastał spokój. Odsunął delikatnie kosmyki włosów z karku i począł samymi opuszkami palców głaskać skórę posuwistymi ruchami, schodził coraz niżej i niżej. Potem lekko uciskał, ale nie gniótł ani nie szarpał w żaden sposób, jak to robiła pewna Hinduska podczas masażu w Indiach. On ją po prostu gładził, powodował ogólne rozluźnienie, tak że całe napięcie i strach zaczynały pryskać niczym bańka mydlana, a kiedy głębiej zaczerpnęła powietrza, by wyrównać zarówno oddech, jak i łopot serca (podobnie do niego), przewrócił ją delikatnie na bok i pomógł uwolnić się z góry sukni.

Odruchowo zakryła piersi ramieniem, na co on, starając się nie patrzeć w ich stronę, pomógł jej usiąść i zabrał się do wyjmowania spinek z włosów, które falującymi puklami spadały lekko na plecy i ramiona, tworzyły zasłonę, za którą mogła – ku jego rozpaczy – ukryć swoje wspaniałe kształty.

Miał nadzieję, że choć trochę ją ośmielił, nie doczekawszy się jednak reakcji z jej strony, sam zaczął rozwiązywać fular, cały czas patrzył jej prosto w oczy. Zwykle kobiety rzucały się na niego już w momencie, kiedy dotknął węzła, i same przystępowały do dzieła. Aurelia okazała się zupełnie inna od tych, z którymi spotykał się do tej pory. Czekwała, wpatrując się w jego szczupłe palce. Uniósł brew zdziwiony i przystąpił do rozpinania guzików kamizelki. Surdut zdjął, kiedy ona położyła się na plecach, nie spuszczać wzroku z jego poczyń.

Łudził się przez chwilę, że może teraz zacznie mu pomagać, ale ona przygryzła jedynie wargę, po czym dała mu sygnał ręką, by kontynuował, a sama obserwowała go spod zasłony rzęs, najwyraźniej bawiła się wyśmienicie. Spryciara! Widocznie chciała, by się przed nią rozbierał.

Liczył na to, że to on będzie napawał się widokiem kolejnych centymetrów jej odsłanianego wspaniałego ciała, a tymczasem to ona chciała oglądać przedstawienie. Dobrze, skoro tak woli... Zwolnił swoje ruchy,

rozpinał koszulę tak, by nie ukazać się od razu. Pamiętał, jak mocno zareagowała, kiedy przyszedł do niej tamtego wieczoru, gdy nocowali razem w zajeździe pod Choroszczą. Wpatrywała się wówczas ukradkiem, a kiedy odkrył ten sekret, dała nura pod kołdrę niczym przestępczyni przyłapana na drobnym występku. Czyżby on podobał się jej równie mocno co ona jemu? W sumie nie było się czemu dziwić. Zawsze dbał o kondycję i mięśnie, choć powodem była raczej sprawność w walce niż chęć przypodobania się płci pięknej, ale nieraz już skrzętnie to wykorzystywał.

Ostrożnie rozchylił koszulę, czym ukazał wyrzeźbiony tors i naprężone mięśnie brzucha, a kiedy zauważył niesamowity błysk głodu w jej źrenicach, nachylił się nad nią i ujął jedną z dłoni, kierując w stronę swojej klatki piersiowej.

Położyła ją płasko, zamierając na chwilę w tej pozie, ale długo nie mogła powstrzymać własnej ciekawości i żądy. Z namaszczeniem gładziła jego nagą skórę, podziwiała twardość ukrytych pod nią mięśni, a następnie przyciągnęła go bliżej, zsunęła całkowicie koszulę i rzuciła ją w najdalszy kąt sypialni.

Chciał ją pocałować, ale powstrzymała go, by napawać się pięknem jego ciała. Od kiedy zobaczyła po raz pierwszy jego nagie ramiona i brzuch, ten obraz krążył w jej głowie, nie dawał spokojnie zasnąć. Musiała poczuć fakturę, temperaturę, kształt każdego zagłębienia i każdej wypukłości.

Przykleknął przed nią, by ułatwić jej zadanie. Najbardziej zachwyciła się ramionami, które przechodziły z wypukłości w cieńsze, podłużne, napinające się i rozluźniające mięśnie. Ich poszczególne nazwy zupełnie nie miały teraz dla niej znaczenia. Chciała je poczuć i poznać jak najdokładniej.

W pewnej chwili, kiedy starała się zachłannie wysledzić wszystkie tajemnice jego ciała i zapamiętać kolejne białe blizny, pieprzyki i najmniejsze zmiany, polizała czubkiem języka jego obojczyk. Jęknął, bo nie wytrzymał napięcia. Zachęciło ją to tylko. Pocałowała wgłębienie tuż przy szyi i zeszła niżej, przygryzała skórę nad piersią i jednocześnie błędziła dłońmi po twardym, płaskim brzuchu oraz prostych, trójkątnych plecach.

Chyba żadna kobieta nie dotykała go dotąd w ten sposób, a kochanek miał naprawdę wiele. Pozwolił jej nacieszyć się nowym, a kiedy tylko uniosła głowę, wpił się w jej usta z całą zachłannością, nie pozwolił, by tym razem zainteresowała się czymś innym.

Upadli oboje na łóżko, które skrzypnęło zdradziecko, lecz nie zwrócili na to najmniejszej uwagi, oddali się temu pocałunkowi z pasją, o jaką sami

siebie nie podejrzewali.

Oczywiście Błękitny Major nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał dekoncentracji Aurelii i nie zastosował techniki drobnych kroczków. Użył jej zapamiętania w pocałunku, któremu sam z trudem zdołał się oprzeć, i odsuwał pukiel po puklu jej włosy, tak by wreszcie odsłonić nabrzmiałe piersi, a kiedy ostatni lok opadł na plecy, z jękiem przywarł całym sobą do jej ciała, by napawać się ciepłem jej skóry i prawdziwą bliskością.

Właściwie nie potrzebował niczego więcej, co ze zdziwieniem dotarło do niego, uderzając niczym kamień w potylicę. Czuł się szczęśliwy i zaspokojony, choć wiedział doskonale, że jeszcze dużo przed nimi, ale teraz naprawdę nie potrzebował się spieszyć.

Aurelia nie mogła pozbierać myśli, tak intensywne i rozkoszne były to dla niej doznania. Nigdy nie przeżyła niczego podobnego, choć przecież była mężatką. Tak bardzo pragnęła tego mężczyzny i jednocześnie tak mocno radowała ją jego bliskość, że przestała mieć jakiegokolwiek zahamowania. Nawet kiedy niecznie odsłonił jej piersi i przylgnął do nich, czuła jedynie zadowolenie. Właśnie została nakarmiona nowymi doświadczeniami, a to okropnie rozbudziło jej apetyt na kolejne.

Zatraciła się zupełnie, przestała myśleć o czymkolwiek. Teraz liczył się wyłącznie on i to, że byli tutaj razem. Postanowiła odsunąć od siebie wszelkie wątpliwości i rzucić się na spotkanie szczęściu.

30.

– Co dokładnie miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że ty i twoja siostra grałyście w zupełnie inne gry? – spytał Edmund i zaplótł sobie na palec pukiel jej brązowych włosów.

– Dlaczego o to pytasz?

– Nurtuje mnie to, zresztą jak wszystko, co się wiąże z tobą.

– Jak wiesz, na salonach nazywano mnie najpiękniejszą z dam – zaczęła. Szukała odpowiednich słów i gładziła jego ramię, które nadal nie przestawało jej fascynować. – Nie mierziło mnie to w żaden sposób ani nie upokarzało, choć sprowadzało do roli podziwianego eksponatu na wystawie, jak to określała Małgorzata. Widzisz, ona zawsze starała się tak odwrócić uwagę od swojej urody, by wszyscy dostrzegli w niej intelekt i szeroką wiedzę. Kobietom nie jest w tym względzie łatwo w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

– Rozumiem.

– Teraz dostrzegłam, że nastąpiły w niej pewne drobne zmiany. Może pod wpływem Ksawerego...

– A ty przestałaś potępiać ją za to, że nigdy nie kryła się ze swoją inteligencją i chęcią zdobywania wiedzy?

– Poniekąd. – Przeciągnęła się i otarła o niego zalotnie.

– I przestałaś cierpieć z powodu tego, że sama również jesteś bystrą i dość odczytaną kobietą?

– Nie posuwaj się zbyt daleko w swych sądach. – Powiodła palcem wskazującym wzdłuż linii jego szczęki.

– Jesteś inteligentna, choć starasz się tego nie okazywać.

– Skąd takie przypuszczenia?

– Zbyt łatwo się domyśliłaś, że postanowiłem ci pomóc dlatego, że sam miałem poważne kłopoty i pobudki ku temu, by wyjechać z Warszawy. Zastanawia mnie tylko, dlaczego nie przyznałaś mi się do swoich podejrzeń.

– To proste. Nie ufałam ci.

– W takim razie dlaczego ze mną uciekałaś?

– Powiedzmy, że świst kul przebijających szyby w twojej bibliotece działał niezwykle motywująco. – Zaśmiała się.

– Słusznie. Nie miałaś zbyt dużego wyboru.

– I całe szczęście!

– Chcesz przez to powiedzieć, że gdyby nie ostrzał, to nie przyjąłabyś mojej pomocy?

– Możliwe.

– I nigdy...

– To byłaby zbyt ogromna strata, aby o tym teraz myśleć. – Przysunęła się bliżej i ucałowała go delikatnie w brodę.

– Masz rację. – Musnął jej czoło, po czym przewrócił na plecy i zaczął całować szyję, lecz zatrzymał się nagle w połowie. – A teraz mi ufasz?

– A ty? Dlaczego nie powiedziałeś od razu, że oboje uciekamy z Warszawy? – spytała wymijająco.

– Może dlatego, że też ci nie ufałem – odparł zupełnie szczerze i posłał jej śnieżnobiały uśmiech.

– Z jakich powodów, jeśli mogę wiedzieć? – Spojrzała na niego i zmarszczyła nos. – Cieszyłam się nieposzlakowaną opinią.

– Opinią tak, ale przyznaj, że wcześniej zawsze patrzyłaś na mnie tak, jakbyś miała ochotę zetrzeć mnie z powierzchni ziemi.

– Nie bez powodu, mój drogi.

– To prawda. Zawsze byłem niegrzeczny – mruknął.

– Zaczynam to teraz doceniać.

– W takim razie nie muszę się już bać?

– Chyba jednak musisz. – Zaśmiała się i pokazała ostre pazurki, po których ślady jeszcze czerwieniły się na jego plecach.

Po kolejnej godzinie, kiedy oboje zmęczeni, głodni i spragnieni postanowili w końcu się umyć, nieco ubrać i zjeść jakiś posiłek, mogli kontynuować rozmowę przy popijaniu kakao.

Aurelia przygotowała wcześniej wszystko tak, by bezszelestnie zejść do kuchni i przynieść dla nich coś na taki właśnie wypadek.

– Mamy jeszcze kilka godzin do świtu, choć myśl, że będę musiał cię opuścić, nim zaśniesz, staje się powoli nieznośną torturą.

– Nie przesadzaj z tym słodzeniem. Kakao i tak jest wystarczająco słodkie.

– Chyba to ty przesadziłaś z cukrem.

– Jakoś nie wyglądasz na cierpiącego z tego powodu.

– Zawsze lubiłem słodkości.

– Edmund? – Przybrała poważny wyraz twarzy.

– Tak? – Przyjrzał się jej z uwagą.

– Nigdy nie wspominałeś mi o czasach, kiedy brałeś czynny udział w bitwach.

– To prawda.

– Może nie powinnam pytać, ale zastanawia mnie to od jakiegoś czasu.

– Cóż takiego? – Dopił resztkę ciepłego napoju, niemal wylizał dno filiżanki.

– Jakim sposobem poradziłeś sobie z traumą? Wszyscy znani mi żołnierze, z którymi mogłam rozmawiać na ten temat albo chociaż obserwować zmiany, jakie w nich nastąpiły po powrocie, byli zupełnie innymi ludźmi.

– Masz na myśli Roberta?

– Nie tylko, ale przyznaję, że jego szczególnie mam na uwadze.

Spojrzał głęboko w jej oczy. Nie wyglądała jak kobieta, która z utęsknieniem wspomina dawnego narzeczonego, ale zabołało go, że mówi o nim po tym, co stało się przed chwilą między nimi. Sądził, że jęczała z rozkoszy w pełni oddana tylko jemu. Może się mylił? Odgonił od siebie czarne myśli i skupił na odpowiedzi na zadane pytanie.

– Sam nie wiem. Właściwie chyba sobie z nią nie poradziłem, po prostu przyjąłem te zmiany w swojej psychice, obrazy ze wspomnień, koszmary powracające nieraz w najmniej oczekiwanych momentach jako integralną część mnie. Zwyczajnie zaakceptowałem je, bo wiem, że nie mogę niczego zmienić ani cofnąć. To mnie zbudowało i uczyniło tym, kim jestem teraz. Może ze mnie nie najlepszy przykład do naśladowania, ale od dawna nie przejmuję się opinią innych, jak sama mogłaś zauważyć.

– Chcesz powiedzieć, że wytłumaczyłeś sobie, że skoro już się to wszystko stało, a ty nie masz na nic wpływu, to będziesz żył, jak gdyby nigdy nic?

– Coś w tym rodzaju.

– To całkiem mądre podejście.

– Ale nie dla każdego. – Zamyślił się. – A ty, jak sobie poradziłaś ze śmiercią męża?

– Przyjęłam to zwyczajnie do wiadomości. Nie żebym nie rozpaczała czy nie żałowała Mateusza. Po prostu wiedziałam, że to kiedyś nastąpi, i kiedy nadeszło, przyjęłam z godnością.

– Nie był aż tak wiekowy.

– Chorował. Powiedział mi o tym przed ślubem.

– Przed?

– Już po zaręczynach. Uściśnę, bo zaraz okaże się, że wykorzystałam jego chorobę do szybkiego wzbogacenia się. I uprzedzę kolejne pytanie. Nie wiedziałam, że był aż tak majątny.

– Sama widzisz. Chyba jesteśmy do siebie podobni.
– My?
– Świętoszkowata piękność i przystojny uwodziciel.
– Nie jestem świętoszkowata!
– Teraz już na pewno, choć jest jeszcze kilka barier, które możemy razem przełamać. – Mrugnął, oblizując dolną wargę.
– Łotr! – Chwyciła poduszkę i zdzieliła go porządnie po ramieniu.
– Tygrysica!
– Nawet nie próbuj! – ostrzegła, kiedy chwycił ją w pasie i posadził sobie na kolanach, po czym rozsunął poły szlafrocza.
– Czyżbyś bała się, że kondycyjnie tego nie wytrzymasz?
– Być może. – Poprawiła ubranie. – Zawstydzasz mnie celowo, prawda?
– Owszem, nie da się tego ukryć, ale wiele lat...
Nastawiła uszu, czekała na to, co chce jej powiedzieć.
– Wiele lat czekałem, żeby dać ci małą nauczkę za tę napaść w Pałacu Radziwiłłów.
Odskokczyłaby, ale przytrzymał ją mocno.
– Nie bój się, chodzi mi o to, że po tych twoich krzykach przez kilka dni bolała mnie głowa, choć niewiele z tego pamiętałem. Może ciebie poboli teraz z przemęczenia. Słodkiego przemęczenia, gwarantuję.
– Boże, skąd ty bierzesz siły? – Nie mogła się nadziwić, kiedy przypominała sobie czas spędzony w swojej sypialni z mężem, który zostawiał ją po niespełna kwadransie albo przytulał czule i właściwie nic poza tym.
– To moja tajemnica, skarbie.
– W każdym razie... – uniosła podbródek – ...zaraz będzie świtać. Chyba pora, abyś się ubrał i ewakuował, zanim ktoś ze służby cię zauważy.
– Czy byłoby to aż takie straszne?
– Byłoby.
– W takim razie z żalem przystanę na twą prośbę.
Ucałował ją namiętnie i postawił przed sobą, po czym zaczął zbierać porozrzucane po pokoju części garderoby i kompletować z nich swój strój.
– Będę tęsknił.
Posłał jej całusa w powietrzu, kiedy zsuwał się po linie przywiązanej do ramy masywnego łóża i przerzuconej przez parapet. Wymyślił sobie taką scenę, by dodać więcej pikanterii ich spotkaniu, po czym zniknął bezszelestnie. Pozostawił ją ożywioną i jednocześnie wyczerpaną. Pamiętała

jeszcze, żeby sprzątnąć wszystko po ich posiłku i odwiązać linę, po czym padła, przykryła się szczelnie kołdrą i natychmiast zasnęła.

Przez kolejny tydzień spotykali się ukradkiem po nocach, a za dnia składali sobie oficjalne wizyty i poznawali nawzajem.

Edmund opowiedział Aurelii o swoich kłopotach finansowych, pominął jednak kilka niewygodnych szczegółów, i zgodził się zabrać ją do Nałęczowa, gdzie pomieszkiwał wcześniej w domu Godlewskich. Budynek był niewielki i wymagał remontu. Do służby najęto jedynie stare małżeństwo, które opiekowało się niewielką stajnią i domostwem, dbając o to, by w razie potrzeby mogli tam przybyć goście. Major ufał państwu Jarzęb na tyle, by mieć pewność, że nikomu nie zdradzą obecności hrabiny. Nawet wyznał gospodyni, iż pragnie poślubić Aurelię, co wcale nie było kłamstwem. O tym, że ona nie planuje wyjść za niego, wspominać nie zamierzał.

31.

Nałęczów, tydzień później

Zajęli miejsca w sąsiadujących ze sobą sypialniach, choć oboje wiedzieli, że Edmund i tak przywędruje do pokoju Aurelii, gdy tylko pani Jarzęb oddali się do dolnych pomieszczeń na tyłach domku. Po raz pierwszy, nie licząc nocy spędzonej w wieży, mogli zasnąć spokojnie w swoich ramionach i nie martwić się tym, że zaraz zacznie świtać i trzeba się będzie szybko pożegnać.

Kłamstwem byłoby stwierdzenie, że nie mieli ochoty rzucić się na siebie i nacieszyć tyle, na ile wystarczy im sił; woleli jednak przytulić się i spokojnie pobyć razem. Oboje zaczęli doceniać swoje towarzystwo i poza wzajemnym pożądaniem dostrzegać inne aspekty tej relacji.

Major coraz bardziej upewniał się w swoich dotychczasowych podejrzeniach, że Aurelia jest kobietą jego życia i nigdy z żadną inną nie będzie w stanie stworzyć niczego, co choćby w niewielkim stopniu przypominało więź, jaka połączyła ich oboje. Aurelia nadal nie mogła się przekonać do intencji swojego kochanka, ale zaczęła rozumieć jego postępowanie i traktować go niemal jak przyjaciela, oczywiście poza tym, że pociągał ją jako mężczyzna w sposób nieporównywalny do niczego na świecie.

Rankiem zjedli wspólnie śniadanie, wypili parującą kawę i przegryźli świeżo upieczone bułki posmarowane domowej roboty masłem i konfiturami. Pani Jarzęb twierdziła, że wody Nałęczowa nawet po przygotowaniu z nich kawy czy herbaty mają zbawienny wpływ na zdrowie spożywających. Nie bez powodu zjeżdżało tu tylu ludzi, aby podreperować swoje samopoczucie i nabrać sił. Niedaleki Lublin, miejsce rozrywki dla znudzonej szlachty i przedstawicieli arystokracji, zaczynało mieć coraz silniejszego konkurenta w kurorcie leczniczym oddalonym zaledwie o trzy godziny jazdy nawet wolnym zaprzęgiem. O tej porze roku pozostawali tu przede wszystkim stali mieszkańcy, choć nie brakowało przyjezdnych, których można było spotkać spacerujących po promenadzie. Powstawały kolejne wille, od kiedy trzech wielkich lekarzy uznało tutejsze wody za potrafiące działać cuda i położono kamień węgielny pod budowę Łazienek Żelazistych²².

²² Dawna nazwa Starych Łazienek w Nałęczowie wzniesionych w latach 1817–1820. O ich uruchomieniu w 1821 roku donosił „Kurier Warszawski”. Kąpieli zażywali tu książę Adam Kazimierz Czartoryski i biskup łucki Kacper Cieciszowski.

Po śniadaniu Edmund pojechał do Lublina wykonać jakieś zlecenie dla podreperowana budżetu, co niestety miało zająć przynajmniej połowę dnia, dlatego był niepokieszony faktem, iż Aurelia ma zostać sama. Ta jednak obiecała mu, że doskonale się zabawi podczas zwiedzania okolicy w towarzystwie pani Jarzab.

Postanowiły wybrać się do jednego z najcenniejszych obiektów sakralnych Lublina, bazyliki oo. Dominikanów pod wezwaniem Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika. Strzelista budowla imponujących kształtów z wysokimi oknami otoczona była przez jedenaście kaplic. W większości znajdowały się ołtarze z drugiej połowy osiemnastego wieku ze złożonymi, drewnianymi rzeźbami lwowskich mistrzów przedstawiającymi figury świętych w dynamicznych pozach. Z kolei nawę główną wieńczyły cztery ołtarze – kaplice przyfilarowe.

Zadecydowały wejść do środka zarówno po to, by odpocząć i się pomodlić, jak i dlatego, że wewnątrz stanowiło równie wspaniałe obiekt do podziwiania. Dodatkowo chciały zobaczyć relikwie Krzyża Świętego, z których obecnością wiązała się legenda przypisująca im uratowanie miasta od tragicznego pożaru przed niemal stu laty. Złoczone aniołki, potężne kandelabry, zdobione pilastry, wspaniałe obrazy i mieniące się w słońcu ozdoby sprawiły, że Aurelia miała ochotę wyciągnąć szkicownik i akwarele, by uchwycić ich piękno, gdyby po pierwsze, nosiła coś takiego przy sobie, a po drugie, miała talent malarski jak jej młodsza siostra. Niestety ani jeden, ani drugi z tych warunków nie został spełniony, toteż zadowolila się obserwacją i starała zapamiętać piękny widok.

Nagle za plecami usłyszała znajomy głos.

– Hrabina Plater tutaj? Nie spodziewaliśmy się pani spotkać, droga Aurelio.

– Miło mi. – Nadstawiła policzek do ucałowania, kiedy Eleonora Morawska cmoknęła głośno tuż przy jej uchu. – Markizie. – Dygnęła.

– Hrabino. – Borys Morawski spojrział na nią z nieukrywanym podziwem. Rzeczywiście wybrała dość odważną suknię, ale zważywszy na upały, nie mogła chodzić cała opatulona. Przezroczystry szal niewiele zasłaniał.

– Co cię sprowadza do Lublina, moja droga? – zapytała Eleonora.

– Odwiedzam znajomych – odpowiedziała wymijająco.

– Ach tak. – Spojrzała na męża. – Nie spodziewaliśmy się, że spotkamy kogokolwiek. To naprawdę cudowne odkrycie, że cię tutaj widzę.

– Ja również się cieszę. – Chciała się uklonić i wycofać, lecz markiza nie pozwoliła jej na to.

– Może zabierzesz, kochana, swoich znajomych i przyjdiesz dzisiaj na koncert organowy? Podobno to niezwykle wydarzenie, żal byłoby nie skorzystać z okazji.

– Wezmę to pod uwagę.

– Świetnie. A teraz uciekamy. Mamy jeszcze kilka wizyt do złożenia, prawda, mój miły? – zwróciła się do męża.

– Tak, najdroższa. – Zerknął na nią przelotnie.

– Dziwna kobieta, za pozwoleniem jaśnie pani – odezwała się pani Jarzęb, kiedy obie siedziały w powozie i jechały do domu.

– Ma pani rację, choć niedawno pomogła mi w bardzo delikatnej sprawie, więc może ten styl bycia to jedynie przykrywka.

– Może.

– Ostatnio zbyt często oceniam kogoś pochopnie.

– Przepraszam najmocniej, nie miałam nic złego na myśli.

– Ależ nie gniewam się, pani Jarzęb. Nie mówmy już o tym. Zdaje się, że jest pani wyczerpana tą całą wyprawą, nie powinnam pani ciągnąć tak daleko.

– To nic, zaraz mi przejdzie i zabiorę się za obiad.

– Mogłabym jakoś pomóc?

– Pani? – Zdziwiła się kobieta.

– Nie umiem wprawdzie gotować, ale obieranie warzyw powinno mi chyba jakoś pójść. – Zaśmiała się.

– Jak pani sobie życzy.

Dwie godziny później Aurelia mieszała sos, by się nie przypalił, a pani Jarzęb sprzątała po gotowaniu, gdy do domu wszedł Edmund i stanął w progu kuchni powiadomiony przez pana Jarzębą, gdzie może znaleźć hrabinę.

– Jestem zaskoczony. – Niemal krzyknął w progu. – Ale cieszę się, bo sam miałem zaproponować pomoc, a skoro i pani się za to wzięła – zwrócił się oficjalnie, by nie deprawować nikogo – to może razem uda nam się zrealizować mój plan.

– Hm.

– Wyjaśnię później. – Podeszedł i drugą łyżką zaczerpnął odrobinę sosu. –

Wyśmienite. – Spojrzał na Aurelię, po czym podeszedł do pani Jarzęb i ucałował jej dłonie. – Ma pani prawdziwy dar od Boga.

Kobieta zaczerwieniła się niczym podlotek, mimo że mogłaby być jego matką, jeśli nie babką.

A to łotr! Potrafi oczarować każdą – pomyślała Aurelia, ale zamiast ukłucia zazdrości pojawiło się uczucie ciepła rozlewającego się od okolicy mostka i przechodzącego w dół.

– Jaki plan chciałeś zrealizować z moją pomocą? – zapytała, kiedy wyszli do ogrodu.

– Zauważyłaś, że ogród, ogrodzenie, a także dach szopy i ściana stajni wymagają renowacji? Państwo Jarzęb starają się, jak mogą, ale są już w takim wieku, że trudno im wykonywać cięższe prace. Może za możliwość mieszkania tutaj odpłacę się drobnymi remontami.

– Potrafisz?

– Byłem żołnierzem, ale nie tylko. Trzymałem już w ręku młotek, jeśli o to pytasz.

– Nie wątpię, ale wbijanie kilku gwoździ to nie to samo co naprawa dachu. To trzeba zrobić solidnie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że mógłbym coś zrobić niesolidnie? Czy masz co do moich zdolności manualnych jakiegokolwiek zastrzeżenia? – Nachylił się, by musnąć zgięcie jej szyi.

– Absolutnie nie. – Zadrżała.

– A z innej beczki: czy znasz się na ogrodnictwie?

– Tyle, ile każda szanująca się dama powinna.

– Pytam, czy potrafisz pielnić zielsko i zasadzać kwiaty.

– Nie robiłam tego nigdy sama, ale nadzorowałam prace ogrodnika w Magnoliowym Dworku rodziców i pomagałam w ogródku przy rezydencji w Warszawie. Doświadczenie jako takie mam. Ten ogród jest znacznie mniejszy niż tamte, więc może mi się uda. Spróbuję.

– Co za zapał. – Zagwizdał.

– To co? Bierzmy się do roboty.

– Tylko może zmieńmy te stroje na coś skromniejszego.

– To moja najskromniejsza suknia. Włożyłam ją do pomocy w kuchni.

– Ach tak. To może jakiś fartuch.

– Pani Jarzęb na pewno coś znajdzie, zaraz do niej pójde. Dziś zajmę się oczyszczaniem terenu, a jutro zakupimy nowe roślinki. Niech to będzie mój wkład.

– Jak sobie życzysz. Ja się przebiorę i zacznę od ogrodzenia, żeby móc cię podziwiać przy pracy. – Odsunął się, cmoknąwszy ją w policzek, i popędził

do domu, żeby zmienić ubranie.

Kilka godzin później przysiedli zmęczeni przy niewielkim stoliku w ogrodzie i popijali zimną lemoniadę, którą przyniosła im zażenowana całą sytuacją pani Jarząb. Oboje z mężem co kilka chwil pytali, czy nie zrobić czegoś za nich, ale oni stale odpowiadali, by zajęli się swoimi zwykłymi obowiązkami, a prace w ogrodzie zostawili im.

– Nie ma sensu dyskutować. – Tak powiedział Edmund, kiedy pani Jarząb niemal prosiła go, by przestał, bo nabawi się jakiejś choroby od pracy w takim żarze. Dlatego kobieta zniknęła w kuchni – planowała uszykować im pożywną kolację i wspaniały deser na bazie rodzinnej receptury.

Jej męża wysłano po sprawunki, aby zaopatrzył ich w potrzebne do remontu materiały, a w gruncie rzeczy po to, by nie stękał, że ludzie o ich statusie nie powinni wykonywać takich czynności.

Aurelia obejrzała swoje dłonie, na których pojawiło się kilka niewielkich nagniotków, co wcale nie ostudziło jej zapału. Była dumna z tego, jak oczyściła teren wokół domu. Edmund przeszedł samego siebie, gdy postawił do końca ogrodzenie z desek, które zamówił wcześniej u miejscowego cieśli.

Oboje dumni i zmęczeni siedzieli i wpatrywali się w efekt wielogodzinnej pracy.

– Mogłabym stąd nigdy nie wyjeżdżać. – Aurelia odezwała się pierwsza.

– Aż tak podoba ci się domek Godlewskich?

– Nie to mam na myśli, wiesz przecież.

– W takim razie co?

– To, że spędzamy czas razem. Nie tylko w nocy.

– Chciałabyś, żeby tak było zawsze?

– Może niekoniecznie codziennie przerzucać kamienie i wyrywać chwasty, ale takie spokojne życie z dala od tych wszystkich imprez towarzyskich w zupełności mi odpowiada.

– Nałęczów to całkiem spora miejscowość. Jej mieszkańcy obraziliby się na wieść, że w ten sposób odbierasz to miejsce.

– Wiem przecież, ale po sezonie, kiedy nie szuka się specjalnie rozrywek, tak jak my...

– A może chciałabyś się gdzieś wybrać? Jeśli tak, to szepnij tylko słówko.

– Nie. Mam ochotę ten wieczór spędzić z tobą. Tylko z tobą. No, może w towarzystwie pani Jarząb, która nam poda ten wspaniały deser. Zgłodniałam jak wilk.

Rzecz jasna Aurelia nawet słowem nie wspomniała Edmundowi o koncercie organowym w Lublinie, by nie narazić się na spotkanie z Morawskimi, ale po kolejnych dwóch dniach ciężkiej pracy nad ogrodem i otoczeniem domu należało jej się coś przyjemnego, dlatego postanowiła skorzystać z okazji, że Edmund miał coś do załatwienia, i wybrać się na samotny spacer. Nie chciała męczyć pani Jarzęb, a okolica wydawała się na tyle bezpieczna, że mogła bez obaw wybrać się w pojedynkę, zwłaszcza że zamierzała wędrować prosto do parku nałęczowskiego położonego przy Pałacu Małachowskich, który został udostępniony dla zwiedzających. O to, że kogoś zbulwersuje jej peregrynacja, nie dbała. Nie była już panią na wydaniu, tylko wdową, w dodatku majątną i posiadającą odpowiednią pozycję. To dawało jej masę przywilejów. Poza tym nie znano jej tu jak w Warszawie i istniało niewielkie ryzyko, że trafi ponownie na kogoś znajomego.

Mogła wziąć maleńki powozik, ale od dawna wyszła z wprawy w powożeniu i bała się, że będzie z tego więcej szkody niżli pożytku, dlatego zdecydowała się na pójście pieszo.

Ubrała się w zwiewną muślinową suknię z krótkimi rękawami koloru lilii, do tego dobrała zgrabny toczek założony na spięte do góry włosy, parasolkę w tym samym odcieniu oraz jeden ze swoich indyjskich szali przetykanych złotą nicią oraz długie do łokcia rękawiczki, by ukryć kilka odcisków, których się nabawiła przy pracy w ogrodzie.

Zadowolona z siebie, mimo bólu mięśni, do którego nie chciała się przyznać, dumnym krokiem wędrowała, przemierzając dość często uczęszczaną alejkę wzdłuż rzeczki w kierunku stawu z wyspą.

– Witam, hrabino.

– Dzień dobry, markizie. – Skłoniła się i posłała wdzięczny uśmiech Borysowi Morawskiemu.

Dziś wyjątkowo był sam, bez uczeptionej jego ramienia małżonki.

– Samotny spacer?

– Miałam ochotę pooddychać świeżym powietrzem, nim nadejdzie jesień w swojej pełnej krasie.

– Mamy dziś znakomite warunki do podziwiania takich miejsc. Choć moja żona woli raczej zabytki miejskie niż łono natury. Nie obrazi się pani, jeśli jej potowarzyszę?

– Będzie mi bardzo przyjemnie, markizie. – Ujęła wyciągnięte w jej kierunku ramię.

Przeszli kilka metrów wolnym krokiem w milczeniu, nim markiz zabrał głos.

– Przepraszam, że poruszam tak osobisty temat, ale te plotki, jakoby miała pani zaatakować hrabiego Olechowskiego... – Chrząknął. – Od początku wiedziałem, że to sprawa mocno naciągana, że się tak wyrażę.

– Na całe szczęście pańska małżonka pomogła przekonać hrabiego i jego żonę, że takie przypuszczenia są zupełnie bezpodstawne.

– To prawda. Eleonora może ma swoje wady, ale stara się pomagać, jeśli tylko może.

– Doceniam to i panu również dziękuję.

– Nie mam pojęcia, skąd hrabia wysnuł przypuszczenie, że tak eteryczna i delikatna kobieta mogłaby próbować go uśmiercić, i to w publicznym miejscu.

– Zapewne musiał być w szoku.

– Zapewne. Choć – zawahał się – przepraszam, jeśli panią urażę, ale zdaje się, że próbował się pani naprzykrzać, a pani go przepędziła, stąd może tak podły pomysł.

Aurelia nie bardzo wiedziała, co powinna powiedzieć.

– Mam nadzieję, że pani stosunki z Bertą Olechowską zaczęły się już poprawiać.

– Staramy się.

– To dobrze.

Znów zamilkł na dłuższą chwilę, by kontemplować przyrodę.

– O, widać stąd wieżę fugialną²³ – zauważyła i wskazała palcem.

²³ Dawna oficyna pałacowa, najstarszy obiekt w parku, pochodzi z pierwszej połowy XVII wieku; obecnie mieści się tam dyrekcja uzdrowiska.

– Tam zamierzała się pani udać?

– Może.

– W takim razie pójdziemy tam za chwilę. – Zatrzymał się. – Widzi pani tę wiewiórkę?

– Tak.

– Proszę zachować spokój.

Od dawna wiadome jej było, że markiz pasjonuje się zwierzętami, dlatego Aurelia wstrzymała oddech i spojrzała tęsknie w kierunku wieży. Nagle jej serce zatrzepotało, bo dostrzegła znajomą postać. Edmund?! Miał przecież załatwiać jakieś interesy. A z kim on tam rozmawia? Eleonora? Nie. Nie była pewna, czy dobrze widzi z tej odległości, ale nie mogła przyspieszyć kroku i zostawić markiza zgiętego wpół nad wiewiórką. Musiała poczekać

spokojnie i dopiero wówczas sprawdzić, co się tam właściwie dzieje, bo para ludzi wyglądała dość ekscentrycznie, spacerując w tę i z powrotem najwyraźniej w mocnym wzburzeniu.

– Możemy kontynuować. – Markiz podał jej ponownie ramię. – Uciekła. – Spojrzał na jej pytającą minę.

– A... wiewiórka. – Wyrwała się z zamyślenia.

Niestety para spod wieży zniknęła za drzewami.

Poszli wspólnie w wybranym wcześniej kierunku, gawędzili o pięknie natury i wplecionej w niej architekturze, po czym Aurelia skorzystała z propozycji podwiezienia i powozem markiza wróciła do domu.

To był dziwny dzień, pomyślał Edmund, gdy popijał na tarasie kakao.

– Spotkałeś może kogoś znajomego?

– Nie.

Skłamał, nie chciał jej denerwować umizgami Eleonory Morawskiej, na którą trafił przypadkiem w parku nałęczowskim na moście, w drodze na spotkanie ze zleceniodawcą. Zarzuciła mu, że zaniedbuje inne panie, zwłaszcza ją, i umawia się z kimś innym w tajemnicy. Oczywiście zaprzeczył, co ją trochę uspokoiło, ale to, w jaki sposób później zaczęła go namawiać, by odwiedził ją pod nieobecność męża, uznał za żenujące.

Po raz pierwszy tak naprawdę zrozumiał, jak Aurelia mogła patrzeć na jego dawne romanse. To upokarzające, żeby mężczyzna w jego wieku, z jego aparycją i pozycją (może teraz trochę podupadłą) umawiał się na romansowanie z mężatkami, przyprawiał rogi im mężom, jeśli wokół było mnóstwo wolnych kobiet, z których mógł wybrać sobie odpowiednią partnerkę, może nawet żonę. Czy rzeczywiście nie potrafił poradzić sobie z własną chucią? A może chodziło o coś zupełnie innego. Chociaż nawet jeśli w ramionach kobiet miałby szukać pocieszenia i zapomnienia, to nie było to żadne usprawiedliwienie.

Czuł się winny, że musi ją okłamać, ale wiedza o spotkaniu z markizą okazałaby się jej do niczego potrzebna. Znalazła tutaj z nim szczęście i nie musiała się martwić o opinię innych, zwłaszcza że zawsze o nią tak skrupulatnie dbała. Zrobił to dla jej dobra, tłumaczył sobie.

– Udało ci się stworzyć małe чудо. – Wskazał dłonią na ogród.

– Dziękuję, tobie również całkiem nieźle poszło. – Spojrzała na szopę i ogrodenie, które wczoraj pomalował na białą.

– Szkoda, że niedługo musimy wracać. – Westchnęła i oparła głowę o jego ramię.

– Ja też żałuję, ale nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy tu powrócili za jakiś czas.

Aurelia odsunęła od siebie złe myśli, starała się uwierzyć Edmundowi na słowo. Skoro powiedział, że nie widział nikogo znajomego, to najwyraźniej musiała się pomylić. Może to był on i jakaś przypadkowa kobieta albo ktoś podobny do niego. Już sama nie była niczego pewna. Z tej odległości mogła wszystko pomieszać. Postanowiła ostatnie dni spędzić z nim w zaciszu domu, bo się rozpadało i spacerzy nie wchodziły w rachubę. Grali w szachy, rozmawiali, czytali, rozwiązywali szarady i wspominali dzieciństwo. O planach na przyszłość nie rozmawiali. Każde bało się poruszyć ten temat, by nie stracić cennego spokoju, jaki między nimi w końcu zapanował.

32.

Warszawa, wrzesień 1817

– Nadal zastanawia mnie, jak doszło do tego, że mój kuzyn wpadł na pomysł, by się z tobą ożenić. – Edmund rozpiął koszulę i podwinął wysoko rękawy.

W sypialni domu przy Senatorskiej było wyjątkowo gorąco, dlatego pozostanie w formalnym ubraniu stawało się co najmniej męczące. Podróż z Nałęczowa, jaką odbyli przed tygodniem, minęła bez komplikacji, choć drogi stały się nieco rozmyte przez ulewne deszcze. Na szczęście pogoda znów się poprawiła i pozwoliła cieszyć ostatnimi podrywami lata.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że Mateusz nie zasługiwał na taką żonę jak ja? – Aurelia usiadła na skraju łóżka.

– Na taką żonę jak ty to chyba nikt nie zasługuje. Jesteś najcudowniejsza. – Pocałował ją w ramię i mocno przytulił, gładził po plecach dla odwrócenia uwagi.

– Nie odwracaj kota ogonem! Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Ty też mogłaś wybrać jakiegoś młodszego, sprawniejszego, weselszego człowieka.

Nurtowało go wszystko, co z nią związane, od kiedy ich romans przybrał na sile tak, że przestali go już ukrywać przed służbą. Warszawa, opustoszała latem, nie była miejscem aż tak ryzykownym, by nie mogli utrzymać sekretu przed przedstawicielami socjety, dlatego nieraz wyjeżdżali na przejażdżki pod miasto, by nie siedzieć w duchocie i kurzu.

Aurelia promieniała, czując się bezpieczna i doceniana, Edmund wprost nie posiadał się ze szczęścia, gdy obserwował, jak coraz bardziej otwiera się przed nim mimo początkowej niechęci.

– Mateusz był bardzo przystojnym i godnym szacunku człowiekiem – odparła.

– To prawda, jednak nigdy nie palił się do małżeństwa. Twoja matka musiała mu nieźle namieszać w głowie.

– I tu cię zaskoczę. – Spojrzała na niego przeciągle. – Matka nie miała o niczym pojęcia, choć wydawało jej się, że to ona pociąga za sznurki.

Odsunął się i zaczął obserwować ją uważnie.

– Hrabia znał moją rodzinę od lat, a mnie polubił już w dzieciństwie. Kiedyś płakałam w ogrodzie po tym, jak podsłuchałam opinie koleżanek ze szkoły dla dziewcząt na mój temat, a on podszedł, wysłuchał mnie

i potraktował w końcu poważnie. Potem jeszcze wiele razy rozmawiałam z nim przy różnych okazjach. Jemu zwierzyłam się ze swoich uczuć po tym, jak Robert wrócił ranny z Brukseli i zaszył się w Kamiennym Dworze, i jemu powiedziałam o tym, że matka próbuje na siłę wydać mnie za mąż.

– I Konstancja Strzelecka nie brała pod uwagę tak szacownego i zamożnego człowieka?

– Brałaby, gdyby miała jakąkolwiek nadzieję, że ten chce się ożenić. Od lat przecież Mateusz powtarzał, że nie szuka żony, a spadek podzieli między krewnych.

– To dlaczego ożenił się z tobą? Zakochał się? – Poczł ukłucie w klatce piersiowej. – Tak – odpowiedział sam sobie. – Nietrudno się w tobie zakochać.

– Właściwie to nie wiem. Kilka tygodni po ślubie powiedział, że mnie kocha, ale czy był naprawdę zakochany? Z pewnością okazał się dla mnie bardzo dobry i świadczył o tym sam fakt, że chciał się ożenić po to, by dać mi wolność i możliwość decydowania o sobie. Sytuacja materialna mojej rodziny uległa wtedy pogorszeniu i stało się jasne, że nie będę mogła pozostać panną z niewielkim majątkiem, który i tak nie pozwoli mi na swobodne życie.

– Zapropował ci, że się z tobą ożeni, bo przewidywał swoją śmierć?

– Nie przewidywał, nie był jasnowidzem. Lekarze dawali mu kilka miesięcy, najwyżej dwa lata życia. Miał chore serce. Nie chciałam wykorzystywać tej sytuacji, ale przekonał mnie, że on na tym nie straci. Ludzie, którzy mieli po nim dziedziczyć, i tak dostaną spadek, a ja zachowam taki majątek, który pozwoli mi się usamodzielnąć. Przy okazji on zyska towarzystwo w ostatnich miesiącach życia. Taka transakcja wiązana.

– A co z twoją matką? Nie wyjaśniłaś mi.

– Napomknął jej, że może zmienić zdanie co do małżeństwa, opowiadał o jakiejś zmyślonej kobiecie, a ta wyczuła okazję i jak najszybciej podsunęła mu mnie. Oczywiście udałam, że tego nie chcę, by nie wzbudzić podejrzeń, a później jako przykładna córka dostosowałam się do jej woli.

– A reszta rodziny?

– Tata nigdy nie wtrącał się do decyzji matki. Zachowywał dystyngowany chłód i obojętność. Po prostu uznał to za właściwe rozwiązanie i przychylił się do zdania żony. Siostrze nie zwierzałam się z niczego w obawie, że domyśli się prawdy, a reszta rodziny uznała, że taki kandydat to wprost wymarzona okazja, i cieszyła się razem ze mną.

– A jak rozwiązaście problemy z pożyciem?

– Wiedziałaś, że o to spytasz. – Spojrzała na niego uważnie, on jednak nawet nie drgnął. Czekał na odpowiedź. – Mateusz nie wymagał, byśmy konsumowali nasz związek, ale też nie chciał, bym została bez żadnej wiedzy w tej materii. Bardzo delikatnie i spokojnie wyjaśnił mi, co się dzieje między kobietą a mężczyzną. To ja zdecydowałam, że chcę być z nim naprawdę.

– Kochałaś go?

– Oczywiście, że go kochałam. Był wspaniałym człowiekiem. Zrobił dla mnie tak wiele. Kochałam go, ale nie tak burzliwie i gwałtownie, by nie potrafić pogodzić się z jego śmiercią. Przygotowywałam się na nią od samego początku.

– A gdybyś była przy nadziei?

– To miałabym dziecko mojego prawowitego męża i dziedzica tytułu lub przynajmniej majątku, jeśli byłaby to dziewczynka. Nie przeszkadzałoby mi to przecież w niczym. Wprost przeciwnie.

– Dlaczego więc zgodziłaś się wyjechać do Indii, skoro w ten sposób znów trafiłaś pod skrzydła zaborczej matki?

– Majorze? – Przechyliła głowę na bok i obrzuciła go kpiącym spojrzeniem.

– Ach tak, przepraszam. Zapomniałem o anonimach. Muszę ci się do czegoś przyznać.

– Tak?

– Wtedy w Pałacu Radziwiłłów, kiedy zaatakowałaś mnie i oskarżyłaś o całe zło tego świata oraz podstępnie wyciągnęłaś ze mnie informacje na temat uczynków Roberta i jego wypadku, nie byłem aż tak pijany, by tego nie zapamiętać. Może trzeźwy także nie byłem, ale udawałem potem idiotę, bo strasznie się wstydziłem. Do tej pory czuję się, jakbym zdradził przyjaciela, ale byłaś taka, taka...

– Przekonująca? Chyba mam jakieś cechy odziedziczone po mamie. A ty? Może i zachowałeś się jak świnia – uszczypnęła go w pierś – ale czy to dla ciebie nowość?

– Nie oceniaj mnie aż tak nisko.

– Ja? – zapytała prowokacyjnie.

– Męczyło mnie to wiele miesięcy. – Rozpiął resztę guzików w koszuli i zdjął ją, a potem rzucił na krzesło.

– Może dlatego, że nie poniosłeś zasłużonej kary? – Omal się nie oblizła na widok jego nagiego torsu. Niezmiennie rozpałał ją do czerwoności.

– Kary?

– Poczujesz się lepiej, jeśli ci taką wymierzę?

– Chcesz mnie sponiewierać jak wtedy podczas reauty maskowej?

– Zdaje się, że wówczas byłeś kompletnie ubrany.

– Mam się ubrać?

– Wprost przeciwnie. – Przymrużyła oczy. – Uwielbiam patrzeć na ciebie, kiedy nie masz na sobie koszuli. Spodniami zajmę się sama.

Wstała i zmierzyła go wzrokiem, obserwowwała, jak niepewny tego, co zaraz nastąpi, odchyła się do tyłu.

– Stworzyłem potwora – jęknął i upadł na plecy, kiedy pchnęła go obiema rękoma w kierunku łóżka. – Uwielbiam cię.

– Ciii! – Przytknęła mu palec wskazujący do ust. – To ja teraz mówię. – Usiadła na nim okrakiem. – Unieś ramiona, proszę.

Zrobił, o co prosiła, i patrzył zafascynowany, jak wyjmuje z szuflady obok szal i związuje mu nim nadgarstki po czym umocowuje do kolumny łoża.

– Siedziało mi to w głowie, od kiedy zobaczyłam cię przykutego wówczas w piwnicy w lesie.

– Zdaje się, że byłaś wtedy oburzona tym, że poprosiłem cię, byś rozpięła mi spodnie.

– Bo byłam, ale już mi przeszło – powiedziała mu prosto w twarz, po czym dotknęła czubkiem języka jego podbródka, a następnie bardzo, bardzo powoli powiodła wzdłuż szyi, splotu słonecznego, brzucha ku dołowi...

– O tym nawet nie śmiałem marzyć – szepnął.

Uśmiechnęła się tylko pod nosem, zadowolona z siebie, widząc, jak mięśnie jego podbrzusza drżą pod jej dotykiem.

Po dwóch godzinach w pełni ubrani i uczesani siedzieli na huśtawce ustawionej na tarasie na tyłach rezydencji przy Senatorskiej.

– Dobrze mi z tobą. – Ucałował wewnętrzną stronę jej dłoni.

– Mi z tobą także. – Uniosła kąciki ust w błogim uśmiechu, podsuwając się bliżej niego.

– Czy nadal podtrzymujesz swoje stanowisko co do powtórnego wyjścia za mąż?

– Czyżbyś chciał mi się w ten dziwny sposób oświadczyć?

– Ja zapytałem pierwszy.

Na jego twarzy malowały się: zaciekawienie, strach, konsternacja... tak jakby nie wiedział, na które z tych uczuć ma się zdecydować. Czyli pewnie nie, odpowiedziała sobie w myślach, lecz postanowiła cieszyć się tym, co ma.

– Ta sytuacja w zupełności mi odpowiada. Mam mężczyznę, przy którym czuję się jak nigdy wcześniej, mam wolność i niezależność, jaką daje mi stan wdowieństwa, czegoż mogłabym wymagać więcej? Byłabym hipokrytką, gdybym nie doceniała tego wszystkiego.

– Może masz rację – przyznał z lekkim rozczarowaniem w głosie. Szkoda, że ta sytuacja zaczyna mi ciążyć, ale do niczego nie mogę cię przecież zmusić – dodał w myślach i po chwili zmienił temat: – Co powiesz na małą wycieczkę jutro z rana?

– Nie mam żadnych planów, ale nie chcę się zrywać o świcie.

– Dam ci pospać do szóstej.

– Do szóstej!? To barbarzyństwo.

– Nie, jeśli się zaraz położymy.

– Jeśli zaraz położymy się razem, to do szóstej pewnie nie zmrużę nawet oka.

– Według życzenia – mruknął.

– Jesteś rozpustnikiem, jakiego świat nie widział!

– Nie udawaj, że tego nie doceniasz.

– Dobrze – skapitulowała. – Gdzie planujesz mnie zabrać?

– To niespodzianka. A teraz, skoro znudziłem cię na dzisiaj, ulotnię się i zjawię nad ranem.

Wstał, uklonił się z galanterią i odszedł, po czym przybiegł z powrotem i pocałował ją, aż niemal zgruchotał jej żebra w uścisku.

– Stęskniłem się – wyjaśnił z łobuzerskim uśmiechem. – Do jutra. – Musnął ją ustami w czubek nosa.

Rozsiadła się wygodnie i poprawiła szal. Dlaczego pyta ją o małżeństwo, skoro go nie proponuje? Niby jest jej dobrze, ale... Skarciła się za rozbudzoną nadzieję. Dlaczego miałyby proponować jej ślub, jeśli oboje umawiali się jedynie na romans?

Wstała, wyprostowała się i przeszła wzdłuż ogrodu. Zerknęła przez niewielką bramkę z tyłu na ulicę. Coś poruszyło się w krzakach naprzeciwko i wydawało się jej, że uciekło ukradkiem w stronę parku. A może to tylko jej wyobraźnia? Gilbert Hardy przebywa daleko. Któż miałyby ją obserwować? Ta myśl jednak jej nie uspokoiła.

33.

Następnego ranka Edmund, tak jak obiecał, zjawiał się punktualnie o szóstej w rezydencji hrabiny i od progu oznajmił, że jeśli nie jest gotowa, to pojedzie z nim w tym, co ma akurat na sobie. Na szczęście Aurelia zdążyła już włożyć prostą suknię spacerową w niebiesko-białe pionowe pasy, a długie włosy zapleść w warkocz, który następnie zwinęła na karku w okazałej wielkości kok i przykryła słomkowym kapelusikiem w kształcie budki z błękitnymi atłasowymi wstążeczkami luźno zwisającymi pod brodą.

– Wyglądasz prześlicznie, moja droga – stwierdził zupełnie szczerze Edmund, gdy ujrzał ją w jadalni wracającą do stołu, by dopić na stojąco resztkę kawy.

– Przyłączysz się?

– Nie, dziękuję. Jestem już po śniadaniu. Gotowa?

– Owszem, choć mam nadzieję, że wymyśliłeś coś naprawdę intrygującego, skoro poświęciłam się i wstałam o świcie.

– Nie będziesz zawiedziona, obiecuję.

Podążyła mu dłoń i pozwoliła się zaprowadzić do faetonu.

– Będziemy jechali tym czymś? – Wskazała dłonią na odkryty czarny powóz należący do Roberta Ostrowskiego.

– Nie inaczej.

– Chcesz nas pozabijać?

– Ani myślę. Nie wątpisz chyba w mój talent do powożenia?

– Chciałabym. – Spojrzała na wysoko umieszczone siedzenia i czwórkę koni wyglądających na nieco nieokrzesane.

– Nie martw się. – Podążył spojrzeniem za jej wzrokiem. – Nie naraziłbym cię na niepotrzebne niebezpieczeństwo, a zwierzęta tylko sprawiają wrażenie groźnych. Zaufaj mi.

Wahała się jeszcze przez moment, ale gdy zobaczyła, że nawet Harris nie patrzy zbulwersowany na powóz, a Jakub już kilkakrotnie wyciągał dłoń, by jej pomóc wsiąść, wreszcie się zgodziła.

Porośnięte zieloną trawą brzegi niewielkiego jeziora za granicami Warszawy jej zdaniem były wprost wymarzone miejsce na piknik i właśnie takiej niespodzianki się spodziewała, gdy Edmund zatrzymał powóz i pomógł jej zejść na ziemię. Przejazdka mimo wcześniejszych obaw okazała się bardzo przyjemna. Aurelia przyłapała się nawet na tym, że ekscytuje ją ryzyko szybkiej jazdy i towarzyszące jej smaganie wiatru, który

ciągle podrywał z głowy niewielki kapelusik, tak że musiała w końcu zawiązać tasiemki na supły.

– Przepiękne miejsce. – Zachwycła się, rozejrzawszy wokół.

– I całkowicie puste, jak widzisz. Niewiele osób przybywa tu o tej porze roku.

– To miło, że pomyślałeś, by mnie tu przywieźć na piknik. Zawsze lubiłam takie spokojne spędzanie czasu na świeżym powietrzu.

– Zaraz, zaraz. Kto powiedział, że będziemy beczynnie siedzieć na kocu?

– A nie? – Zdziwiła się.

– Może później – załagodził narastające napięcie. – Teraz jednak mam zupełnie inne plany.

– Można wiedzieć jakie czy to tajemnica?

– Żadna tajemnica. – Zaśmiał się. – Rozbieraj się, proszę.

– Słucham?

– Rozbieraj się.

– Co masz na myśli?

– To, żebyś zdjęła z siebie suknię i kapelusz. Butów i całej reszty także proponuję się pozbyć. Bielizna może na razie zostać, jeśli masz obawy.

Cofnęła się odruchowo i zakryła ramionami, jakby już była naga.

– Może odniosłeś wrażenie, że ostatnio zrobiłam się bardziej... frywolna, ale chyba nie jestem aż tak postępową.

Zaczął się szczyrzyć w swoim prowokującym uśmiechu.

– Może rzeczywiście wiele kobiet uważa pływanie za coś skandalicznego, ale mnie się wydaje, że to całkiem przydatna umiejętność i wcale nie taka znowu wyuzdana.

– Pływanie? – wyszeptała zdumiona.

– A myślałaś, kochanie, że co ci proponuję?

Zarumieniła się niczym gąska.

– Wiem, co ci chodzi po głowie. Jakbyś tylko chciała, to jestem do twoich usług, ale uwierz, mnie chodziło o coś zdecydowanie bardziej skromnego.

– Jesteś niemożliwy! – zachnęła się. – I zrobiłeś to z premedytacją!

– Niewątpliwie – przyznał się i wykonał szarmancki ukłon w jej stronę, po czym szybkim ruchem pozbył się surduta i kamizelki.

Zdjęła skórzany bucik i zamachnęła się nim w jego stronę. Uchylił się, mimo że zdejmował koszulę przez głowę.

– Nie uważasz, że jest troszkę za chłodno?

– Wcale nie. Woda jest nagrzana, bo noce nie są jeszcze zbyt zimne, a słońce świeci bardzo intensywnie i z pewnością ogrzeje nas w mgnieniu oka.

– Skoro tak mówisz... – Zaczęła zdejmować suknię.

Po kilku minutach oboje weszli ostrożnie do wody, trzymając się za ręce.

– Może najpierw spróbuj się zanurzyć, aby przywyknąć do wody – powiedział jej tonem nauczyciela i ochlapał sobie całe kalesony.

Niezdarnie zamoczyła bieliznę i podeszła ostrożnie kilka kroków dalej. Opryskał jej plecy, co przyjęła całkiem znośnie. Starła się zachować równowagę na kamienistym podłożu.

– Może spróbujesz położyć się na moich ramionach na brzuchu, a ja będę cię podtrzymywał i mówił, co masz robić.

– Zgoda, mistrzu.

– Och, jesteś zbyt łaskawa. Potem pokażę ci, co można zrobić, gdy już opanujesz podstawy.

– Skoro tak mówisz.

Po półgodzinnej lekcji podstaw Edmund zostawił Aurelię zanurzoną po pas, a sam oddalił się na głębszą wodę, by zademonstrować, jak pływa na brzuchu i plecach, a następnie nurkuje, choć nie wychodziło mu to jakoś specjalnie dobrze.

– Może teraz ja spróbuję, co ty na to?

– Pewnie. Po moich lekcjach nie powinnaś mieć żadnych kłopotów – powiedział pewny siebie i przesunął się, by ustąpić jej miejsca.

– Czy tak? – zapytała, położywszy się na brzuchu. Powoli przesuwiała się do przodu, wymachiwała rękoma i biła nogami o taflę wody, przy czym opryskiwała go obficie.

– Bardzo dobrze – ocenił.

– To może spróbuję zanurkować tak jak ty?

– Nie wiem... – Zawahał się. – Spróbuj.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Aurelia podskoczyła lekko i opadła, wbijając się z wyciągniętymi ramionami w gładką toń. Patrzył, jak zanurza się cała i znika pod powierzchnią wody. Doskonale jej poszło. Uśmiechnął się pod nosem. Jestem świetnym nauczycielem – pomyślał i wypatrywał, kiedy się wynurzy. Mijały długie sekundy, a jej nadal nie było. Boże! Zaczął się naprawdę niepokoić. Nie czekał długo, podbiegł bliżej i wsadził głowę pod wodę. Nie okazała się jednak na tyle przejrzysta, by mógł wszystko

zobaczyć. Wystraszył się nie na żarty, zanurzał i wyskakiwał kilkakrotnie, kiedy usłyszał za plecami głos.

– Długo jeszcze będziesz się tak bawił?

– Co?

Miał ochotę wyściskać ją z radości i udusić jednocześnie za to, że napędziła mu strachu.

– Jak mogłaś mnie tak oszukać?! To wcale nie było zabawne. Bałem się, że utonęłaś. – Podszedł do niej i objął ją w pasie.

– Nawet nie zapytałeś mnie, czy potrafię pływać. Z góry założyłeś, że nigdy się tego nie nauczyłam.

Uświadomił sobie, że rzeczywiście nie zadał sobie trudu, aby najpierw wy badać, czy już cokolwiek potrafi. W dodatku był na tyle głupi, że nie zorientował się, iż jego lekcje przynoszą tak szybkie rezultaty i uczennica po kilku wskazówkach sama nurkuje lepiej niż nauczyciel. Zgubiła go własna pycha.

– Dostałem nauczkę. Należało mi się, przyznaję.

– A teraz może wreszcie coś zjemy?

– Dobry pomysł.

Osuszyli się nawzajem i ubrali, a po posiłku pospacerowali w stronę oddalonego o niespełna kilometr niewielkiego drewnianego kościołka, który tak zachwyił Aurelię, że wymusiła na Edmundzie odnalezienie kogoś opiekującego się tym miejscem i wprośzenie się do niego na herbatę.

Mimo początkowych drobnych niesnasek ten dzień upłynął im w harmonii, a do Warszawy dotarli dopiero późnym popołudniem, zmęczeni i szczęśliwi.

34.

– Anielsko wyglądasz, moja droga. – Eleonora Morawska kilka dni później obrzuciła Aurelię przeciągłym spojrzeniem. – Zdradzisz mi swój sekret?

– Tobie? Przecież zazdrości ci pół Warszawy. – Aurelia rozsiadła się wygodnie na jednej z ławeczek w ogrodzie Morawskich, podczas gdy większość gości zajmowała się obserwowaniem meczu krykieta rozgrywanego między obecnymi panami.

Rzeczywiście ostatnie tygodnie spędzone z majorem Brezą sprawiły, że przestała poznawać samą siebie. Jeśli pominąć namiętność, o którą siebie zupełnie nie podejrzewała, i niesłabnący apetyt na przebywanie z Edmundem, czuła się bezpiecznie jak nigdy dotąd. Zaufała mężczyźnie, którego do niedawna uważała za najgorsze zło tego świata. Dostrzegła w nim te cechy, których zawsze szukała w drugim człowieku. Cechy, które dopełniały ją i ich jako całość. Oczywiście miał też swoje wady, ale zaczynała je akceptować, a część – czego nigdy mu nie zdradzi – polubiła. Jego nietuzinkowe podejście do konwenansów, żywiołowość, nonszalancja, pasja, ale też opiekuńczość, inteligencja, czar, wrażliwość... Tak, Edmund posiadał i tę zaletę. Wprawdzie pierwszorzędnie maskował się pod płaszczkiem arogancji i przesadnej nieskromności, ale czasami zdradzał swoją wrażliwość.

– Och, nie przesadzaj. – Markiza machnęła dłonią ozdobioną licznymi pierścieniami.

Berta Olechowska wraz z mężem wyjechali na wieś dla podreperowania zdrowia hrabiego, dlatego markiza dobrała sobie wąskie grono pań, z którymi spędzała ostatnio czas. Jej nowe przyjaciółki niezbyt podobały się Aurelii. Były to znudzone damy lubiące plotkować i aż nadto frywolnie – jej zdaniem – podchodzić do instytucji małżeństwa.

– Zdecydowałam się wreszcie, moja droga – odezwała się pulchna kobieta po trzydziestce, której nazwiska Aurelia nie potrafiła sobie przypomnieć – by zakosztować odmiany po monotonii codzienności żony? – zwróciła się do Eleonory. – Markiz jest przystojnym mężczyzną, ale nawet i tacy po pewnym czasie powszednieją.

– Wiesz, że zawsze byłam przeciwna przyprawianiu rogów, zwłaszcza tak wpływowemu mężczyźnie, jakim jest mój mąż.

– Oj, wiemy doskonale. – Zachichotały dwie pozostałe panie. – Ale wydaje się, że ostatnio zmieniłaś nieco swój sztywny stosunek w tej materii.

– Być może – odparła Eleonora, choć Aurelia w jej głosie wyczuła nutkę fałszu. Czyżby chciała przypodobać się pozostałym paniom? A może to jakaś nowa zabawa salonowa, o której ona nie ma pojęcia?

– Nie bądź taka tajemnicza – zachęciła ją jedna z koleżanek. – Nie obawiaj się krytyki ze strony hrabiny. – Spojrzała na Aurelię. – Jak głoszą ploteczki, chyba młoda wdówka także ostatnimi czasy znajduje sobie towarzystwo.

Aurelia zeszywniała. Może rzeczywiście przestali być z Edmundem ostrożni.

– Widzę, że jest coś na rzeczy. Już zaczynamy obstawiać, który to mężczyzna zdołał zakraść się do pani alkowy. – Pochyliła się poufale w jej stronę. – Ale proszę się nie przejmować, robimy to bardzo dyskretnie.

– Doceniam...

– Mnie na przykład ostatnio odwiedza pewien zdolny adwokat – przerwała jej bezpardonowo. – Nie mam pojęcia, jaki jest na sali sądowej, ale w zaciszu mojej sypialni spisuje się wyśmienie. – Zachichotała.

Inne też pokrótce wymieniły swoje nowe zdobycze i wyczekująco spojrzały na Eleonorę.

– Och, zawstydzacie mnie, moje drogie.

– Przestań zatem lawirować i opowiadaj nam szybko.

– Dobrze. – Udała, że robi im wielką łaskę. – Od jakiegoś czasu odwiedza mnie pewien niezwykle przystojny mężczyzna o jasnych włosach i stalowoszarych oczach, niczego więcej nie zdradzę. Zaczęło się od mojego wyjazdu do Lublina. Jak wiecie, trzydzieści kilometrów na zachód od miasta znajduje się Nałęczów i jego słynne lecznicze wody.

– Wiemy. Wszyscy o nich mówią, od kiedy Antoni Małachowski poszukiwał rud żelaza i odkrył na swoich posiadłościach istnienie źródeł wód o walorach leczniczych. Potwierdziły to badania chemiczne. Przejdź do sedna, kochanieńka.

– Otóż przy pięknym pałacu, w prawie dwudziestopięciohektarowym parku natknęłam się przypadkiem... a może nie przypadkiem... – Zawahała się.

– Tak?

– Na pewnego przystojniaka o nieskromnej reputacji, który po raz kolejny, mimo moich protestów, próbował skraść mi pocałunek. Potem były liściki i potajemne krótkie spotkania, a wczoraj w nocy odwiedził mnie, by wykorzystać wyjazd męża. Nie opowiem wam jednak, co takiego razem

robiliśmy, bo byłybyście wszystkie zazdrosne. – Otworzyła wachlarz i zakryła nim usta. – W każdym razie wyszedł dopiero nad ranem, a w tym czasie żadne z nas nie zmrużyło oka.

– Czy to nie ten sam mężczyzna, który w zeszłym roku chciał cię uwieść podczas przyjęcia wiejskiego? – zapytała pulchna dama.

– Być może.

– Nie chcesz, nie mów. A pani, hrabino? Może pani rozwieje nasze wątpliwości i zdradzi imię swojego kochanka? – zapytała, nie bacząc na wszelkie zasady dobrego smaku.

– Przepraszam, ale nie czuję się dzisiaj najlepiej. Chyba już panie opuszczę.

– Nic ci nie jest, moja droga? – zwróciła się do niej z troską Eleonora. – Może chcesz soli trzeźwiących? Zawsze noszę przy sobie fiolkę.

– Nie, jesteś bardzo miła, ale dziękuję. To migrena.

Aurelia nie chciała dłużej brać udziału w rozmowie. Wymówiła się bólem głowy i poprosiła, by zawiadomiono jej woźnicę, że wraca do domu. Nie dała się namówić na herbatę ani odpoczynek w którymś z licznych pokoi Morawskich. Zwyczajnie wstała i poszła w kierunku stajni.

Nie okazała się może wprawną inwestygatorką i nie miała tak lotnego umysłu jak jej młodsza siostra, ale nie była też głupią gęsią o ładnej twarzy. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, o kim opowiadała Eleonora Morawska. Stalowszarskie oczy, blondyn o wiadomej reputacji, park w Nałęczowie. Nawet dziecko poskładałoby elementy tej układanki w całość. Miała ochotę wstać i wydlubać tej kobiecie oczy, ale przecież nie ona była tu głównym winowajcą. Uważała majora za niestałego w uczuciach, ba, za pozbawionego wyższych uczuć bawidamka, który wie, jak zapewnić rozrywkę znudzonym mężatkom, i zwyczajnie skorzystała z jego powszechnie znanych usług. Czyż mogła mieć do niej pretensje? Nie! To jej mąż padł ofiarą zdrady. Edmund natomiast, jeżeli to rzeczywiście o nim mowa, postąpił jak ostatni szubrawiec. Zwłaszcza po tym, co oboje przez ostatnie tygodnie – a właściwie lata – przeszli.

Naprawdę nie spodziewała się aż takiego ciosu. Choć właściwie... spodziewała się. Właśnie tego na początku obawiała się najbardziej. Niepotrzebnie straciła czujność. Mogła się domyślić, że to, w czym uczestniczyła przez ostatnie tygodnie, nie może być rzeczywistością. Życie nie mogło być tak doskonałe. Związek nie mógł być tak doskonały. Edmund nie mógł być tak doskonały! Naiwna!

Major od kilku dni wymawiał się interesami, dlatego nie odwiedzał jej już z taką częstotliwością. Zaufała mu i czekała cierpliwie, aż znów niemal zamieszka w jej rezydencji. Ale może to nie interesy... Może zwyczajnie stracił nią zainteresowanie, bo na horyzoncie pojawiła się Eleonora?

Musiała jeszcze raz przeanalizować słowa kobiety. Porozkładała, tak ja to czyniła jej siostra, wszystko na czynniki pierwsze i dokonała szybkiego przeglądu w głowie.

– Nie! – powiedziała sama do siebie, kiedy siedziała już wygodnie w powozie. – O żadnym innym mężczyźnie markiza nie mogła mówić. Jasne było, że chodzi o niego.

Dlaczego nie powiedział jej o spotkaniu w parku? Okłamał ją, patrząc w oczy, gdy spytała, czy widział kogoś znajomego. Czy już wtedy zamierzał porzucić ją dla innej?

Nie chciała w to wierzyć, ale dowody świadczyły przeciwko niemu. W dodatku nie miał ochoty wziąć udziału w dzisiejszym przyjęciu u Morawskich, a zwykle nie odmawiał sobie tego typu rozrywek, bo wyśmienicie bawił się, gdy udawali sobie obojętnych. Czyżby się bał, że prawda wyjdzie na jaw? A może obawiał się jej męża? Markiz wyglądał dość groźnie, gdy się mu przyglądała w oczekiwaniu, aż jej powóz będzie gotowy. Edmund nie był co prawda tchórzem, ale przecież już jeden zazdrosny małżonek nieomal go ukatrupił.

– Doszły mnie słuchy, że spędziłeś wczoraj... interesujący wieczór. – Aurelia naskoczyła na Edmunda, kiedy późnym wieczorem wszedł do jej sypialni i zastał ją z kieliszkiem wina w dłoni.

– Co masz na myśli? – Przymrużył oczy. Czuł podstęp w tym pytaniu.

– Podobno odwiedziłeś kilka bardzo ciekawych miejsc.

– Owszem, ale mówiłem ci, że aby przeprowadzić śledztwo, muszę pójść w pewne miejsca, w które już nie chciałbym zaglądać.

– I altruistycznie poświęciłeś się dla sprawy?

– Do czego zmierzasz? – zapytał niepewnie, osaczony przez jej świdrujące spojrzenie.

– Do tego, że dobro sprawy to jedno, ale podstawowe zasady powinny obowiązywać.

– Nic nie rozumiem.

– Wyjaśnić ci?!

– Gdybyś mogła – Edmund próbował żartować – byłoby mi bardzo miło.

– To przypomnij sobie dokładnie, gdzie wczoraj cię te twoje zapędy śledcze zaprowadziły.

Edmund przełknął głośno ślinę. Aurelia wyglądała, jakby resztką sił starała się utrzymać nerwy na wodzy. Znał ten wyraz twarzy i doskonale pamiętał, co może po nim nastąpić. Jak się dowiedziała o lupanarze? Ale przecież nie poszedł na pięterko, nawet nie wziął sobie na kolana żadnej z pracujących tam dziewczyn, choć łąsiły się do niego cały wieczór. Do kilku puścił oko, jedną klepnął po tyłku i kilka omiótł pożądliwym spojrzeniem. Wszystko jednak po to, by zmylić przeciwnika. Nie chciał, by domyślono się, że zmienił swoje dotychczasowe życie diametralnie i nieodwołalnie, bo zaczęliby domyślać się, że stało się tak przez kobietę, i doszliby w ten sposób do niej.

– Przecież nie możesz być zazdrosna o flirtowanie czy kilka niewinnych gestów w stosunku do innych kobiet. To w końcu jedynie po to, by inni nie zauważyli, że żyję wyłącznie dla ciebie.

– Żyjesz tylko dla mnie? I było to jedynie flirtowanie. Jesteś pewien?! – Nie wytrzymała i tak mocno zacisnęła pięść, że nóżka od kieliszka pękła. Szkło zraniło ją w palce.

Podbiegł szybko, chwycił jej delikatną dłoń i włożył sobie do ust. Spijał krew i dmuchał, by uśmierzyć ból.

– Zostaw mnie! – Wyrwała się. – Nie potrzebuję twoich sztuczek.

– Sztuczek?

– Znam moc twego dotyku. Nie ja jedna, jak się okazuje.

– Nigdy nie ukrywałem, że nie byłem święty. Przecież to zaakceptowałaś.

– Spojrzał na nią ze strachem.

– Owszem, ale pod warunkiem, że to należy już do przeszłości.

– Bo należy. To wczorajsze zachowanie naprawdę wynikało jedynie z obowiązków służbowych.

– I po to... – urwała.

– Ale ja nic poważnego nie zrobiłem. Naprawdę. W zasadzie połowa mężczyzn robi o wiele gorsze rzeczy.

– Doprawdy?

– Tak! I nikt nie ma do nich pretensji.

– Czyżby? Wątpię, żeby każda kobieta puszczała płazem takie zachowanie. Ja nie zamierzam. Rozumiesz?! – Kochanie. Nie mam pojęcia, o co mnie oskarżasz. Nie zrobiłem nic skandalicznego, a w dodatku cały czas myślałem tylko o tobie.

– Idź sobie już. – Westchnęła głośno.

– Słucham?

– Wynoś się stąd! Póki nie powiedziałam zbyt wiele. Chcę zostać sama, rozumiesz? – warknęła. Zachowała chłodne oblicze.

Odsunął się i spojrzał na nią markotnie. Może jednak nie wybaczyła mu jego przeszłości? On sam nie mógł jej sobie wybaczyć, nie powinien więc tego oczekiwać od niej. W końcu jest kobietą – porządną, czystą kobietą i taki łajdak jak on zupełnie nie zasługuje, by chciała go pokochać. Nie zrobił niczego złego, ale może tylko w swojej ocenie. Z jej perspektywy wizyta w lupanarze mogła wyglądać zupełnie inaczej. Jeśli to jej aż tak bardzo przeszkadzało, musiała pogardzać nim w głębi duszy.

Kochał Aurelię. Tak naprawdę to kochał ją od tak dawna, że z trudem mógł się zorientować, kiedy to się zaczęło. Uczucie to jedynie ewoluowało, przeobrażało się i nabierało nowych kształtów, ale tkwiło w nim tak długo, że nie wyobrażał sobie, iż będzie mógł funkcjonować bez niej. Jeśli jednak jej pamięć o jego przeszłości miałyby sprawiać ból i powodować lęk, że w każdej chwili może ona powrócić, to lepiej będzie, jeśli da jej na razie spokój. Widocznie potrzebowała więcej czasu, żeby to wszystko przetrawić. Jeśli w ogóle będzie w stanie to uczynić.

Przez podejrzenia i ciągły brak zaufania prędzej czy później znenawidzi go i samą siebie. To może skończyć się dla niej wyłącznie źle, a on nie chce, by tak się stało. Musi uzbroić się w cierpliwość, dać jej czas na ochłonięcie, zaakceptowanie jego przywar i sposobu zarabiania na życie. Nie może zmusić jej do niczego. Nie może niczego przyspieszyć. Wiedział, że ona go kocha, pożąda i chce z nim być, ale widocznie zbyt wiele emocji wyniszcza ją od środka i sama musi sobie z nimi poradzić. Presja może tu jedynie zaszkodzić. Nie będzie na nią naciskał. Jeśli widzi w nim tylko łajdaka, który na moment przeobraził się w kogoś miłego, to on nie jest władny, by w niej to podejście zmienić. Sama musi dojrzeć do pełnej akceptacji ich związku. Co prawda sądził, że do tego momentu już doszli, ale widocznie się pomylił. Za wiele miał do stracenia i zanadto dobrze znał jej wybuchowy charakter. Z Aurelią nie można było działać zbyt szybko. Pozostawała mu jedynie nadzieja, że w końcu dostrzeże w nim coś więcej niż łotra łamiącego kobiece serca.

– Zgoda – szepnął, choć spoglądał na nią uważnie. – Wyjdę. Jeśli tego sobie życzysz.

– Życzę! – krzyknęła, zaciskając pięści.

To byłoby na tyle, jeśli chodziło o jego rychłe matrymonialne plany względem niej. Wszedł cicho i skierował się w stronę stojących dorożek. Za plecami usłyszał jedynie przez otwarte okno kilka niewybrednych określeń.

– Łajdak, zarozumiały nikczemnik! – warknęła sama do siebie.

Nie, nie miała zamiaru zniżać się do tego poziomu, by wypomnieć mu, że był w sypialni Eleonory. Sam powinien wyznać jej prawdę. Kazała mu wyjść nie dlatego, że naprawdę tego chciała, a po to, by zostawić sobie odrobinę nadziei. Czuła, że za chwilę wybuchnie i powie mu coś, co na zawsze przekreśli ich wspólną przyszłość. Przyszłość, o której zaczynała coraz intensywniej myśleć, nim nie usłyszała słów markizy.

Jak on mógł zdradzić ją z Eleonorą Morawską?! W zasadzie... Eleonora była piękną i kuszącą kobietą. Nie dało się temu zaprzeczyć. A Edmund... Edmund nigdy nie należał do najuczciwszych z ludzi. To ona naiwnie wierzyła, że może się zmienić. Dla niej. Ale jak Morawska mogła zdradzić męża? Zawsze mówiła, że inne żony miewają romanse, ale nie ona. Przecież markiz Morawski wydawał się tak oddanym człowiekiem. Zawsze poważnym, dobrym. Może sprawiał wrażenie groźnego i nieco oschłego, ale nie wyglądał ani na łotra, ani na kogoś, kto wałęsa się po nocnych przybytkach i zaniedbuje żonę. Kiedyś przecież zabiegał i o względy Aurelii, ale szybko odpuścił, kiedy poznała Roberta, a potem jakoś zniknął jej z horyzontu i dowiedziała się, że poślubił Eleonorę. Na początku zdziwił ją ten wybór. Markiz wyglądał na człowieka o innych preferencjach, ale najwidoczniej ona należała do tych osób, które potrafią uwieść nawet głaz, i poszło jej bardzo sprawnie. Może małżonek nie sprostał jej wymaganiom?

To nieistotne. Fakt pozostawał faktem. Edmund zdradził ją i nawet słowem nie przyznał, że to, co zrobił, było złe. Twierdził, że tego wymagało śledztwo. Dobre sobie. W dodatku połowa mężczyzn robi o wiele gorsze rzeczy i tak naprawdę – jego zdaniem – do niczego nie doszło. Widać jednak do czegoś doszło, skoro Eleonora czerwieniła się jak pensjonarka, gdy wspominała o nieprzespanej nocy. Raczej nie dziergali na drutach. Czy jego zdaniem, jeśli śledztwo będzie wymagać przejścia przez tuzin sypialni znudzonych mężatek, a on w tym czasie będzie myślał jedynie o Aurelii, to nie robi nic złego? Co za kanalia! Sądził, że przymknie oko, bo to służbowe obowiązki i może gzić się z ich powodu na prawo i lewo? Niedoczekanie!

Zdenerwowana usiadła na łóżku i zacisnęła pięści na narzucie. Plama krwi przypomniawsza jej o zranionej dłoni. Nie miała ochoty ani siły płakać. Nie da

mu tej satysfakcji!

35.

Edmund nie widział Aurelii od tamtego wieczoru, gdy wyrzuciła go ze swojej sypialni. Przez kilka ostatnich dni schudł, prawie nic nie jadł i nie spał, ale przynajmniej zarobił tyle, że wystarczyło mu już na kupno średniej klasy mieszkania w kamienicy. Wcale jednak nie cieszyła go perspektywa posiadania czegoś na własność, skoro tam nie będzie mieszkała ona. Nie miał pojęcia, co w nią tak nagle wstąpiło. Wiedział, że potrafiła być wybuchowa i zrobić awanturę niczym podmiejska karczmarza, ale naprawdę nie dał jej powodu do wyrzucenia go na zbity pysk. A tak się właśnie poczuł. Przesadzała z tą zazdrością i swoimi konserwatywnymi zasadami. Co prawda uwielbiał patrzeć, jak kipiała z emocji, ale tylko wówczas, gdy miał możliwość spożytkowania tej jej nieograniczonej energii w jakiś przyjemny dla obojga sposób. Kłótnia bez powodu i bez miłego zakończenia była pozbawiona sensu. W dodatku musiał ją zostawić i czekać, aż sama to w sobie przetrawi. A czekanie okazało się chyba najgorszą katuszą, jakiej dane było mu doświadczyć.

Może i miała powody, żeby się na niego gniewać, ale żeby od razu wyrzucać go ze swego życia? Nawet nie próbował wysyłać listów z wyjaśnieniami czy kwiatów. Aurelia nie należała do kobiet, na które działałyby takie sztuczki. Zresztą za co miałby ją przeproszać? Przeszłości nie mógł cofnąć i wymazać. Był, jaki był. Jeśli nie mogła tego zaakceptować, to on nic na to nie poradzi.

Planował dzisiaj wziąć udział w jakimś odczycie, by wysledzić zdradzającego męża pewnej szlachcianki, i musiał spełnić obowiązki, choć wcale nie miał na nie ochoty. Udał się tam i starał nie myśleć o humorze hrabiny.

– Majorze Breza, miło mi pana widzieć w takim miejscu.

Usłyszał za plecami znajomy głos jednej z przyjaciółek Eleonory Morawskiej. Nie mógł sobie jednak przypomnieć jej nazwiska, dlatego odparł wymijająco:

– Mnie również, droga pani.

– Naprawdę nie ma pan nic ciekawszego do roboty czy jedynie szykuje sobie alibi pod nieobecność markiza?

– Słucham? – Zainteresował się wreszcie kobietą.

– Proszę się nie bać. Nikomu nie powiem.

– O czym?

– O pana dyskretnym romansie z moją drogą przyjaciółką – odparła filuternie. – Eleonora promienieje, ale muszę pana ostrzec, że jej małżonek nie toleruje konkurencji. Proszę się mieć na baczności.

– Eleonora? – Zdziwił się niezmiernie.

– Cóż... – Tamta westchnęła, wydymając usta. – Gdyby pan wolał kogoś z mniejszą obstawą, to mój małżonek przebywa za granicą i nieprędko zawita w te strony.

– Najmocniej panią przepraszam – przerwał jej Edmund. – Muszę porozmawiać z naukowcem, który za chwilę będzie dawał wykład.

– Mnie pan nie musi okłamywać, dobrze wiem, że pędzi pan do niej.

– Myli się pani i radziłbym nie rozpowszechniać plotek.

Kobieta nabrała powietrza, chciała jeszcze coś dodać, ale zignorował ją i wymknął się czym prędzej. Zapomniał o śledztwie.

To ta podstępna żmija, markiza Morawska, nagadała Aurelii, że był tamtej nocy u niej! Teraz rozumiał, skąd to rozżalenie. Sam na miejscu Aurelii byłby wściekły. Pewnie ten kieliszek, który pękł jej w dłoni, rozbiłby się do reszty nie na podłodze, ale na jego głowie. I tak okazała się silna, skoro nawet nie zapłakała, kiedy usprawiedliwiał się, że tak musiał postąpić dla dobra śledztwa. Idiota! Wystarczyło porozmawiać. Przez głupie niedomówienia i jątrzenie tej wstrętnej baby mógł stracić kobietę swego życia. Może Eleonora mściła się za to, że ją kiedyś odrzucił? A może zwyczajnie chciała się popisać czymś przed koleżankami i akurat niechcący padło na niego? W zasadzie sam sobie zasłużył tym, że nigdy nie prostował plotek na swój temat.

To nieistotne. Najważniejsza jest Aurelia. Teraz już nie pozwoli jej, by go wyrzuciła. Zostanie i choćby siłą opowie jej wszystko dokładnie. Wszedł do domu ukochanej, minął zdziwionego kamerdynera i nawet się nie obrócił, gdy tamten ostrzegał, że pani nie życzy sobie dzisiaj żadnych wizyt, bo wyjątkowo źle się czuje. Wbiegł, przeskakiwał po kilka stopni, by dostać się na górę, i z hukiem otworzył drzwi jej sypialni.

Siedziała z książką na szeszlengu. Jej długie włosy spływały po oparciu, migotały w świetle lampki, a niemal przezroczysty szlafroczek ukazywał głęboko wyciętą koszulę nocną. Było jeszcze dość ciepło, więc nie powinien się dziwić, że zastał ją w tak skąpym stroju. Mógł przecież to przewidzieć i się przygotować. Ale czy był w stanie choćby najtwardszą argumentacją przywołać się do porządku, gdy zastał taki widok? Nie!

Stanął w drzwiach pokoju i zamknął je szybko. Przystąpił do przodu.

- Chyba mówiłam ci, że nie jesteś tu mile widziany?
- Mówiłaś.
- Co zrobiłeś Harrisowi?! Mam nadzieję, że nie pobiłeś go, by tu wejść. –
Odłożyła książkę.
- Nie biję niewinnych ludzi.
- Gilbertowi Hardy’emu dołożyłeś zupełnie niepotrzebnie, więc...
- Już to omówiliśmy – przerwał jej w połowie słowa. – Wyminąłem
twojego kamerdynera, nim zdołał zareagować.
- Wiesz, że przez ciebie będzie miał kłopoty?
- Nie sądzę.
- Mów szybko, po co przyszedłeś, i nie zawracaj mi głowy – fuknęła.
- Chyba nie jesteś zajęta?
- Owszem, jestem.
- Książka może poczekać. Mamy ważniejsze sprawy. Muszę ci coś
powiedzieć.
- Zbytek ambarasu. – Aurelia udawała obojętną, choć w środku drżała na
samą myśl, że znajdują się sam na sam w miejscu, gdzie jeszcze niedawno...
- Była strzępkiem nerwów. Nie wychodziła z domu od niemal tygodnia,
nawet lekarza wezwanego przez kamerdynera zdołała nabrać, że cierpi na
wyjątkowo zajadłą migrenę. Szczęście, że oświetlenie było zbyt słabe, by
ukazać, co emocje, brak snu i pożywienia zrobiły z jej cerą. Ledwo trzymała
się na nogach, dlatego dla bezpieczeństwa pozostawała w pozycji siedzącej.
- Powinniśmy wyjaśnić sobie kilka kwestii.
- Nie sądzę, by było cokolwiek do wyjaśniania. Chyba że zaskoczysz
mnie czymś, o czym nie wiem.
- Bynajmniej.
- To czego ode mnie chcesz?! – krzyknęła. Nie potrafiła zachować się tak,
jak zaplanowała. On nie był zwykłym mężczyzną, nie był kimś, do kogo
mogłaby podejść tak, jak do reszty ludzi. To Edmund Breza, Błękitny Major,
mężczyzna, którego podziwiała, którego pragnęła, o którym fantazjowała od
lat i którego chciałyby chcieć, gdyby nie jego podły charakter.
- Zdrajca! – Zacisnęła pięści; jedną zabandażowaną.
- Nie denerwuj się, proszę.
- Ja się denerwuję?! Chyba nie widziałeś mnie jeszcze zdenerwowanej.
- Widziałem i nie chciałbym zobaczyć ponownie.
- To daj mi spokój. Nie chcę, abyś oberwał zaraz czymś w głowę. Mam
dość kłopotów.

– W takim razie daj sobie coś powiedzieć.

– Nie ma takiej potrzeby. – Odwróciła się do okna, bo starała się zachować spokój. Oddychała szybko i patrzyła na wzór na zasłonce, byleby tylko nie skupiać uwagi na nim.

– Wysłuchasz mnie tak czy inaczej. – Dotarł do niej pewny ton głosu byłego kochanka.

– Tak myślisz?

– Nie masz innego wyjścia.

– Mam. – Podeszła resztką sił do toaletki, wyjęła z niej dwa gaziki i wepchnęła je sobie ostentacyjnie do uszu. – Teraz cię nie słyszę, więc możesz sobie gadać, ile wlezie. – Nadąsała się jak dziecko, chwyciła swoją książkę i z hukiem klapnęła z powrotem na szezlong.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak się przy nim zachowywała. Przed nikim innym nie potrafiłaby w ten sposób okazywać emocji. Normalnie wyminęłaby go i wezwała służbę albo wyprosiła kulturalnie, bez przedstawienia. On jednak ją zranił i nie umiała tego ukryć, nawet jeśli chciała.

– Tak sobie pogrywasz? – rzucił pytanie w próżnię. – Dobrze. – Podeszedł do niej i demonstracyjnie wyciągnął z kieszeni metalowe kajdanki, po czym przesunął się i przykuł nimi do ramy łóżka. Rzucił kluczyk w przeciwny kąt sypialni i położył się wygodnie na pościeli. Najpierw zerknął jednak, czy w pobliżu znajduje się nocnik.

Odczekała chwilę, bo miała nadzieję, że go zniechęci, jeśli będzie niewzruszenie czytać. Niestety doszła niemal do połowy lektury, gdy zorientowała się, że on w najlepsze śpi sobie w jej pościeli. Tego było za wiele. Zabrała książkę i wyszła do pokoju gościnnego, zostawiwszy go samego w sypialni.

– Najświętsza Panienko! – krzyknęła Marianna następnego ranka. – Co pani tu robi? Myślałam, że to duch jaki czy co.

– A byłeś już w mojej sypialni?

– Nie. Sądziłam, że... – Zaczerwieniła się.

– To źle sądziłaś – wyjaśniła Aurelia.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Przynieś mi jakąś suknię i pomóż się ubrać. Potem pójdziemy sprawdzić, czy mój gość jeszcze tam leży.

– Dobrze. – Dziewczyna dygnęła i już jej nie było.

Kwadrans później obie cichutko uchylały drzwi do sypialni Aurelii. Edmund przeciągał się właśnie wymiętolony na pościeli, kiedy weszły i obrzuciły go ciekawskimi spojrzeniami.

– Może poczęstują mnie panie śniadaniem? – zapytał od niechcienia i uśmiechnął się promiennie do służącej.

Dziewczyna, lekko onieśmielona, ale pozostająca całkowicie pod jego wrażeniem, od razu pobiegła na dół. Rzuciła tylko, że zawiadomi kucharkę. Nawet nie zapytała o pozwolenie.

– To tyle, jeśli chodzi o lojalność pokojówek – jęknęła Aurelia. – Skoro już się wprosiłeś, to może najpierw ogarnij się trochę, nim zdemoralizujesz mi resztę służby. – Spojrzała przenikliwym wzrokiem na jego rozpiętą koszulę i odsłonięty kawałek umięśnionego torsu. Wyglądał smakowicie... Gdyby nie to, że była wyczerpana i śmiertelnie obrażona, to rzuciłaby się na niego, by wykorzystać to, że jest uwięziony.

– Czyli mogę zjeść z tobą śniadanie?

– Chyba nie mam wyjścia. Moja kucharka bardzo by się pogniewała, gdybym teraz zatrzymała ją w pracy. Pewnie zaczęła już przyrządzać z pięć zestawów śniadań dla ciebie. Nie wiem, jak to robisz, ale wszystkie kobiety w tym domu chodzą jak zaczarowane pod twoim wpływem.

– Cóż. – Lubił komplementy, ale wyczuwał, że za tym kryje się coś jeszcze.

– Niektórzy tacy są. Mnie jednak nie nabierzesz.

– Nie będę próbował, słoneczko. – Cmoknął powietrze i zaczął sięgać do spodni. – Podaj mi tylko kluczyk i odwróć się. Choć w sumie... lubię, gdy na mnie patrzysz.

Spłonęła rumieńcem, ale w jej oczach dostrzegł ból. Nie chciał, by cierpiała, ale musiała sama zrozumieć, że obwinia go bezpodstawnie. Wiedział, że żadne tłumaczenia nie zdołają jej przekonać. Nie ufała mu aż tak bardzo. Odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami.

Śniadanie zjedli w milczącej, choć – z uwagi na obecność służby – kulturalnej atmosferze, po czym major pożegnał się z wdziękiem i opuścił rezydencję hrabiny.

Tego samego wieczoru Aurelia umówiła się na kolację połączoną z partyjką kart w towarzystwie pań, które zostały jeszcze po zakończeniu sezonu lub mieszkały w stolicy na stałe. Zdołała przespać przedpołudnie dzięki specjalnym ziółkom i doprowadzić się do jako takiego porządku. Nie

chciała zresztą wzbudzać niepotrzebnych sensacji swoim kilkudniowym zniknięciem.

– Jak tam twoje lekarstwo na kobiecą histerię, markizo Morawska? – zapytała jedna z pań, kiedy siedziała i obserwowała czwórkę kobiet, które przeszły do finałowej rundy. – Podobno wczoraj widziano, jak pewien major opuścił wieczorem dom i znów wrócił dopiero nad ranem.

– To żadna nowość, kochana. – Wtrąciła się druga.

– Niby tak, ale zdaje się, że nikt go nigdzie nie widział. Mówimy rzecz jasna o Brezie?

Aurelia nie potrafiła udawać obojętnej.

– A panie śledzą każdy jego krok, wysyłają szpiegów czy jak? – zapytała nieco zdenerwowana, sądziła bowiem, że ktoś mógł widzieć, jak Edmund wchodzi do jej domu. Niby potrafił być ostrożny, ale kto wie...

– Nie musimy. Wszystkie kobiety plotkują tylko o nim, od pomywaczek po szacowne matrony. Wystarczy pojawić się na herbatce tu czy tam i wszystko wiadome.

– Ach tak – bąknęła. Czyli nic nie wiedziały – pomyślała z ulgą.

– Cóż... – zaczęła Eleonora. – Nie będę ukrywać, że sprytnie paluszki majora... i nie tylko paluszki... – dodała i zaśmiewała się niczym trzpiotka – ...potrafią zdziałać cuda. Och, miałyście panie rację, nie ma lepszego lekarstwa na migrenę i na nudę w sypialni niż jurny młody mężczyzna.

– Major nie jest już znowu taki młody. Zdaje się, że choćby za hrabiną Plater chadza całe stadko o wiele młodszych dżentelmenów – wtrąciła się pulchna dama po trzydziestce.

– Może i tak, ale umiejętnościami zapewne nie dorównają Edmundowi... ups! – Zasłoniła dłonią usta. – Majorowi Brezie – poprawiła się. – Niech pani spojrzy na takiego barona Rudeckiego, chuderlawe to takie i mizerne, gdzie mu tam w głowie figle i przeróżne sztuczki... A taki pan Pucki... –

Zrobiła pauzę. – Potrafi z zapalem opowiadać o eksponatach muzealnych, ale zapewne na tym można poprzestać wyliczać jego gorące cechy. Major natomiast, moje drogie, to nienasycony i niezwykle kunsztowny...

– Co takiego kunsztownego, moja droga, opisujesz? – odezwał się zza jej pleców małżonek.

Eleonora pobladła i odchrząknęła głośno.

– Nowy naszyjnik, który widziałam u jubilera dwa dni temu. Niezwykle kunsztowne dzieło.

– Czyżbyś sugerowała mi, co chcesz otrzymać z okazji urodzin? – Uśmiechnął się i ujął jej dłoń.

Panie nie zdradziły się słowem, przywdziały tylko czarujące uśmiechy. Arystokracja wprost potępiała nawet najdrobniejsze oznaki rozwiązłości u panien, ale mężatki mogły swobodnie romansować, z kim tylko chciały, pod warunkiem że ich mężowie o tym nie wiedzieli albo wiedzieli i przymykali oczy, a oficjalnie udawali ślepców. Co się tyczy panów, to sprawa u nich wyglądała w ten sposób, że od żon wymagali czystości w dniu ślubu, ale sami musieli już mieć stosowne doświadczenia. Chcieli również, jak nakazywał zwyczaj i wszelkie zdroworozsądkowe normy, spłodzić prawowitego potomka, potem już, jeśli nie łączyło ich z małżonkami nic poza układem, pozwalali im żyć, jak tylko chciały, byleby nie wystawiały ich na pośmiewisko. Sami często w chwili ślubu mieli po kilku bastardów i to wcale niekoniecznie dla nich obojętnych. Zdarzało się, że prowadzili podwójne życie, spędzali czas i w domu oficjalnym, i tym wybranym z siebie znanych pobudek, bądź też skakali z kwiatka na kwiatek ku zadowoleniu lub niezadowoleniu żon. Ważne były pozory.

Pokręcona logika świata socjety zawsze zadziwiała Aurelię. Panna, nawet siłą zwabiona do ogródka, gdzie ktoś przyłapał ją z kawalerem, musiała bronić swego honoru i najczęściej poślubić podstępника, a kiedy zostawała mężatką, to mogła sobie poczynać o wiele zuchwalej, oby w granicach pewnych norm. Lawirowanie wśród tych wszystkich zasad było niczym przedzieranie się przez kolczaste gąszcze. Nigdy nie wiadomo, co czeka o krok dalej ani czy akurat jakiś drobny niewinny gest nie wywoła lawiny komentarzy. Pozory zaczynały powoli ją denerwować, choć dotąd zawsze starała się zachowywać, jak należy. Może do momentu, w którym na jej drodze po raz kolejny pojawił się Edmund Breza.

Najważniejsze jednak, że odkryła kłamstwo Eleonory. Edmund całą noc spędził przykuty do jej łóżka, nie mógł zatem znajdować się w dwóch miejscach jednocześnie. Czy Eleonora wcześniej także kłamała? Należałoby to niewątpliwie sprawdzić. W Aurelii zatliła się nowa nadzieja, choć jeszcze bardzo nieśmiało.

– Nie chcę ci niczego sugerować, najdroższy. Masz doskonały gust. W końcu wybrałaś mnie, a to o czymś świadczy. – Markiza zaśmiała się, jakby wypowiedziała najlepszy dowcip.

Co za potworna kobieta – pomyślała Aurelia, gdy tylko oddaliła się o kilka kroków od Eleonory. Jak mogła dać się nabrać na jej podstępne

sztuczki? Powinna odszukać Edmunda. Miała nadzieję, że nie jest na nią zły za to, że mu nie zaufała. Jednakże miała do tego prawo. Nasłuchiwała się bzdur o romansie z markizą, a on zamiast temu zaprzeczyć, tłumaczył się, że robił wszystko dla dobra śledztwa.

Zaraz, zaraz... Tłumaczył się, że robił coś, myśląc tylko o niej... Co to miało znaczyć? O jakim innym flircie mówił? Tego też musiała się szybko dowiedzieć. Zbyt wiele już było niedomówień.

36.

– Hrabina Plater do jaśnie pana. – Edmund usłyszał głos kamerdynera, gdy sączył brandy w gabinecie w domu Ostrowskich, i omal się nie zakrztusił ze zdziwienia.

– Już mówiłem, żebyś mi nie panował, Janie.

– To nieprofesjonalne, proszę pana. Majorze – poprawił się.

– Jak chcesz... – Westchnął i odstawił szklanę.

– Prosił pan, by nikogo nie wpuszczać, ale hrabina nie dała się przekonać, że nie ma pana w domu – tłumaczył się.

– Nie szkodzi, Janie, poproś ją tutaj i każ podać herbatę.

Edmund nabrał powietrza. Czyżby przyszła zakończyć ich znajomość i skazać go na wieczne nienasycenie? Bał się tego, od kiedy odprawiła go, obrzuciwszy stekiem wyzwisk. Nie wiedział, czy ma prawo o nią jeszcze walczyć, czy powinien zostać ze swoim uczuciem i pogodzić się z myślą, że lepiej jest jej bez niego. Kochał ją najbardziej na świecie i był pewien, że nigdy nikogo nie pokocha tak mocno. Nie chciał jednak, by żyła z nim tylko dlatego, że on tego pragnie. Jeśli pogardzała nim aż tak bardzo, że nie mogła mu wybaczyć drobnych przewin, bo nadal pamiętała o jego przeszłości, to lepiej będzie, jeśli zwróci jej wolność i pozwoli wieść życie, tak jak to sobie zaplanowała, nim on pojawił się w nim na nowo. Miał nadzieję, że zrozumiała, iż Eleonora Morawska wymyśliła sobie ten romans, ale nie był pewien, czy to o to była na niego zła, czy o tę wizytę w lupanarze. Siedział więc i czekał na najgorsze.

– Znów pijesz? – zapytała bez zbędnych ceregieli, gdy kamerdyner zamknął za nią drzwi.

– Niewiele. – Spojrzał na opróżnioną do połowy karafkę. – Co cię skłoniło do odwiedzenia takiego łotra i bezwstydnika?

– Plotki.

– Plotki? A to ciekawe.

– Jestem ci winna przeprosiny. Od początku czułam, że to zmyślane historie, nie mam pojęcia, czym pokierowane. Wiem jednak, że od kiedy jesteśmy razem, nie mogłeś mnie z nią zdradzić, a tej nocy, kiedy przykułeś się w mojej sypialni... przecież nie potrafisz się rozdzielić, prawda? – mówiła chaotycznie, starała się wytłumaczyć wszystko, co leżało jej od kilku dni na sercu.

– Spokojnie. Powiedz najpierw, o kim, u licha, mówisz, bo nic z tego nie rozumiem. – Udawał głupiego.

– O Eleonorze Morawskiej.

– Aha. – Odetchnął z ulgą.

– Opowiadała w towarzystwie o waszych upojnych nocach. Nie chciałam jej wierzyć, ale była tak przekonująca, a ty zniknąłeś i jeszcze stwierdziłeś, że obwiniam cię za drobnostki związane ze śledztwem. – Nie potrafiła opanować emocji.

– Sądziłaś, że cię zdradziłem z tą kobietą?

– Przyznaję, miałam takie podejrzenia, zwłaszcza że prawie się przyznałeś.

– Ja?

– Nie broniłeś się przecież. – Wstała.

– Bo sądziłem, że mówisz o moim zachowaniu w lupanarze – wymusnęło mu się.

– W lupanarze!? – Opadła na krzesło, niemal omdlała. – Potrzebujesz jeszcze lupanaru? Boże!

– Byłem tam tylko po to, by rozwikłać pewną zagadkę, i niczego złego nie zrobiłem. Uwierz mi. Klepnałem kilka dziewcząt, do innych puściłem oko, ale ciągle myślałam o tobie. Tylko o tobie.

Schowała twarz w dłonie.

– Płaczesz? Aurelio! – Podbiegł do niej, próbował ją przytulić, ale zorientował się, że nie potrzebuje pocieszenia. – Nic nie rozumiem.

Aurelia zaczęła się śmiać, czuła ulgę. Dopiero kiedy służąca wniosła tacę z herbatą, uspokoiła się i doprowadziła do względniego porządku.

– I tak nie ominą cię wyjaśnienia. – Uniosła filiżankę do ust.

– Na jaki temat?

– Wiesz doskonale. – Spojrzała na niego z ukosa.

– Dobrze. Opowiem ci całą historię związaną z Eleonorą Morawską, ale wysłuchaj jej do końca, zanim mnie ocenisz.

– Obiecuję. – Oparła się wygodnie i chwyciła ciasteczko. – Będę sobie chrupać, jeśli pozwolisz.

Po półgodzinie wyjaśniania i odpowiedzi na szczegółowe pytania mogli spokojnie stwierdzić, że wszystko było pomyłką, i wrócić do swojego sekretne układu.

Kolejne dni upłynęły im na długich rozmowach i ponownym poznawaniu siebie nawzajem, noce natomiast spędzali oddzielnie, dając sobie czas na wszystko aż do momentu, kiedy Edmund upewnił się, że dłużej nie zniesie

niepewności, i ponownie nie zabrał jej do drewnianego kościółka nieopodal jeziora pod Warszawą.

– Przypuszczam, że nie będziemy pływać. To nie jest najlepsza pogoda na tego typu zabawy – powiedziała, kiedy zatrzymał tym razem kryty mały powóz pod drzewami nieopodal kościółka.

– Nie. Nie będziemy.

Denerwował się jak nigdy wcześniej. Postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Wiedział o jej niechęci wobec instytucji małżeństwa, ale czy ukrywanie ich związku w nieskończoność wychodziło wszystkim na dobre? Czy pożegnania wieczorem i powitania o świcie nie stałyby się z czasem męczące, a wymyślanie tłumaczeń dla ich wspólnych spotkań – krępujące?

Chciał mieć ją przy sobie i teraz, kiedy udało mu się odzyskać choć tyle pieniędzy, by zakupić dom i przypodobać się ojcu, mógł wreszcie zaoferować jej więcej niż tylko swoje towarzystwo i puste kieszenie. Jeśli go nie przyjmie, to będzie przy niej trwał bez względu na wszystko. Nie wyobrażał już sobie życia bez niej, ale ostatnio odniósł wrażenie, że i ona staje się bardziej przychylna ich związkowi.

– W takim razie jakie masz plany?

– Może spacer, nie wiem, najpierw wejdźmy do środka. Kościół jest otwarty, a ksiądz przebywa na zakrystii, więc będziemy mogli chwilę побыć tam sami.

– Dobry pomysł, tylko w jakim celu? Nie wydaje mi się, żebyś był dziś szczególnie skory do kontemplacji i modlitwy.

– Cóż.

– Więc?

– Okaż trochę cierpliwości, kochanie. Czasami zadajesz zbyt wiele pytań.

– Cmoknął ją w policzek i pociągnął w stronę drewnianego budynku o kolorowych oknach.

Wnętrze mieniło się tęczowymi promieniami wpadającymi przez wielobarwne witraże, a w powietrzu unosił zapach drewna i palonych ziół. Stanęli przed ołtarzem, przy którym paliły się świece. Ksiądz wystawił im dwa objane atłasem klęczniki (dar od Edmunda). Aurelia uklękła, złożyła dłonie do modlitwy, a on zajął miejsce obok niej i pochylił głowę w błagalnym geście pomocy. Miał nadzieję, że Bóg doda i jemu, i jej odwagi, a potem tylko cierpliwie czekał, aż ona skończy pacierz.

– Aurelio. – Chwycił gwałtownie jej dłoń, gdy podniosła się, oparłszy o klęcznik.

– Tak? – Spojrzała na niego uważnie.

– Aurelio. – Nie wiedział, od czego zacząć.

– Tak? – powtórzyła ze zdziwioną miną.

– Znam twoje nastawienie do małżeństwa, ale postanowiłem spróbować. –

Nabrał łąpczywie powietrza. – Jeśli powiesz „nie”, to przyjmę to z pokorą i zrobię wszystko, co zechcesz, ale może jednak...

– Mógłbyś troszkę jaśniej?

– Kochanie, czy mimo mojej przeszłości i tego, jaki jestem, zaryzykujesz i zostaniesz moją żoną? – Wyjął z kieszeni pierścień, który niedawno dostał od własnej matki i zwięził u jednego z warszawskich jubilerów.

Przyjrzała mu się czujnie, zastanawiała się przez chwilę, czy nie robi sobie żartów, ale jego niepewny głos, zaciśnięta szczęka i skupiony wzrok świadczyły o tym, że jest jak najbardziej poważny.

– Tak.

– Jeśli nie, to zrozumiem, naprawdę...

– Tak.

– Wiem, co o mnie mówią, wiem, że nie przyniosłbym ci może chwały, ale...

– Tak! – powtórzyła głośniejszym głosem, nieco już zniecierpliwiona.

– Wcale nie będę na ciebie zły.

– Powiedziała „tak”! – Zza ołtarza nieśmiało wyłonił się proboszcz.

Edmund spojrzał na niego pytająco.

– Powiedziała „tak” – powtórzył spokojnie.

– Naprawdę? – Edmund spojrzał na Aurelię, która zaczynała uśmiechać się ironicznie, a jednocześnie ciepło, i sama wkładać sobie na rękę pierścień.

– Boże! Dziękuję ci! – krzyknął w stronę ołtarza i pochwycił swoją wybrankę w ramiona.

– Mogę tu ją pocałować? – zapytał, gdy wrócił do rzeczywistości.

– Nie patrzę w waszym kierunku – odparł ksiądz.

Edmund nie tracił chwili, oszołomiony szczęściem.

Postanowili jeszcze przez jakiś czas utrzymać swój związek w sekrecie. Właściwie to Edmund nalegał, by wstrzymali się z oficjalnymi zaręczynami, bo chciał wyjaśnić jakieś sprawy rodzinne. Aurelii było to całkiem na rękę. Ona również zamierzała poinformować najpierw swoich najbliższych, zanim rzuca się w wir przygotowań. Dlatego nawet tego wieczoru pojawili się oddzielnie na kolacji wydanej przez Bertę Olechowską.

– Jak tam twój majorek, kochana? – Zaśmiała się jedna z koleżanek markizy Morawskiej, gdy rozmawiały w wąskim gronie, z daleka od reszty gości w salonie Olechowskich. – Widziałam go ostatnio i muszę przyznać, że coś nie bardzo był chętny do rozmowy.

Aurelia przypatrywała się stałemu gronu plotkujących pań, widziała już, że nie tylko ona wątpi w wymyślony romans Eleonory.

– Znudził mi się już dawno, moja droga. – Westchnęła tamta.

Aurelia przysłuchiwała się temu z obojętną miną. Jeśli Eleonora lubi chwalić się swoimi wyimaginowanymi podbojami, to już jej problem.

– A może stracił animusz, od kiedy ojciec kazał mu przyprowadzić do końca roku małżonkę, i to najlepiej bogatą – rzuciła Berta.

– A to ciekawe? Nie słyszałam, by jego rodzina miała problemy finansowe. – Zdziwiła się Eleonora.

– Może nie mają jakichś potwornych problemów, jednak ojciec zagroził, że wydziedziczy majora, jeśli ten się nie ustatkuje do sylwestra.

– Sądzisz, że to zmusi go, by w końcu się ożenił?

– Nie ma wyjścia, dlatego nie radziłabym umawiać się z nim na schadzki. Ma głowę zajęta poszukiwaniami. Biedaczek.

– Naprawdę sądzisz, że najsłynniejszy kochanek ostatnich lat sam sobie podetnie skrzydła małżeństwem?

– Nie wiem, ale to dość solidny argument, nie uważasz, Aurelio? – zwróciła się teraz do niej.

– Być może. – Pociemniało jej w oczach.

Ostatnie wydarzenia zaczęły łączyć się jej w logiczną całość. Wcześniej Edmund wprawdzie nie unikał tematu małżeństwa. Nawet kiedy przyszedł do niej i zaproponował romans, wspomniał, że liczy się z konsekwencjami, choć nie wyglądało na to, by się specjalnie do tego pomysłu palił. Teraz jednak poprosił ją o rękę, jednocześnie pragnąc zachować to w sekrecie. Czyżby miało to związek z groźbami jego ojca?

Musiała się upewnić, czy ukochany nie wykorzystuje jej, by przypodobać się rodzicom. Nie miała zamiaru wszczynać awantury. Tym razem była ostrożniejsza i wolała przeprowadzić z nim poważną rozmowę. Jeżeli zdecydowała się spędzić z nim resztę życia, to nie może zachowywać się jak podlotek. Podeszła do niego, jak gdyby nigdy nic, i poprosiła, aby spotkali się w głębi ogrodu. Dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze kilka miesięcy temu napastował ją hrabia Olechowski.

– Aż tak się za mną stęskniłaś, kochanie? – szepnął. Zaszedł ją od tyłu, kiedy czekała na ławce.

– Nie żartuj.

Raczej nie zaprosiła go w celu, o jakim myślał.

– Chciałabym wyjaśnić pewną sprawę. – Odruchowo zaczęła skubać paznokiec przez materiał rękawiczki.

– Zaczyna się bardzo poważnie.

– Bo i temat nie należy do łatwych.

Obszedł ławkę i oparł jedną nogę na jej skraju, a na kolanie położył dłoń.

– Usłyszałam przed chwilą o twoich zobowiązaniach wobec ojca. Ponoć musisz do końca roku przyprowadzić posażną małżonkę.

– To prawda.

– Przyznajesz, że nasze zaręczyny podyktowane były nagłym upomnieniem markiza?

– Nie. – Podrapał się w brodę. – To może wyglądać nie najlepiej, ale chcę, byś została moją żoną, niezależnie od woli ojca.

Zmierzyła go uważnie wzrokiem. Czekwała na dalsze wyjaśnienia.

– Nie będę udawał, że idealnie to wszystko się ze sobą łączy, ale wiesz, że pragnąłem być z tobą od dawna. Nie chciałaś małżeństwa, to zaproponowałem romans. Mogę ci udowodnić, że nie zależy mi na majątku rodzinnym.

– Czyżby?

– Jeśli mi na czymś lub na kimś zależy, potrafię być skuteczny. Wiesz przecież. Na tobie zależy mi najbardziej.

– Tak mówisz... czekaj. – Zawahała się. – Rzeczywiście możesz obyć się bez majątku ojca, bo do dyspozycji będziesz mieć mój.

– Od początku wiedziałem, że jesteś zamożna. To chyba nie był sekret. Nie sądziłem jednak, że tak nisko mnie cenisz.

– Nie. Nie to chciałam powiedzieć. Przy tobie zawsze robię z siebie idiotkę. – Pogubiła się.

– Kochanie – zaczął ostrożnie – zrozum, że nie zależy mi na majątku. Ani na tym mego ojca, ani na tym po Mateuszu. Zależy mi wyłącznie na tobie i jeśli chcesz, rozdaj wszystko, co masz, i zaczekajmy do nowego roku, ale ani jednego dnia dłużej. Chcę zostać twoim mężem i chcę, byś to ty była moją żoną. Możemy ustalić datę ślubu na pierwszego stycznia. Czy to cię w jakimś stopniu uspokoi? – Podsunął się i usiadł obok niej.

Chciała mu ufać. Naprawdę miała już dość tej ciągłej huśtawki.

– Jesteś pewien?

– Czego? Tego, że jesteś jedyną kobietą na świecie, którą chciałbym widzieć w roli swojej żony? – Spojrzał głęboko w jej oczy. – Jestem.

– Tego, że chciałbyś poświęcić dla mnie tytuł markiza i majątek? Oddać go zapewne w ręce dalekiej rodziny?

– Całkowicie. Nigdy nie liczyłem się z tym, że kiedykolwiek to ja zostanę spadkobiercą. Jak wiesz, miałem dwóch braci i przywykłem do myśli, że będę musiał walczyć o swoje. Zresztą, idzie mi to ostatnio całkiem dobrze, jak sama zauważyłaś.

– Ale tytuł markiza daje wiele możliwości.

– Owszem, ale ty jesteś dla mnie najważniejsza.

– W takim razie zrób coś dla mnie, proszę. – Dotknęła jego ramienia.

– Co tylko chcesz, najdroższa.

Był zdeterminowany uczynić dla niej wszystko.

– Ożeń się ze mną tak szybko, jak to możliwe. Bez niepotrzebnych uroczystości i tego całego zamieszania wokół ślubu.

– Naprawdę tego chcesz?

– Wiesz, niecodziennie dostaje się szansę zostania w przyszłości żoną markiza.

Patrząc na nią, próbował powstrzymać uśmiech.

– Moja dziewczynka – szepnął, po czym pocałował ją namiętnie.

37.

Listopad 1817

Dzięki okazałemu datkowi formalności związane ze ślubem udało się załatwić w kilka dni i już tydzień po rozmowie w ogrodzie Olechowskich Aurelia i Edmund siedzieli ubrani w odświętne stroje w zdobionym dwukołowym karyklu z opuszczanym dachem, zaprzężonym w spięte na nagrzbietnikach dwa młode siwki. Jechali do uroczego drewnianego kościółka na obrzeżach Warszawy. Niewielki sportowy powóz dawał możliwość szybkiej jazdy bez konieczności zabierania ze sobą osób postronnych, gdyż na małej, wyściełanej ławeczce znalazły się jedynie dwa miejsca.

Aurelia wybrała na tę okazję chabrową suknię z delikatnej koronki podszytej białym ałłasem, a żeby nie zamarznąć po drodze, narzuciła na nią skromny ciepły płaszcz z futerkiem i obszernym, chroniącym przed wiatrem kapturem. Edmund wybrał klasyczny czarny frak z dwurzędowym zapięciem i połami wyłożonymi w kształcie litery U, do tego połyskliwą jasnobezową kamizelkę o wysokim, stojącym kołnierzu i białą koszulę z kołnierzem sięgającym niemal policzków, obwiązany kilkukrotnie białą batystową chustą. Jego umięśnione nogi pięknie prezentowały się w dopasowanych jasnych pantalonach i wysokich butach do jazdy konnej. Narzucił na to rzecz jasna ciepły kozuch, by nie przeziębic się po drodze. Przystrzyżone nieco krócej niż zwykle włosy schował pod futrzaną czapkę.

Aurelia nie mogła napatrzeć się na jego wytworny i elegancki wygląd, kiedy stroił się przed lustrem tego ranka. Co prawda w ciągu ostatnich miesięcy przekonała się, że to nie samo jej pożądanie powodowane niedostępnością i pociągającą powierzchownością Edmunda tak bardzo ją do niego przywiązało, ale zupełnie nie przeszkadzało jej to, że jest tak przystojnym mężczyzną. Musiała pogodzić się z zawistnymi spojrzeniami innych kobiet świadoma tego, że i on nie będzie miał lekko. Ufała mu i kochała go, co uświadomiła sobie dopiero niedawno, a co jej serce podpowiadało już w chwili, gdy obejmował ją zmarzniętą, brudną i obolałą tej wiosny w więzy.

Coś jednak nie dawało jej spokoju od samego rana. Początkowo składała to na karb nerwów, które zwykle towarzyszą każdej pannie młodej, ale teraz odnosiła wrażenie, że ktoś ją znowu obserwuje.

Gilbert Hardy zaszył się na dalekiej wsi, o czym wiedziała z otrzymywanej regularnie korespondencji. Któż więc mógł teraz śledzić jej poczynania, nie wysyłając żadnych wskazówek? Może fakt, że przyspieszyli ceremonię zaślubin i zaplanowali ją, nie poinformowawszy bliskich, wywoływał u niej wyrzuty sumienia, które z kolei wizualizowały się w postaci niewyraźnej imaginacji?

Edmund nie mógł spać tej nocy, co skutkowało ciemnymi półksiężycami na jego gładko ogolonej twarzy. Nie przejmował się tym jednak zupełnie, stale przypominał sobie, że nie śni i kobieta, o której do niedawna jedynie nieśmiało myślał, za chwilę stanie się jego żoną. Czuł się tak zachłyśnięty szczęściem, że wydawało mu się to wszystko nierealne. Siedziała obok niego. Tak piękna i zapatrzona w przestrzeń. Promienie jesiennego słońca oświetlały kontury regularnych rysów jej twarzy, nadawały oczom ciemną, niemal kobaltową barwę. Idealnie skrojone usta, których kształt wielokrotnie odbił się na jego własnych, i lekko zadarty nosk zaróżowiły się od podmuchów wiatru. Była poważna, skupiona, ale uśmiechnięta, co utwierdzało go w przekonaniu, że jest w pełni gotowa, by związać z nim resztę swojego życia.

Nagle coś wyłoniło się z odległej kępy drzew i ukryło ponownie w listowiu. Nie był pewien, ale chyba wcześniej także dostrzegł zarys sylwetki jeźdźca podążającego ich śladem. Może to jakiś wędrowiec albo ktoś, kto po prostu jedzie w tym samym kierunku? Nie mógł wciąż dopatrywać się niebezpieczeństwa i podstępu. Chyba zbyt wiele spraw ostatnio rozwiązywał i doszukiwanie się wszędzie niegodziwości weszło mu już w krew.

– Zdaje się, że ktoś za nami jedzie. – Usłyszał głos hrabiny wychylającej się dyskretnie zza daszku karykła. – Po lewej widziałam jakąś postać na koniu.

– To mało uczęszczany szlak, ale nie całkowicie pusty. Może ktoś podąża w tym samym kierunku.

– Może.

W dodatku z prawej, a nie z lewej – pomyślał. Kobiety i ich orientacja przestrzenna, westchnął. Nie chciał jednak zwracać jej uwagi w takim momencie. I tak pewnie była zdenerwowana zbliżającym się ślubem, choć nie dawała tego po sobie poznać.

Pod koniec drogi zaczął padać drobny deszczyk, dlatego po szybkim przywitaniu z wielebnym schronili się w przytulnym wnętrzu kościoła.

– Rozumiem, że świadkowie przybędą osobno – rzucił od niechcienia proboszcz, gdy podchodzili wolnym krokiem w stronę przystrojonego świeżymi kwiatami ołtarza.

– Świadcowie? – zapytał Edmund.

– Osoby, które złożą podpisy pod metryką ślubów. To powszechna zasada wynikająca z postanowień trydenckich.

– Metryką?

– Prawo zobowiązuje mnie do prowadzenia ksiąg w taki sposób, aby uwzględniać datę, imiona i nazwiska przyszłych małżonków, miejscowość, pochodzenie pana młodego, przymiotniki określające jego predykat stanowy, stan cywilny. To samo tyczy się oblubienicy. Dodatkowo nie mogę zapomnieć o świadkach.

– Świadkach?

– Na świadków wybiera się najczęściej trzy osoby. A zdarzało się nawet pięć. Tu też muszę wpisać imiona i nazwiska, pochodzenie i przynależność społeczną. Najczęściej te osoby są powiązane z nowożeńcami przez pokrewieństwo lub pochodzenie z tej samej miejscowości. Prawo trydenckie stanowi, iż aby małżeństwo można było uznać za legalne, musi być udzielone przez kapłana w obecności przynajmniej dwóch lub trzech świadków – wyjaśnił skrupulatnie kapłan. – Rozumiem, że pan mógł nie być obeznany w tej materii, ale hrabina Plater jako wdowa... – Zarumienił się, skrzępowany poczynioną uwagą.

– Tak, oczywiście. – Edmund wyprostował się jeszcze bardziej. Od rana czuł, że coś poszło nie tak, teraz już wiedział, że chodziło o brak świadków. – Sądziłem, być może naiwnie, że może to wielebny kogoś przyprowadzi – zasugerował.

– Obawiam się, że nie mam innego wyjścia, jeśli nie chcecie przełożyć ceremonii.

Edmund spojrział pytająco na Aurelię, dał jej możliwość decydowania. Miał się wszystkim zająć, a poległ na całej linii.

– Jeśli wielebny byłby tak uprzejmy i znalazł nam świadków, będziemy zobowiązani. – Uśmiechnęła się.

– Naturalnie, naturalnie. – Ksiądz zaczerwienił się jeszcze bardziej. –

Mieszkam niedaleko, a moja gospodyni wraz z mężem niejednokrotnie świadkowali już w szybkich ceremoniach. – Zmieszał się, nie wiedzieć czemu, na te słowa. – Niedługo wrócę – zapewnił.

– Jest proboszcz niezastąpiony.

– Och, a pani zbyt łaskawa. Za ołtarzem jest niewielki pokój, gdzie można się odświeżyć, gdyby zaszła potrzeba – powiedział i wyszedł z kościoła.

– Dziękuję raz jeszcze.

Skłoniła się i przeniosła wzrok na Edmunda.

– Zdaje się, że jeszcze wczoraj zapewniałeś mnie, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

– Wybacz, kochanie, nie mam pojęcia, jak mogłem przeoczyć coś takiego – bąknął niewyraźnie, speszony własnym niedbalstwem.

– Powinnam sama się tym zająć.

Spojrzał na nią zaskoczony z obawą, że zmieniła zdanie, ale odkrył, że uśmiecha się do niego prowokująco.

– Nie strasz mnie w ten sposób. I tak jestem dziś wielkim kłębkim nerwów – przyznał, czym nieoczekiwanie zaskoczył siebie samego.

– Ja również drzę, nie mogę uwierzyć, że to rzeczywistość.

– Może pomożemy sobie wzajemnie? – rzucił, pokazując rząd białych zębów.

– W kościele? – szepnęła oburzona.

– Nikogo tu oprócz nas nie ma...

Podszedł i musnął delikatnie wargami jej usta. Nie mogła długo oponować. Oddając pocałunek, zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Jesteś wspaniała – szepnął i oderwał się od niej niechętnie – ale twoja fryzura wymaga niewielkiej poprawki. – Spojrzał na jej zmierzwione włosy. – Wybacz.

– Zaraz wracam. – Posłała mu ostatniego całusa i poszła w kierunku pokoju, o którym wspominał wielebny.

Coś poruszyło się w ciasnym i słabo oświetlonym pomieszczeniu na tyłach kościółka. Szczury? Wzdrygnęła się, ale dzielnie podeszła do komody, nad którą wisiało niewielkie lustro, i zapaliła stojącą na niej lampkę. Rzeczywiście podczas pocałunku Edmund powyciągał niechcący kilka pojedynczych pasm ze zgrabnie ułożonego koka ozdobionego perełkami. Naprawienie szkód nie było jednak tak trudne, by nie sprostała szybko temu zadaniu. Wyjęła z torebki kilka zapasowych spinek i powpinała nimi wymykające się loki, po czym zadowolona z efektu zwilżyła koniuszek palca w misce z wodą i poprawiła kształt jednej z brwi.

– Skończyłaś? – Padło ciche pytanie.

Odwróciła się gwałtownie, aż upuściła rękawiczkę.

– Eleonora? Co ty...

– Zaskoczona? – spytała kobieta, która wyłoniła się z ciemnego kąta z pistoletem w dłoni wymierzonym prosto w Aurelię.

– Nie rozumiem.

– Nie? To może ci wyjaśnię.

Aurelia chciała się cofnąć, ale nie miała zbyt dużego pola manewru. Oparta o komodę, dyskretnie próbowała znaleźć cokolwiek, czym mogłaby obronić się przed strzałem.

– Nie próbuj żadnych sztuczek – ostrzegła tamta. – Rączki do przodu, spryciaro. – Zmierzyła ją nienawistnym spojrzeniem.

– Ale co ja ci takiego zrobiłam?

– Cóż za urocze, acz nierozumne stworzenie. – Westchnęła. – Jeszcze się pytasz? – Markiza poprawiła rozwiane złote loki, nadal mierzyła na wprost. – Nie drgnij, bo skończysz z dziurą w brzuchu. Z tej odległości nawet ja nie mogę chybić.

– Spokojnie. – Aurelia starała się oddychać powoli, zastanawiała się, w jaki sposób dać Edmundowi znać, że znalazła się w niebezpieczeństwie.

Gdyby udało się jej zgasić lampkę i przesunąć cicho w bok, wówczas Eleonora strzeliłaby w lustro i narobiła hałasu... Niestety istniały marne szanse, by taki plan wykonać.

– Zastanów się, proszę, co ci przyjdzie z zabicia niewinnej osoby. Najpewniej trafisz na szafot, okryjesz hańbą całą rodzinę. – Spróbowała przemówić jej do rozsądku.

– Nie sądzę, by ktokolwiek się domyślił, że to ja pociągnęłam za spust. Cała służba jest przekonana, że smacznie śpię, a nikt nie odważy się zajrzeć do mojej sypialni przed południem. Widzisz, śledziłam ciebie i twego kochanka. Mężczyźni są na tyle głupi, że nie doceniają roli kobiet. Sądził pewnie, że się nie domyślę, w jakim celu pędzi tutaj wczesnym rankiem.

– Oszalałaś. – Aurelia dostrzegła złośliwy, niemal szaleńczy błysk w jej jasnozielonych oczach i przeraziła się nie na żarty.

– Raczej zmańdrałam. Nie dam z siebie robić idiotki. Jeśli nie osiągnę dziś tego, po co tu przyjechałam, to przysięgam, że zainscenizuję wszystko tak, by wyglądało na kłótnię kochanków.

– Posłuchaj mnie, proszę. – Aurelia zaczęła łagodnie. Najwyraźniej uczucia Eleonory wobec Edmunda były o wiele głębsze niż zwykła fascynacja, przez którą zmyślała, mówiąc o ich wspólnych nocach. Właściwie to do tej pory nie wyjaśniły sobie, dlaczego okłamała ją

opowieściami o romansie. Czy chciała w ten sposób wzbudzić w niej zazdrość, czy zniechęcić do spotykania się z majorem?

– Przecież on niczego ci nigdy nie obiecywał. Wiedziałaś, że między wami nie zrodzi się prawdziwe uczucie.

– Bo on kocha ciebie. Czy tak?

– Nawet jeśli, to przecież ma do tego prawo. Nie można nikogo zmusić do miłości czy obojętności.

– Widzę, że nie starasz się zaprzeczać. Świętoszkowata Aurelia. Mimo że grzeszy, to zawsze stara się uczciwie wypowiedzieć.

– Nie robię nic złego. Wiem, że na razie jeszcze nie jesteśmy małżeństwem, ale...

– Małżeństwem?! – Eleonora wytrzeszczyła jeszcze bardziej wielkie oczy.

– A co ze mną? Jak chcieliście się pozbyć mnie? Zabijając czy prosząc o rozwód?

Ręka zadrżała jej ze złości, ale pomogła sobie drugą.

– Nie rozumiem. Przecież nasze małżeństwo nie ma nic wspólnego z tobą!

Aurelia jeszcze bardziej przyłgnęła do drewnianej komody, poczuła, że mebel zaraz pęknie pod naporem jej ciała.

– Jak to nie!? Do licha, to kim ja właściwie twoim zdaniem jestem? Jego siostrą? Chcesz powiedzieć, że ślub, wesele, wspólny dom, nazwisko, że to wszystko mi się przyśniło?

– Ślub, wesele? Dalibóg, o kim ty w ogóle mówisz?

– O moim mężu.

– O twoim mężu?!

– A niby z kim się tutaj umówiłaś na kolejną schadzkę? Nie zaprzeczaj tylko. Widziałam was wtedy w Nałęczowie nad rzeczką, jak znikacie, obściskując się za drzewami. Nawet podsuwałam ci majora Brezę, opowiadałam o jego łóżkowych zaletach, żebyś dała spokój Borysowi i wzięła się za wolnego mężczyznę.

Aurelia zacisnęła pięści. Czyli opowieści o Edmundzie miały na celu zwrócenie na niego jej uwagi? Głupi pomysł. W dodatku niemal nie doprowadził do zakończenia ich związku.

– Mylisz się, Eleonoro.

– Nie sądzę.

– Daj sobie wszystko wyjaśnić.

– Po to tu właśnie przyszłam. Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie dasz spokoju mojemu mężowi. Tak bardzo pragniesz zostać markizą? Chyba nie

sądziś, że dam mu rozwód. Zresztą dobrze wiesz, że rozwodnicy nie mogą tak łatwo zawrzeć legalnego małżeństwa, a skandal, jaki na siebie sprowadzą, może na zawsze wykluczyć ich z towarzystwa.

– Ale ja nie spotykam się z twoim mężem – powiedziała. Dokładnie ważyła każde słowo.

– W takim razie może wyjaśnisz mi, co tutaj robisz i po co Borys jechał w tym kierunku.

– Nie mam pojęcia, po co markiz udawał się w te strony. – Wzniosła wzrok ku górze, nasłuchiwała, czy Edmund nie idzie, zmartwiony jej przedłużającą się nieobecnością. Mógł przecież zajrzeć tu, skoro tak długo nie wracała. – Ja przyjechałam właśnie z majorem Brezą. Po to, by wziąć tutaj cichy ślub.

– Ślub? – Zaśmiała się. – Nie rób ze mnie wariatki. Nie widziałam nigdzie powozu księdza.

– Bo wielebny pojechał po świadków.

– I mam w dodatku uwierzyć, że zapomniałaś o świadkach? Ty? Doświadczona wdowa?

– Każdemu może się zdarzyć.

– Może wyglądam na kobietę, która interesuje się jedynie strojami, ale w tak skomplikowany ciąg wydarzeń, które są jedynie dziełem przypadku, nie uwierzę.

– W takim razie chodź za mną, to ci udowodnię.

Markiza wydeła usta, gdy zastanawiała się nad propozycją.

– Dobrze, ale powoli. Pamiętaj, że idę za tobą, a ten pistolet to nie zabawka.

Edmund pochylał się właśnie, strzepywał paproszki z kolan po tym, jak przed momentem podziękował Bogu za swoją wspaniałą narzeczoną. Podeszedł do ołtarza i poprawił wysuwającą się z flakonu czerwono-białą chryzantemę.

– Ostrzegalem cię, Breza. – Usłyszał znajomy głos zbliżający się w jego kierunku. – Sądziłem, że nie będziesz na tyle głupi, by ryzykować ponownie. Jak widać, byłem w błędzie.

– Wąsacz?

– Proszę?

– Markiz Morawski.

Edmund odwrócił się ostrożnie w kierunku mężczyzny, widział wycelowany w swoim kierunku gładkolufowy francuski pistolet służący

głównie do pojedynków. Oceniał własne szanse. Za paskiem z tyłu trzymał ukrytą broń, ale Morawski nie był niedoświadczonym młokosem, który pozwoliłby mu na jej wydobycie. Sztylet schowany w bucie nie pomógłby w niczym, a pod ręką miał jedynie kwiaty. Marny materiał do obrony.

– Czym sobie zasłużyłem na wizytę w tak uroczystym dniu? – Spróbował nie okazywać strachu, zachować swój ironiczny uśmiech, choć martwił się o bezpieczeństwo nie własne, a Aurelii, która mogła nadejść w każdym momencie.

– Tym razem dyplomatyczne sztuczki Wiktora Strzeleckiego nie na wiele się zdadzą, Breza, a w pokoju obok nie mam trójki świadków i mogę z tobą wreszcie zrobić porządek.

– A mogę chociaż wiedzieć, czym tym razem zasłużyłem sobie na takie względy?

– Bezczelny typ! – Markiz zmełł w ustach przekleństwo. – Jeśli uważasz, że nabiorę się na twoje sztuczki, to się grubo mylisz. Wyjaśniłem ci, że jeszcze jedno potknięcie i policzę się z tobą, jak należy.

Edmund uświadomił sobie, że plotki o jego romansie rozpuszczane przez samą markizę mogły dotrzeć i do uszu jej męża. Po raz pierwszy naprawdę się przestraszył, że tym razem może nie wyjść cało z tarapatów.

– Proszę mi wierzyć, markizie. Nigdy nie miałem zamiaru przyprawiać panu rogów. Przynajmniej nie z obecną małżonką. – Poprawił się, gdy uświadomił sobie, że markiz wie o jego przeszłości. – Jeśli ktoś doniósł, że było inaczej, to zapewne dlatego, że został wprowadzony w błąd. Mogę dać słowo dżentelmena, że postępowałem uczciwie.

– Twoje słowo nie ma dla mnie żadnego znaczenia, Breza – wycedził tamten i podszedł wolnym krokiem w jego kierunku.

– W takim razie niech pan zapyta swojej małżonki.

– Nie omieszka. Zapewne zjawi się tu lada moment. Ale żeby umawiać się z zamężną kobietą w kościele? To już szczyt rozpasania. Zawsze uważałem cię za wszetecznika, jednak tym razem przeszedłeś samego siebie.

– Nie umówiłem się tutaj z markizą!

– Czyli chcesz powiedzieć, że to ona umówiła się z tobą?

– Nie...

– W sumie to jestem skłonny uwierzyć, ale i tak nie umniejsza to twojej winy. – Zacisnął dłoń na kolbie, nie pozwolił mu dokończyć.

– Źle mnie pan zrozumiał.

– Czyżby?

– Nie łączy mnie nic z markizą!

– To co miały znaczyć te plotki i jej dzisiejsza przejażdżka wierzchem? Eleonora nie należy do rannych ptaszków, a konno jeździ naprawdę bardzo rzadko. Niby przypadkiem oboje zjawiliście się na tym odludziu?

– Nie wiem, co ma w głowie pańska małżonka, ale przyjechałem tu z inną kobietą.

– Z inną?

W tym samym momencie skrzypnęły drzwi ukryte za ołtarzem i Morawski, straciwszy na chwilę czujność, odwrócił się w tamtym kierunku. Edmund wykorzystał to i sięgnął do kabury przymocowanej do tyłu spodni. Płynnym ruchem wydobył z niej czterolufowiec, który wyciągnął w stronę Borysa Morawskiego.

– Hrabina Plater? – zapytał zdziwiony markiz, gdy ujrzał, jak tamta wyłania się zza jednego z obrazów.

– Mówiłem – odparł Edmund, uświadamiając mu, że nie tylko był w błędzie, ale teraz i on jego trzyma na muszce.

– Markiz Morawski? – wyrwało się Aurelii, na co Eleonora przyłożyła jej broń do pleców i wyjrzała, by upewnić się, do kogo tamta się zwraca.

– A więc jednak?! – krzyknęła markiza, zanim jej wzrok nie trafił na stojącego nieopodal Edmunda. – Major Breza? Co się tutaj dzieje?!

– Może to ty mi wyjaśnisz, moja droga. – Morawski zwrócił się do żony. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że trzyma ona w ręku pistolet.

– Ja?!

– Nie zasłaniaj się hrabiną. Widziałem, jak wymykasz się z domu, pędzisz na spotkanie z kochankiem.

– Pędziłam, bo śledziłam twoje poczynania, kiedy gnałeś na umówioną schadzkę z nią. – Wskazała dłonią na Aurelię.

– Ja?! Czy kiedykolwiek dałem ci powody do zazdrości?

– Oj! Niejednokrotnie wychwalałeś zalety hrabiny. Mało tego, sądzisz, że byłam głupia i nie widziałam, jak obściskiwałeś ją w parku w Nałęczowie.

– W parku? To było przypadkowe spotkanie i nikogo nie obściskiwałem. Musiało ci się coś pomylić, moja droga.

Aurelia ostrożnie odsunęła się od niej, spoglądała zdezorientowana na Edmunda. Małżeństwo Morawskich miało sobie wiele do wyjaśnienia.

– Myślisz, że łatwo jest znieść upokorzenia, wiedząc, że małżonek stale wzdycha do innej kobiety? Gdybyś miał choć odrobinę przyzwoitości, to byś mnie nie poślubiał, skoro zawsze to ona będzie najważniejsza. – Podsunęła

się tak, by zobaczyć, że trzyma w ręku pistolet. – Może kiedy usunę ją z drogi, zechcesz w końcu zwrócić uwagę na moje potrzeby, mężu – zaakcentowała ze złością ostatnie słowo.

Edmund obserwował tę żywą wymianę zdań, oceniał szanse dyskretnego wycofania się spod ostrzału i uratowania przyszej żony, ale nie potrafił niczego wymyślić. Wprawdzie markiz skupiał się teraz na paniach, ale Eleonora także trzymała w ręku broń i mogła jej w każdej chwili użyć. Nie dałby rady strzelić w dwa miejsca jednocześnie.

– Moja droga – zaczął markiz spokojnym, ale nieco despotycznym tonem – to prawda, że zdarzało mi się chwalić zalety hrabiny Plater, ale nie robiłem tego dlatego, żebym czuł do niej coś poza szacunkiem. Owszem, myślałem kiedyś o staraniu się o jej rękę, ale poznałem ciebie.

– Nie zamydlaj mi oczu, markizie – ostrzegła go Eleonora. – Mówisz tak tylko dlatego, żebym jej nie zabiła.

– Mówię tak dlatego, że to prawda – odparł powoli. – Odlóż, proszę, ten pistolet. Chyba nie chcesz popełnić głupstwa?

– Głupstwem było jedynie to, że pokochałam kogoś, kogo serce jest dawno zajęte.

Albo naprawdę zależało jej na mężu – w co trudno było Edmundowi uwierzyć, zwłaszcza że doskonale pamiętał, jak rzuciła się na niego, ciągnąc do swojego łóżka – albo była naprawdę niezłą aktorką.

– Mówisz o mnie?

– A o kim miałabym mówić? Jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu – zarzekała się.

– W takim razie jak wyjaśnisz mi próbę zwabienia majora do swojej alkowy? Jeśli chcesz wiedzieć, dobrze słyszałem dialog, jaki toczył się między wami tamtej nocy, gdy nakryłem go w twojej sypialni. – Rzucił jej gniewne spojrzenie. – Sądziłaś, że jestem głuchy i ślepy i dam się nabrać na wasze liche wymówki?

– To był jeden jedyny incydent. Chciałam wzbudzić twoją zazdrość. Byłeś taki oziębły, taki nieczuły. Jakby ci zupełnie na mnie nie zależało. Co miałam zrobić, by obudzić w tobie mężczyznę?

– Na pewno nie zaciągać do łóżka innego – stwierdził z wyrzutem.

– To był błąd, przyznaję. Ale uwierz, że byłam świadoma, iż możesz być gdzieś w pobliżu. Chciałam, byś wyzwał majora na pojedynek. – Otarła kręcącą się pod powieką łezkę. – Oczywiście nie dopuściłabym później do

niego. – Spojrzała wymownie na Edmunda. – A potem żebyś zobaczył, że skoro podobam się innym, to i w tobie mogę wzbudzić namiętność...

– Eleonoro! – Markiz upomniał ją, jakby powiedziała coś niewybaczalnego. – Traktowałem cię z należyty szacunkiem, bo sądziłem, że tego właśnie chcesz. Zawsze z wyższością wyrażałaś się o postępkach innych, podkreślałaś swoją pruderyjność. Nie chciałem cię w jakikolwiek sposób urazić.

– Och, Borysie! – Eleonora zapomniała o broni. – Naprawdę twoja oziębłość wynikała z szacunku do mnie?

– Nie inaczej.

– I nigdy nie chciałeś wymienić mnie na hrabinę Plater?

– Przenigdy – zapewnił. Nadal zerkał na Edmunda. – Majorze Breza?

– Tak? – Edmund zmierzył go uważnym spojrzeniem. Może nie był już tak groźny jak kilka minut wcześniej, ale broń nadal miał odbezpieczoną i wycelowaną w jego kierunku.

– Jest jeszcze jedna kwestia, którą chciałem wyjaśnić.

– Jaka?

– Po cóż umawiał się pan tutaj z hrabiną? Wybacz, moja droga – zwrócił się do żony – moim obowiązkiem jest zapytać, czy nie zwabił jej tu pan podstępem, by niecznie wykorzystać jej naiwność?

– Przyszłam tu z własnej woli, markizie – odezwała się Aurelia. – Właśnie szykowałam się do poślubienia majora, kiedy przeszkodziła mi pańska małżonka.

– Mówi pani poważnie?!

– Owszem.

– I mnie wydaje się to wysoce nieprawdopodobne – wtrąciła się Eleonora. – Nie będą mieli państwo na pewno nic przeciwko, byśmy zostali świadkami tej uroczystości – powiedziała już typowym dla siebie władcym arystokratycznym tonem. – W przeciwnym razie nigdy w to nie uwierzę!

– Skądże. Najpierw jednak zadam pani pewne pytanie, markizo. –

Edmund rzucił ostatnie spojrzenie w stronę jej męża, dając mu do zrozumienia, że powinni odłożyć pistolety.

Markiz zrozumiał jego sygnał bez słowa i wolnym ruchem zabezpieczył broń, po czym włożył do kieszeni płaszcz.

– Proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób namówiła pani Gilberta Hardy'ego do wzięcia na siebie winy za wysyłane anonimy?

– Słucham!?! – Oburzyła się, czerwieniejąc i blednąc na zmianę.

– Anonimy? – zapytał markiz.

– Słuchamy. – Aurelia ostrożnie przeszła do przodu, by stanąć obok narzeczonego.

– A więc... – Markiza zaczęła skubać rąbek peleryny, gdyż zupełnie nie wiedziała, jak ma się zachować.

– Nie wniesiemy oskarżenia. Chcemy jedynie poznać prawdę. – Edmund się nad nią zlitował, bo chciał jak najszybciej wyjaśnić wszelkie wątpliwości, choć dopiero teraz nabrał pewności co do własnych przypuszczeń.

– Eleonoro! – upomniał ją markiz.

– Gilbert jest moim dalekim kuzynem... – Westchnęła. – Od lat, jak większość mężczyzn na salonach, błądził wzrokiem w poszukiwaniu Aurelii. Wiedziała, że ma na jej punkcie obsesję, i pewnego popołudnia, kiedy przyszedł załamany złożyć mi wizytę, wydobyłam z niego informację o tym, że źródłem jego melancholii jest nieodwzajemnione uczucie. Przyznał nawet, że odważył się wysłać jeden anonimowy liścik, co podsunęło mi do głowy bardzo niedorzeczny pomysł. Później sama zaplątałam się w tym wszystkim tak bardzo. Och, nie każcie mi o tym mówić, to takie ponizające.

– Wiedziałem, że zbyt łatwo poszło z tym odnalezieniem dręczyciela. Podejrzywałem, że za tymi anonimami może się kryć ktoś jeszcze, ale nie chciałem nikogo martwić na zapas. – Edmund wybawił ją z opresji, skreślił pokrótce markizowi wydarzenia ostatnich miesięcy.

– To prawda. – Markiza poparła jego słowa, spoglądając na męża. – A ten posąg aniołka... Myślałam, że to prezent od ciebie, bo podobny przecież podarowałaś mi kilka miesięcy wcześniej. Nie miałam pojęcia, że to dzieło Gilberta.

– Ależ jestem pewien, że wspominałem ci o tym.

– Musiałam nieuważnie słuchać.

W to akurat nietrudno było uwierzyć. Edmund powstrzymał się jednak od złośliwości. Rozumiał, że działania markizy podyktowane były zazdrością tudzież strachem przed gniewem markiza.

– Nie miałam zamiaru nikogo skrzywdzić – wyjaśniła. – Gdybym wiedziała, do czego jest zdolny mój kuzyn, to nie podsuwałabym mu takich pomysłów. Wydawał się niegroźnym człowiekiem i obiecywał, że nikomu nic się nie stanie. Skąd mogłam wiedzieć, że ma taki słaby umysł?

– Widzę, że jednak znaleźli państwo świadków. – Ksiądz wszedł zdyszany w towarzystwie dwójki starszych ludzi.

– Borys Morawski, czwarty markiz Moore, i jego urocza małżonka postanowili zrobić nam niespodziankę – wyjaśnił szybko Edmund, czym wprowadził pozostałych w zdumienie.

– Och, to niepotrzebnie fatygowałem moją gospodynię i jej męża.

– Ależ nie szkodzi. – Uśmiechnęła się starsza kobieta. – Mogę przecież zagrać państwu na organach. Może nie jestem zawodową pianistką, ale coś niecoś potrafię.

– Gdyby była pani tak uprzejma – zwrócił się do niej Edmund z czarującym uśmiechem.

Kobieta mimo siwizny na włosach i siateczki zmarszczek pokrywającej całą twarz zarumieniła się niczym pensjonarka.

– W takim razie niech państwo zajmą miejsca, a pan – rzekł duchowny do staruszka – będzie mi posługiwał do mszy.

– Skoro tak trzeba – odparł cicho mężczyzna i z obojętną miną zajął miejsce z boku ołtarza.

– Zaczynamy zatem, moi drodzy.

Aurelia wstrzymała oddech, starała się zachować spokój, niepewna, czy dobrze rozumie całą sytuację. Za nimi stało dwoje ludzi, z których każde jeszcze kwadrans wcześniej miało ochotę podziurawić przynajmniej jedno z nich. Nie mogła uwierzyć, że Edmund zupełnie spokojnie słucha kazania proboszcza. Nawet Eleonora i Borys udawali dystyngowaną parę w skupieniu pełniącą obowiązki świadków. Ona dzielnie przytrzymała bukiet i poprawiła tył sukni panny młodej, on przyjął pudełko z obrączkami i czekał z nim na odpowiedni moment ceremonii, wsłuchany w całkiem znośny alt starszej pani przygrywającej na kościelnych organach.

Aurelia jeszcze w środku trzęsła się niczym galareta. Przecież oboje mogli zginać i to w wyniku fatalnego nieporozumienia. W dodatku zaskoczył ją udział Eleonory w próbie porwania jej przez Gilberta Hardy’ego i z pewnością w zatruciu czekoladek, uszkodzeniu siodła i Bóg wie czego jeszcze. Czy naprawdę ta kobieta da jej już święty spokój? Jak wszyscy tu zebrani mogą udawać, że nic, zupełnie nic się nie stało?

– Hrabino Plater?

– Tak? – Zdziwiła się, że ktoś przerywa jej rozmyślenia.

– Teraz pani kolej.

– Moja kolej?

– Aby złożyć przysięgę – wyjaśnił zarumieniony ksiądz.

– Oczywiście. – Poczula zażenowanie, ale ciepły uśmiech Edmunda dodał jej odwagi i pomógł opanować emocje. – Ja, Aurelia, biorę cię, Edmundzie, za małżonka i ślubuję ci... – Słowa popłynęły same, niemal bez jej udziału. Zdawało się jej, że patrzy na wszystko z boku i chłonie każdy wers, skupiona nad jego sensem. – ...na dobre i na złe... – Miała nadzieję, że wszystko, co najgorsze, było już za nimi, ale nawet gdyby przyszło jej przechodzić przez największe burze, to miała pewność, że z Edmundem u boku jest w stanie przetrwać wszystko. – ...kochać cię i szanować, dopóki śmierć nas nie rozłączy... – Tego mogła być pewna.

Nagle dotarło do niej, dlaczego Edmund wydaje się taki spokojny. Ogarnęła ją fala szczęścia. Zrozumiała, że tak właśnie powinno być. Znalazła mężczyznę, z którym pragnie dzielić życie, i nic już nie stoi im na przeszkodzie.

– Czy już mogę? – Usłyszała niecierpliwy głos swego świeżo poślubionego męża.

– Naturalnie.

Nie czekając chwili dłużej, pochwycił ją w ramiona i – przycisnąwszy do siebie ku oburzeniu męża gospodyni i skonsternowanej miny wielebnego – pocałował w nad wyraz niegrzeczny sposób. Nie byłby sobą, Edmundem Brezą, gdyby tego nie zrobił...

– Gratulacje – zapiszczała Eleonora, oddała Aurelii bukiet i cmoknęła powietrze obok jej twarzy.

– Dziękuję. – Spojrzała na nią początkowo niepewnie, ale dała się uściskać i nadstawiła uszu.

– Przepraszam za to całe zamieszanie. Wiesz, że mam porywczy charakter, ale pewnie kiedyś sama zrozumiesz, jak to jest, gdy kobieta czuje się zagrożona.

Wolałabym się o tym nie przekonywać – pomyślała. Nie do końca wierzyła w szczerść słów markizy, ale wiedziała jedno: Eleonora, nawet gdyby miała ochotę zbliżyć się do Edmunda, to nie zrobi tego ze względu na swego męża. Chyba dostrzegła w nim wreszcie prawdziwego mężczyznę, na co wyraźnie wskazywały rzucane mu ukradkiem spojrzenia.

– Mogę obejrzeć ten dziwaczny pistolet? – Aurelia zapytała Edmunda, gdy wchodzili wieczorem do jej sypialni.

– Pistolet? Sądziłem, że w czasie nocy poślubnej wolałabyś obejrzeć raczej coś innego, kochanie.

– Podejrzewam, że nie jestem pierwszą kobietą, która interesuje się bardziej tą bronią niż tobą.

– Ranisz mnie, ale to prawda, już Sabina Strzelecka wypytała mnie o wszystkie szczegóły.

– To może teraz opowiesz o tym żonie, a ja zacznę cię powoli rozbierać.

– Takiej propozycji nie mógłbym odrzucić – mruknął.

– Wiedziałam. – Szarpnęła zębami jego halsztuk.

– To skałkowy pistolet, kaliber osiem i jeden milimetra, przeznaczony do obrony osobistej. Nie przestawaj... – Zamknął oczy, odłożył broń na szafkę nocną. – Blok luf ma długość osiemdziesięciu dziewięciu milimetrów.

– Uwielbiam takie szczególiki. – Całowała jego gładką klatkę piersiową, zdejmując jednocześnie koszulę.

– Lufy są obsługiwane przez dwa kurki, a strzela się salwą z górnych bądź dolnych luf.

– Salwą – powtórzyła, gdy rozpinała mu rozporek.

– Salwą – mruknął i upadł na miękką pościel. – Aby strzelić z luf dolnych, należy przesunąć zaczep po lewej stronie kolby o pół obrotu.

– Pół obrotu. – Z wysiłkiem ściągała zeń spodnie.

– Pół obrotu. – Nie wytrzymał dłużej. Pochwycił ją w ramiona i położył się delikatnie na niej. – Dość tego gadania! – Przykrył jej usta długim, namiętym pocałunkiem. Czuł, że wreszcie wszystko jest tak, jak być powinno.

Epilog

Aurelia siedziała i popijała herbatę w swoim warszawskim salonie, gdy zaskoczony Harris przepuszczał w przejściu elegancką starszą damę. Nawet zwykle gadatliwa Marianna uciekła i schowała się w kuchni, gdy ta wpadła do salonu, stukając obcasami.

– Wiem, że on gdzieś tutaj jest! – zaczęła bez pardonowo.

– Dzień dobry – wydukała Aurelia. Rozlała zawartość filiżanki na nową białoniebieską suknię.

– Nieważne. Tchórz go pewnie obleciał, ale może to i lepiej. Porozmawiam z panią.

– Zupełnie nie rozumiem. Kim pani w ogóle jest? – Starła się w pośpiechu wysuszyć plamę chusteczką.

– Julianna markiza Breza – przedstawiła się dumnie kobieta.

– Miło mi pa...

– Wiem, kim pani jest, i proszę mi uwierzyć, nie mam nic przeciwko pani.

– Przerwała jej w pół słowa. – Chodzi o mojego syna. Jego ojciec, markiz Breza, tym razem mu nie daruje. On do końca roku musi sobie znaleźć żonę, a pani zajmuje mu czas. Proszę zważyć na to, że to jego ostatnia szansa. Pani jest młoda i może sobie znaleźć innego... – chrząknęła – ...towarzysza.

– Jest pani w...

– Proszę się nie tłumaczyć! Dotarły do mnie informacje o waszym romansie. Jestem przyzwyczajona do kolejnych wybryków syna i naprawdę nie robi to już na mnie wrażenia, ale tym razem sprawa jest bardzo poważna. On nie może zajmować się panią, kiedy ciąży nad nim zobowiązania rodzinne.

Aurelia nie wiedziała zupełnie, co odpowiedzieć. Pomyślnie sytuację uratował Edmund, który z uśmiechem na ustach wszedł, jak gdyby nigdy nic, i powiedział:

– Widzę, że poznała już mama moją żonę.

– Żonę?! – wykrzyknęła markiza i opadła na fotel.

Od tamtej chwili upłynęło sporo czasu, ale Aurelia ciągle miała dystans do teściowej, nie wspominając o zasadniczym markizie. Na szczęście nie musieli zamieszkiwać wspólnie z nimi, bo odległość między pałacem (który z Edmundem obrali sobie za dom) położonym nad Bugiem a majątkami Brezów pozwalała na swobodne zarządzanie obydwoma w razie takiej potrzeby.

Edmund śmiał się z całej sytuacji, twierdził, że przynajmniej nie czuje się osamotniony, bo i on jak ognia boi się spotkania z Konstancją Strzelecką, a teraz przynajmniej żona będzie rozumiała jego obawy. Tego dnia zorganizowali przyjęcie dla znajomych i krewnych jako rekompensatę za brak przyjęcia weselnego.

Aurelia wyszła na schody powitać przybywających gości, jednak ze względu na to, że od rana niczego nie zjadła, albo przez nadmiar świeżego powietrza zakręciło jej się w głowie i w ostatniej chwili przytrzymał ją ojciec Edmunda, a później, nie zważając na jej protesty, wniósł po schodach na górę i kazał wezwać lekarza.

Cała rodzina i przyjaciele siedzieli na dole, kiedy doktor badał Aurelię w jej sypialni. Edmund nie mógł wytrzymać napięcia i krążył nerwowo pod drzwiami, starał się jednak nie robić hałasu.

– Proszę wejść. – Usłyszał wołanie z głębi pokoju.

– Kochanie... – Podeszedł do żony, minawszy starszego mężczyznę. –

Co ci jest, najdroższa?

– Może zostawię państwa samych – odezwał się cicho lekarz i zamknął za sobą drzwi.

– Kochanie? – ponaglił Edmund.

Spojrzała na niego rozpromieniona, tak że zrozumiał bez słów. Podbiegł i objął ją, ucałował delikatnie w czoło i policzki.

– Jesteś wspaniała, kocham cię! A to będzie najprzystojniejszy chłopak w kraju, gwarantuję. I wychowam go tak, że nie przyniesie ujmy swojemu tytułowi. – Zasalutował.

– A jeżeli to dziewczynka?

– To nigdy jej nie wypuszczę z domu! Jeśli będzie miała takie chabrowe oczy jak mama i złote loki jak ojciec, to będę miał co robić na starość, odganiając kolejnych absztyfikantów.

– Proszę, proszę... – Zaśmiała się i wtuliła mocniej w jego ramię. – Błękitny Major zamienia się w pruderyjną dewotkę.

– Nie żartuj sobie ze mnie. Wiesz, że po takim ojcu dzieci mogą mieć szczególne skłonności.

– Nawet jeśli... Ja pokochałam i ich ojca, i te jego skłonności, więc...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

– Przypomniało mi się! – Oderwał się od niej gwałtownie. – Na wszelki wypadek zrobmy sobie zapas porządnych pieluch i płaszczy ochronnych, dobrze?

– Myliłam się, nadal jesteś niepoprawny. – Trąciła go lekko w ramię. –
Może zejdziemy i powiadomimy resztę. Wszyscy na pewno się martwią.

– To niech się uzbroją w cierpliwość – szepnął i zaczął rozwiązywać
tasiemki jej gorsetu.

Trąciła go ponownie, ale nie poruszyła się ani o centymetr.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[32.](#)

33.

34.

35.

36.

37.

Epilog